

Bestsellerowa seria CIENŃ NOCY
wydawana w 27 krajach

BLASK NOCY

Andrea Cremer



Cremer Andrea

Cień nocy 02

Blask nocy

Rozdarta pomiędzy dwoma chłopakami, zbuntowana przeciwko swemu przeznaczeniu dziewczyna nocą zmienia się w piękną i groźną Strażniczkę swojej rasy.

Uwięziona przez swoich zaciekle wrogów Calla jest przekonana, że to koniec. Ale dostaje wybór - i szansę, by zniszczyć swoich dawnych mistrzów, potężnych czarowników, panów życia i śmierci młodych Strażników. By uratować swój klan i uwolnić Rena. Czy Ren jest jednak wart ryzyka? Czy Shay stanie u jej boku, nawet jeśli zwątpi w jej uczucie? Calla sama musi zdecydować, która bitwa jest godna walki i ile prób zniesie prawdziwa miłość.

Sila i podstęp to na wojnie dwie cnoty główne.
- Thomas Hobbes *Lewiatan*

Część 1
Czyściec

Znużony byłem; niepewni dalszej drogi, stanęliśmy obaj na wzniesieniu bardziej samotnym niż pustynne ścieżki.

- Dante *Czyściec*

1

Nie mogłam nie słyszeć tego wrzasku. Okropny ciężar przygniatał mi piersi i zmuszał do walki o każdy oddech, a ja tonęłam we własnej krwi. Usiadłam z cichym okrzykiem i mrugając, wpatrywałam się w mrok. Wrzask się urwał. W pomieszczeniu zrobiło się spokojnie, zaległa cisza. Z trudem kilka razy przełknęłam ślinę, usiłując zwilżyć wysuszone usta. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to przecież ja sama wrzeszczałam, a każdy kolejny krzyk zdzierał mi gardło, aż ochrypłam. Uniosłam dłonie do klatki piersiowej. Przesunęłam palcami po koszulce. Nie była podarta, nie miała dziur od beltów kusz. Nie widziałam dobrze w tym przyćmionym świetle, ale zorientowałam się, że koszulka nie była moja, czy raczej - że nie był to sweter, który pożyczyłam od Shaya tej nocy, kiedy wszystko się zmieniło.

Przez głowę przelatywała mi płatanina obrazów. Pokryta śniegiem ziemia. Mroczny las. Łomot bębnow. Wycie wzywające mnie na Zaślubiny.

Zaślubiny. Krew w żyłach mi się ścięła. Uciekłam przed swoim przeznaczeniem.

Uciekłam od Rena. Na samą myśl o samcu alfa klanu Kary Nocy coś ścisnęło mi serce, ale kiedy schowałam twarz w dłoniach, w moich myślach pojawiła się kolejna postać. Klęczący chłopak, związany i z zasłoniętymi oczami, samotny w tym lesie.

Shay.

Słyszałam jego głos, czułam muśnięcie jego palców na policzkach, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Co wtedy zaszło? Zostawił mnie na tak długo w tym mroku... I nadal byłam sama. Ale gdzie? Oczywiście przyzwyczajały mi się do półmroku panującego w pomieszczeniu. Pochmurne niebo filtrowało promienie słońca wpadające przez wysokie okna z szybkami w ołowianych ramkach, zajmujące całą szerokość przeciwległej ściany. Światło miało różowawy odcień, a ja rozglądałam się po pokoju, szukając drogi ucieczki. Dostrzegłam wysokie dębowe drzwi po prawej stronie łóżka. Trzy, a może pięć metrów od miejsca, gdzie siedziałam.

Udało mi się uspokoić oddech, ale serce nadal mocno mi waliło.

Opuściłam stopy i ostrożnie przeniosłam ciężar ciała na nogi. Wstałam bez problemu, czując, jak napinają mi się wszystkie mięśnie.

Jeśli będę musiała, zdołam walczyć i zabijać.

Do moich uszu dobiegł stukot ciężkich butów. Ktoś nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Stał w nich mężczyzna, którego przedtem widziałam tylko raz. Miał gęste włosy, ciemnobrunatne, barwy kawy bez mleka, ostre rysy twarzy, zmarszczki i kilkudniowy siwawy zarost - facet nieco zaniedbany, ale mimo wszystko atrakcyjny.

Ostatni raz widziałam tę twarz, zanim zostałam ogłuszona głownią szabli.

Wysunęłam kły, a z mojego gardła wydobył się niski warkot.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale przemieniłam się w wilka, przywarłam do ziemi i warknęłam na niego. Obnażyłam kły.

Miałam dwie możliwości: rozedrzeć go na strzępy albo rzucić się do ucieczki. Zostały zaledwie sekundy na podjęcie decyzji.

Odchylił połę długiego skórzanego płaszcza i sięgnął do rękojeści zakrzywionej szabli.

A więc walka.

Mięśnie mi zadrżały, kiedy szykowałam się, by rzucić mu się do gardła.

- Czekaj. - Uniósł ręce, jakby chciał mnie uspokoić.

Zamarłam, zdumiona i zirytowana jego tupetem. Nie pozwoliłabym się ugłaskać tali łatwo. Kłapnęłam zębami i zaryzykowałam spojrzenie w stronę korytarza za jego plecami.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział, przesuając się tak, że znów stanął na linii mojego wzroku.

Odpowiedziałam mu warkotem.

A ty nie masz ochoty przekonać się, do czego jestem zdolna, kiedy się mnie przyprze do muru.

- Rozumiem odruch - ciągnął, krzyżując ramiona na piersi, wciąż nie wyjmując szabli z pochwy. - Może uda ci się mnie wyminąć. Ale na końcu korytarza jest stanowisko ochrony. I jeśli zdołasz przedrzeć się przez nich, co moim zdaniem jest możliwe, skoro jesteś samicą alfa, to przy każdym kolejnym wyjściu trafisz na jeszcze liczniejszą grupę straży. „Skoro jesteś samicą alfa”. A skąd on wie, kim jestem?

Nadal powarkując, cofnęłam się, zerkając na wysokie okna. Łatwo mogłabym je wybić. Bolałoby, ale jeśli nie spadłabym z dużej wysokości, przetrwałabym.

- Odpada - stwierdził, spoglądając na okna. Co jest z tym facetem? Czyta w myślach?

- To co najmniej piętnaście metrów i lita skała na dole. - Podszedł o krok. Ja znów się cofnęłam. - I nikt tu nie chce, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

Warkot zamarł mi w gardle. Ściszył głos i mówił powoli:

- Gdybyś zmieniła się z powrotem w człowieka, moglibyśmy porozmawiać.

Zazgrzytałam zębami, znów przywarłam do podłogi. Ale oboje wiedzieliśmy, że z minuty na minutę tracę pewność siebie.

- Jeśli będziesz próbowała uciekać - mówił dalej - trzeba cię będzie zabić.

Powiedział to tak spokojnie, że jego słowa dotarty do mnie dopiero po chwili.

Zaprotestowałam ostrym szczeknięciem, które przeszło w ochrypły śmiech, kiedy znów przybrałam ludzką postać.

- Myślałam, że nikt tu nie chce mojej krzywdy.

- Bo nie chcemy, Callo. Nazywam się Monroe. Podszedł o krok.

- Nie ruszaj się z miejsca - ostrzegłam i wyszczerzyłam kły. Nie podszedł bliżej.

- Jeszcze nie spróbowałeś mnie zabić - powiedziałam, nadal rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, czego mogłabym użyć jako broń. - Ale to nie znaczy, że mogę ci zaufać. Jeśli tkniesz to żelastwo u pasa, stracisz rękę.

Pytania kłębiły mi się w głowie, która zaczynała pulsować bólem. Bałam się, że znów zacznę się dusić. A przecież nie mogłam sobie pozwolić na okazanie słabości.

Głęboko w mojej pamięci odżyły jakieś wspomnienia, zawirowały i wywołały gęsią skórę na ramionach. Zadrzałam, widząc zmory kłębiące się wkoło mnie jak niewyraźne cienie, nad moją głową krzyczały sukuby. Krew ścięła mi się lodem w żyłach.

Monroe! Chłopak jest tutaj!

- Gdzie jest Shay?

Wykrztusiłam jego imię przez ściśnięte przerażeniem gardło i czekałam na odpowiedź Monroe'a.

Urywki przeszłości przemykały mi przez myśli, obrazy mieszały się i nie chciały zyskać ostrości. Walczyłam ze wspomnieniami, usiłując je pochwycić i zatrzymać w miejscu, żeby jakoś połapać się w tym, co zaszło, zorientować, jak się tu znalazłam. Pamiętałam bieg wąskimi korytarzami. Potem zrozumieliśmy, że zostaliśmy otoczeni i przedostaliśmy się do biblioteki Posiadłości Rowan. Wujek Shaya, Bosque Mar, rozgniewał mnie, podając w wątpliwość to, co się nam przytrafiło.

Palce Shaya ścisnęły moją dłoń tak mocno, że aż bolała.

- Powiedz mi, kim naprawdę jesteś.

- Jestem twoim wujem - odparł spokojnie Bosque, idąc w naszą stronę. - Rodziną z krwi i kości.

- Kim są Opiekunowie? - pytał dalej Shay.

- Innymi jak ja, którzy chcą cię tylko chronić. Pomóc ci. Shay, nie jesteś jak inne dzieci. Masz niewykorzystane zdolności, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Mogę ci pokazać, kim naprawdę jesteś.

Nauczyć cię używać mocy, które posiadasz.

- Skoro tak bardzo ci zależy na chronieniu Shaya, to dlaczego był ofiarą na moich zaślubinach? - Odepchnęłam Shaya za siebie, zasłaniając go przed Boskiem.

Bosque pokręcił głową.

- Kolejne tragiczne nieporozumienie. To był test, Callo, test twojej lojalności dla naszej szlachetnej sprawy. Sądziłem, że daliśmy ci najlepsze wykształcenie, ale może nie słyszałaś

o próbie Abrahama z jego synem Izaakiem? Czy poświęcenie tego, kogo kochasz, nie jest ostatecznym dowodem wiary? Czy ty naprawdę wierzyłaś, że chcemy, by Shay zginął z twoich rąk? Prosił cię, żebyś go chroniła.

Zaczęłam się trząść.

- Kłamiesz.

- Kłamię? - Bosque uśmiechnął się, i ten uśmiech wyglądał niemal dobrotliwie. - Po wszystkim, co przeszłaś, nie masz wiary w swoich panów? Nigdy byśmy cię nie zmusili, żebyś skrzywdziła Shaya. W ostatniej chwili na jego miejsce pojawiłaby się inna ofiara. Rozumiem, że taka próba może wydawać się zbyt surowa, że wymagaliśmy od ciebie i Reniera zbyt wiele. Może jesteście zbyt młodzi, żeby zdać taki egzamin. Zwinęłam dłonie w pięści, żeby Monroe nie dostrzegł, że drżą. Nadal słyszałam wrzaski sukubów i inkubów, syk chimer i szuranie stóp tych strasznych zasuszonych stworów, które wydostawały się z portretów na ścianach posiadłości Rowan.

- Gdzie on jest? - spytałam znowu, zgrzytając zębami. -Przysięgam, jak mi nie powiesz...

- Jest pod naszą opieką - odparł spokojnie Monroe. Znow ten półuśmieszek. Nie umiałam rozgryźć zdystansowanej, ale pewnej siebie postawy tego faceta.

Nie byłam też pewna, co w tym przypadku oznacza „opieka”. Wciąż obnażając kły, powoli obchodziłam celę, czekając, aż Monroe zrobi jakiś krok. Obserwowałam go, a obrazy przeszłości migotały mi przed oczami jak rozmyte akwarele.

Chłodny metal zaciśnięty na moich rękach. Trzask zamykających się zamków, a potem nagle ciężar przy nadgarstkach znika. Ciepło łagodnego dotyku, który rozciera moją lodowato zimną skórę.

- Czemu jeszcze się nie obudziła? - spytał Shay. - Obiecaliście, że nic jej się nie stanie.

- Nic jej nie będzie - zapewnił Monroe. - Bełty są zakłete, działają jak mocny środek uspokajający; trochę to potrwa, zanim jej minie.

Chciałam coś powiedzieć, poruszyć się, ale powieki tak bardzo mi ciążyły, mroczny sen znow wciągał mnie pod powierzchnię.

- Jak dojdziemy do porozumienia, zabiorę cię do niego -ciągnął Monroe.

- Porozumienia? - Miałam rację, że nie chciałam okazywać słabości. Jeśli miałam dobić targu z Poszukiwaczem, to tylko na własnych warunkach.

- Tak - potwierdził i podszedł o krok bliżej. Nie zaprotestowałam, a on zaczął się uśmiechać. Nie próbował mnie zwodzić, nie wyczuwałam zapachu lęku, ale uśmiech szybko znikł zastąpiony czymś innym. Bólem?

- Potrzebujemy cię, Callo.

Zmęczone myśli rozbrzmiały w mojej głowie głośniejszym brzęczeniem.

Otrząsnęłam się jak przed dokuczliwą chmurą

much. Musiałam sprawiać wrażenie pewnej siebie, a nie zbitej z tropu jego dziwnym zachowaniem.

- A kto to konkretnie są „my”? I do czego mnie potrzebujecie?

Gniew mi nie minął, ale skupiłam się na tym, żeby moje kły zachowały ostrość brzytwy. Nie chciałam, by Monroe nawet na chwilę zapomniał, z kim ma do czynienia. Nadal byłam alfą - musiałam o tym pamiętać, on też powinien. Tylko siła stanowiła teraz o mojej przewadze.

- Moi ludzie - odparł, niejasnym gestem wskazując wszystko to, co mogło się kryć za drzwiami. - Poszukiwacze.

- Jesteś ich przywódcą? - Zmarszczyłam brwi. Wydawał się silny, ale i znużony; jak ktoś, kto nigdy się nie wysypiał.

- Jestem jednym z przywódców - wyjaśnił. - Przewodzę drużynie Haldisa; przeprowadzamy operacje z naszej placówki w Denver.

„Porozmawiajmy o twoich przyjaciółach z Denver”. Gdzieś w głębi mojego umysłu Lumine, moja pani, uśmiechnęła się, a Poszukiwacz zawył.

Zaplotłam ramiona na piersi, żeby nie zdrzeć.

- Dobra.

- Ale nie tylko mój zespół potrzebuje twojej pomocy. - Nagle się odwrócił i zaczął przechadzać się tuż przy drzwiach. -Wszyscy jej potrzebujemy. Sytuacja się zmieniła i nie mamy już czasu do stracenia.

Mówiąc to, odgarnął dłońmi swoje ciemne włosy. Zastanawiałam się, czy nie skoczyć - jego uwaga była wyraźnie rozproszona - ale coś w jego zachowaniu mnie zafascynowało i nie wiedziałam już, czy naprawdę chcę uciekać.

- Możliwe, że jesteś naszą jedyną szansą. Nie wydaje mi się, żeby Potomek poradził sobie sam. Być może jesteś ostatnim elementem tego równania. Języczkiem u wagi.

- Języczkiem u wagi czego?

- Tej wojny. Możesz ją zakończyć.

Wojna. Od tego siowa zagotowała mi się krew. Ucieszyłam się; gorąco krążące w moich żyłach dodało mi siły. Zostałam wychowana po to, żeby w tej wojnie walczyć.

- Chcemy, żebyś się do nas przyłączyła, Callo. Ledwie go słyszałam.

Ogarniała mnie czerwona mgła -

przepełniły mnie myśli o przemocy, która pochłaniała tak znaczną część mojego życia. Wojna Czarowników.

Służyłam Opiekunom w ich potyczkach z Poszukiwaczami, odkąd mogłam zębami rozerwać mięso. Polowałam dla nich. Zabijałam dla nich. Skupiłam wzrok na Monroe'em. Zabijałam jego ludzi. Jakim cudem on chce, żebym do nich dołączyła?

Jakby wyczuwając moją nieufność, zamarł w bezruchu. Nic nie powiedział, ale założył dłonie za plecami i obserwował mnie, czekając, aż coś powiem.

Przełknęłam i spróbowałam przemówić pewnym głosem:

- Chcesz, żebym dla was walczyła.

- Nie tylko ty. - Czułam, że i on walczy o samokontrolę. Zdawało się, że bardzo by chciał pokonać dystans między nami i przesyłać mi swoje myśli. - Ale ty jesteś kluczem. Jesteś samicą alfa, przywódczynią. Tego właśnie potrzebujemy. Tego właśnie zawsze potrzebowaliśmy.

- Nie rozumiem. - Jego oczy, kiedy mówił, pałały tak jasno, że sama nie wiedziałam, czy się bać, czy poddać fascynacji.

- Strażnicy, Callo. Twój klan. Chcemy, żebyś ich do nas przyprowadziła. Żeby z nami walczyli.

Poczułam się tak, jakby podłoga pod moimi stopami się rozstąpiła, jakbym zaczęła spadać. Chciałam uwierzyć w jego słowa, bo czy nie było to dokładnie to, na co miałam nadzieję?

Sposób na wyzwolenie mojego klanu.

Tak. Tak było. Moje serce zabiło szybciej na myśl o powrocie do Vail, o znalezieniu członków własnej wspólnoty. O powrocie do Rena. Mogłam ich wszystkich wyprowadzić spod władzy Opiekunów. Zaproponować im coś innego. Coś lepszego.

- Nie wiem, czy to jest możliwe...

- Ależ tak! - Monroe przypadł do mnie, jakby chciał złapać mnie za rękę, w jego oczach pojawił się szalony błysk.

Ja odskoczyłam w tył, zmieniając się w wilka i kłapnęłam zębami w stronę jego palców.

- Przepraszam. - Cofnął rękę. - Tak wiele jeszcze nie wiem. Przemieniłam się z powrotem. Twarz miał poznaczoną głębokimi bruzdami.

Niespokojną, pełną skrywanych sekretów.

- Żadnych gwałtownych gestów, Monroe. - Podeszłam do niego małymi kroczkami, wyciągniętą ręką powstrzymując go przed kolejną próbą dotknięcia mnie. - Jestem zainteresowana, ale nie jestem przekonana, że sam wiesz, o co prosisz.

- Wiem. - Odwrócił wzrok, niemal krzywiąc się na dźwięk własnego głosu. - Proszę cię, żebyś zaryzykowała wszystko.

- I dlaczego miałabym to zrobić? - spytałam.

Już znałam odpowiedź. Wcześniej zaryzykowałam wszystko, żeby ratować Shaya. I zrobiłabym to znowu, bez chwili zastanowienia, gdybym dzięki temu mogła wrócić do swojego klanu. Uratować swoje wilki.

Cofnął się i wyciągniętą dłonią wskazał mi drogę przez otwarte drzwi.

- Dla wolności.

2

Drzwi prowadziły na szeroki, rześście oświetlony korytarz. Z trudem powstrzymałam głośne westchnienie. Ściany wyłożono błyszczącym marmurem, którego powierzchnia odbijała jasne pasma słonecznego światła wpadające przez okna. Gdzie jestem?

Uderzające piękno otoczenia rozproszyło moją uwagę i nie zauważyłam, że Monroe i ja nie jesteśmy w tym korytarzu sami.

- Głowy do góry. - Podskoczyłam na dźwięk gniewnego głosu.

Obróciłam się, z trudem zachowując ludzką postać i zje-żyłam się na myśl, że zostałam zaskoczona. O mało nie przemieniłam się w wilka, kiedy zobaczyłam mówiącego.

Ethan. Spotkałam go dwukrotnie i za każdym razem z nim walczyłam. Pierwszy raz w bibliotece, a potem w Rowan. Wyszczrzyłam zęby, żeby błysnąć kłami. Patrząc na niego, zasłoniłam pierś zwiniętą w pięść dłonią. Bełty z jego kuszy już raz omal mnie nie zabiły. Monroe mnie potem ogłuszył. Ethan się gapił. Nos nadal miał lekko skrzywiony po tym, jak Shay mu go złamał. Jednak defekt zamiast zepsuć jego szorstką urodę, tylko dodał mu niebezpiecznego wdzięku. Mięśnie mi się napięły, kiedy go obserwowałam. Wystarczył ledwie zauważalny ruch jego palców w stronę sztyletu w pochwie u pasa.

Zmieniłam się w trakcie skoku, a mój gniewny krzyk zakończył się wyciem. Porwana wściekłością runęłam na niego.

Głupia. Głupia. Głupia. Parę miłych słów Monroe'a i sama wpakowałam się w zasadzkę.

Palce Ethana zacisnęły się na futrze na mojej piersi. Odepchnął mnie, gdy kłapnęłam zębami o włos od jego gardła. Kłął zawzięcie, wijąc się pod mną. Wyrwałam mu się z rąk, ale zanim zdążyłam rozerwać odsłonięte ciało, ktoś inny dzielił mnie w grzbiet.

Wokół mojego tułowia owinęły się czyjeś ręce i nogi, przywarły mocno, nie chciały puścić. Warczałam i poszczekiwałam, szarpiąc łbem i próbując się wyrwać. Nie udało mi się wyraźnie go zobaczyć ani zatopić zębów w ramieniu, które przyciskało się do moich żeber. Niski męski okrzyk, a potem czyjś śmiech tylko mnie rozjuszyły. Podskakiwałam i kręciłam się wokół, rozpaczliwie usiłując go z siebie zrzucić.

To Ethan się śmiał. Poderwał się na nogi i obserwował moje wysiłki ze złośliwym grymasem zadowolenia.

- Trzymaj się, kowboju! Jeszcze tylko osiem sekund, Connor, i dostaniesz złoty medal - powiedział. - Już minęło pięć.

- Przestańcie! - Między mną a Ethanem pojawiła się wysoka sylwetka Monroe'a. - Callo, dałem ci słowo. Nie grozi ci tu niebezpieczeństwo. Connor, złaż z niej.

Szarpnęłam się całym ciałem, kiedy grzbiet zawibrował mi od śmiechu Connora.

- Ale Monroe, to prawie mój nowy rekord.

- Witajcie na Wilczym Rodeo. - Ethan ze śmiechu aż zgiął się wpół i oparł dłonie na kolanach.

- Powiedziałem, przestańcie. - W głosie Monroe'a nie było śladu rozbawienia.

Byłam tak zaskoczona, kiedy Connor się ze mnie zsunął, że z rozpędu jeszcze raz wierzgnęłam i omal nie upadłam.

- Prrr, śpiąca królowno. - Obróciłam się gwałtownie i zobaczyłam Connora, który szczyrzył do mnie zęby. Bez trudu go sobie przypomniałam; to ten drugi Poszukiwacz, który zaczął się na mnie i na Shaya w bibliotece. Był też w Rowan,

gdzie wziął Shaya na ręce - nieprzytomnego, w wilczej postaci - i uratował go przed atakiem zmór, sukubów i inkubów Bosque'a. Zadrżałam na wspomnienie tamtej hordy, ale też dlatego, że nadal niepokoiłam się losem Shaya.

W odróżnieniu od Ethana, którego spojrzenie mówiło mi wyraźnie, że zatopiłby nóż w moich trzewiach z taką samą chęcią, z jaką ja zatopiłabym kły w jego gardle, Connor z wyraźnym trudem opanowywał śmiech. Z tą miną wyglądał po chłopięcemu atrakcyjnie, a nawet całkiem niewinnie, ale ja aż za dobrze pamiętałam, jak biegle posługiwał się dwoma mieczami. Dwa miecze, czy raczej zakrzywione szable, takie same jak Monroe'a, miał teraz zawieszane u pasa. Warknęłam na niego, powoli cofając się przed wszystkimi trzema Poszukiwaczami.

- Nie jesteś rannym ptaszkiem, co? - Connor się uśmiechnął. - Wilczku, obiecuję, że załatwimy ci jakieś śniadanie. Tylko nie zjadaj Ethana, umowa stoi?

- Callo. - Monroe szedł w moją stronę i kręcił głową. - Nie jesteśmy twoimi wrogami. Proszę, daj nam szansę.

Spojrzałam w jego ciemne oczy, które patrzyły na mnie intensywnie i nieco lękliwie. Oderwałam wzrok od Monroe'a i zerknęłam na Ethana i Connora. Zajęli pozycje u boków Monroe'a, nieco za jego plecami, ale żaden nie wyciągnął broni. Sparaliżowały mnie sprzeczne odruchy.

Instykt krzyczał we mnie, że powinnam atakować, ale Poszukiwacze działali wyłącznie w defensywie. I na razie nie próbowali mnie zranić. Nadal niespokojna, zmieniłam się w człowieka.

- Tak mi się bardziej podoba, a wam? - mruknął Connor, z ukosa zerkając na Ethana, który tylko wymamrotał coś pod nosem.

- Co oni tutaj robią? - Wskazałam ręką obu facetów, ale zwracałam się do Monroe'a. - Mówiłeś, zdaje się, że będę z wami bezpieczna.

- Należą do mojego zespołu - odparł Monroe. - I będziesz z nimi blisko współpracować. Możesz im zaufać tak samo jak mnie.

Teraz na mnie przyszła kolej, by parsknąć śmiechem.

- Nie ma mowy. Ci dwaj próbowali mnie zabić, i to więcej niż raz.

- Teraz już żadnych więcej walk, jesteśmy w tej samej drużynie - wtrącił Connor. - Słowo skauta.

- Jakbyś kiedykolwiek widział jakiegoś skauta. - Uśmiech Ethana pojawił się i natychmiast znikł. - Poza tym, przecież właśnie chciała rozszarpać mi gardło!

- Ethan. - Monroe rzucił mu surowe spojrzenie.

Ale wrogość Ethana uspokoiła mnie bardziej niż obietnice Monroe'a czy docinki Connora; przynajmniej jego groźby brzmiały sensownie. Oni byli Poszukiwaczami, a ja Strażniczką. Co mielibyśmy sobie nawzajem do zaproponowania poza walką?

- Callo - odezwał się Monroe. - Nasze światy zmieniają się szybciej, niż możesz to sobie wyobrazić. Zapomnij o tym, co ci się wydaje, że o nas wiesz. Możemy sobie nawzajem pomóc. Wszyscy chcemy tego samego. Nie odpowiedziałam, zastanawiałam się, czego ja, jego zdaniem, chcę.

- Pójdiesz z nami? - zapytał. - Wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia? Oderwałam od niego oczy, spojrzałam w górę, a potem w oba końce lekko zakrzywionego korytarza. Nic nie wyglądało znajomo. Gdybym rzuciła się do ucieczki, nie wiedziałabym, dokąd biegnę. Gdybym poszła z Monroem, mogłabym przynajmniej rozejrzeć się za drogą do wolności.

- Dobrze - zgodziłam się.

- Fantastycznie! - Connor się roześmiał. - Koniec bijatyk! Znaczy, że teraz chyba zostaniemy przyjaciółmi od serca? Ale fajnie.

I znacząco zerknął w stronę mojej piersi.

- Ona jest wilczycą - rzucił ostro Ethan. - To chore.

- W tej chwili nie - odparł Connor, nie odrywając ode mnie wzroku i podchodząc kilka kroków bliżej. Kiedy znalazł się tuż obok, złowiłam zapach cedru, fiołków i kawy. Był znajomy, już kiedyś czułam go z bliska. Warknęłam i odskoczyłam, otrząsając się z nowej fali wspomnień, które zalały mój umysł. - Jesteś pewien, że ona jest alfą? - spytał Connor, przyciskając mnie mocniej do siebie, kiedy się poruszyłam. - Nie wygląda na taką twardzielkę.

- Masz wybiórczą pamięć, kretynie - sarknął Ethan. - Teraz jest uroczą blondynką, ale to nie znaczy, że wilczyca znikła.

- Ja tam jestem optymistą, stary. - Connor się roześmiał. - Trzeba żyć chwilą. A w tej chwili trzymam w ramionach śliczną dziewczynę.

- Przestańcie o niej gadać tak, jakby jej tu nie było! - krzyknął Shay.

- O rany, rozgniewałem Najwyższego - powiedział Connor. - Czy kiedyś doczekam się wybaczenia?

- Connor, nie przeginaj - napomniał Monroe. - Jesteśmy już prawie na miejscu spotkania.

- Przepraszam, chłopczyku. - Connor się uśmiechnął.

- Dość tego - warknął Shay i dobiegło mnie szuranie stóp.

- Spokojnie! - Sylwetka Ethana zasłoniła mi widok. - Chłopcze, nie mogę ci na to pozwolić.

- Wystarczy - uciął Monroe. - Tam jest portal. Przechodźcie, już.

Znów spróbowałam się poruszyć i mrużąc oczy, rozejrzałam się wokół.

Powietrze zdawało się iskrzyć; chłód zastąpiło ciepło. Ramiona Connora zacisnęły się wokół mnie mocniej, a ja znów straciłam przytomność.

Patrząc teraz na szelmowski uśmieszek Connora, przypominałam sobie, że już go wcześniej widziałam, nawet jeśli wspomnienie było niewyraźne. On też popatrzył na mnie

oczami, w których migotały psotne błyski. Zacisnęłam dłoń w pięść, zastanawiając się, czy więcej satysfakcji sprawi mi, jeśli walnę go w brzuch - czy trochę niżej. Jeśli chce uniknąć bójkę, to będzie musiał przy mnie trzymać język za zębami. Ale Monroe zareagował pierwszy.

- Connor, odpuść sobie. Calla może potrzebować czasu, zanim oswoi się z nami na tyle, żeby można ją było narażać na twoje poczucie humoru.

- Tak jest, sir! - Connor wyprężył się na baczność, ale nadal się śmiał.

Zaczynałam się w tym wszystkim gubić. Ethan mruknął coś, nadal spoglądając na mnie czujnie, ale nie wykonał żadnego ruchu.

Najwyraźniej nie dążyli do walki. Za każdym razem, kiedy spotykałam tych facetów, próbowałam ich pozabijać, a teraz nie umiałam połapać się w ich dziwnych, swobodnych docinkach. Kim byli ci ludzie?

- Anika czeka na nas w Taktycznym - stwierdził Monroe, bezskutecznie maskując własny wybuch śmiechu chrząknięciem. Odwrócił się i ruszył korytarzem. - Chodźmy.

Żeby za nim nadążyć, musiałam prawie biec truchtem. Nadal czułam się niepewnie, mając za plecami Connora i Ethana. Sporo siły woli kosztowało mnie, żeby się nie oglądać przez ramię, choćby po to, by ostrzegawczo wyszczerzyć zęby.

Im dalej szliśmy, tym bardziej byłam dezorientowana. Korytarz stale się zakrzywiał; minęliśmy wiele drzwi, ale żadnych ostrych zakrętów czy odnóg. Nie miałam pojęcia, co to za miejsce, ale na pewno zbudowano je na planie koła. Całe zalane było słonecznym światłem, z każdą chwilą coraz jaśniejszym, w miarę jak ranek dojrzewał. Musiałam mrużyć oczy dla ochrony przed migoczącym światłem. Nawet ściany migotały.

Drobne żyłki różnokolorowych kryształów płynęły po marmurowych ścianach i posadzkach strumieniami barw, które oświetlone promieniami słońca napępniały powietrze niesamowitą tęczą. Hipnotyzujące świetlne wzory przykuwały

moją uwagę, więc kiedy Monroe raptownie przystanął, o mały włos na niego nie wpadłam.

Doszliśmy do miejsca, gdzie łukowaty korytarz docierał do szerokiej, otwartej komnaty, z której kolejne przejścia rozchodziły się na prawo i lewo. Korytarz po lewej, prowadzący chyba do samego centrum budynku, nie był zwyczajny: szklane drzwi otwierały się na mostek z marmuru. Podążyłam spojrzeniem wzdłuż rzeźbionego w marmurze przejścia i aż mi dech zaparło. Mury się urywały i ukazywały ogromny dziedziniec w dole. Do ziemi było może piętnaście, może dwadzieścia metrów.

Wygląda na to, że Monroe nie kłamał, kiedy opowiadał o oknach. Dziedziniec pełen był... szklarni i ogródków? Wyglądało to jak ogrody, ale nie rosły w nich żadne rośliny. Ale z drugiej strony, była już przecież prawie zima. Tylko czy rzeczywiście? Od jak dawna właściwie tu jestem? Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że inaczej niż na korytarzu, nad dziedzińcem rozciągało się otwarte niebo. Po drugiej stronie przeszklonych drzwi malutkie płatki śniegu leniwie spadały na nagą ziemię.

Czyjaś ręka dotknęła mojego ramienia i drgnęłam.

- Najpierw interesy. - Monroe uśmiechnął się do mnie. -Zwiedzanie obiecałem ci później.

- Jasne - odparłam, ruszając za nim korytarzem po prawej. Policzki oblał mi rumieniec i miałam nadzieję, że nie wyglądałam jak idiotka, gdy tak pożeram wzrokiem wnętrza.

Nowy korytarz był znacznie szerszy niż ten, którym tu doszliśmy, i w przeciwieństwie do tamtego, biegł prosto. Po obu stronach były drzwi, a kolejne dwa solidne skrzydła znajdowały się dokładnie przed nami.

Kiedy do nich dotarliśmy, aż westchnęłam. Na wysokich, pokrytych płaskorzeźbami ścianach, po każdej stronie, był alchemiczny symbol ziemi -ten sam trójkąt, który oznaczał Haldisa w *Wojnie wszystkich przeciwko wszystkim*.

- Odrobiła pracę domową - zauważył Connor. - Silas będzie zachwycony.

Monroe i Ethan zignorowali go, a ja zagryzłam wargę, przypominając sobie o tym, że powinnam ukrywać swoje reakcje. Wszystkie te myśli uleciały mi jednak z głowy, kiedy Monroe pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Weszliśmy do wielkiego pomieszczenia, na środku którego stał olbrzymi stół. Był okrągły i masywny, jak wyjęty żywcem z legend o Królu Arturze. Ściany zastawione były książkami - starymi i oprawnymi w skórę, jak te, które przeszukiwaliśmy w Rowan. Podobieństwo było wystarczające, żebym poczuła irytację.

Kątem oka dostrzegłam dwie osoby. Stały w pobliżu regałów i rozmawiały przyciszonymi głosami, przeglądając tytuły wytłoczone na grzbietach książek. A jedna z tych osób była mi znajoma. I ukochana. Shay przechylał głowę na bok, słuchając stojącej obok dziewczyny. Była chyba w moim wieku i miała duże, przejrzyste brązowe oczy, na wpół przesłonięte kasztanowatymi włosami, które wymykały się z obfitego wężła spiętego na karku metalową zapinką. Ta dziewczyna była pierwszym spotkanym przeze mnie Poszukiwaczem nieuzbrojonym po zęby, chociaż tak samo jak inni nosiła strój bojowy - mocno znoszone skórzane spodnie, buty na solidnych podszwach i dopasowaną tunikę z surowego lnu. Strój taki sam jak ten, który i ja teraz miałam na sobie. Nisko na jej biodrach wisiał szeroki pas, za który zatknęła dwa dziwne, wąskie metalowe szpikulce. Nie miałam pojęcia, do czego służą. Długie na ponad pół metra błyszczące srebrne trzpienie, ostro zwięzające się u końców. W jednej dłoni trzymała plik złożonych papierów i postukiwała nimi rytmicznie o udo.

Zjeżyłam się, kiedy zobaczyłam, że drugą dłoń kładzie na ramieniu Shaya. Ukąszenie zazdrości zaskoczyło mnie, a jej zęby zatopiły się głęboko. Nie chciałam, żeby dotykała go jakaś dziewczyna. Był mój.

Shay uniósł głowę, jakby dosłyszał moje myśli. Jednak kiedy się obejrzał, zdałam sobie sprawę, że po prostu rozpoznał mój zapach. Na myśl o tym skóra mnie załaskotała i rzuciłam się w jego stronę biegiem.

Ciemnowłosej dziewczynie posłałam groźne spojrzenie, kiedy wepchnęłam się pomiędzy nich.

- Calla! - wykrzyknął Shay, wyciągając do mnie ręce. -Wszystko z tobą dobrze?

Serce biło mi tak szybko, że ledwie mogłam złapać oddech. Tak się bałam, że już więcej go nie zobaczę. Że żadne z nas z tamtej próby nie wyjdzie żywe.

Już miałam kiwnąć głową, ale nogi pode mną się ugięły. Na szczęście Shay był blisko, objął mnie ramionami w talii i podtrzymał. Przywarłam do niego, wiedząc, że teraz jest tak samo silny jak ja. Mogłam uściskać go z całej siły bez obawy, że zrobię mu krzywdę. Shay otulił mnie ciasno ramionami i przygarnął do siebie mocniej. Jedną dłonią ujął tył mojej głowy i przycisnął ją do swojej piersi. Ustami musnął moje czoło na linii włosów.

Shay. Shay. Wzięłam głęboki oddech. Jego zapach, ten aromat wiosny, ciepły i pełen nadziei niczym samo słońce, napełnił powietrze, zalał mnie całą.

Zatapiając palce w jego włosach, przyciągnęłam jego twarz do swojej.

Wyczułam jego zdumienie, słodkie i jasne, kiedy go pocałowałam.

Słodycz zamieniła się w ciepło, a potem w ukrop, kiedy ustami przesunął po moim policzku.

- Calla - szepnął, zębami lekko przygryzając płatek mojego ucha - wilczy gest, po którym sama równie czule musnęłam ustami jego kark. Mój. Jest mój. - Nie mogłem znieść tej rozłąki - powiedział, odsuwając się, żeby znów na mnie spojrzeć. - Boże, jak dobrze cię widzieć.

Connor zagwizdał, a zaciekawione oczy dziewczyny błysnęły szelmowsko. Mimo ulgi, jaką odczułam przy Shayu, w myślach przeklełam tę chwilę nieuwagi. Powinnam była

uważać. To nie prywatne spotkanie. Obserwowano każdy nasz krok. Bardzo tęskniłam za Shayem; od chwili, kiedy go zobaczyłam, czułam bolesną potrzebę, by go dotknąć, ale Poszukiwacze nie musieli o tym wiedzieć. Opanowałam swoje ciało i wysunęłam się z objęć Shaya.

- Nic mi nie jest, Shay - zapewniłam, ignorując przykre uczucie, które pojawiło się natychmiast, kiedy wypuścił mnie z ramion. - W sumie. Może jestem trochę oszołomiona.

- Po to właśnie tu jesteśmy - powiedział Monroe, zbliżając się do nas. - Shay, mam nadzieję, że dobrze się czujesz.

- Teraz już mi lepiej. - Nie odrywał spojrzenia ode mnie. Aż podkuliłam palce u nóg, kiedy mimo mojego oporu znów mnie otoczył ramionami.

- Cieszę się też, że Calla doszła już do siebie - dodał Monroe. - Byłoby straszne, gdybyśmy ją stracili.

Wyrwał mi się ochrypły, szczekliwy śmiech.

- Stracili? Zdaje się, że pamiętam, jak on do mnie strzelał. - Ethan nawet nie drgnął, kiedy rzuciłam w jego stronę oskarżycielskie spojrzenie.

Potem popatrzyłam znów na Monroe. - A ty mnie ogłuszyłeś.

Pokiwał głową, rzucając mi przeproszający uśmiech.

- Musieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej o tym, kim jesteś, zanim przekonaliśmy się, że możesz zostać naszą sojuszniczką.

Spojrzałam podejrzliwie.

- No i zrobiliśmy, co tylko było w naszej mocy, żeby ci zapewnić szybki powrót do zdrowia.

Tym razem to Shay parsknął śmiechem.

- Tak..., jakbym miał powody ufać waszym uzdrowicielom. Okręciłam się w jego ramionach, żeby na niego spojrzeć.

- Uzdrowicielom?

Wspomnienia z czasu dzielącego bitwę w Rowan od przebudzenia tutaj miałam w najlepszym razie bezładne, a w najgorszym przerażające. Było oczywiste, że w jakiś sposób

zostałam uzdrowiona, ale zupełnie nie pamiętałam procesu leczenia moich ran.

- Nie wiem, co ci zrobili. - Rzucił gniewne spojrzenie Monroe'owi, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Bełty sprawiły, że długi czas nie odzyskiwałam przytomności - wyjaśnił Monroe. - Tak właśnie zostały zaprojektowane. Nasi uzdrowiciele zadbali, żeby jej krew została oczyszczona z toksyn. Żadne nawracające problemy nie powinny się pojawić.

Zawylałam, z trudem idąc w jego stronę. Każdy krok był agonią. Bełty wciąż sterczały z mojej piersi. Krew zalewała mi płuca, topiła mnie powoli.

Kiedy do niego dotarłam, zmieniłam postać, zanurzyłam dłonie w jego sierści i potrząsnęłam jego ramionami.

- Shay! Shay! - Przywarłam do niego, czując, jak opuszczają mnie siły.

- Zakłęte bełty. Mam nadzieję, że masz przyjemną jazdę na tamtą stronę - szorstki jak żwir głos Ethana kazał mi spojrzeć w bok. Znow celował do mnie z kuszy. - To ty go przemieniłaś?

Płuca mi płonęły, wzrok się zamazywał. Kiwnęłam głową i osunęłam się na podłogę obok Shaya.

Znow szybkim gestem uniosłam dłonie do piersi. Aż ścisnęło mnie za serce na samo wspomnienie, na samą myśl o tych bełtach przeszywających ciało. Nie odzyskiwałam przytomności?

- Ile czasu? - szepnęłam.

- Co? - Shay położył dłoń na mojej, zacisnął palce na moich palcach.

- Ile czasu byłam nieprzytomna? - spytałam. - Ile czasu, odkąd opuściliśmy Vail?

- Mniej więcej tydzień - powiedział.

Tydzień. W sumie tydzień to nie tak bardzo długo. Jednak kiedy zastanowiłam się, co mogło się stać z moim klanem

w ciągu tego tygodnia; co mogło ich spotkać w czasie choćby paru godzin po odkryciu mojej ucieczki z miejsca Zaślubin, czas ten wydawał się wiecznością.

No i Ren. Co oni mu zrobili? Nakłamał, żebyśmy mogli uciec ścigającemu nas klanowi Kary Nocy, i nie sposób, żeby Opiekunowie w końcu nie odkryli zdrady.

Zadrżałam, a Shay przytulił mnie mocniej, ale w myślach byłam w objęciach kogoś innego.

Głos Rena zdawał się dochodzić gdzieś zza moich pleców.

- Nie wiem, jak ci uwierzyć. Jak uwierzyć w to, co mówisz. Czy jest cokolwiek innego? To nasze życie. Jesteśmy Strażnikami.

- To nie usprawiedliwia Opiekunów. Wiesz, że nie opuściłabym klanu, gdybym nie musiała - powiedziałam cicho. - Gdyby to nie był jedyny sposób, żeby im pomóc.

Patrzył mi w oczy, spięty i niepewny.

- Nie mamy wiele czasu - dodałam. - Jakim cudem wysforowałeś się przed innymi?

Spojrzał w kierunku, z którego przybiegliśmy.

- Było zamieszanie, kiedy znaleźli ciało Flynn, ale ja złapałem twój trop i ruszyłem. Reszta jeszcze formowała oddział. Klan mojego ojca. Starsi Kary Nocy.

- Co zaszło w Vail? - Musiałam odsunąć się od Shaya, żeby jakoś się pozbierać.

Nikt mi nie odpowiedział, a ja poczułam wewnętrzny chłód podobny do tego, jaki mnie ogarnął w noc naszej ucieczki.

Teraz nie mogłam pozwolić sobie na to, żeby ogarniał mnie strach przed czymś, co mogło, chociaż wcale nie musiało, zdarzyć się wilkom z mojej watahy. Niezlomna siła i stalowe nerwy były najlepszym - nie, moim jedynym - sposobem, żeby im pomóc.

- A tamta walka? Jak nas znaleźliście? Zabiliście Bo-sque'a Mara?

Connor się roześmiał.

- Zabić Bosque'a Mara? Nikt tej istoty nie jest w stanie zabić.
- Istoty? - Shay uniósł brwi. - Jako to, istoty?
- Nikt, do tej pory, nie jest w stanie zabić Bosque'a Mara. - Monroe spojrzął na Shaya, zanim odezwał się do mnie: - Nadal próbujemy ustalić, co właściwie zdarzyło się w Vail.
- Czy wy w ogóle coś wiecie na pewno?
- Uważaj, co mówisz, wilczku - wtrącił Ethan, poprawiając przewieszoną przez ramię kuszę. - Gdyby nie my, tobyś się wykrwawiła w tej bibliotece.
- Przecież to przez was w tej bibliotece krwawiłam! - Rzuciłam się przed siebie, zachowując ludzką postać. Złapałam Ethana za poły kurtki i obaliłam go z hukiem na blat stołu. Pochyliłam się nad nim, żeby dobrze przyjrzał się moim kłom. - Nigdy mi nie mów, żebym uważała na własne słowa, bo nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia.
- Calla! - Monroe znalazł się przy mnie i odciągnął mnie od Ethana. - Proszę cię, to nie jest potrzebne.
- Ethan podskoczył.
- Co u licha? Monroe, lepiej trzymaj krótko tę swoją sukę. Uśmiechnęłam się złośliwie.
- A ty lepiej się naucz nie nazywać mnie suką. Dziewczyna, która była w tej sali razem z Shayem, kiedy tu przyszliśmy, zaczęła się śmiać.
- Niezłe.
- A idź do diabła, Ariadne. - Ethan nadal gotował się ze złości.
- Maniery... - Ariadne zacmokała językiem.
- Potrzebujemy Calli - powiedział Monroe, zupełnie niewzruszony gniewnym spojrzeniem Ethana. - To nie podlega dyskusji.
- To po pierwsze, a poza tym ona ma rację - dodał Connor, spoglądając na mnie czujnie, ale z pełnym podziwu uśmiechem. - Faktycznie nafaszerowałaś ją paroma bełtami.

- To jakiś absurd - zaprotestował Ethan. - Najpierw negocjujecie z dzieciakiem, a teraz z wilczycą. Stać nas na coś więcej.

- Ten dzieciak to Potomek. - Monroe popatrzył na Ethana stanowczo. - A wilczyca alfa może stać się kluczem do zwycięstwa w tej wojnie. Ethan parsknął.

- Potomek jeszcze nic dla nas nie zrobił i nie ma mowy, żeby to wilki wygrały tę wojnę. To nasza walka, a one są po przeciwnej stronie.

- Jestem pewien, że wszystko zmieni się teraz, kiedy Calla do nas dołączyła. - Monroe uniósł brew, spoglądając na Shaya z nadzieją. Shay wcisnął ręce w kieszenie.

- Taa, pewnie tak.

- Shay, to za mało. - Po twarzy Monroe'a przemknęło zniecierpliwienie.

- O co mu chodzi? - spytałam.

Shay na krótką chwilę przestał piorunować wzrokiem Monroe'a, żeby rzucić okiem na mnie.

- Nie chciałem im powiedzieć nic na temat Vail ani tego, co znaleźliśmy w bibliotece, dopóki nie będziesz tutaj. Cała i zdrowa.

- Och. - Jakoś udało mi się nie zarumienić, ale poczułam w głębi uderzenie gorąca.

Ethan zacisnął dłonie w pięści i zaczął chodzić w tę i z powrotem obok Monroe'a.

- Nic mnie nie obchodzi, czy on jest Potomkiem. W naszym świecie jest właściwie bezradnym dzieciątkiem. Musi słuchać poleceń, a nie stawiać warunki.

- Mogę w każdej chwili odejść, jak chcesz - warknął Shay. - Skoro nadużywam gościnności.

- Tam są drzwi. - Ethan wskazał je gestem.

- Dość tego! Ethan, od tej chwili ma być spokój - powiedział Monroe. - Jasne?

Ethan popatrzył na niego w milczeniu, a wreszcie obrócił się i odszedł w przeciwległy kąt sali.

- No dobrze - wtrąciła Ariadne. - Skoro nie bardzo możemy rozmawiać o Vail, póki nie przyjdzie Anika, może powinniśmy najpierw się przedstawić.

Szybkim ruchem wystąpiła naprzód, uśmiechając się tak, jakby wśród zebranych nie panowało żadne napięcie. Monroe spojrział na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Przedstawić?

- Jasne - odparła. - Chyba już zapomniałeś, że to mój wielki debiut.

Wszyscy tutaj tak się przejmują Shayem, że nikt nie zwraca na to uwagi. Ale dostałam rozkaz zgłosić się do ciebie, Monroe. - Przycisnęła do piersi plik papierów. - Mam nadzieję, że się cieszysz, że skończyłam szkolenie w Akademii. Jestem gotowa objąć swoje stanowisko w drużynie Haldisa. Westchnął, odbierając od niej dokumenty.

- Tak, Ariadne. Gratuluję ci zdanych egzaminów. Jesteśmy dumni, że możemy przyjąć cię na pokład.

Rzuciła mu krzywy uśmiech.

- Od teraz mów mi po prostu Adne - mruknęła. - To imię jest zwyczajnie za długie.

- Jak chcesz. Przeszłaś szkolenie w zaskakującym tempie i otrzymałaś najwyższe noty od swoich nauczycieli - zauważył Monroe. - Sama możesz wyznaczać sobie zadania.

- Wiem - powiedziała, mrużąc oczy.

- Nie musisz pracować z Haldisem.

- Wiem. - Zaciśnęła zęby. - Tak zdecydowałam, jasne? Jesteś teraz na mnie skazany.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi - zaczął Monroe, ale urwał i tylko pokręcił głową.

- Daj spokój.

Odsunęła z oczu ciemną grzywkę i spojrzała na Connora ze szczerym uśmiechem.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? Ile już jesteś na tej placówce, trzy miesiące?

- Bliżej sześciu - odparł. - I widzę, że zupełnie o mnie zapomniałaś. Widziałem, jak podrywałaś Potomka, kiedy tu weszliśmy. Niezła z ciebie kokietka, co?

- Nie podrywałam - zaprzeczyła, ale mnie się wydało, że na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec, kiedy z ukosa zerknęła na Shaya. - Doskonale wiesz, gdzie byłam i dlaczego musiałam się tam znaleźć - dodała. - Wcale cię nie porzuciłam.

Wbiłam paznokcie w dłonie, a Shay spojrział na mnie z miną pełną poczucia winy. Kim była ta dziewczyna?

- Facet wyczuwa, kiedy dostaje kopa. - Connor przycisnął pięść do serca.

- Tak o sobie ostatnio myślisz? - spytała z cierpkim uśmiechem. - Że jesteś twardym facetem? A mnie się wydawało, że raczej z ciebie zgrywus... A może pozer.

- Nie ma mowy - zaprzeczył Connor. - Obawiam się, że zostaniemy jednak przy facecie. Chciałabyś obejrzeć dowody?

- Ariadnę, będę ci wdzięczny, jeśli odmówisz. - Monroe się skrzywił, ale widziałam, że skrywa uśmiech pod maską udawanej irytacji.

Skrywany uśmiech znikł, kiedy wypaliła:

- Nie jestem taka głupia, żeby cię pytać, czy za mną tęskniłeś.

- No cóż, naprawdę się cieszę, że cię znów widzę - zapewnił szybko Connor, a Monroe znów się skrzywił, stając pomiędzy nimi dwojgiem. Connor pochylił się i cmoknął dziewczynę w policzek. - Tess i Isaaca nigdy nie ma. Ethan to taka maruda, że nie ma z nim żadnej frajdy. I nawet w połowie nie jest taki ładny jak ty.

Znów spojrzałam na tę nową dziewczynę. Była ładna... zbyt ładna. Czy flirtowała z Shayem, kiedy byłam nieprzytomna?

- On tylko żartuje - powiedziała, zerkając na Shaya i odwracając się plecami do Connora.

- Nie, nie żartuję - zapewnił Connor. - Bez obrazy, Ethan.

- Złamałeś mi serce - rzucił beznamiętnie Ethan.

Ariadnę spojrzała na mnie i uśmiechnęła się cierpko.

- A więc ty jesteś tą dziewczyną-wilkiem? Shay ciągle o tobie gada.

Uśmiechnęłam się do niej. Nawet jeśli wcześniej flirtowała z Shayem, jego myśli nadal były przy mnie. Dobrze. Tego właśnie chciałam.

- To jest Ariadnę - wtrącił Shay. - Pokazywała mi, co jak tu działa.

- Mów mi Adne - dodała dziewczyna.

- Ja mam na imię Calla - przedstawiłam się i wyprostowałam, wykorzystując przewagę dwóch centymetrów wzrostu, którą nad nią miałam. Nawet jeśli Shay nie był zainteresowany, i tak chciałam, żeby wiedziała, jak się sprawy między nami mają.

Jej oczy zabłysły rozbawieniem.

- Tak słyszałam. Strażniczka imieniem Calla... Jak kwiat. Ładnie.

Nie mogłam powstrzymać jęku, który zrodził się w moim gardle.

- Tak. Jak kwiat. - Przecież dokładnie tego porównania chciałam uniknąć.

- Super - mruknęła, a na jej ustach pojawił się ślad uśmiechu. - No cóż, miło cię poznać, Lilio. A przynajmniej, jeśli naprawdę jesteś po naszej stronie.

3

Lilio.

Prawie słyszałam śmiech Rena. *Przestaniesz tak do mnie mówić? Nigdy.* Patrzyłam na nią i bałam się, że kolana się pode mną ugną.

- Dlaczego tak mnie nazwałaś?

Przytłaczał mnie impuls, by się przemienić. Zdawało mi się, że ściany pokoju zacieśniają się wokół mnie.

Uciekaj, Callo. Uciekaj do swojego klanu. To nie miejsce dla ciebie.

Shay musiał wyczuć mój niepokój, bo złapał mnie za ramiona i zmusił, żebym na niego spojrzała.

- Calla? Hej, weź głęboki oddech. Ona nie powiedziała tego złośliwie. - Zdałam sobie sprawę, że złość na Ariadnę prowokuje mnie, żeby zmienić postać. Ale to nie był wielki problem.

- Tak..., on ma rację. Przepraszam, jeśli cię wkurzyłam. - Wzruszyła ramionami, a jej oczy zabłyśły jeszcze jaśniej, jakby wręcz chciała, żebym ją zaatakowała. - Tak mi po prostu wpadło do głowy. Pasuje i brzmi zabawnie.

Prawie jej nie słyszałam przez szum we własnych uszach. Zupełnie jakby coś mnie wciągnęło z powrotem w ten sen. Nie, nie sen, koszmar.

Wyzwalający uczucia, które udawało mi się schować głęboko w sobie, kiedy byłam sama. Teraz wyrywały się na powierzchnię, zalewały mi serce.

Jej rozbawienie stopniowo zniknęło.

- Co się stało?

Pokręciłam głową, niezdolna wyrzucić słowa, marząc, żeby ziemia rozstała się pod moimi stopami i mnie pochłonęła. Słyszałam, jak Ren szepcze mi to przezwisko do ucha. Czy naprawdę Shay i ja mogliśmy cieszyć się ponownym spotkaniem tylko przez pięć minut, zanim ktoś musiał przypomnieć mi o tej jedynej osobie, która mogła nas rozdzielić? Shay odpowiedział jej przez zaciśnięte zęby:

- Tylko to, że ktoś kiedyś już tak ją nazywał.

Ktoś. Teraz już nie tylko słyszałam żartobliwy szept Rena, ale widziałam jego twarz i wspominałam, jak przyciągnął mnie do siebie tej nocy, kiedy uciekłam z Vail. Z tej ceremonii, podczas której powinnam była zostać jego partnerką. Pocałował mnie i błagał, żebym została. Gdzie był teraz? Skłamał, żeby umożliwić nam ucieczkę. Nie chciałam myśleć o cenie, jaką za to kłamstwo zapłacił.

Vail. Dom. Serce tłukło mi się w piersi, oddychałam z trudem. Dlaczego ja tu jestem? Wbiłam paznokcie w dłonie, walcząc ze sobą, żeby nie rzucić się na Poszukiwaczy i nie zaatakować ich, bo gdzieś głęboko wilczyca wyrwała się do walki, rozpaczliwie tęskniąc za swoim klanem. Adne oderwała wzrok od zaciśniętej szczęki Shaya i spojrzała na mnie uważnie.

- Ach - powiedziała cicho, nie próbując nawet ukryć uśmiechu, który pojawił się na jej ustach. - A więc chodzi o kogoś innego.

Zapadła niezręczna cisza. Wreszcie Connor strzelił palcami i spojrzał znacząco na Monroe'a.

- A więc przerwa w pilnowaniu więziennej celi? - spytał. - Nie żeby mi to nie odpowiadało, zwłaszcza jako odmiana po śmiertelnych potyczkach, na jakie zwykle nas posyłasz.

- Czy ty się kiedyś wreszcie przymkniesz? - rzucił ostro Shay. Poczucie winy zalało mi kark rumieńcem. Wiedziałam, że zły humor Shaya ma znacznie większy związek ze mną niż

z wygłupami Connora. Nawet jeśli te jego żarty naprawdę zaczynały się robić irytujące.

- Gdzie twoje maniery? - odezwał się Connor. - Skoro jesteś Wybranym, powinieneś dbać o wizerunek. Szkoda, że nie uczą tutaj etykiety. No wiesz, który widelec jest do sałatki. Kaligrafia. Eleganckie metody eliminowania przeciwników.

Przez chwilę myślałam, że Shay uderzy Connora.

- Connor, wystarczy. - W spokojnym głosie Monroe'a czaiła się jakaś twarda nuta. - Poczekajmy spokojnie, aż przyjdzie Anika.

- Już przyszła. - Do środka zamaszystym krokiem weszła kobieta. Ubrana była tak samo jak pozostali Poszukiwacze, ale na jej szyi wisiał żelazny medalion w kształcie róży wiatrów. Jej włosy, upięte na głowie w koronę z warkoczy, miały odcień wąsów kukurydzy.

Towarzyszyła jej druga kobieta, której wygląd kojarzył się z jednym tylko słowem: wojownicza. Kruczoczarne włosy przystrzyżone miała krótko przy skórze, a jej szyję o barwie karmelu otaczał skomplikowany, przypominający koronkę tatuaż. Przy pasie wokół talii miała mnóstwo noży, których jasne rękojeści chwytaly promienie słońca i wzbudzały od-błyski ostre jak śmiertelne ostrzeżenie.

- Lydia! - Connor skoczył przez salę i porwał wytatuowaną wojowniczkę w niedźwiedzi uścisk.

- Też się cieszę, że cię widzę, Connor. - Śmiech miała niski i gardłowy. - Jak tam Tess?

- Ciagle kłóci się z Isaakiem. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - I tęskni za tobą, oczywiście.

Odwzajemniła uśmiech.

- Jak wszystko dobrze się ułoży, za parę godzin ją zobaczę. Connor położył dłonie na jej ramionach.

- Dziś wieczorem mało będzie czasu na świętowanie.

- Zadowolę się tym, co będzie.

Ethan podszedł do tej dwójki. Złapał Lydię za łokieć i obrócił w swoją stronę.

- Wystroiłaś się.

Lydia i Ethan uścisnęli sobie nawzajem przedramiona w geście, jak mi się wydawało, jakiegoś rytualnego powitania.

- Słyszałam, że mamy niezwykłych gości - powiedziała, rozglądając się po sali. Zatrzymała wzrok na mnie i skinęła głową. Z trudem się powstrzymałam, żeby nie cofnąć się ze zdumienia. Ten gest wyraźnie oznaczał... szacunek. Dwa pytania goniły się nawzajem w moich myślach: kim ja jestem zdaniem tych ludzi? I czego oni ode mnie chcą?

Lydia sztywno skinęła głową Monroe'owi.

- Możemy ruszać?

Monroe popatrzył na nią, a potem na mnie.

- Jeszcze niezupełnie.

Blondynka o surowej twarzy uśmiechnęła się do nich obojga.

- W porządku. To znaczy, że nie będziemy musieli się wycofywać.

Wyciągnęła do mnie rękę.

- Callo, to zaszczyt cię poznać. Jestem Anika.

- Miło mi. - Ujęłam wyciągniętą dłoń, nie dziwiąc się sile jej uścisku.

Wszystko w tej kobiecie, od głębokiego kontraltu po królewską urodę, zdradzało autorytet. - Chociaż z tym zaszczytem nie jestem pewna.

Roześmiała się.

- Ocaliłaś Potomka, a to znaczy, że być może ocaliłaś nas wszystkich.

- Nawet mi jeszcze nie powiedzieliście, co to znaczy, że jestem Potomkiem. - Shay podszedł bliżej i stanął obok mnie. - Adne cackała się ze mną jak z dzieckiem, odkąd tu trafiliśmy.

- Nie jestem żadną niańką do dzieci - zaprotestowała Adne. - I nawet nie musiałam ani razu dać ci klapsa. A szkoda.

Shay otworzył szerzej oczy. Spojrzał na mnie, kręcąc głową, ale to mnie nie uspokoiło. Krew się we mnie zagotowała.

- Adne! - Monroe rzucił jej ostre spojrzenie.

Na wpół spodziewałam się, że Connor przybije jej piątkę za posłużenie się tekstem z jego zwykłego repertuaru, ale wydawało się, że stropił się jeszcze bardziej niż Monroe. Zerknęłam na szczupłą sylwetkę dziewczyny i zaczęłam sobie obliczać w myślach, ile czasu zajęłoby mi wyrwanie jej rąk ze stawów barkowych. Zdecydowanie poniżej dziesięciu sekund. Może nawet mniej niż pięć.

- Wyluzujcie - mruknęła, ale potem zerknęła niespokojnie na Anikę. - Przepraszam, Aniko.

- Przeprosiny przyjęte. - Na ustach Aniki przez moment drgał uśmiech, zupełnie ją odmieniając. - Shay, to potrwa, zanim uświadomimy ci, kim jesteś. Rozumiem, że oczekiwanie jest denerwujące, i za to cię przepraszam. Ale twój udział może jeszcze poczekać. Bardziej palącym pytaniem jest, jaka rola tym wszystkim przypadnie Calli.

- Moja rola? - spytałam. Udało mi się oderwać wzrok od Adne. Spodziewałam się, że będzie dalej dokuczać Shayowi, ale ona tylko obserwowała Connora ze złośliwym uśmiechem.

- Jestem Strzałą - wyjaśniła Anika. - Więc w tej chwili to ja wydaję tutaj rozkazy.

- Hm? - Nachmurzyłam się.

Dotknęła żelaznej róży wiatrów, która wisiała u jej szyi, a potem wskazała ręką Monroe'a. - Strzała kieruje Przewodnikami wszystkich drużyn. Poznałaś już Przewodnika drużyny Haldisa.

- Co to jest drużyna Haldisa? - spytałam, myśląc o symbolu ziemi na drzwiach.

- Wszystko ci wyjaśnimy w odpowiednim czasie - odparła. - Obiecuję. Ale w tej chwili naszej uwagi domaga się inna pierwszorzędna sprawa. Potrzebujemy twojej pomocy, jeśli się zgodzisz.

- Co miałabym zrobić? - W moim głosie znów pojawiło się niedowierzanie. Ile razy mnie prosili, żebym im zaufała,

ja wciąż spodziewałam się, że Poszukiwacze zastawią na mnie pułapkę. Uśmiechnęła się, ale to był uśmiech pozbawiony radości.

- Chcemy, żebyś wróciła do Vail.

Miałam nadzieję, że udało mi się zachować obojętną minę. Wrócić do Vail. Przecież dokładnie tego chciałam, prawda? Więc dlaczego miałam wrażenie, jakby ciało zamieniało mi się w kamień?

- Chyba żartujesz. - Shay wystąpił naprzód, na wpół zasłaniając mnie przed przenikliwym wzrokiem Aniki. - Oni ją zabijają, jak tylko się tam pojawi.

Rzuciłam Shayowi ostre spojrzenie. Nie mylił się, ale ja przecież urodziłam się do walki. Mój pierwszy szok po słowach Aniki już mijał, a kły wyostrzały mi się w ustach. Jestem alfą, Shay, nie wilczym szczeniakiem. Lepiej o tym nie zapominaj.

- Nie miałyby wracać do swojego życia - powiedziała Anika. - Teraz, kiedy tu jesteś, ty, Potomek, wojna rozpęta się i nie ucichnie.

Opiekunowie zaatakują nas wszystkimi siłami, jakimi dysponują.

Musimy zyskać przewagę.

- Ale jak wysłanie jej do Vail da wam przewagę? - spytał Shay.

- Chcemy czegoś spróbować. - Monroe położył dłoń na ramieniu Shaya, zmusił go, żeby się cofnął. - Czegoś, co zadziało kiedyś, w przeszłości. Sojuszu.

Sojusz. Pogrom. Pierwszy bunt Strażników. Wszystko zaczynało układać się w całość.

- Och - westchnęłam, czując jednocześnie przyływ nadziei i strach czający się tuż pod skórą. Wojna. Poszukiwacze wyruszają na wojnę, a ja jestem ich pierwszym pociskiem. Wyprostowałam ramiona na samą myśl o walce, byłam silna i gotowa.

- Zaraz, chwilę. - Shay strząsnął dłoń Monroe'a z ramienia. - Chcecie sojuszu ze Strażnikami?

- W przeszłości tak już było i sojusz zrobił ogromną różnicę, jeśli chodzi o nasze możliwości stawiania oporu Opiekunom.

Shay pokręcił głową.

- Coś innego czytałem. Wiecie o Pogromie. Macie szczęście, że Strażnicy nie wyginęli.

Przestań próbować mnie chronić. Zignorował mój ostrzegawczy warkot i nadal nie odrywał wzroku od Monroe'a.

- Pogrom zakończył się fatalnie - powiedział Monroe. -Ale przez jakiś czas sojusz był udany. Tym razem mógłby stanowić różnicę między porażką a zwycięstwem.

- No i dysponujemy jeszcze jednym drobiazgiem, który w czasach Pogromu nie istniał - dodała Anika.

- To znaczy jakim? - spytał Shay.

- Tobą - odparła.

Teraz to Shay powiedział tylko:

- Och.

Obserwowałam go, zastanawiając się, czy dowiedział się czegoś więcej o swojej własnej roli w tajemnicy, którą odkryliśmy w Vail. Anika określiła jego znaczenie jako decydujące - stanowił różnicę między powodami, dla których Pogrom skończył się klęską, a tymi, które zdaniem Poszukiwaczy dawały im przewagę w obecnej wojnie. Biorąc pod uwagę, ile dotychczas kosztowało mnie ratowanie Shaya, miałam nadzieję, że ona się nie myli.

- Dlaczego? - syknął Ren. - Co w nim jest takiego, że ryzykujesz dla niego życie?

- Jest Potomkiem - szepnęłam. - Może on jeden zdoła nas uratować. Nas wszystkich. Pomyśl, jak by to było, gdyby nasze życie należało wyłącznie do nas? Gdybyśmy nie służyli Opiekunom?

Pamiętałam, że te słowa padły z moich ust, ale pozostawało jeszcze jedno pytanie. To, którego nie śmiałam wypowiedzieć przy Renie. Nie wtedy, kiedy moje życie i życie Shaya spoczywały na szali.

A gdybym mogła sama wybrać swoje własne przeznaczenie?

Zadrżałam pod wpływem wspomnienia. Kochałam Shaya. Od pierwszej chwili, kiedy mnie dotknął, obudził we mnie coś, czego sama nie byłam wcześniej świadoma. Nasze sekrety, kradzione chwile, niedozwolone pocałunki, wszystko, co nawzajem dla siebie ryzykowaliśmy - doprowadziły mnie do decyzji, która mnie tu przywiodła.

Zawróciłam z drogi mojego własnego przeznaczenia, bo nie mogłam pozwolić mu umrzeć. Ale to nie był jedyny powód, dla którego uciekłam z Vail. Świat, jaki znałam, rozpadał się wkoło mnie. Alfa ochrania swój klan. Przewodzi mu. Ja swój porzuciłam, ale tylko dlatego, że uwierzyłam, że to jedyny sposób, by go uratować.

Korzystając z chwili wahania Shaya, chwyciłam okazję, żeby w tej walce zaznaczyć swoje prawa. Mimo obaw przed Poszukiwaczami potrzebowałam ich pomocy. To może być moja szansa, by wydostać resztę klanu spod władzy Opiekunów.

- Dobrze - powiedziałam. - Zrobię to.

- Calla - zaczął Shay.

- Nie. - Uciszyłam go ostrym spojrzeniem i błyskiem zębów. - Oni mają rację. Chcę sojuszu. Chciałby go mój klan.

- Dobrze - zgodziła się Anika.

Zdawało mi się, że Ethan coś mruknął, wracając do kąta, w którym się dąsał, zanim przyszły Lydia i Anika.

- Zanim zrobimy coś więcej, przydałoby nam się trochę logistycznych informacji - stwierdził Monroe.

- Powiem ci, co wiem - odparłam. - Ale nie jestem pewna, czy to się na wiele przyda przy planowaniu ataku.

- Wszystko nam się przyda. Dobrze.

- Ale nie odbiegajmy zbyt daleko od tematu. Zeszłej jesieni straciliśmy dwóch Poszukiwaczy. Wiesz, co się z nimi stało?

Niedobrze. Udało mi się nie skrzywić. To mi raczej nie pomoże w zawarciu tego nowego sojuszu.

- Wiem.

Jeszcze jedno pytanie, a potem, jeśli odpowiem zgodnie z prawdą, chyba mnie zabiją.

- Callo, czekaj. - Shay podszedł do mnie bliżej, w jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta. Byłam pewna, że doszedł do tego samego ponurego wniosku, co ja.

Pokręciłam głową.

- Jeśli chcą sojuszu, muszą wiedzieć, z kim go zawierają. -A jeśli zechcą się zemścić, niech i tak będzie. Rozejrzałam się po sali. Drzwi były zamknięte. Solidne, ale nie dość mocne, żeby wytrzymać, jeśli Strażniczka rzuci się na nie w pełnym pędzie. Poradzę sobie, gdybym musiała uciekać.

- Ale... - Shay zacisnął palce wokół mojego nadgarstka. Zignorowałam go.

- Obaj nie żyją.

Adne wbiła wzrok w podłogę. Anika i Lydia westchnęły, a Connor podrapał się po świeżym zaroście na szczęce.

- To nie jest nowa informacja, Monroe.

- Wiedzieliśmy o Kyle'u - powiedział Monroe cicho. -Był wśród Upadłych. Ale potrzebowaliśmy potwierdzenia, co do Stuarta. Nikt nie zostaje uznany za poległego bez relacji z pierwszej ręki, że zginął.

Włoski uniosły mi się na karku.

- Z pierwszej ręki?

- Tak - powiedziała Anika. - Tego wymaga nasz protokół. Zastanowiłam się, co by zrobili, gdyby dowiedzieli się, że o śmierci drugiego Poszukiwacza faktycznie wiem z pierwszej ręki.

- Czekajcie. - Shay zmarszczył brwi. - Kim są ci Upadli? Trafiłem na to określenie w *Wojnie wszystkich przeciwko wszystkim*. Chodzi o stwory, które wydostały się z tych strasznych portretów mojego wuja?

Zupełnie tego nie chciałam, ale aż zadygotałam, kiedy Shay wspomniał istoty, które ściagały nas po przepastnych

korytarzach Rowan. To ich powłóczenie nogami, ich jęki... Ta pustka w ich oczach.

- Tak, ale nie mamy czasu teraz się w to zagłębiać. - Monroe spojrział na niego surowo, a potem zwrócił się do mnie. -Co do Stuarta, jeśli cokolwiek wiesz...

Pokiwałam głową i próbowałam nie zwracać uwagi na to, że brak mi tchu.

- Co się stało z naszymi agentami, Callo? - spytała Anika. - Musimy wiedzieć, w jaki sposób zostali pojmani. Nasze źródła w Vail nie mają żadnych informacji.

- Źródła? - Nachmurzyłam się.

Wyraz twarzy Monroe'a sprawił, że pożałowałam pytania, kiedy tylko padło.

- Po prostu odpowiedz.

W oczach Shaya błysnęła lekka obawa.

- Naprawdę myślę, że trzeba to wszystko umieścić w odpowiednim kontekście.

Wyrwałam rękę z jego uścisku, gotowa rzucić się do ucieczki albo do walki.

- Shay, przecież oni już znają kontekst. Jestem Strażniczką. Wiedzą, co to oznacza.

- Ach, do diabła - mruknął Connor. Wymienili z Lydią spojrzenia i oboje zaczęli powolutku przesuwac się w stronę Ethana, który patrzył na mnie z nagle sztucznie niewinną miną.

Adne spojrziała ostro na Connora.

- Co jest?

Pokręcił głową, żeby ją uciszyć i nie odrywał spojrzenia ode mnie.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Byłam z Shayem przed klubem Efrona Bane'a, kiedy wasi ludzie nas zaatakowali.

- Mów dalej. - Monroe zacisnął szczęki.

- Moim zadaniem było chronić Shaya. Zabiłam jednego z napastników na miejscu.

- Stuarda - szepnęła Lydia. Ona i Connor stali teraz po obu stronach Ethana jak dwójka wartowników.

- Skończyliśmy już gadać? - Głos Ethana był cichy.

- Nie trać głowy - powiedziała Anika. - Liczy się wygrana w wojnie. A na wojnie zdarzają się ofiary.

- To przez takich jak ona giną - rzucił Ethan.

- Popatrz na nią, Ethan. To tylko dziewczyna - stwierdził Monroe. - Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy. Strażnicy nie są tym, czym się wydają. Ona może nam pomóc przeciągnąć ich na naszą stronę. Łagodność w jego głosie mnie zaskoczyła. Nie bardzo podobało mi się określanie mnie jako „po prostu dziewczyny”, ale w sumie cieszyłam się, że Monroe'owi nie chodzi o zemstę. Niestety, nie wszyscy w tej sali podzielali jego nastawienie.

Twarz Ethana wykrzywiła się gniewem. A ułamek sekundy później jego kusza sfrunęła z ramienia i została wycelowana we mnie.

- Spokój, Ethan! - krzyknęła Anika. Connor wyrwał broń z jego ręki.

- Może powinieneś wyjść.

- Nie wydaje mi się - odparł Ethan, nawet na niego nie patrząc. - Co się stało z Kyle'em?

- Pojawili się inni Strażnicy - odezwałem się, patrząc, jak Shay wysuwa się przede mnie, prawie zasłaniając mi Ethana. - Powiedzieli, że Opiekunowie chcą go dostać żywego.

Ethan pokiwał głową, żyły na jego szyi nabrzmiały.

- I?

- Zabrali go do Efrona Bane'a na przesłuchanie. - Musiałam zamknąć oczy, bo nagle dopadły mnie straszne obrazy tamtej nocy: jak Efron ślinił się do mnie, jak cała skóra pokryła mi się gęsią skórą od jego dotyku. Obrzydliwe wrażenia ustąpiły, zastąpione rosnącym gniewem. A niechby spróbował jeszcze raz... Tym razem nie zgodzę się na to bez protestu.

- Byłaś tam?

- Tak. - Czułam się tak, jakbym znów była w tamtym gabinecie i słuchała krzyków Poszukiwacza, podczas gdy Ren ścisnął mnie za rękę.

Zadrżałam.

- To ty go przesłuchiwałaś? - Wydawał się spokojny. Zbyt spokojny.

- Nie.

- Więc kto?

- Ethan, dosyć już tego - przerwał mu Monroe. - Wiesz, co spotkało Kyle'a. Widzieliśmy go w Rowan. To już koniec, zostaw tę sprawę.

Ethan spiorunował go wzrokiem.

- Mam prawo wiedzieć, co się stało z moim bratem! Bratem? Nienawistne spojrzenie Ethana, te ciągle ponure

miny - wszystko zaczęło nabierać sensu. Poczulałam ukłucie współczucia w piersi. Odchrząknęłam, bo nagle, na wspomnienie twarzy Ansela, coś mnie ścisnęło w gardle.

- Przykro mi, że straciłeś brata. Ja też mam brata, gdyby cokolwiek mu się stało... - Co się dzieje z moim bratem? I z Bryn, która jest mi bliższa niż siostra?

Zwrócił na mnie dzikie spojrzenie.

- A więc powiedz mi...

- Zmory - wyjaśniłam szybko. - Zawsze używają zmór do przesłuchiwania więźniów.

- Zmory? - Jego głos był teraz zduszony. - Oddali go zmorom?

Na moment przymknął oczy, a potem przesunął dłoń w stronę pasa.

Zobaczyłam błysk stali, kiedy wyciągał sztylet zza paska. Moje ciało zeszywniało, gotowe w każdej chwili się przemienić.

- A ty tam byłaś - syknął. - Został Upadłym, a ty tam byłaś. Ty bezduszna suko, mogłaś do tego nie dopuścić!

Kiedy otworzył oczy, płonęły wściekłością podsycaną żalem. Postąpił o krok w moją stronę, sztylet trzymał nisko. Miałam już na niego skoczyć, kiedy pomiędzy nami stanął

Monroe. W tej samej chwili na posadzkę opadł na cztery łapy Shay - złotobrzowy wilk, w obronnym geście przysiadający do skoku tuż przede mną. Obnażył ostre kły i warknął na Ethana.

Uśmiech Ethana zniknął. Chłopak zbladł jeszcze bardziej.

- I jeszcze do tego zmieniłaś Potomka w potwora. Własnoręcznie obedrę cię ze skóry, a potem zrobię sobie z niej płaszcz.

Shay zamarł, uszy kładąc płasko, a Ethan rzucił się naprzód.

- Nie!-krzyknęła Anika.

Monroe szybkim ruchem złapał Ethana w pasie.

- Lydia, Connor, wyprowadźcie go stąd! - zawołał, powstrzymując szaleńczo wyrywającego się mężczyznę. - Zajmiemy się tym później.

Z ust Ethana poleciały kropelki śliny i ciąg przekleństw. Dwójka Poszukiwaczy rzuciła się na pomoc swojemu przywódcy. Z pewnym trudem wyprowadzili wrzeszczącego, szlochającego Ethana. Kiedy znikli nam z oczu, nadal słyszałam jego pełne bólu krzyki.

Monroe pokręcił głową, jego twarz zmieniła się boleśnie. Zerknął na Shaya, który nadal przywierał do ziemi, nie spuszczać drzwi z oka.

- Czy mogę cię prosić? - westchnął Monroe.

- Shay, przemień się z powrotem - mruknęłam. - Już. -I za moment znów stał obok nas chłopak, chociaż jego oczy pozostały czujne.

- Jeśli ktoś ją skrzywdzi, pożałuje tego - powiedział Shay do Monroe'a.

- Nic złego jej nie spotka.

Ich rozmowa, prowadzona, jakby mnie tam nie było, wprawiała mnie w niepokój. Mogłam zrozumieć, a nawet docenić pragnienie Shaya, żeby mnie chronić, ale przecież byłam wojowniczką. Nie potrzebowałam ochrony. Czułam podskórną niechęć.

- Taki przypadek już się nie powtórzy - oznajmił Monroe. - Zapewniam cię.

- Przykro mi z powodu tego, co zaszło. - Nie chciałam już dłużej milczeć, gdy dyskutowano o moim losie. - Chociaż wiem, że to pewnie dla was nic nie znaczy. - Popatrzyłam na zamknięte drzwi, za które wyprowadzono Ethana. - Ani dla niego.

- Jeśli mówisz szczerze, to owszem, znaczy - powiedział Monroe, spoglądając na moją zmartwioną twarz zamyślonymi oczami. - Trochę to potrwa, zanim ci zaufa. O ile w ogóle zaufa.

- To się nie uda. - Shay zaczął chodzić z kąta w kąt, dłonie zwijając w pięści. - Jak mamy coś osiągnąć, jeśli jeden z was ciągle będzie próbował ją zabić?

Miał trochę racji. Raczej nie groziło mi, żebym wkrótce miała jakoś pomóc swojemu klanowi, jeśli będę musiała ciągle martwić się, że jakiś żądny zemsty Poszukiwacz wbije mi sztylet w plecy.

- Ethan jest może złamany bólem i wściekły, ale nadal słucha moich rozkazów - zapewniła Anika. - Nikt nie skrzywdzi Calli, póki jest pod moją protekcją.

Okręciłam się na pięcie i spojrzałam na nią, unosząc brew.

- Pod twoją protekcją?

Może Shay miał rację. Ten sojusz nigdy się nie uda. Alfy nie potrzebują ochrony. Poszukiwacze nie rozumieli ani mnie, ani mojego świata. Ale czy sama zdołałabym uratować Anse-la, Bryn i pozostałych?

Anika rzuciła mi kwaśny uśmiech.

- Obawiam się, że taki już twój los, Strażniczko. A przynajmniej dopóki nie zdołasz przekonać pozostałych o swojej lojalności.

- Lojalna jestem wobec swojego klanu - odparłam odruchowo, a potem się skrzywiłam. Klanu, który zostawiłam i uciekłam. Pomyślałam o szaleńczym ataku żalu Ethana, zastanawiając się, jak bym zareagowała, gdybyśmy zamieni-

li się rolami? Czy w moim sercu zostałoby miejsce na przebaczenie? Może i nie zabiłam Kyle'a własnymi rękoma, ale zginął dlatego, że wywiązałam się ze swoich obowiązków. Nie mogłam winić Ethana, że swój gniew koncentrował na mnie.

Nie mam innego wyboru, ten sojusz musi zostać zawiązany.

Shay ujął moje dłonie w swoją. Ciepło jego dotyku oderwało mnie od mrocznych rozmyślań. Spojrzałam mu w oczy i przypomniałam sobie, dlaczego byłam gotowa opuścić Vail. Wcześniejsze pretensje wyparowały i splotłam z nim palce, a kciukiem pogłaskałam jego nadgarstek. Uśmiechnął się i puls mi przyspieszył.

- Pomożemy im, Cal - odezwał się cicho. - Wrócimy i tak właśnie zrobimy. Pomożemy Anselowi, całemu klanowi.

Pokiwałam głową, ale uśmiech, którym chciałam mu odpowiedzieć, się nie pojawił. Zmarszczki wokół oczu Mon-roe'a pogłębiły się, kiedy spojrzał na nasze splecione dłonie. Nieśmiałym gestem wysunęłam rękę z uścisku Shaya, zastanawiając się, czy wszyscy Poszukiwacze z trudem znoszą myśl, że ich Potomek mógłby pokochać Strażniczkę. Coś mnie ścisnęło w piersi, kiedy przez myśli przemknęło mi głęboko niepokojące pytanie. A jeśli tak, czy to by zmieniło uczucia Potomka wobec mnie?

- Wszyscy mamy taką nadzieję - powiedziała Anika. - Ale musimy wiedzieć choć trochę więcej, zanim wykonamy następny ruch. Jak długo planowałeś bunt przeciwko Opiekunom?

Jak długo planowałam co?

- Hm... ja... - Słowa uwieźły mi w gardle. Niczego nie planowałam.

Wszystkie decyzje, jakie podjęłam, wynikały z chęci ratowania Shaya.

Wybory podejmowane w mgnieniu oka. Przecież to był kompletny chaos.

- Zmuszali ją, żeby kogoś poślubiła - wtrącił Shay, każde słowo znacząc niechęcią. - Mając siedemnaście lat... Wyobrażacie sobie?

Monroe pokiwał głową i już otwierał usta, żeby odpowiedzieć. Ale ja poczułam się tak, jakby ktoś wymierzył mi cios w brzuch. Dlaczego wszystko wiecznie musi wracać do mnie i do Rena? Czy Shay nie zdaje sobie sprawy, na jakie poświęcenie zdobył się Ren, pozwalając mi uciec?

- To nie tak... - Ugryzłam się w język, bo dotarło do mnie, że nie mam ochoty omawiać swoich prywatnych spraw publicznie.

- Wiem, że to nie wszystko - powiedział Shay. Kiedy mówił, zobaczyłam błysk jego ostrych siekaczy. - Ale to ważne. Ta ceremonia, ten przymus bycia z nim, to było szaleństwo.

- Jak możesz mówić o nim w taki sposób? - wypaliłam. - Ren próbował nam pomóc. Skłamał dla nas i Opiekunowie się o tym dowiedzą. Mogą go zabić!

Nie, gorzej. I to właśnie kryjąca się pod tymi słowami straszna prawda napędzała mój gniew. Opuściłam wzrok i odezwałam się w stronę posadzki:

- Oni go zabijają.

Nie próbowałam ukrywać żalu, kiedy znów spojrzałam na Shaya. Nie mrugałam powiekami, chociaż oczy miałam pełne łez.

Twarz Shaya zbladła, żyły na jego szyi nabrzmiały, ale to Monroe zareagował na dźwięk imienia Rena.

- Ren? - Jego oczy się powiększyły. Widziałam, że walczy sam ze sobą, żeby mówić obojętnym tonem. - Masz na myśli Reniera Laroche'a?

- Wiesz, kim jest? - spytałam, zaskoczona. Monroe odwrócił twarz.

- Wiem, że ktoś taki istnieje - powiedział szorstko. Anika uważnie go obserwowała.

- Ciekawy rozwój sytuacji. To może być bardzo ważne, nie sądzisz? Monroe nie spojrzał jej w oczy, ale pokiwał głową.

- Opowiedz nam więcej o tej ceremonii - poprosiła Anika. - To nam pomoże dokładniej zrozumieć, w co się wpakujemy w Vail.

- Calla i Ren mieli tej wiosny stworzyć nowy klan - zaczął Shay, wciąż spoglądając na mnie gniewnie. - Kolejną grupę Strażników, którzy strzegliby Jaskini Haldisa. - Zacisnął zęby. - To jeden z tych związków aranżowanych przez Opiekunów.

Odwzajemniłam się równie gniewnym spojrzeniem, ale ugryzłam się w język. Czy nie uciekłam przed Zaślubinami, zostawiając za sobą Rena i ryzykując wszystko, żeby tylko pomóc Shayowi uciec? Co jeszcze musiałam mu udowodnić?

- Ta praktyka jest nam znana. - Monroe spojrział mi w oczy. - Uciekałaś przed nim?

- Nie, nie przed nim - zaprzeczyłam. Shay zacisnął dłonie w pięści i chociaż było to z mojej strony małostkowe, odczułam nieco satysfakcji. - Opiekunowie zamierzali nas zmusić, byśmy zabili Shaya podczas rytuału Zaślubin. Znalazłam go w lesie, związanego. Musiałam uciec, żeby go ratować.

Shay już na mnie nie patrzył, a przypływ zadowolenia z siebie zamienił się w poczucie winy. Jeszcze gorzej się poczułam, kiedy Adne wzięła go za rękę i nachyliła się, żeby coś do niego szepnąć. Super, teraz ja wychodzę na zdradziecką sukę, a ona zostaje najlepszą przyjaciółką. Niezła robota, Calla.

- Ofiara - powiedział Monroe. - Wiedzieliśmy, że to się stanie w Samhain, ale nie wiedzieliśmy gdzie. Wydawało nam się, że Potomek przebywa w posiadłości Rowan.

- Na nasze szczęście - odparłam, wzdrygając się na myśl, co mogło się stać, gdyby Poszukiwacze się tam nie pojawili tamtej nocy.

- Strażnicy was śledzili? - spytał Monroe. Pokiwałam głową.

- Wysłali za nami klan Kary Nocy.

- Cały? - Anika zmarszczyła brwi. - Jak udało wam się ich uniknąć?

Shay westchnął, jakby musiał uznać jakaś ważną rację.

- Ren pomógł nam uciec. Dogonił nas w lesie i pozwolił odejść. Resztę klanu naprowadził na fałszywy trop.

- Pomógł wam? - Monroe poszukał mojego spojrzenia; ciemny błysk jego oczu wydawał się całkowicie nieprzenikniony.

- Tak - odpowiedziałam najcichszym szeptem. Z trudem łapałam oddech. Każda chwila wspomnień o tamtej nocy stawała się kamieniem ciężącym mi na piersi. Gromadziły się tam, jeden po drugim, prawie mnie dusząc. Adne nadal nam się przyglądała.

- Dobrze wiedzieć - powiedział Monroe.

- Owszem. - Na ustach Aniki pojawił się nagły uśmiech i równie szybko znikł. - To bardzo dobrze wróży naszym planom.

W drzwiach stanął Connor.

- Coś mnie ominęło? - Obrzucił wzrokiem złączone dłonie Shaya i Adne, a potem się skrzywił. - Niech zgadnę, Potomek ci się oświadczył.

- Ona zna Reniera Laroche'a - oznajmiła Adne, na jego kwaśną minę odpowiadając szerokim uśmiechem i nie puszczać ręki Shaya. - Oboje go znają.

Shay skrzywił się i wysunął dłoń z jej uścisku, zerkając na mnie z ukosa. Uśmiechnęłam się do niego, a jego mina złagodniała.

Connor zagwizdał, a jego irytacja zmieniła się w zdziwienie.

- Ciekawe, nie?

Wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Skąd wszyscy Poszukiwacze wiedzą o Renie?

- Na razie ta sprawa nas nie interesuje - uciął krótko Monroe. - Gdzie jest teraz Ethan?

- Wysłałem go do pracowni Żniwiarzy - wyjaśnił Connor. - Ta jednostka jest chyba wystarczająco daleko.

- Dopiero co zszedł z patrolu. - Monroe zmarszczył brwi. - Nie powinien iść na kolejny przed nocą.

Connor wzruszył ramionami.

- Lydia uznała, że to dobry pomysł. Ethan potrzebuje czegoś, czym zajmie myśli. A poza tym wiesz, że jest naszym najlepszym snajperem.

Monroe wydał cichy pomruk na potwierdzenie i spojrzał na Shaya z powagą.

- Rozumiem, dlaczego byłeś gotów zaatakować Ethana, ale najlepiej będzie, jeśli postarasz się nie przemieniać w wilka, póki jesteś wśród nas, chyba że w terenie, na polu walki. Jest tu wkoło aż za wiele palców, które kusi cyngiel. Należą przecież do żołnierzy, których szkoli się, że do Strażników najpierw się strzela, a dopiero potem ewentualnie zadaje pytania.

- Postaram się o tym pamiętać - mruknął Shay.

- Dziękuję - odparła Anika. - Callo, przed twoją ucieczką, czy ktoś z twojego klanu wyrażał kiedyś niezadowolenie z własnego losu? Skoro Ren gotów był ponieść dla ciebie takie ryzyko, można by wnioskować, że i inni będą skłonni iść nam z pomocą... pod twoim przywództwem, oczywiście.

Czy rzeczywiście? Pomyślałam o Masonie i Nevie. O Sabine. Życie pod rozkazami Opiekunów było dla nich trudne. Powinna ucieszyć ich możliwość ucieczki, prawda?

No i Ansel. Chciał wolności wyboru, żeby być z Bryn. Ale to nie była jedyna rzecz, która mnie przekonała, że mój brat dołączyłby do nas bez chwili zastanowienia.

„Ja bym nigdy nie zdradził Opiekunów. Chyba że ty byś mnie o to prosiła... alfo”.

I to nie tylko Ansel. Zachowując moje pierwsze spotkanie z Shayem w sekrecie, Bryn też zaryzykowała własne bezpieczeństwo. Była tak samo lojalna jak mój brat.

- Tak - potwierdziłam. - Oni do nas dołączą.

- A twoi rodzice? - zapytała. - Byłoby o wiele lepiej, gdyby starsi z klanu Cienia Nocy przeszli na naszą stronę.

- Być może... - Serce zatłukło mi się w piersi, pozbawiając mnie tchu.

Ojciec i matka byli alfami, moimi alfami. Zawsze poddawałam się ich woli. Co oni by sobie pomyśleli, gdyby ich własna córka próbowała nimi dowodzić? Strażnicy nie reagowali dobrze na łamanie hierarchii.

- A co z klanem Kary Nocy? - zagadnął Shay. - Nie chcecie przeciągnąć wszystkich wilków?

- Niektórych z młodych klanu Kary Nocy, owszem - odpowiedział Monroe. - Ale starsi do nas nie dołączają.

- Skąd wiesz? - spytał Shay.

- Mamy pewne zaszłości z tymi klanem - odparła lekkim tonem Anika. - Emil Laroche nigdy nie zgodziłby się na sojusz z nami.

Zaszłości.

- Chcesz powiedzieć, że nie dołączają do was dlatego, że ci z klanu Kary Nocy, którzy byli skłonni do buntu, już nie żyją - sprostowałam. - Zginęli, kiedy ostatnim razem próbowaliście nawiązać sojusz. Kiedy zabito matkę Rena.

Monroe głośno zaczerpnął tchu.

- Skąd o tym wiesz?

- Znaleźliśmy rejestry Opiekunów na temat klanów Strażników - powiedział Shay. - Wiemy o tym, że Corinne Laroche została zlikwidowana za planowanie buntu wspólnie z Poszukiwaczami.

- Ale mnie na jej temat powiedziano tylko to, że wpadła w zasadzkę Poszukiwaczy w osiedlu klanu Kary Nocy, kiedy Ren miał zaledwie roczek - dodałam. - Do tej nocy, kiedy zaatakowaliście Rowan, tylko my znaleźliśmy inną wersję prawdy.

Poszukiwacze zamilkli, a ich twarze pobladły, kiedy wymieniali między sobą zatroskane spojrzenia.

- Nic dziwnego, że Strażnicy służą tak wiernie - mruknęła Anika. -

Opiekunowie zamieszali wam w głowach opowiadając kłamstwa o tym, jak wasze życie zostało zniszczone.

Zadrżały mi ramiona, dreszcz przeszedł po plecach.

- W to właśnie wierzył Ren, ale tej nocy, kiedy uciekliśmy, powiedziałam mu prawdę.

Wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy.

- Powiedziałaś mu? - syknął Shay. - Nic mi o tym nie wspomniałaś!

- Właśnie dlatego puścił nas wolno - westchnęłam, ale nie mogłam spojrzeć mu w oczy. Bo to była tylko część prawdy. Drugi powód zachowałam dla siebie. Znów wspomniałam rozpacz na twarzy Rena. Jego pocałunek. To, w jaki sposób się w tę całą sprawę wplątał. Poszukiwacze też nie mówili nam wszystkiego.

Monroe nagle zawrócił na pięcie i szybko ruszył do wyjścia.

- Przepraszam wszystkich.

- Monroe! - zawołała Anika, ale on już był za drzwiami.

- Pójdę po niego - powiedział Connor. Adne kręciła głową.

- Wiecznie to samo.

Co tu się przed chwilą stało? Zerknęłam na Shaya, ale był chyba tak samo zdezorientowany jak ja.

- Może nie powinien brać udziału w tej misji - powiedziała Anika.

- Myślisz, że on w ogóle dopuści, żeby odbyła się bez niego? - Adne się roześmiała, ale to był gorzki śmiech. - Całe lata czekał na kolejną szansę. Czekał przez całe moje życie.

Anika zacisnęła wargi.

- Dziecko, okaż trochę szacunku własnemu ojcu. Nie rozumiesz, jak wiele stracił.

- Własnemu ojcu? - spytał Shay. Popatrzył na nią trochę tak, jak wcześniej na mnie; jakby go w jakiś sposób zdradziła.

Nagłe ukłucie zazdrości było tak ostre jak kły zatapiające się w karku. Jak bardzo tych dwoje zbliżyło się, kiedy ja dochodziłam do siebie?

Adne drgnęła i zarumieniła się, jakby wymsknął się jej jakiś okropny sekret.

- Tak... Monroe to mój ojciec.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Zmarszczyłam brwi.

- Dlaczego zawsze mówisz do niego: Monroe? - Ja o swoim ojcu mówiłam „alfa Cienia Nocy”, ale do niego zwracałam się zawsze „tato”.
 - Bo nie chcę być traktowana inaczej niż wszyscy - wyjaśniła. - A poza tym, to go doprowadza do szału.
 - Szacunek, Ariadnę - wtrąciła Anika - jest o wiele ważniejszy, niż ci się wydaje.
 - Postaram się - obiecała Adne, ale ja miałam wrażenie, że z trudem powstrzymuje się, żeby nie przewrócić oczami.
- Anika ujęła się pod boki.
- Mimo tego niemiłego przerywnika, to co powiedziałaś, potwierdza nasze nadzieje dotyczące Strażników. Misję przeprowadzimy zgodnie z tymi wiadomościami.
 - Kiedy? - spytałam. - Kiedy odszukam swój klan? Anika się uśmiechnęła.
 - Zaraz.

4

Zbaraż? Ale to znaczyło, że... Czy oni naprawdę planowali przeprowadzenie ataku na Opiekunów tak szybko? Sama myśl o powrocie do domu przerażała w takim samym stopniu, w jakim mnie pociągała. Chciałam jak najszybciej wrócić do swojego klanu, ale czy byłam gotowa walczyć ramię w ramię z Poszukiwaczami? Nie ufałam im. Przecież mnie porwali. Chcieli sojuszu, ale najpierw musieli jeszcze coś mi wyjaśnić.

- Świetnie - powiedziała Lydia, znów wchodząc do sali. - Byłabym bardzo rozczarowana, gdybym na próżno ostrzyła swój sztylet.

Przeszył mnie dreszcz napięcia. Sam wygląd Lydii był na tyle groźny, że w jej pobliżu musiałam walczyć ze sobą, żeby się nie przemienić. Zapach jej ubrań, błysk stali u jej boku - była dokładnie tym wszystkim, co nauczono mnie zabijać.

- Już, teraz? - Shay przeszedł przez salę. Powietrze wokół niego migotało i bałam się, że sam za chwilę się przemieni. Najwyraźniej oboje czuliśmy się wśród Poszukiwaczy nieswojo. - Powariowaliście?

- Shay... - odezwała się Anika spokojnie, ale ton jej głosu nieco przypominał szablę wysuwającą się z pochwy: był gładki i śmiertelnie niebezpieczny. - Jesteś dla nas ważny, nie potrafię ci nawet wytłumaczyć, jak bardzo. Ale na razie, to ja dowodzę, a ty będziesz słuchał moich poleceń.

- Ledwie wiem, kim jesteś - warknął Shay. - Dlaczego miałbym przyjmować od ciebie rozkazy?

Zakłęłam pod nosem. Za chwilę miał się przemienić. Lydia też to chyba wyczuwała. Błyskawicznym ruchem uniosła dłonie do rękoności u swojego paska. Warknęłam. W chwili, kiedy wyjęłaby broń, ja też bym się przemieniła. Rozejrzałam się szybko po sali. Nasze siły były równo rozłożone - niedobrze.

- Krótka przerwa w meczu, mały - powiedziała. - Złap oddech. Albo i kilka.

Wiedziałam, że Shay żadnej z nich nie posłucha. Jego wilcze instynkty wzięły górę, a te kobiety zagrażały czemuś, co uznał już za swoje terytorium... czyli mnie. Zachowywał się tak, jakbym była jego partnerką. Dopełniającą go samicą alfa. A to znaczyło, że tylko ja jedna mogłam interweniować. Chociaż mój instynkt domagał się krwi, opanowałam się. Nie warto było tak ryzykować.

- Shay, zaczekaj. - Chwyciłam go za ramię. Puls bił mu jak szalony, czułam, jak każde rytmiczne uderzenie pod dotykiem moich palców stapia się z moim własnym biciem serca. - Wszystko w porządku.

- Jak to, w porządku? - Nadal na samej krawędzi przemiany, przynajmniej teraz zaczął koncentrować się na mnie.

- Bo ja chcę iść - oświadczyłam. - Muszę iść. Jeszcze kończyłam wymawiać te słowa, a już poczułam całą sobą, że są prawdziwe. Nieważne, jak niewiele wiedziałam o Poszukiwaczach, mój klan wart był, żeby zaryzykować dla niego wszystko. Musiałam po nich wrócić. Potrzebowałam walki. I to rozpaczliwie. Nawet jeśli miałabym walczyć u boku Poszukiwaczy. Mogłam przecież znaleźć jakiś sposób, żeby się udało. A przynajmniej, taką miałam nadzieję.

Shay obserwował mnie z niepokojem, ale słuchał. Zaskoczyło mnie, jak bardzo został naznaczony wilczością. Reagował na mnie tak, jak alfa przyjmujący radę od alfy. Takie partnerstwo tworzyło silnych, zdecydowanych przywódców. Jeśli jego umysł teraz działał w taki sposób, to wiedziałam, jak na niego wpłynąć.

- Klan, Shay - szepnęłam. - Pomyśl o naszym klanie.
Skóra mi ścierpła, kiedy nazwałam wilki Haldisa „naszym” klanem - Shaya i moim, zamiast Rena i moim. Ale poskutkowało.
- Naprawdę sądzisz, że to ich może uratować? - spytał i zobaczyłam, że gniew zaczyna go opuszczać.
- To nasza jedyna szansa! - Pokazałam mu swoje ostre kły. Uśmiechnął się, odczytując sygnał, że ten sojusz nie oznacza jeszcze, że się poddajemy. Negocjowałam warunki, które naszym wewnętrznym wilkom-wojownikom były potrzebne.
- Ona ma rację - wtrąciła Anika, gestem pokazując Lydii, by się cofnęła. - Nie podejmowalibyśmy ryzyka, gdyby istniało jakieś inne wyjście. I nie tylko Callę narażamy na ryzyko. Wysyłam tam również naszych ludzi. Obserwowałam Strzałę i próbowałam odczytać wyraz jej twarzy. Była skupiona, zdecydowana, a jej oczy płonęły ogniem nadchodzącej bitwy. Poszukiwacze ryzykowali życie, wracając do Vail. I robili to po to, by uratować od niebezpieczeństwa Strażników - członków mojego klanu. To była ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewała. Czułam tyle samo ożywienia, ile niepokoju.
- No, ja myślę - powiedziała Lydia, a jej oczy jaśniały tak samo jak oczy Aniki. - Za nic bym tego nie przepuściła.
Patrząc na te dwie kobiety, odczułam nagłą ulgę, że będę walczyć razem z nimi, a nie przeciwko nim.
- I jeśli nie uda nam się trafić na najkorzystniejszy rozwój wypadków, co zresztą wątpliwe - dodała Anika - to dzisiejsza operacja ratunkowa nam się nie uda. Ta misja ma polegać na nawiązaniu pierwszego kontaktu. Musimy ruszyć teraz, bo dziś sobota.
- Sobota? - powtórzył Shay.
- W weekendy patrolują członkowie klanu Calli - wyjaśniła Anika, zerkając na mnie spode łba. - Mam rację?

- Tak. - Skinęłam głową, chociaż trochę zbiło mnie z tropu, że ona o tym wie. Jak poznali reguły naszych patroli?

- Żeby ten sojusz zaistniał, musimy najpierw zdobyć zaufanie młodych wilków, a naszą intencją jest wszcząć falę buntu wśród Strażników, poczynając od tego pierwszego kontaktu. Obecność Calli zapewni nam zaufanie i mam nadzieję, że uda się dzisiaj zrobić pierwszy krok.

O mało się nie uśmiechnęłam, ale jakoś się powstrzymałam. Chciałam, żeby na razie Poszukiwacze widzieli mnie w obliczu walki wyłącznie jako osobę poważną... i niebezpieczną.

- Pewnie będą tam Mason, Fey albo mój brat, w dowolnej kombinacji - powiedziałam. - Zmieniają się przy sobotnich patrolach, pracują dwójkami.

- A więc jest nadzieja, że trafimy na Masona i Ansela. - Po twarzy Shaya przemknęła ulga. - To by była najlepsza para, jaką możemy spotkać.

- Ale... - Fala radości ogarniająca mnie na myśl o spotkaniu z Anselem i Masonem zbladła. - Kiedy zostawiałam Rena, powiedział, że członków mojego klanu zatrzymano na przesłuchanie. Sądysz, że wrócili do patrolowania?

- Czy ktoś z nich zna prawdziwą tożsamość Shaya? - spytała Anika. - Albo wie, że miał zostać złożony w ofierze w czasie Zaślubin?

- Nie - odparłam. - Nie wiedzieli niczego. - Poczucie winy zakłuło mnie w piersi jak ostry nóż wbity pomiędzy żebra. Na jakie niebezpieczeństwo ich naraziłam?

Pomyślałam o Bryn, o naszym ostatnim spotkaniu.

- Jesteś gotowa? - spytała Bryn. Uśmiechnęła się do mnie promiennie, ale w jej głosie słyszałam nutę strachu.

- To chyba nie jest właściwe pytanie - odparłam. Jeszcze raz spojrzałam na pierścionek. Tu jest moje miejsce. Zawsze znałam swoją ścieżkę. Teraz muszę tylko nią pójść.

- Pamiętaj, że będę tuż za tobą. - Bryn wzięła mnie pod ramię. - Nikt z klanu nie pozwoli, żeby stało się coś złego.

- Nie wolno wam brać w tym udziału - powiedziałam, pozwalając prowadzić się po schodach i do lasu.

- Myślisz, że zdołają nas powstrzymać, jeśli coś wam będzie grozić? - Trąciła mnie łokciem, wywołując uśmiech na moich wargach.

Jeśli Bryn teraz ma kłopoty, nikt mnie nie powstrzyma przed ruszeniem jej na pomoc.

- Kocham cię, Cal. - Pocałowała mnie w policzek i ruszyła w stronę kręgu pochodni.

Krew mi się burzyła. Miałam chęć zmienić postać i zawyć, nawołując watahę, którą porzuciłam. Ja też cię kocham, Bryn. Idę po ciebie.

- Ich ignorancja działa na naszą korzyść - mówiła tymczasem Anika. -

Kiedy Opiekunowie już raz uznają, że ty i Shay spiskowaliście sami, będą się starali przywrócić sprawom zwyczajny bieg. Będą chcieli przekonać Strażników, że nic złego się nie dzieje; zaszkodziłaby im sugestia, że w jakiś sposób stracili panowanie nad sytuacją.

Pokiwałam powoli głową, przelękając coś, co dławiło mnie w gardle.

- Ale, Ren... Oni będą wiedzieli, że skłamałam. - Członkowie mojego klanu nie wiedzieli, co zrobiłam ani kim jest Shay. Ren to wiedział. Czy to znaczyło, że jest za późno, by go uratować?

- Nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło pomiędzy Opiekunami a Strażnikami po naszym najeździe na Rowan - ciągnęła Anika. - Mamy nadzieję dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej, zanim wdrożymy następną fazę planu. Nawet jeśli nie uda ci się spotkać z tymi wilkami, na które liczysz, i tak zyskamy, wyjaśniając zamieszanie, jakie powstało w zeszłym tygodniu. Grupa zwiadowcza spotka się dziś wieczorem z jednym z naszych ludzi w punkcie przerzutu.

- Macie ludzi w Vail? - spytał Shay. - Znaczą szpiegów?

- Mamy - odparła Anika.

- Gdzie? - spytałam, łamiąc sobie głowę, jakim cudem w Vail mogą być Poszukiwacze, których nie udało nam się wytropić. Wydawało mi się, że to niemożliwe.

- Teraz jest tylko dwóch. Jeden w szkole i jeden w mieście.

- W szkole? - Aż sapnęłam. - To wykluczone. - W myślach przeglądałam katalog twarzy i zapachów moich kolegów z klasy, nauczycieli i administracji szkoły. Nikt nie pasował.

Anika się roześmiała.

- A jednak.

- Gdyby w szkole byli Poszukiwacze, wiedziałabym o tym. Opiekunowie by wiedzieli.

- No cóż, gdybyśmy byli tak głupi, żeby jako szpiegów wykorzystywać własnych ludzi, przegralibyśmy tę wojnę, jeszcze zanim w ogóle się zaczęła.

Powiedział to ktoś nowy, stłumionym głosem. Obejrzałam się i zobaczyłam w drzwiach dziwnego osobnika. Twarz przesłaniał mu stos książek i ciasno pozwijanych papierów, chwiejący się niebezpiecznie w jego ramionach.

- Przyda się pomoc - odparł. Adne zachichotała i rzuciła się w jego stronę, chwytając parę zwojów, które ześlizgnęły się ze szczytu stosu.

- Cześć, Adne. - Nowo przybyły uśmiechnął się szeroko. Teraz, kiedy widziałam już jego twarz, poczułam się jeszcze bardziej zbita z tropu. Był młody, nie mógł mieć więcej lat niż Shay. Grube szkła w czarnych oprawkach sprawiały, że ostre rysy jego twarzy wydawały się jeszcze bardziej wyraziste. Ale najbardziej rzucała się w oczy bujna czupryna. Kruczoczarne i jaskrawoniebieskie pasma walczyły w niej niczym morskie fale kłębiące się tuż nad linią jego brwi.

Wszedł do środka, potykając się, pchany naprzód ciężarem stosu książek i rzucił go na stół.

- Dzięki, że przyszedłeś, chociaż cię zawiadomiliśmy w ostatniej chwili, Silas - powiedziała Anika. - Ona właśnie się obudziła.

- Pomyślałem, że pewnie chodzi o coś takiego. - Obrócił się i obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. Nie dość, że miał zwariowaną fryzurę, to jeszcze nosił podarte dżinsy, wojskowe buty i koszulkę Ramones. Jeśli już wcześniej Poszukiwacze wprawiali mnie w konsternację, to po przyjsciu tego chłopaka kompletnie się pogubiłam.

Do środka wszedł też Connor, razem z nadal naburmuszonym Monroe'em, ale kiedy tylko dostrzegł Silasa, zawrócił na pięcie do wyjścia.

- To ja pogadam z wami później - rzucił i pomachał nam ręką na pożegnanie.

- Zostań - poprosiła Anika.

- O kurczę - jęknął. - Muszę?

- Connor... - Nie ukrywała groźnej nutki w swoim głosie.

- Zostanę, zostanę. - Ale gapił się na Silasa tak, jakby nowo przybyły modelowy punk właśnie wygramolił się z pojemnika na śmieci.

- Też się cieszę, że cię widzę. - Spojrzenie, jakim Silas obrzucił Connora, nie było ani trochę bardziej przyjazne.

- Calla, Shay - odezwała się Anika, ignorując ich zabawę w wypalanie sobie nawzajem dziur w czaszkach za pomocą gniewnych spojrzeń. - To jest Silas. Jest Skrybą Haldisa.

Popatrzyłam na jego pogniecioną koszulkę i dziwaczne włosy.

- On też jest Poszukiwaczem? - Bo nie wyglądał na Poszukiwacza.

Anika zacisnęła usta i miałam wrażenie, że powstrzymuje śmiech.

- Jako Skryba Silas ma nieco więcej wolności, jeśli chodzi o dobór stroju. Mało prawdopodobne, żeby musiał angażować się w działania bojowe.

- Co robi Skryba? - spytał Shay.

- Przekłada papierki - mruknął Connor.

- Typowa krytyka z ust półanalfabety - odpalił Silas. - Co za cios. Chyba się nie pozbieram.

- Możecie się obaj uspokoić? - spytała Adne i zwróciła się w stronę Shaya. - Skrybowie zarządzają naszym wywiadem i archiwami.
- To naprawdę niezbyt dokładne... - zaczął Silas, wypinając pierś.
- Wystarczająco dokładne - przerwała mu Anika. - Po prostu się przywitaj, Silas.

- Jak pani rozkaże, mistrzyni savoir-vivre'u. Ja tylko próbuję bronić własnej reputacji - odparł Silas, tracąc rezon.

Ta wymiana zdań zaskoczyła mnie, i to nie tylko dlatego, że Silas był taki dziwny. Anika trzymała całe towarzystwo w ryzach - to było widać wyraźnie. Ale jakoś jej nie przeszkadzały ich ciągle słowne przepychanki. Strażnicy wobec swoich panów musieli zachowywać się poddańczo. Takie uwagi, jakimi ciągle przerzucali się Poszukiwacze, spowodowałyby surowe kary. Ale Silas, Connor... oni wszyscy traktowali Ani-kę, jakby była ich przyjaciółką.

Rozmyślenia przerwało mi uważne spojrzenie Silasa. Przechylał głowę z boku na bok, jakby chciał uzyskać właściwy kąt, pod jakim należało obserwować dziwny nowy okaz na stole laboratoryjnym.

- Jesteś alfą, tak? Ciekawe. Myślałem, że będziesz wiedźmowata czy coś. Zwykle o Strażnikach słyszymy same straszne historie. No wiesz, grzech przeciwko naturze i inne takie.

Grzech przeciwko naturze? Co on, do diabła, wygaduje? Patrzyłam na niego, mrugając powiekami, i kompletnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Silas zerknął w bok i obejrzał od stóp do głów Shaya.

- Hm. A ty na pewno jesteś Potomkiem.

Powoli obszedł Shaya wkoło, przystając, żeby zerknąć na jego kark, a potem się uśmiechnął.

- No i mamy znak. Proszę, proszę. Wszystko zaczyna się układać. Człowieku, ile ja się naczekałem na nasze spotka-

nie. Miałem wątpliwości, czy w ogóle do tego dojdzie. Grant mówi, że lubisz Hobbesa. Fantastycznie. Szkoda tylko z tą kłutwą, bo wyglądało na to, że twoi kumple z klasy mieli już zacząć całkiem ciekawą dyskusję, jak rzucono zaklęcie na Granta. No, zdarza się.

- Grant? - wykrztusił Shay. - O czym ty, do cholery, gadasz?

- Grant Selby - powiedział Silas. - To jeden z naszych agentów.

- Zaraz - odezwałam się, znów mrugając. - Nasz nauczyciel? Nasz nauczyciel filozofii to jeden z waszych szpiegów?

- Owszem. - Silas się uśmiechnął. - Niezła przykrywka, co?

Anika przeszła przez pokój i zaczęła sortować papiery, które Silas rzucił na stół.

- My, Poszukiwacze, nie możemy zbliżyć się do Opiekunów niepostrzeżenie. Zaczęliśmy więc rekrutować ludzi, żeby służyli nam za wtyczki. Niewielu, naturalnie; nie chcemy ryzykować życia większej liczby osób, niż to konieczne. To zwykle ludzie, którzy w ten czy inny sposób natknęli się na nasz świat, zaangażowali się w nasze konflikty, tego typu sprawy. Ci, którzy szczerze interesują się wynikiem wojny, zwykle sami ofiarowują nam pomoc. Najzdolniejsi wysyłani są na pole walki jako szpiegzy.

- I pozwalacie im nas uczyć? - spytałam. Wydawało mi się, że to jakieś szaleństwo. Niebezpieczne szaleństwo. Kto by chciał brać udział w takiej misji? Pan Selby albo był naprawdę bardzo dzielny, albo prosił się o śmierć.

- Szkoła to miejsce, gdzie najłatwiej prześledzić inwestycje Opiekunów, bo to tam krzyżują się ścieżki ludzi, Strażników i Opiekunów - wyjaśnił Silas. -I jako nauczycieli zatrudniają wyłącznie ludzi. Przez ostatnich kilka lat mieliśmy jednego, a czasem nawet dwóch agentów wśród pracowników. Zdecydowanie poprawili wyniki naszego wywiadu.

- Zawsze musi o tym wspomnieć - szepnął Connor do Adne na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli. - A przecież nie jest tu jedyną osobą, która wpadła na oryginalny pomysł.

Pokiwałam głową, ignorując złośliwą uwagę Connora, ale potem się zasepiłam.

- Jeśli pan Selby wie o waszym świecie, to dlaczego na zajęciach mówił o Hobbesie? Co mu się mogło stać?

Nasz nauczyciel mówił o *Wojnie wszystkich ze wszystkimi*, temacie poruszonym przez Shaya, ale surowo zakazanym przez władze szkoły, przez Opiekunów - i przecież płacono mu za to, żeby przestrzegał zakazów. Pamiętałam, jak przewrócił się na podłogę, a po jego brodzie spływała ślina. Magiczne tortury, które przypominały atak choroby. Anika skrzywiła się, ale Connor zaczął się śmiać.

- Doszło do tego, bo jest starym, sentymentalnym głupcem. O mało nie dał się wtedy złapać.

Popatrzył na Shaya, mrugając.

- Po prostu go poniosło, bo sam Potomek zechciał porozmawiać o Hobbesie. Myślał, że to jakiś znak z nieba czy coś.

Shay się nachmurzył.

- Bo pewnie tak było - podsumował Silas. - Gdybyś zajrzał do książki, mógłbyś zrozumieć tę zależność. No ale najpierw musiałbyś nauczyć się czytać...

- Wiedziałaś, że coś takiego się zdarzy, jak pozwolimy mu zrekrutować agenta. - Connor zignorował Silasa i zwrócił się do Aniki: - Silas ma zupełnie niewłaściwe priorytety.

- Grant wykonał świetną robotę - rzucił ze złośliwym uśmiechem Silas.

- To potknięcie omal go nie zdemaskowało - powiedział Connor. -

Postąpił głupio i powinien mieć więcej rozumu.

- Więcej niż ten troglodyta, którego ty zwerbowałaś do załogi? - zakpił Silas, szeleszcząc stosem papierów. - W życiu bym się nie pokazał w tej zakazanej spelunie, w której działa. No ale z drugiej strony, ty pewnie też masz już wszystkie choróbka, jakie można podłapać w tym Ognisku.

- To jest Pogorzelisko, kretynie. I to równie dobra przykrywka jak szkoła. Wilki ciągle tam przychodzą.

- Pogorzelisko? - sapnęłam. - Tom Shaw jest agentem? - Myślałam o szorstkim w obejściu kierowniku naszego ulubionego baru. Miejsca, gdzie mogliśmy złapać oddech poza nadzorem Opiekunów i gdzie nigdy nie sprawdzano nam dokumentów. Tom przyjaźnił się z Nevem, który był perkusistą w ich kapeli. Czy to wszystko było tylko na pokaz, żeby wyciągać od nas informacje, kiedy przesiadywaliśmy w jego barze?

- Tak. - Monroe czujnie spoglądał to na Connora, to na Silasa.

- Raczej trudno go nazwać uważnym obserwatorem, jakim jest nasz Grant. - Silas pociągnął nosem.

- Tom ma lepsze kontakty. - Connor wyciągnął swój sztylet i zaczął sprawdzać kciukiem ostrość klingi, rzucając jednocześnie groźne spojrzenia Silasowi. - Będzie podporą tego sojuszu. Grant nie brudzi sobie rączek w taki sposób jak Tom. Ta szkoła to ciepła posiadka, wygodne przytulisko.

O ile człowieka nie przydusi jakiś sukub. Grant nie był jedynym, który został w szkole ukarany. Aż się wzdrygnęłam na wspomnienie paznokci siostry Flynn wbijających się w moje policzki, kiedy przyłapała mnie z Renem. A potem zarumieniłam się, bo przypomniałam sobie, co robiliśmy. Spojrzałam na Shaya z miną winowajczyni, ale on nie patrzył na mnie.

- Lubię pana Selby'ego - zaprotestował Shay. - Był świetnym nauczycielem.

- To jasne, że go lubisz. - Adne rzuciła surowe spojrzenie Connorowi. - To dzielny człowiek i niesamowicie błyskotliwy. Connor po prostu nie docenia jego intelektu.

- Wiesz, nie musisz bronić Silasa tylko dlatego, że oboje jesteście tacy wybitni. Mnie chodzi o to, że kiedy przyjdzie co do czego, sam intelekt nie uratuje nikomu skóry.

- To niekoniecznie prawda - zaprotestował Shay, z taką miną, jakby był gotów wdać się w zawziętą dyskusję. Ale Connor pokręcił głową.
- Mówię, co widzę, mały. Nie będę się z tobą spierał.
- Po prostu lubisz darmowe drinki. - Silas zaczął zawzięcie gryzmolić w czymś, co wyglądało jak księga rejestrowa.
- Boże, chyba nie składasz na mnie kolejnej skargi, co? -Connor wycelował sztylet w stronę Silasa.
- Niegodne zachowanie, groźby słowne... - Silas nie podniósł wzroku.
- ja ją i tak zignoruję, Silas. - Anika założyła ramiona na piersi. - Składasz ich co najmniej dziesięć tygodniowo.
- Dwadzieścia.

Zaczynały mnie niecierpliwic te wszystkie sprzeczki.

- Jak oni przekazują wam informacje? Jak im się udaje uniknąć zdemaskowania? - Rozmawialiśmy przecież o walce. Czy kiedyś wreszcie do niej dojdzie? Zęby wyostrzały mi się w ustach i kiedy tylko zaczynałam mówić, z trudem opanowywałam warkot.

- W Vail mamy dwie skrytki pocztowe, na fałszywe nazwiska oczywiście, ale obaj mają do nich klucze - odparła Anika, zadowolona, że może przerwać kłótnię. - W ten sposób się porozumiewamy. Zmieniamy nazwisko i skrytkę co parę miesięcy i wtedy przekazujemy nowe klucze. Vail to przecież kurort narciarski i jest tam sporo pracowników sezonowych, którzy przyjeżdżają i wyjeżdżają; dzięki temu nikt się nie interesuje nowymi nazwiskami.

Pokiwałam głową, coraz bardziej rozdrażniona. Więc Poszukiwacze przez cały czas nas obserwowali, a my nie mieliśmy nawet o tym pojęcia. Byli nieprzewidywalni, ale okazywało się, że dzięki temu są skuteczniejsi, niż początkowo przypuszczałam. Przy każdym nowym odkryciu moja duma z efektywności patroli Strażników cierpiała.

- Dzisiaj wieczorem spotkacie się z Grantem - powiedział Silas, wyciągając z kieszeni dzinsów zmiętą kartkę. - Właśnie dostałem potwierdzenie.

Anika wyciągnęła rękę po notatkę.

- Silas, umawialiśmy się, że korespondencja ma wyglądać schludnie.

- Śpieszyłem się. - Wzruszył ramionami.

- Na twoim miejscu bym tego nie dotykał - wtrącił Connor. - Kto wie gdzie to trzymał.

- Zamknij się, gnido - rzucił Silas.

- Gnido? - Connor się roześmiał. - Długo nad tym myślałeś?

- Uspokójcie się obaj. - Monroe odezwał się po raz pierwszy, odkąd dołączył do grupy. Powróciła spokojna, pełna siły postawa, którą wcześniej prezentował. - Aniko, mój zespół jest gotowy. Możemy działać dzisiaj, tak jak chcieliśmy?

Wstrzymałam oddech, czekając na odpowiedź. Gdyby się nie zgodziła, sama jakoś poszukałabym drogi powrotnej do Vail, nawet gdyby miał mnie trafić szlag.

- Tak - odparła. - Kto wchodzi w skład zespołu? Uśmiechnęłam się, językiem dotykając swoich ostrych

zębów. Shay popatrzył na mnie. Widziałam wyraźnie, że się niepokoił, ale pokiwał głową. Wiedział równie dobrze jak ja, ile znaczyła ta walka.

- Lydia, Connor, Ethan i Calla - powiedział, zaskakując mnie. Choć tak bardzo paliłam się do bitwy, poczułam się dziwnie, kiedy wymieniono mnie wśród Poszukiwaczy. Poza tym padło imię, które nadal mnie niepokoiło.

- Ethan? - spytałam, wspominając oszalałe spojrzenie i wariackie wrzaski Poszukiwacza sprzed zaledwie pół godziny.

- Musi przystosować się do tego sojuszu jak najszybciej - wyjaśnił Monroe. - Nie mamy czasu, żeby się z nim cackać.

- Zgadzam się - przytaknęła Anika. - Kto jeszcze?

- Isaac i Tess pomogą nam przygotować misję w punkcie przerzutowym. -
Przerwał i zerknął na Adne. - Jerome będzie tkał.

Adne się zagotowała, ale Anika zareagowała pierwsza.

- Nie. Jerome został przeniesiony do placówki szkoleniowej. Jest znakomitym Tkaczem i zasłużył sobie na miejsce w Akademii. Od tej chwili Tkaczem Haldisa jest Adne.

Adne zamknęła usta i zrobiła zadowoloną minę.

- Myślałem, że w związku z naturą tej... - zaczął Monroe.

- Żadnych dyskusji - przerwała Anika. - Adne tka. Mam nadzieję, że to nie będzie problem.

- Skąd - odparł Monroe, chociaż splótł ręce na piersi, wyraźnie nieszczęśliwy.

Zmarszczyłam brwi, obserwując tę wymianę zdań. Co się z nimi dzieje? O cokolwiek chodziło w tych nieporozumieniach Adne i Monroe'a, nie chciałam, żeby zakłóciły misję. Na szczęście nie chciała tego również Anika.

- Dobrze - powiedziała. - Nie ma czasu do stracenia. Ethan już tam jest?

- Tak - odrzekł Connor. - Do tej pory już pewnie ochłonał. Tess potrafi zaczarować udęconą duszę. Poza tym pewnie nakarmiła go ciasteczkami.

Mrugnął do Lydii.

- Ciebie też złapała na domową kuchnię, co?

- Nie umiem się oprzeć owsianym ciasteczkom z czekoladą. - Lydia wzruszyła ramionami.

- Może Ethan jeszcze nie zdążył wszystkich zjeść. - Connor się roześmiał.

- Zaraz sami sprawdzicie. - Anika się uśmiechnęła. - Adne, otwórz przejście.

Zaraz. - Shay chwycił mnie dłonią za ramię i przytrzymał, chociaż jeszcze nie ruszyłam się z miejsca. - Idziecie już teraz?

- Zostało nam parę godzin, zanim patrol starszych z klanu Cienia Nocy wyruszy na górę, o ile rzeczywiście młode wilki wciąż chodzą na patrole, tak jak na to liczymy - powiedziała Anika. - Szybkość ma podstawowe znaczenie, jeśli chcemy nawiązać kontakt. Strefy czasowe działają na naszą korzyść, ale to wszystko.

- Strefy czasowe? - spytałam. - Co masz na myśli?

- W Vail jest teraz godzinę wcześniej. - Lydia przyglądała się ostrzu jednego ze swoich sztyletów.

- Jesteśmy w innej strefie czasowej? - Westchnęłam. - Gdzie my w ogóle jesteśmy?

- W Podróżującej Akademii. - Adne podeszła i stanęła w środku naszej niewielkiej grupki. - To serce i dusza wszelkich działań Poszukiwaczy.

- Podróżująca Akademia? - powtórzyłam. Nigdy wcześniej nie słyszałam o takim miejscu. Informacje, jakie kiedyś otrzymałam na temat Poszukiwaczy, kazały mi wyobrazić sobie, że czają się w jakichś norach rozsianych po całym globie i próbują zebrać dość sił, żeby przypuszczać te swoje partyzanckie ataki.

- Akademia to nasze największe dobro. - Anika się lekko uśmiechnęła. - Przechowuje całą naszą wiedzę i zapewnia nam jedzenie, rzemiosło i wykształcenie. Większość

Poszukiwaczy mieszka tu, pomijając tych, którzy realizują wyznaczone zadania.

- Nazywamy ją Podróżującą Akademią, bo w razie potrzeby jest przenoszona - dodał Monroe. - Nie zostajemy w jednym miejscu dłużej niż pół roku, żeby uniknąć wykrycia. Gdyby kiedyś Opiekunowie przenieśli wojnę na nasz teren, mogłoby to oznaczać koniec naszego ruchu oporu.

Niewiele widziałam z tej Akademii, ale dosyć, żeby rozumieć, że jest ogromna.

- W jaki sposób udaje wam się przenieść budynek?

- No właśnie. - Shay powoli się obrócił się, patrząc na wysokie sklepienie sali. - Też się nad tym zastanawiam.

Adne mrugnęła do niego.

- Jeśli za trzy miesiące będziesz nadal zainteresowany, zarezerwuję ci miejsce w pierwszym rzędzie.

- Nieważne. - Zmarszczyła brwi. - Gdzie jesteśmy teraz?

- W Iowa - powiedziała Anika. Nachmurzyła się.

- Ale dlaczego akurat w Iowa?

- Właśnie. - Connor z kpiącą powagą pokiwał głową. Adne westchnęła.

- Akademia przenosi się po całym świecie. Teraz jest w Iowa. Potem będzie we Włoszech.

W myślach zawirował mi ziemski glob. Jak ja się tutaj dostałam?

- Nie mamy teraz czasu na takie lekcje. - Anika wykonała gest w stronę Adne. - Na to przyjdzie pora potem.

- Słuszna uwaga. Adne, po prostu otwórz już to przejście - ponaglił Connor. - Nigdy nie radziłem sobie dobrze z czekaniem, dostaję od tego wypieków.

- Może to ci poprawi urodę - mruknął Silas. Ze stosu papierów wyjął teczkę. Jak się orientował w tym bałaganie, nie miałam pojęcia.

- Tu jest kolejna przesyłka dla Granta. - Rzucił teczkę Connorowi niczym krążek frisbee. - Postaraj się jej nie zgubić.

Connor złapał rzucone mu papiery.

- Dzięki.

- O co chodzi? - Popatrzyłam na Shaya. Nijak nie mogłam się połapać w tej dziwnej rozmowie.

- Ariadnę jest Tkaczką portali - wyjaśnił Monroe. - To najważniejsze zadanie, jakie może dostać Poszukiwacz.

Najważniejsze zadanie. Przyjrzałam się Adne. Mogłabym przysiąc, że nie jest starsza od Ansela.

- Ona prowadzi naszą misję?

- Nie prowadzi - sprostował Monroe. - Tylko tka.

- A nie jest troszeczkę... za młoda? - Nie miałam pojęcia, na czym polega to całe tkanie, ale jeśli miało kluczowe znaczenie dla naszej misji, to wolałam, żeby zajmował się nim ktoś z odrobiną doświadczenia.

- Jak mówiłem wcześniej - Connor poklepał Adne po głowie - nasza mała koteczka przerosła wszelkie oczekiwania.

- Daj mi po prostu robić swoje - mruknęła Adne, odsuwając się poza zasięg dłoni Connora.

Ruszyłam w stronę Adne, chcąc się upewnić, czy rzeczywiście jest tak doświadczona, jak wszyscy twierdzili. Shay złapał mnie za ramię i odciągnął o kilka kroków.

- Moim zdaniem lepiej to zobaczyć niż objaśniać. Adne wyjęła zza paska dwa wąskie szpikulce.

- Co to jest? - zapytałam, zbierając się w sobie, w razie gdyby to jednak była broń.

Adne spojrzała na mnie i uniosła brew, widząc moją obronną postawę.

- To czółenka, narzędzia pracy Tkacza. Zobaczysz, co potrafią.

Wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy. A potem zaczęła się poruszać. Czółenka przecinały powietrze, a każdy szybki ruch pozostawiał po sobie błyszczące pasmo światła.

Dobiegły nas przypominające dzwon dźwięki. Całe ciało Adne poruszało się w szalonym tańcu. Przykuciała na posadzce i wyrzucała dłonie w stronę sklepienia, prowadząc czółenka ruchami, które przypominały jakąś zwariowaną odmianę gimnastyki artystycznej. Połyskujące pasma tryskające z czółenek zaczęły nakładać się na siebie warstwami. Dźwięki, które napełniały powietrze, tworzyły falujący chór bijących dzwonów. Ramionami przesuwała powietrze, jakby czółenka przesuwaly się przez jakieś wielkie, niewidoczne krosna. Skomplikowany wzór świetlnych pasm jaśniał coraz bardziej, aż musiałam odwrócić wzrok. Fale dźwięku zalewały pomieszczenie, a ja pomyślałam, że w tym oceanie muzyki i światła mogłoby zatonać.

A potem wszystko się urwało.

- Popatrz - szepnął Shay.

Znow popatrzyłam na Adne. Stała, zdyszana, przed wielkim, migoczącym prostokątem. Wisiał w powietrzu jak arras utkany ze światła, błyszczał i unosił się nad ziemią. Wstrzymałam oddech, podchodząc bliżej. Falujący prostokąt przedstawiał obraz: jakiś magazyn. Słabo oświetlone wnętrza zapełniały stosy skrzyń.

- To tam idziemy? - mruknełam.

Adne pokiwała głową, nadal odzyskując oddech.

- Niezłe tkanie. - Connor poklepał ją po ramieniu.

- Żaden problem. - Uśmiechnęła się i otarła pot z czoła.

- No to co teraz robimy? - Wpatrzyłam się w jaśniejący przede mną prostokąt.

- To przejście - powiedziała Adne. - Po prostu przez nie przechodzisz.

Popatrzyłam na świetlny portal.

- Czy to boli?

- Trochę łaskocze - odparł Connor z kpiącą powagą. Adne trzepnęła go płaską stroną jednego ze swoich wrzecion.

- Auć! - Connor potarł ramię.
- W porządku, Cal - uspokoił mnie Shay. - To tak dostałem się do Akademii. Wiem, że to wygląda wariacko, ale jest bezpieczne.
- Wariacko? - oburzyła się Adne.
- Pięknie i wariacko. - Connor wyszczerzył do niej zęby. -Pójdę przodem.
- Ależ proszę. - Nie chciałam się przyznać, że od tych jaśniejących drzwi wszystkie włosy na karku stawały mi dęba.

Connor spokojnie wszedł prosto w zalany światłem prostokąt. Jego postać na moment się rozmyła, a potem Connor stał już wśród skrzyń. Przystanął, przeciągnął się i ziewnął, a potem nagle zsunął spodnie i pokazał nam tyłek.

- O Boże, Connor! - jęknęła Adne. - Shay, włącz tam i go ugryź.
- Ja przecież nie idę, pamiętasz? - Shay zaprotestował, ale się roześmiał. - A nawet gdyby, to nie ugryzłbym go w tyłek.
- Może Calla to zrobi. - Adne uśmiechnęła się szeroko.
- Raczej wątpię - mruknęłam, chociaż z drugiej strony musiałam przyznać, że tyłek Connora wyglądał całkiem apetycznie.
- Dość tego - ucięła Anika i krótko uściskała Lydię. -Powodzenia.
- Tak jest - powiedziała Lydia i przeszła przez portal w samą porę, żeby płaską stroną sztyletu dać Connorowi klapsa w gołe pośladki, zanim zdążył uskoczyć.

Adne wybuchła śmiechem.

- No idź, Callo - zachęcił Monroe. - Adne pójdzie tuż za tobą.
- Zaraz. - Shay mnie nie puszczał. - Co mamy robić, kiedy oni będą w Vail? Siedzieć i przytupywać, póki nie będzie po wszystkim?
- Nie. - Monroe podszedł do niego, łagodnie go ode mnie odciągając. - My mamy do wypełnienia nasze własne zadania.

- Tak? - Shay zmarszczył brwi.

- Odwiedzimy paru instruktorów Akademii - wytłumaczył Monroe. - I ty ich przekonasz, że nic złego się nie stanie, jeśli dopuszczą do swoich zajęć parę młodych wilków.

A więc to oznaczał sojusz. Nie tylko będziemy walczyć z nimi ramię w ramię. Będziemy z nimi trenować, uczyć się o ich świecie. Choć pomysł był dziwny, mimo wszystko mi się podobał.

Adne zaczęła przytupywać.

- No chodź, Lilio. Staramy się otwierać i zamykać portale szybko. To nie sklepowa wystawa.

To przezwisko tak działało mi na nerwy, że pokazałam jej kły. Miałam całkiem sporą satysfakcję, kiedy cofnęła się o krok.

Zerknęłam na Shaya, a on uśmiechnął się do mnie bez przekonania.

- Powodzenia.

Odwzajemniając uśmiech najładniej jak umiałam, zamknęłam oczy i wstąpiłam w jaśniejący prostokąt.

Connor nie do końca żartował, opisując doznania, jakie towarzyszą przekraczaniu świetlnego prostokąta. Choć raczej nie powiedziałabym, że przejście przez portal łaskocze, przez moment skóra mnie mrowiła, jakbym znalazła się w przestrzeni pełnej wyładowań elektrycznych. A w następnej chwili płuca nappełniło mi stęchłe powietrze i usłyszałam śmiech Connora. Na szczęście spodnie już podciągnął.

- Jak tam, Callo? - odezwała się Lydia. - Już po podróży. Tu wysiadamy. Connor odkaszlnął.

- Mogłem ci pomóc.

Otrząsnęłam się ze zdumienia i spojrzałam na niego ostro.

- Ciebie te twoje żarty nigdy nie męczą? - Lydia pchnęła go w stronę drzwi.

- Naprawdę musisz pytać? - Uśmiechnął się od ucha do ucha i niewinnie zatrzepotał rękami.

Próbowała popatrzeć na niego surowo, ale nie zdołała opanować śmiechu.

- Chłopcze, jesteś niemożliwy, ale bardzo cię za to lubię.

- No pewnie, że lubisz.

- Przestań się popisywać, Connor. - Adne wyłoniła się z portalu.

Obejrzałam się za siebie. W jaśniejącym za jej plecami prostokącie nadal widziałam migoczący obraz sali, z której przyszliśmy. - Dla każdego pierwsze przejście przez portal jest nieprzyjemne.

- Ale to nie jest zły sposób na podróżowanie - powiedział Connor, pocierając ramiona, jakby nadal go mrowiły. - Prawda, wilcza dziewczynko?

- Jest niezły. - Nie odrywałam wzroku od jaśniejącego portalu. - Ale...

- Ale co? - Adne oparła dłonie na biodrach. - Nie podoba ci się moje tkanie?

- Nie o to chodzi. - Nadal wpatrywałam się w portal. - One was nie niepokoją?

Adne westchnęła, przekreślając portal swoimi czółenkami i rysując nimi wielkie X. Przejście znikło.

- Posłuchaj, Lilio. Nasze ćwiczenie miało ci pokazać, że to jest całkowicie bezpieczne. Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. Dać ci spacerować w tę i z powrotem przez cały wieczór?

- Nie to miałam na myśli - odparłam. - Nie boicie się, że Opiekunowie też sobie taki otworzą, żeby was odnaleźć? Przecież on się idealnie nadaje do ataku z zaskoczenia. Znaczący, przecież do tego właśnie go używamy, prawda?

- Och. - Adne pokiwała głową. - Rozumiem.

- Co rozumiesz? Powinnaś się obawiać. Przecież to poważna wada.

- Owszem, byłaby to wada - ciągnęła Adne z psotnym uśmiechem. -

Gdybyśmy rzeczywiście mieli problem. Ale go nie mamy.

- Jak to, nie? - Irytowała mnie jej zarozumiała mina.

- Bo nasi Tkacze są tacy niezwykli - wtrąci! Connor, otaczając ramionami Adne w pasie i całując ją w policzek, zanim zdołała się wywinąć i go odepchnąć.
 - Ale z ciebie dupek - zganiła go, ale i tak się roześmiała.
 - Chciałem ci tylko powiedzieć komplement - stwierdził Connor, udając obrażonego, a kiedy spróbowała go uderzyć, odsunął się trochę zbyt wolno.
 - Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, dlaczego to żaden problem? - zapytałam, zeżłona ich swobodnym przekomarzaniem, kiedy ja sama byłam taka spięta.
 - Opiekunowie nie potrafią korzystać z portali - powiedziała Adne po prostu, przerywając improwizowane zapasy z Connorem i znów obracając się w moją stronę.
 - Dlaczego nie? - Zmarszczyłam brwi.
 - To jedna z niewielu korzyści, które odnosimy, bo przestrzegamy naturalnych praw magii, w przeciwieństwie do nich.
 - Nadal nie rozumiem - stwierdziłam.
 - Pamiętasz to o grzechu przeciw naturze, o którym wcześniej gadał Silas? - Connor uśmiechnął się do mnie.
 - Tak, ale uznałam, że to bez sensu. - Założyłam ramiona na piersi. - I dziwię się, że teraz do tego wracasz.
- Uniósł ręce w geście kapitulacji.
- Tylko z konieczności. Moim zdaniem jesteś urocza, wilczku... Na pierwszy rzut oka nie widzę żadnych śladów cech mutantów. No ale, z drugiej strony, jesteś kompletnie ubrana.
 - Opanuj się, Connor - jęknęła Lydia.
 - Tak, proszę pani. No dobra... Więc Opiekunowie złamali kilka ważnych zasad, dążąc do tej całej władzy, którą mają. Włącznie ze stworzeniem Strażników. - Connor przeczesał potargane kasztanowe włosy palcami. - Prawda jest taka, że działanie portali opiera się na naturalnych zasadach. A jeśli przez cały czas robisz coś, co obraża matkę ziemię, tak jak Opiekunowie, to nie możesz jej potem prosić o przysługi.
 - Hm? - Nie rozumiałam tego, co właśnie powiedział.

- Wszystko na tym świecie jest ze sobą połączone, również wszystkie miejsca na ziemi - tłumaczyła Adne. - Tkacze wykorzystują Starą Magię, żeby spleść ze sobą nici, łącząc jedno miejsce z drugim. Tak podróżujemy.

- A Opiekunowie... - zaczęłam.

- W ogóle nie potrafią spleść nici - dokończył za mnie Connor. - Muszą się przemieszczać w tradycyjny sposób. Albo wykorzystują najnowsze technologie, jak sędzę. Ale żadnych portali. Nie potrafią tkać. Ziemia na to nie pozwala.

Nadal nie byłam pewna, czy rozumiem, ale wtedy ktoś przerwał naszą rozmowę, otwierając na oścież przeciwległe drzwi. Przypadając do ziemi, zmieniłam postać, gotowa zaatakować mężczyznę, który mierzył do nas z kuszy. Connor zastąpił mi drogę, zanim zdążyłam skoczyć.

- Isaac, odłóż to! Co my ci złego zrobiliśmy? Mężczyzna z kuszą mruknął:

- Och, w porządku. Zastanawialiśmy się, kiedy tu dotrzecie. Dlaczego otworzyliście przejście w magazynie?

- Bo gdyby z tą kuszą stał tu Ethan, już by zdążył ją zastrzelić. - Adne wskazała na mnie ręką. - Wolałam zachować ostrożność.

- Niezły pomysł - stwierdził Isaac. - Chociaż teraz mógłby chyba tylko opluć wilka okruchami ciastek. Obżera się nimi, odkąd przyszedł.

- Calla, powinnaś się postarać nie przemieniać tu tak często - powiedziała Lydia, podchodząc do Isaaca, żeby go uściskać. - Gdzie moja ulubienica? Znow przybrałam ludzką postać, przełykając odpowiedź, którą miałam już na końcu języka. A czego się spodziewali? Nie mam zbyt dobrych wspomnień po spotkaniach z Poszukiwaczami i kuszami.

- Jest w kuchni z Ethanem - odparł Isaac.

- A jak Ethan? - spytała Adne. - Pomijając opychanie się ciastkami?

Isaac zerknął na mnie.

- Dochodzi do siebie.

- Wystarczy - powiedział Connor i biorąc mnie za rękę, pociągnął w stronę drzwi. - Isaac, poznaj Calę. Jest alfą, która poprowadzi naszą nową wspaniałą rewoltę Strażników.

Ze co ja niby zrobię? Konsekwencje tego nowego planu runęły na mnie niczym kamienna lawina.

- I to wszystko? - Isaac się uśmiechnął. - Miło cię poznać, podżegaczko.

Uścisnęłam mu rękę, rzucając Connorowi z ukosa niezbyt przyjazne spojrzenie. Klepnął mnie w ramię.

- Po prostu dbam, żeby twoja reputacja cię wyprzedzała.

- Dzięki.

Poszliśmy za Isaakiem. Długie drobne warkoczyki, związane w koński ogon, kołysały się nad jego karkiem. Zaprowadził nas do sporego pokoju, pustego, jeśli pominąć maty na podłodze i zawieszoną na ścianach broń.

Lydia zauważyła, że się rozglądam, i uśmiechnęła się do mnie.

- Sala treningowa.

Isaak zaprowadził nas do kolejnych drzwi, za którymi powitały nas trzaskający ogień, zapach świeżo parzonej kawy i dwie twarze. Jedna uśmiechnięta, a druga naburmuszona.

- Cześć, piękna. - Lydia rozłożyła ramiona i uściskała kobietę, która była chyba w podobnym do niej wieku: mogła mieć jakieś trzydzieści pięć lat, rok mniej, rok więcej, i której półdługie sprężyste loczki przypomniały mi Bryn, tylko były kruczoczarne.

- Ale mi się dziś poszczęściło - odparła kobieta i pocałowała ją.

- A mnie też może się poszczęścić? - spytał Connor, przyglądając się całującej się parze.

- Nie podrywaj mojej dziewczyny, Connor. - Lydia się roześmiała, zamykając drugą kobietę w niedźwiedzim uścisku.

- Wcale jej nie podrywałem - zaprotestował Connor. - Powiedziałem jej komplement. Myślisz, że kłusuję na twoim terytorium? Zapominasz, że razem z tobą chodzę na patrole. Nie chciałbym stanąć na drodze twoim sztyletom.

- Mądry chłopiec - pochwaliła Lydia i obróciła drugą kobietę twarzą w moją stronę. - Tess, to jest Calla. To ta śpiąca wilczyca, którą staraliśmy się dobudzić.

- No i się udało. - Tess podeszła do mnie natychmiast, wyciągając obie dłonie. - To zaszczyt poznać cię.

Znów to słowo... Zaszczyt. Wyprowadzało mnie z równowagi.

- Dzięki. - Ujęłam obie jej dłonie; były miękkie i ciepłe. Kiedy się uśmiechnęła, jej jasne błękitne oczy zabłyśły, pełne szczerzej dobroci. Polubiłam ją natychmiast.

- Mamy czas na kubek kawy? - zagadnął Isaac, unosząc dzbanek. - Czy od razu rzucamy się na krew i flaki?

Popatrzyłam na niego, zaskoczona pytaniem, które kazało nam wybierać między kawą a rozróbą.

- Nigdzie się nie będziesz rzucał - powiedziała Lydia, znów obejmując Tess. - Żniwiarze zostają na gospodarstwie. Tylko Napastnicy i wilczyca ruszają w trasę.

- I ja - dodała Adne.

- Słyszałem, że zostałeś nową Tkaczką, Ariadnę. - Isaac nalał sobie kubek kawy. - Witaj na pokładzie.

- Adne - poprawiła go. - Po prostu Adne.

- Nadal buntujesz się przeciwko ojcu, Ariadnę? - spytała Tess, przytulając się do Lydii. - Już o tym rozmawialiśmy.

- To wy o tym rozmawialiście - oburzyła się Adne, mijając je, żeby przysiąść za kuchennym stołem obok Ethana, który gapił się w swoją kawę i talerz pełen okruchów. - A poza tym, może byście sobie wynajęły pokój? Wiecie, nie wszyscy

tutaj już znaleźli swoją drugą połowę, a wy dwie ciągle się tym przed nami popisujecie.

- Uważaj - mruknęła Lydia. - Aż tak wiele okazji nie miewamy i ty dobrze o tym wiesz. Na ogół mamy fart, jak nam się uda spędzić chociaż pół godzinki w tej samej strefie czasowej.

- Poza tym masz szesnaście lat, Ariadnę. - Tess popatrzyła na nią surowo.

- Nie miałaś jeszcze czasu, żeby się natknąć na miłość.

- No jak to, nie miała? - Connor przysiadł na krześle przy Adne i objął jej plecy. - Ona tylko jeszcze jej nie doceniła.

Adne jęknęła i oparła czoło na blacie stołu.

- Wyjdę za mąż za pierwszego, który mi da kubek kawy. Wszystko mi jedno, kto to będzie.

- Isaac, dawaj ten dzbanek! - Connor szybko zerwał się z krzesła.

- O rany... - mruknęła Adne w blat stołu.

- Żartujesz? - powiedział Connor. - Kubek kawy zamiast pierścionka? Na takie oświadczyzny zawsze jestem gotowy.

Dotknęłam chłodnej metalowej obrączki na swoim palcu. Kiedy złapałam wzrok Adne, schowałam dłoń pod stół.

- Na więcej cię zresztą nie stać - dodał Isaac.

- No cóż, to też prawda. - Connor się zaśmiał.

- A ja nadal nie mam kawy - poskarżyła się Adne. -1 to mimo mojej szczodrej oferty.

- Nie poddawaj się, kochanie. - Isaac uśmiechnął się, przynosząc jej parujący kubek. - Kawy, Callo?

- Uch, ja... - zawahałam się. Nadal nie mogłam się połapać w tej bezładnej gadaninie tuż przed walką. - Nie powinniśmy skupić się na ataku? Anika mówiła, że mamy mało czasu, jeśli chcemy, żeby atak się powiodł.

W kuchni zapadła cisza. Wstrzymałam oddech, bo najwyraźniej powiedziałam coś złego. Ulitowała się nade mną Tess.

- Kotku, na kubek kawy zawsze jest czas. - Wzięła mnie za ramię i posadziła na krześle obok Connora.

- Zawsze jest czas na coś dobrego, kiedy masz spojrzeć śmierci w twarz - dodał Connor.

- Amen - mruknął Ethan ze swojego kąta. Popatrzyłam na ich niewyraźne, słabe uśmiechy i moja konsternacja znikła. Zastanowiłam się nad ich życiem. Nad tym, czemu muszą stawiać czoło. Opiekunowie, Strażnicy. Zmory. Stworzenia rodem z koszmarów.

Przetrwanie. To o nie w tym wszystkim chodziło. Poszukiwacze byli wojownikami, jak Strażnicy. Każdą walkę traktowali tak, jakby mogła być ich ostatnią. To wszystko - od kawy pitej

0 dziwnej porze po niestosowne żarciki Connora - wzmacniało ich obronę. Tyle że nie była to żadna zbroja, ale mentalne sztańce. Sposób na to żeby ocalić ducha przed rozpaczą.

I chociaż to wszystko wydawało się dziwaczne, odpowiadała mi taka strategia. Zwłaszcza jeśli szło o kawę. Zastanowiłam się, czy irytacja wywołana brakiem kofeiny nie dałaby mi przewagi w walce.

- Co to za miejsce? - spytałam, próbując jakoś poskładać w całość magazyn, salę treningową i jeszcze tę kuchnię.

- Mamy takie placówki obok głównych siedlisk Opiekunów na całym świecie. Mają dwie główne funkcje: pomagać nam utrzymywać kontakty z naszymi agentami w świecie ludzi i służyć jako punkty wypadowe do ataków na cele Opiekunów.

- Nie ma jak w Czyścucu - westchnął Isaac.

- Może to i Czyściciec. - Lydia się roześmiała. - Ale kawa jest cholernie dobra.

- Czyściciec? - Zmarszczyłam brwi, a potem się rozchmurzyłam, kiedy Isaac wręczył mi kubek pełen gorącego napoju, czarnego jak smoła.

- Wiesz, to miejsce, w którym tkwisz pomiędzy niebem a piekłem - wyjaśnił Connor. - Niebem jest Akademia, a piekłem...

- ...Vail. - Ethan odepchnął krzesło od stołu i przeszedł na drugi kraniec kuchni. Najwyraźniej nie mógł już ani chwili dłużej znosić mojej bliskości.

Tess popatrzyła na niego i pokręciła głową, ale zignorował ją, popijając swoją kawę i milcząc uparcie.

Zdecydowałam, że najlepiej będzie pozwolić Ethanowi trzymać się ode mnie z daleka. Nie miało znaczenia, czy mi ufa ani czy mnie lubi. Nie znalazłam się tu po to, żeby szukać przyjaciół. Byłam tu po to, żeby ratować swój klan.

Obróciłam się w stronę Connora.

- No więc gdzie my właściwie jesteśmy?

Kiedy zadawałam to pytanie, musiałam ukryć dreszcz niepokoju; jeśli przebywaliśmy gdzieś blisko Opiekunów, to na ile byliśmy bezpieczni?

Lydia odpowiedziała, siadając razem z Tess przy stole:

- Jesteśmy w jednym magazynie w Denver. Tkacze otwierają stąd przejścia do punktów uderzeniowych. Napastnicy przychodzą i odchodzą zgodnie z rozkazami.

- A my, Żniwiarze, siedzimy jak w więzieniu - dodał Isaac ze smutną miną.

Tess zacmokała językiem.

- Chcesz powiedzieć, że nie jestem dobrym towarzyszem?

- Nie chcę, jeśli to miałoby znaczyć, że przestaniesz dla mnie gotować - odparł Isaac, uśmiechając się do niej szeroko.

- To teraz kazał ci sobie gotować? - spytała Lydia. - Jesteś naprawdę zbyt uległa.

- Nie niszczyć moich układów, kobieto! - zaprotestował Isaac. - Poza tym, zmywam naczynia.

- Fakt, zmywa - potwierdziła Tess.

Wypiłam łyk kawy, usiłując za tym wszystkim nadażyć.

- Kim są Żniwiarze?

- Na świecie nie zostało zbyt wielu Poszukiwaczy. - W głosie Lydii pojawiła się ostrzejsza nutka. - Większość przebywa w Akademii i tam uczy lub trenuje, na misje bojowe wyrusza-

ją tylko w razie potrzeby. Ale ci, którzy nadal walczą na co dzień, mieszkają w takich właśnie placówkach. Nasze zespoły zawsze tak samo dzielą zadania między swoich członków; pracujemy w grupach po dziesięć osób, każdemu przydziela się konkretne zadania. Żniwiarze zbierają zapasy i handlują wartościowymi towarami na czarnym rynku, zapewniając nam płynność finansową we współczesnych światowych walutach.

- Na czarnym rynku? - Zmarszczyłam brwi, nieco zaniepokojona.

- Nic się nie martw, Calla, nie handlujemy paskudztwami, żadnych ludzkich organów. - Tess zachichotała, kręcąc głową. Kiedy roześmiałam się niepewnie, szybko dodała: - Chodzi głównie o dzieła sztuki i antyki. Rzeczy, które potrafimy odszukać, a do których inni ludzie mają utrudniony dostęp.

- Próbuje ci powiedzieć, że Żniwiarze to szmuglerzy - sprostował Connor.

- Ale sympatyczni.

- Connor, wiesz, że długo i ciężko pracowaliśmy, żeby się tego nauczyć - powiedział Isaac.

- Dłużej niż ty - dodała Tess.

- Jak długo? - spytałam.

- Nauka Poszukiwacza to dwa lata szkolenia ogólnego i kolejny rok specjalizacji - odparła. - Żniwiarze robią dodatkowe dwa lata.

- Żeby nauczyć się szmuglować?

- No i widzisz, co narobiłeś, Connor. - Tess pokręciła głową. - Nie, to nie tak. Żniwiarze na wrywki znają historię sztuki, języki nowożytnie i klasyczne. To dodatek do bojowego wyszkolenia. Praca Żniwiarza jest właściwie bardziej niebezpieczna niż obowiązki Napastnika.

Nerwowo odchrząknęłam.

- A Napastnicy są...?

- Odpowiednikiem Strażników - rzekła Lydia. - Trenuje się ich, by szli na pierwszy ogień w walce z Opiekunami.

Uderzają na wyznaczone obiekty wroga. Ale oznacza to, przede wszystkim, że zabijają Strażników.

- Super. - Poczułam, że po jej słowach w moich ustach wyostrzają się kły.

- A Tkacze otwierają portale. A Monroe jest waszym...

Próbowałam sobie przypomnieć, jak oni go nazywali.

- Przewodnikiem - odpowiedziała Tess. - On jest naszym Przewodnikiem.

Ethan pochylił się, z trzaskiem stawiając na stole pusty kubek po kawie.

- Skoro zajęcia przedszkolne odbyte, może byśmy ruszyli? Anika miała rację. Zostało nam już tylko kilka godzin dziennego światła.

- Ethan... - Tess się podniosła.

- Spokojnie, kochana. - Connor też wstał. - Nic mu nie jest. Musimy ruszać.

Lydia popatrzyła na mnie.

- Na pewno nadal masz mnóstwo pytań. Przepraszam, ale nie możemy odpowiedzieć na wszystkie teraz.

- Nie przejmuj się. - Wstałam, moje mięśnie aż śpiewały. Nakręcona kofeiną i myślą o tym, że będę w lesie, nie mogłam usiedzieć w miejscu. Czas już, żeby alfa znalazła swój klan.

6

Za przejściem otwartym przez Adne tym razem ukazał się krajobraz znany mi przez całe życie. Pokryte śniegiem zbocze skrzyło się w popołudniowym słońcu, tu i ówdzie poprzecinane cieniami wysokich sosen.

- To wschodni stok - mruknęłam. Ogarniało mnie pragnienie, by pobiec, odszukać członków klanu i doprowadzić ich w bezpieczne miejsce.

Zacisnęłam zęby, walcząc o samokontrolę.

- Tak - powiedziała Adne. - Pasuje? Miejsce spotkania mamy wyznaczone niedaleko. Grant jest na szlaku pieszym mniej więcej pół kilometra stąd; to w parku narodowym, przebiega wzdłuż granicy tras waszych patroli, ale Grant nie powinien ściągnąć na siebie ataku wilków... mam nadzieję.

- Nie cierpię zimy - mruknął Ethan, zasznurowując buty.

- Już się nie mogę doczekać, aż zrobię orła na śniegu - odparł Connor, zapinając parę rakiet śnieżnych.

- Czasem naprawdę cię nie lubię - powiedział Ethan, sięgając po rękawice, ale widziałam, że z trudem opanowuje uśmiech.

Lydia zaśmiała się, nadal nakładając na siebie zimowy ekwipunek.

- Calla, Ethan i ja pójdziemy z tobą odszukać członków twojego klanu. Connor ruszy w przeciwną stronę, na spotkanie Grantowi.

Pokiwałam głową, chociaż w duchu żałowałam, że Connor nie idzie z nami zamiast Ethana. Nie pomogło mi też to, że kiedy przechodziliśmy przez portal, Lydia ruszyła pierwsza, a Ethan zamykał pochód.

Niepokoiliam się, że moje bezbronne plecy w zasięgu jego kuszy mogą okazać się zbyt kuszące.

- Będę czekać - dodała Adne, zamykając portal. Oparła się o drzewo. - Nie marudźcie za długo. Nawet te moje dwadzieścia warstw nie pomoże na takiej wysokości. Jest strasznie zimno.

Jej uwaga sprowadziła mnie na ziemię, wyrывая z rozmyślań o biegu przez śnieżne zasy.

- Dlaczego nie zaczekasz w środku? Poszukiwacze wytrzeszczyli na mnie oczy. Ja też gapiłam się na nich, nie rozumiejąc, czemu marszczą brwi. Kiedy przejście było otwarte, widać było przecież drugą stronę portalu. Obraz był zamazany, ale nie tak bardzo.

Ethan mruknął coś pod nosem. Adne zerknęła na niego i dopiero potem rzuciła mi szybki uśmiech.

- Przepraszam - powiedziała. - Zapomnieliśmy, że nie znasz naszych zasad. Portali nigdy nie zostawia się otwartych.

- Nigdy. - Ethan przytupywał na śniegu. - A Tkacze nigdy nie dołączają do ataku, zostają poza polem bojowych działań.

Adne nachmurzyła się, ale Connor pokręcił głową.

- Słońce, wiesz, dlaczego tak musi być.

- Przymknij się.

Lydia położyła dłoń na ramieniu Adne.

- Tkacze są najpotężniejszymi i najcenniejszymi instrumentami wśród Poszukiwaczy. Próbujemy ograniczać ryzyko do minimum.

- No, ale właśnie o tym mówię - odparłam sfrustrowana, że wciąż tak niewiele wiem o moich rzekomych sojusznikach. - Gdyby była po drugiej stronie, mogłaby po prostu zamknąć portal przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa.

- Niezależnie od tego, jak ostrożny jest Tkacz, zdarza mu się popełnić błąd. - Spojrzenie Adne cięło jak nóż. - Coś mogłoby się przedostać na drugą stronę.

- Mówiłaś chyba, że Opiekunowie nie mogą korzystać z portali.

- Opiekunowie nie mogą portali tworzyć - odparła Adne. - Ale mogą przez nie przechodzić. Tak samo jak ich bestie. Strażnicy, zmory, co tam chcesz.

- A jeśli Opiekunowie kiedykolwiek dostaliby w swoje ręce Tkacza - dodała Lydia - gdyby schwytanego zmusili do otwierania portali, to nawet nie wiedzielibyśmy, z której strony zaatakują. Dlatego właśnie portale się zamyka, a Tkacze nie mogą być Napastnikami. Pracują poza strefą rażenia... A przynajmniej tak daleko od niej, jak tylko się da.

Adne miała taką minę, jakby ugryzła cytrynę.

- Dlatego, jak pojawi się ktoś inny niż my, masz wracać do Czyścica - powiedział do niej Connor.

- Znam protokół. Zrobiłam dyplom, zapomniałaś?

- Jak bym mógł zapomnieć? - Connor się uśmiechnął, posyłając jej w powietrzu buziaka, a potem ruszył przez śnieg.

- No dobra, Callo - odezwała się Lydia. - Jesteś przecież najlepszym tropicielem. Prowadź.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, zmieniałam postać i skoczyłam w śnieg. Rześkie zimowe powietrze zalało mi nozdrza. Miałam ochotę zawyć. Jakiś królik wyskoczył spod krzaka i w pysku poczułam ślinę.

- Calla! - zawołała Lydia.

Zatrzymałam się gwałtownie, a śnieg wokół mnie wzbił się jak chmura białej mgły. Och.

Radość biegu po górskim zboczu kazała mi zapomnieć, że nie jestem w towarzystwie wilków. Ludzie są powolni. Obejrzałam się za siebie i podbiegłam do Lydii i Ethana, zmieniając postać, kiedy już znalazłam się przy nich.

- Przepraszam.

- Możesz biec przodem, ale nas nie zgub - powiedziała Lydia.
Ethan poprawił kuszę na plecach.

- Jeśli uznamy, że za bardzo się oddalasz, strzelę ci pod ogon.
Lydia posłała mu ostre spojrzenie.

- Żartowałem. Tylko żartowałem - dodał, ale jego uśmiech nie był zbyt przyjacielski.

Znów w wilczej skórze, mogłam trzymać się przed Poszukiwaczami, ale pilnowałam się, żeby nie stracić ich z oczu. Świeży śnieg wcale nam nie pomagał. Tłumił zapachy, zacierał niedawne ślady, wymazywał starsze tropy.

Portal otwarty przez Adne był na południowy zachód od Jaskini Haldisa. Ja skierowałam się na obwód, gdzie o tej porze, po południu, spodziewałam się natknąć na patrol Strażników. Dostosowanie się do moich nowych sojuszników nie było łatwe. Komunikacja między nami w najlepszym razie kulała, w najgorszym była okropnie frustrująca. Ile razy chciałam im coś powiedzieć, musiałam zawracać, zmieniać postać, a potem znów wybiegać naprzód. Przez to tylko jeszcze rozpaczliwiej pragnęłam odnaleźć wilki ze swojego klanu. Usiłowałam sobie przypomnieć, jak to było, pokonywać tę trasę z Shayem, kiedy wciąż był tylko człowiekiem. Byłam przecież cierpliwa,' a Poszukiwacze, jak się okazało, potrafili szybko poruszać się w zaśnieżonym terenie. Nie było to partnerstwo idealne, ale wiedziałam, że może działać sprawnie. Starłam się o tym pamiętać, kiedy skakałam przez śnieżne zaspę.

Drapałam pazurami w świeżym śniegu, żeby dosięgnąć zmarzniętej ziemi, unosiłam pysk, żeby powęszyć powietrze, robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby złapać trop mojego klanu. Ale nie wyczuwałam niczego. Żadnych śladów, żadnych zapachów. Nic. Gdzie oni są? Traciłam nadzieję w miarę, jak słońce się obniżało, aż wreszcie Lydia zawołała mnie znowu.

- Masz coś? - Patrzyła na groźne cienie, które kładły się na śniegu jak wielkie plamy atramentu.

- Nie - odparłam, kopiąc w śnieg. - Ten szajs tłumi zapachy. Nie wyczułam żadnych śladów poza dziką zwierzyną.

- Czy w czasie patrolu twój klan nie zostawiłby świeżych tropów? - spytał Ethan.

Zmarszczyłam brwi. Poruszył dokładnie ten temat, który nie dawał mi spokoju, kiedy okrążaliśmy górę. Nawet jeśli trasy się zmieniły, powinnam wyczuć Strażników patrolujących tę okolicę. Byliśmy za blisko Jaskini Haldisa, żeby tak starannie ją omijali. Chyba że... chyba że... Przecież ukradliśmy przedmiot ukryty w jaskini i Opiekunowie o tym wiedzieli. Nasza szkoła cała cuchnęła ich strachem, ich niepokojem, po tym jak Shay znalazł ten dziwny cylinder i go stamtąd zabrał. Haldis już nie potrzebował ochrony. Nie będzie już więcej patroli. A jedyny powód, dla którego wilki sprawdzałyby teren w pobliżu świętej jaskini, to...

- O nie - jęknęłam, uderzając się w czoło dłonią w rękawicy. Krew zlodowaciała mi w żyłach.

- Co? - spytała Lydia.

Nie chciałam im mówić. Czułam się jak ostatnia idiotka. Jak mogłam zapomnieć o czymś tak ważnym? Policzki mnie paliły, bo wiedziałam, dlaczego zapomniałam. Tak mnie pochłoneła myśl o odnalezieniu Masona czy Ansela, a nawet naburmuszonej Fey, myśl o odnalezieniu swojego klanu, że popadłam w stan oczekiwania typowy dla samicy alfa. Tutaj biegały patrole. Na tej górze koncentrowało się całe moje życie. Nawet nie przyszło mi do głowy brać pod uwagę inne możliwości. Ale dlaczego Shay nic nie powiedział, kiedy tworzyliśmy ten plan? Wiedział, że Haldisa już tam nie ma. Przecież sam go zabrał.

- Callo - znów odezwała się Lydia. - Co się dzieje?

Szukałam już słów wyjaśnienia i przeprosin, ale dostrzegłam coś kątem oka. Była to jakaś postać, ze sto metrów od nas, szybko zmierzająca w naszą stronę.

- Uwaga - ostrzegł Ethan i wymierzył z kuszy.

- Czekaj. - Lydia położyła mu dłoń na ramieniu. Postać poruszała się na dwóch nogach i wypatrywała nas, machając gorączkowo ramionami. - To Connor.

Poruszał się zadziwiająco szybko jak na kogoś w raketach śnieżnych; Poszukiwacze widocznie zawzięcie trenowali do walki w warunkach zimowych.

- Chodźcie - powiedział Ethan, ruszając w stronę Connora. Kiedy go dopadliśmy, zgiął się wpół, opierając dłonie na udach i odzyskując oddech.

- On nie żyje! - wysapał Connor między jednym haustem powietrza a drugim. - Grant nie żyje. Miał rozdarte gardło.

Wytrenowana do stosowania przemocy, nigdy nie przypuszczałam, że czyjaś śmierć wyprowadzi mnie z równowagi. Ale obraz gapowatego i łagodnego pana Selby'ego, leżącego w kałuży krwi, jego rozszarpanego ciała, sprawił, że zadygotałam.

- Cholera. - Ethan zwiesił głowę. Lydia przymknęła oczy.

- Szkoda. Ale to znaczy, że musimy się stąd wynosić. Jeśli wilki nadal polują, to mogą bez trudu nas wytropić... Albo wywęszyć Adne.

Connor pokiwał głową, ale spojrzał na mnie.

- Znalazłaś swój klan?

- Nie - odparłam, nadal porażona wiadomością o nagłej śmierci pana Selby'ego. - I właśnie dotarło do mnie, że...

Moje słowa stłumiło wilcze wycie. Drugie i trzecie sprawiło, że włosy na karku stanęły mi dęba.

- To nie jest mój klan - szepnęłam.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - powiedział Ethan. - W drogę.

- Trzymajmy się razem - Lydia zwróciła się do mnie, znów ruszając jako pierwsza.

Zawróciliśmy, ale Lydia poprowadziła nas zakosami, a nie prostą drogą, jaką tu przybiegliśmy. Tworzyła nową trasę, kierując się w stronę Adne, ale unikając ścieżki, którą przetarliśmy, nadchodząc. W wilczej postaci obiegałam naszą grupę, wracałam po naszych śladach, wciąż węszyłam i nasłuchiwałam wilków, które przedtem zawyły. Chciałam się zorientować, czy nas tropią. Zapadający zmierzch przyniósł jednak niepokojącą ciszę, a ja uświadomiłam sobie, że śnieg tłumi dźwięki tak samo jak zapachy. Wiatr zaczął zmiatać wierzchnią warstwę śniegu, zasypując nam twarze mroźnymi kryształkami. Wiało w kierunku, skąd nadbiegło wycie.

Niedobrze. Nasz zapach niósł się w stronę tamtych. Będą mogli nas wywęszyć, a ja nie zdołam ich wyczuć do chwili, kiedy będą już prawie przy nas.

Wycie znów zabrzmiało, tym razem o wiele bliżej.

- Chyba nie uda nam się uciec bez walki - powiedział Ethan.

- Nie zatrzymuj się. - Oddech Lydii tworzył białe obłoczki pary.

Zbliżaliśmy się już do miejsca, gdzie zostawiliśmy Adne, kiedy jakiś cień padł na naszą drogę z gałęzi drzewa ponad nami.

Lydia zawróciła na pięcie, sięgając po sztylet.

- To ja! - Adne uniosła rękę.

- Ale co ty robisz na drzewie? - spytał Ethan, zaglądając pomiędzy gałęzie.

- Chowam się. - Adne otrzepała nogi ze śniegu. - Usłyszałam wycie i pomyślałam, że lepiej będę ostrożna.

- Dobrze zrobiłaś - pochwalił Connor, któremu wyraźnie ulżyło, że nic jej nie jest.

- Co się stało? - zapytała.

- Zabili Granta - odparł Connor. Adne pobladła.

- O, nie.

Zastrzygłam uszami, chwytając jakiś nowy odgłos w lesie za naszymi plecami. Chrobot łap na lodzie. Nie chciałam znów się zmieniać, więc warknęłam do Poszukiwaczy. Wystarczyło.

Ethan już szykował kuszę.

- Adne, otwórz portal.

Zaczęłam skradać się w tamtą stronę, obserwując las. Dostrzegłam mgnienie ruchu. Rudawy wilk wyślizgnął się spomiędzy drzew. Serce zabiło mi mocniej. To był jeden z wilków Cienia Nocy. Sasha - matka Fey i jedna z wilczyc z patroli mojej matki. Skoczyłam w jej stronę.

- Callo, nie! - krzyknęła Lydia, ale się nie zatrzymałam. Znów szczeknęłam, tym razem nawołując Saszę. Jej postać mignęła mi między pniami drzew i wysłałam jej śladem myśl. *Sasha! Sasha, zaczekaj!*

Ruda wilczyca zawróciła i skierowała się w moją stronę. Biegła pędem, w ogóle nie zwalniając, a kiedy się zbliżyła, warknęła.

Witaj w domu, Callo.

Zgłupiałam, kiedy runęła na mnie całym ciałem. Potoczyłyśmy się w śnieg. Wywinęłam się i odskoczyłam na bok, kiedy kłapnęła tuż przy moim barku.

Przestań! Co robisz?

Nie odpowiedziała i znów się na mnie rzuciła, z oczami pełnymi nienawiści.

Wreszcie zadziałał mój instynkt i odpowiedziałam na atak, też warcząc.

Zagłębiłam kły w jej piersi, ale poczuwszy w pysku smak krwi własnego klanu, doznałam wstrząsu. W tej walce wszystko było wbrew naturze.

Atakowałam jedną ze swoich, matkę kogoś z mojego własnego klanu. To było wbrew wszystkiemu, czego się kiedykolwiek nauczyłam.

Znów spróbowałam do niej przemówić.

Proszę cię, Sasha. Jestem tu, żeby ci pomóc.

Ledwie umknęłam przed jej kolejnym atakiem.

Głupia dziewczucha.

Zimna prawda przejęła mnie dreszczem pod wilczym futrem. Sasha usiłowała mnie zabić i jeśli chciałam przetrwać, musiałam zabić ją. Z rozpaczą szukałam innego wyjścia z matni.

Tym razem, kiedy Sasha skoczyła, przeturlałam się na bok, zawróciłam w śniegu i zacisnęłam zęby na jej stawie skokowym. Pisnęła, kiedy moje kły przecięły ścięgno. Szarpnęłam za mięsień i znów zaskowyczała, rozpaczliwie się szamocząc i bezskutecznie próbując mnie ugryźć.

Spokojna, że nie zdoła już za mną pobiec, puściłam jej łapę i popędziłam w stronę Poszukiwaczy. Wśród drzew widziałam migoczący portal. Ale dosłyszałam też bitewne okrzyki. Zaczęłam się spieszyć, biegłam coraz prędzej.

- Calla! - Adne machała do mnie. Rzuciłam się prosto w jej stronę. Byłam zaledwie dziesięć kroków od niej, kiedy nagle uderzyło we mnie coś ciężkiego i twardego. Potoczyłam się na śnieg, zupełnie tracąc oddech. Podniosłam się i stanęłam na niepewnych łapach, a potem obróciłam się w stronę atakującego.

Futro wielkiego wilka było szarobrunatne i zmierzwione. Patrzył na mnie i obnażał kły.

Myślałam, że serce mi stanie, kiedy napotkałam spojrzenie Emila Laroche'a.

Alfa klanu Kary Nocy polował na nas.

Strach sparaliżował mnie, kiedy wydarzenia wreszcie ułożyły się w moich myślach w całość. Sasha polowała razem z Emilem. Z Emilem.

Przecież to nie miało żadnego sensu. Sasha była partnerką łowiecką mojej matki. Należała do klanu Cienia Nocy. Wilki Cienia Nocy słuchały tylko swoich własnych alf, moich rodziców: Stephena i Naomi Tor. Wilki Cienia Nocy i Kary Nocy nie cierpiały się nawzajem i raczej unikały kontaktu. Klany działały wspólnie tylko na wyraźny rozkaz Opiekunów. A teraz Emil Laroche, alfa klanu Kary Nocy, przewodził wilkom Cienia Nocy. Zjeżyłam się i warknęłam na niego, wciąż walcząc z niedowierzaniem. Wszystko w tej rzeczywistości,

którą wyraźnie widziałam przed swoimi oczami, było nienaturalne, nie takie, jak trzeba. Dlaczego Sasha słuchała poleceń Emila? Dlaczego mnie zaatakowała? Gdzie jest moja matka i ojciec? Gdzie mój klan? Ze szczęk wilka Kary Nocy spływała ślina, kiedy zaczął się skradać w moją stronę.

Przyszłaś błagać o wybaczenie?

Łapy się pode mną zatrzęsły.

Jego mięśnie zadrgały, kiedy otrząsnął futro ze śniegu.

Obawiam się, że się przekonasz, że na to już za późno.

Warknęłam. Jeśli Emil chciał walki, to gotowa byłam walczyć, chociaż wydawało się to bezsensowne - Emil cieszył się wśród Strażników opinią zabójcy. Był potężną, niepokonaną bestią i miał za sobą o wiele więcej lat walki niż ja.

Niczego nie żałuję.

Zapałam się mocniej łapami, czekając na jego skok. Nawet jeśli nie mogłam pokonać Emila, mogłam go zranić. Tak żeby bardzo bolało. Przywarł nisko do ziemi, a jego warkot brzmiał niemal jak gardłowy śmiech.

Dokładnie coś takiego powiedział twój ojciec.

Mój ojciec?

Nadal czułam szok po jego słowach, kiedy zawył i obrócił łeb, żeby wyrwać sztylet, który utkwiał mu w boku. Potoczył się w śnieg, zostawiając za sobą ślad szkarłatu, a drugi sztylet chybił o włos.

- Calla! Pędź do Adne! - krzyknęła Lydia. Biegła w stronę Emila, trzymając w dłoniach dwa kolejne sztylety.

Zebrałam się w sobie i rzuciłam w stronę portalu.

- Ruchy! Ruchy! - wrzeszczał Connor, atakując kolejnego wilka ze starszyczny Kary Nocy o parę kroków od naszej drogi na wolność. Strażnik i Poszukiwacz przewrócili się w śnieg, zostawiając za sobą chmurę jasnego, połyskującego śniegu. Dostrzegłam błysk sztyletu Connora w zmierzającym

słońcu za każdym razem, kiedy unosił go w górę, by uderzyć w wilka. Wilk z klanu Kary Nocy kłapał, ale trafiał w próżnię, a Connor wywijał się i trzymał z daleka od jego paszczy. Kiedy ich mijałam, odparł atak kłapiących zębów Strażnika płazem sztyletu i sprawnie uderzył drugim. Kopniakiem zsunął bezwładne ciało wilka z ostrza i ruszył biegiem za mną.

Kątem oka widziałam Ethana tuż obok portalu zabezpieczającego atak Lydii zaporowym ogniem bełtów. Zmieniłam postać, z trudem łapiąc oddech, ale musiałam przecież zapytać go, co teraz.

- Chodź! - Czyjeś ramię wychynęło z jaśniejącego portalu i Adne wciągnęła mnie w ciepło treningowej sali Czyścica w chwili, gdy Connor pchnął mnie od tyłu, i oboje wydostaliśmy się z zaśnieżonego lasu.

- Lydia, droga wolna! - ryknął Ethan. - Wracaj tu! - Postąpił dwa kroki w jej stronę, kiedy z lasu wypadły cztery kolejne wilki i runęły w stronę alfy klanu Kary Nocy.

- Lydia! - wrzasnął Ethan i wypuścił kolejne bełty z kuszy. Oderwała wzrok od Emila i dostrzegła zbliżających się Strażników. Cisnęła jeszcze dwa sztylety w stronę nowych napastników. Udało jej się powalić jednego i spowolnić drugiego. Ale kiedy zawróciła i rzuciła się biegiem w stronę portalu, Emil skoczył za nią, szybując w powietrzu.

Pełna siła jego skoku zwała ją na ziemię, rozpląszczyła na śniegu. Trzy pozostałe wilki dogoniły go, kiedy zatapiał już kły w jej karku.

- Nie! - krzyknął Connor, przepychając się obok mnie, żeby znów skoczyć przez portal. Ale stał tam Ethan, blokujący mu drogę. Pokręcił głową, a potem spojrzał na Adne.

Connor zaklął, ale się nie spierał.

- Już po niej, Adne - powiedział Ethan, nie obracając się, żeby zobaczyć, jak Emil rozdziera ciało Lydii. - Zamknij przejście.

Tess leżała na podłodze, bezradnie zwinięta w kłębek, a Connor cicho do niej mówił.

- Lepiej ją ze sobą zabierzmy - powiedział Ethan do Isaaca. - Na razie mogą tu podesłać innego Żniwiarza. Zostanę w placówce, póki Anika czegoś nie ustali.

Isaac pokiwał głową.

Siedziałam przy stole, a Adne tkąła przejście do Akademii. Usiłowałam jakoś połapać się w tym, co się przed chwilą stało. Lydia nie żyła. Ledwie ją znałam, ale sposób, w jaki zginęła, nie dawał mi spokoju. Robiło mi się niedobrze i dostawałam dreszczy. Ukryłam twarz w dłoniach.

Nie mogłam pozbyć się myśli, że to ja sprowadziłam ten ból na swoich nowych sojuszników. Tess płakała, a każdy jej szloch był jak brzytwa przecinająca mi skórę. Podbiegłam do Sashy. Założyłam, że każdy wilk Cienia Nocy to sprzymierzeniec. Nie mogłam pomylić się bardziej. Moja kiepska ocena sytuacji kosztowała Lydię życie.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że patrzy na mnie Adne.

- Portal otwarty - powiedziała.

Poszłam za nią do jaśniejącego przejścia. Tess płakała Isaacowi w ramię, a on tulił ją i szeptał słowa pożegnania. Potem Connor objął ją w talii i przeprowadził przez portal.

Kiedy mijałam Ethana w drodze do przejścia, wyciągnęłam rękę i złapałam go za rękaw kurtki. Może powinnam była

wybrać sobie kogoś innego, ale po prostu musiałam wyrzucić z siebie te słowa.

- Przykro mi - szepnęłam.

Pokręcił głową, ale więcej w nim było smutku niż gniewu.

- Daj spokój. Tak bywa.

Wiedziałam już, jak to działa. Pomijając Tess, Poszukiwacze ukrywali swój żal i dalej robili swoje w sposób, który był jednocześnie brutalny i piękny.

- Prześlijcie nam wiadomości, jak tylko się da - poprosił Ethan.

- Jasne - odparła Adne i pokazała mi gestem, że mam iść przodem.

Czekała na nas Anika. Strzała nie odrywała oczu od Tess, która usiłowała opanować łzy.

- Lydia? - zagadnęła Anika. Tess znów się rozsypała, a Anika pochyliła głowę.

- I nasz kontakt - dodał Connor.

- Tess, powinnaś odpocząć w swojej kwaterze w skrzydle Haldisa - powiedziała Anika.

Tess pokiwała głową. Kiedy odeszła, Anika zwróciła się do Connora:

- Co się stało?

- Nie jestem pewien. - Connor potarł sobie kark. - Kiedy dotarłem na miejsce spotkania, Grant już nie żył. Wykrwawił się przynajmniej godzinę wcześniej. Jego ciało już zdążyło zamarznąć.

Anika zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie.

- A twój klan?

Pokręciłam głową, zastanawiając się, czy nie powinnam powiedzieć im o Haldisie i o swojej teorii, że trasy patroli zostały zmienione. O tej straszliwej pomyłce, którą w jakiś sposób popełniłam. Ale ze względu na niedawne wydarzenia, postanowiłam zamilczeć.

- Wilki, które napotkaliśmy, zaatakowały nas bez chwili wahania - powiedział Connor.

Pokonując suchość w gardle, odezwałam się:

- Coś się zmieniło.

- To znaczy? - Connor spojrzał na mnie uważnie.

- Jeden z wilków, które nas zaatakowały, należał do Cienia Nocy - ciągnęłam. - Nie był to nikt z mojego klanu, ale ze starszych. I tej wilczycy rozkazy wydawał ktoś z Kary Nocy.

- Jesteś tego pewna? - Anika zmrużyła oczy.

- Tak - odparłam, powstrzymując drżenie głosu. - Ten wilk, który zabił Lydię, to Emil Laroche.

- Coś ty powiedziała? - Monroe pojawił się w drzwiach, przy jego boku stał Shay.

Adne już szła przez salę. Oparła czoło na piersi Monroe'a.

- Straciliśmy Lydię - rzekł Connor, obserwując, jak Monroe obejmuje Adne. Po raz pierwszy widziałam, że zachowują się jak ojciec i córka.

- Emile to zrobił? - spytał Monroe, głaszcząc Adne po włosach. - Alfa klanu Kary Nocy?

- Tak - powiedziałam.

Grupa Poszukiwaczy stojących przy Anice otoczyła ją ciasnym kręgiem. Mówili coś szybko przyciszonymi głosami.

Shay ruszył w moją stronę, a ja wyszłam mu na spotkanie. Nie wahałam się, kiedy wyciągnął do mnie ramiona. W głowie mi się kręciło. Tyle rzeczy zdarzyło się w Vail. Rzeczy, których nie umiałam zrozumieć. Przytuliłam się do niego, pozwalając, żeby jego zapach otoczył mnie i uspokoił.

- Nic ci nie jest? - szepnął.

- Nie jestem ranna - mówiłam cichym głosem. - Ale działy się różne rzeczy.

Objął mnie mocniej.

- Jakie rzeczy?

- Nie tutaj - mruknęłam. Pocałował mnie w czoło na linii włosów.

Monroe popatrzył na nas z ponurą miną.

- Musimy przedyskutować to z Silasem. Anika pokiwała głową.

- Powinien być w swojej pracowni.

Adne już wysunęła się z objęć ojca i otarła ślady łez na policzkach.

- Pójdę z wami.

- Powinnaś trochę odpocząć.

- Nie. - Znikła już wszelka słabość, zastąpiona jej zwykłą buntowniczą miną.

- To ja też pójdę - oświadczył Connor. Patrzył na Adne. Widziałam w jego niespokojnych oczach rodzące się pytania.

Zastanawiałam się, dlaczego jest taki opiekuńczy. Adne wydawała mi się bardzo wojownicza i trzymała się teraz zadziwiająco dobrze, biorąc pod uwagę... Och. Opiekuńczość Connora nagle nabrała sensu.

Przecież to była pierwsza misja Adne jako nowej Tkaczki, jej pierwsza wyprawa w teren z zespołem Haldisa i już stracili dwoje ludzi. Czy ona naprawdę wykazywała zimną krew wzorem pozostałych Poszukiwaczy? A może tylko chciała zachować twarz, dopóki nie zostanie sama?

- Tędy - powiedział Monroe, ale zanim wyprowadził ich z sali, jeszcze raz z niepokojem spojrzął na Adne.

Tym razem nie poszedł korytarzem, ale otworzył przeszklone drzwi.

Powietrze na dziedzińcu było lodowato zimne, ale Monroe, nie reagując, skierował się na mostek. Zerknęłam w dół na gołą ziemię. Daleko pod nami, w dole, widziałam wijące się ścieżki i puste fontanny. Nikt się nie odzywał, kiedy tak szliśmy. Nasze oddechy napępniały powietrze niewielkimi chmurkami bieli. Dziedziniec był potężny. Przeszliśmy pół kilometra, zanim Monroe otworzył drzwi po przeciwnej stronie Akademii.

Kształt korytarza, w którym się znaleźliśmy, był dokładnie taki sam jak w skrzydle Haldisa, lecz jego wystrój był

kompletnie odmienny. Haldis - od ścian po ciemne drewno w sali taktycznej - pełen był ciepłych, głębokich brązów, szkarłatów, mahoni. To miejsce błyszczało jak wykute w lodzie. Zimny błękit, odcień lawendy, srebro i połyskliwa biel pokrywały ściany. Kolory wirowały i przenikały się nawzajem, a towarzyszył im cichy szum niczym powiew lekkiej bryzy.

- Gdzie jesteśmy? - spytałam. Te ciągłe zmiany kolorów na ścianach wywoływały wrażenie, że cały budynek się porusza.

- To skrzydło Tordisa. - Monroe obejrzał się przez ramię. Dotarło do mnie, że on nadal idzie naprzód, a ja zostaję z tyłu. Chociaż wewnątrz było niesamowite, Poszukiwacze, między innymi Shay, na pewno już wcześniej je widzieli. Zdawało się, że nie dostrzegają jego piękna, a jeśli nawet, to nie poruszało ich na tyle, żeby o tym mówić.

- Ile skrzydeł jest w Akademii?

- Cztery - odparł Monroe, kiedy go dogoniłam. - Haldis, Tordis, Pyralis i Eydis.

- Ziemia, powietrze, ogień i woda - mruknęła Adne.

- Cztery żywioły. - Shay też rzucił okiem na ściany. Może wcześniej ich nie zauważył. - Tordis to powietrze.

Monroe pokiwał głową.

- Każdy żywioł ma swoje cechy. Żeby przetrwać, musimy korzystać ze wszystkich czterech, ale każdy Poszukiwacz po dołączeniu do Akademii specjalizuje się w jednym.

- Którym jest Haldis?

- Ziemia stwarza wojowników - wyjaśnił Connor i lekko uszczypnął Adne w policzek. - My jesteśmy twardsi.

- Chciałbyś. - Adne odsunęła jego rękę. - Poza tym, Pyralis też wypuszcza Napastników. Haldis jest znany ze swoich Żniwiarzy... i swoich Przewodników.

Zerknęła na Monroe'a, który lekko skłonił głowę.

- A ty? - spytałam ją. - Przecież nie zostałam wyszkolona w Haldisie? Ale pracujesz z nimi.

- Jak mówiłem - Monroe przystanął przed wąskimi, misternie rzeźbionymi drzwiami z drewna sosny - potrzebujemy wszystkich czterech żywiołów, żeby przetrwać. Tkacze trenują z każdą dywizją; stwarzanie portali wymaga użycia wszystkich żywiołów naraz.

- O rany. - Shay zerknął na Adne i uniósł jedną brew.

- To tylko brzmi tak imponująco. - Rzuciła mroczne spojrzenie w stronę swojego ojca.

- A gdzie tam. - Connor zmierzwił jej włosy, a ona pokazała mu język.

- Ale większość z nas pozostaje w jednej dywizji. - Monroe zastukał do drzwi. - Tordis... powietrze... jest żywiołem intelektu. Trenują tu i mieszkają Skrybowie.

Drzwi otworzyły się szeroko. Za nimi stał Silas. Trzymał pełne naręcze zwojów.

- Co? - Spojrzał gniewnie na Monroe'a. - Jestem zajęty.

- Straciliśmy Granta.

Zwoje posypały się na posadzkę, a Silasowi zbiełała twarz.

- Nie.

- Przykro mi. - Monroe minął go i gestem pokazał nam, że też mamy wejść do środka.

Silas nadal stał w przejściu jak zmrożony, kiedy go mijałam.

- Hm... - Shay rozejrzał się wkoło. - A więc to jest pracownia?

Dobre pytanie. Gabinet, do którego weszliśmy, wyglądał tak, jakby wszystkie słowniki świata kryły się tu, żeby umrzeć makabryczną śmiercią. Cała podłoga zasłana była papierem. Wieże z książek chwiały się niebezpiecznie niczym pomniki, które lada chwila się zawała.

- Niczego nie dotykać! - Silas najwyraźniej otrząsnął się z szoku, odepchnął mnie na bok i zaczął się przedzierać z powrotem w stronę biurka czy raczej miejsca, gdzie można było domyślać się biurka pod stertą papierów i map, zupełnie jakby pokonywał pole minowe.

Connor przeszedł przez sam środek pokoju, kopniakami usuwając sobie z drogi książki i stosy notatek.

- Cholera, Connor! - wrzasnął Silas. - Teraz nie będę mógł niczego znaleźć.

- To nie mój problem - odparł Connor, siadając na krześle, z którego najpierw zsunął kolejny stos książek. - Jakby mnie w najmniejszym stopniu wzruszały twoje przywileje cudownego dziecka. Anika się nad tobą trzęsie, ale to nie znaczy, że ja też będę.

Monroe przeszedł przez pokój nieco uważniej, a za nim Adne i Shay. Ja postanowiłam pójść ścieżką przetartą przez Connora.

- Jeszcze jakieś krzesła, Silas - odezwała się Adne.

- To mój gabinet. - Silas uśmiechnął się szyderczo. - Nie archiwa Tordisa. Zwykle nie miewam tu gości.

- Możesz mi usiąść na kolanach. - Connor mrugnął do Adne, klepiąc się w udo.

- Co za dżentelmen - mruknęła i oparła się o biurko Silasa.

- Możemy postać - powiedział Monroe.

- Wyjaśnicie mi, jak straciliśmy agenta? - Silas grzebał w stosie zwojów. Znalazł pióro oraz czystą kartkę i zaczął coś gryzmolić.

- Nie jesteśmy pewni. - Monroe zerknął na mnie. Przez chwilę patrzyłam na niego, a potem dotarło do

mnie, że chciał, żebym zagrała główną rolę. No cóż, przecież od tego jestem, prawda? Wyprostowałam się nieco, zdziwiona, ale i zadowolona, że Monroe szanuje moją pozycję alfy.

- Coś złego stało się z klanami Strażników - zaczęłam. - Nie jestem pewna co, ale patrole nie działają już zgodnie ze znanym mi schematem.

Silas zacisnął usta, a potem ruchem głowy dał mi znak, żebym mówiła dalej.

- Emil Laroche przewodził wilkom Cienia Nocy. - Ramiona aż mi zeszywniały na wspomnienie walki z Sashą. - Nadal nie mam pojęcia, jak to możliwe.

Kiedy wymówiłam nazwisko Emila, Monroe zacisnęła szczękę.

- Alfa klanu Kary Nocy był na patrolu Cienia Nocy? - Silas nie podniósł wzroku znad swoich notatek.

- Nie na patrolu - odparłam i poczułam, że robi mi się zimno. - Na polowaniu. Polowali na nas.

Z palców Silasa wyleciało pióro. Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Myślisz, że wiedzieli, że nadchodzimy?

- Jeśli nawet nie wiedzieli, nie byli zaskoczeni. Moim zdaniem czekali, aż się tam pokażemy.

- Mogli wydobyć informacje od Granta, zanim go zabili - westchnął Silas.

- Nie wydaje mi się - powiedział Connor. - To ja go znalazłem. Wyglądało to tak, jakby wpadł w zasadzkę i został z miejsca zabity.

Silas się nachmurzył.

- Więc muszą czerpać informację ze swoich własnych źródeł.

- Znaczący, od szpiegów u nas? - spytał Shay. - Uważasz, że mają tu kreta?

- Jasne, że nie - parsknął Silas. - Nasi ludzie nie przechodzą na stronę wroga. Miałem na myśli ją.

Wskazał na mnie. Zabrakło mi w płucach powietrza. Zanim minęła sekunda, zmieniłam się w wilka i wskoczyłam z warkotem na jego biurko. Kłapnęłam zębami tuż przed jego twarzą. Silas wrzasnął, przewrócił swoje krzesło i potoczył się na podłogę.

- Calla! - krzyknął Monroe.

Zmieniłam postać, nadal przyczajona na biurku.

- Miałeś na myśli mnie? - Popatrzyłam ostro na Silasa, który zasłaniał się przede mną nożykiem do papieru.

- Wiesz przecież, że ona nie jest wilkołakiem, prawda? - Shay uśmiechnął się złośliwie do Silasa. - Ten srebrny gadżet me na wiele ci się zda.

- Monroe! - Silas wytrzeszczył oczy, kiedy przycupnęłam na krawędzi biurka gotowa do skoku.

- Caiio, proszę cię - powiedział Monroe. Nie patrzyłam na niego.

- Silas, wyjaśnij mi po prostu, o co ci chodziło. Z trudem przełknął.

- Chciałem tylko powiedzieć, że najbardziej prawdopodobnym źródłem informacji o tobie i Shayu są członkowie twojego klanu. Pewnie ich przesłuchiowano.

Ręce i nogi mi zadygotały i o mało nie straciłam równowagi. Zatrzymano ich na przesłuchanie.

- Ale...ale oni przecież nic nie wiedza - wyjąkałam. - tylko Shay i ja wiedzieliśmy... O Boże.

- Co? - Connor nachylił się ku mnie. Czułam, że cała krew odpływa mi z twarzy.

- Ren - szepnęłam. - Ren wiedział.

- Ile wiedział? - głos Monroe'a się załamał

- Powiedziałam mu o Corinne... O tym, że Opiekunowie ją zlikwidowali.

- Walczyłam z mgłą przesłaniającą wspomnienia tamtej nocy. -

Powiedziałam mu, że Shay jest Potom- Cholera - zaklął Connor. - No i po naszym sojuszu

- Dlaczego? - spytał Shay.

Silas powoli wstawał z podłogi, cały czas patrząc na mnie - B o oni będą trzymali te młode wilki pod kluczem dopóki me upewnią się, po której stronie jest ich lojalność' Nie uda nam się z nimi porozumieć.

Monroe zakrył dłońmi twarz. Zaklął i machnął pięścią z trzaskiem przewracając na podłogę stos książek

- Przykro mi - powiedziała Adne do ojca. Nie odpowiedział.

Connor wstał, przyniósł krzesło Monroe'owi i postawił je przed nim. Monroe z wdzięcznością skinął głową, usiadł, a potem oparł łokieć na kolanach, zatopiony w myślach.

- Skoro ta możliwość odpada - odezwał się Connor - to co teraz?

Zsunęłam się z biurka, ignorując Silasa, który drgnął, kiedy go mijałam.

- Nie chcę rezygnować ze swojego klanu - powiedziałam. - Nie możemy ich tak porzucić.

Wiedziałam wcześniej, że Ren był narażony na ryzyko, ale myśl o przesłuchaniach Bryn i Ansela wydała mi się jeszcze gorsza. Oni o niczym nie wiedzieli. Cokolwiek się z nimi stanie, odpowiedzialna będę tylko ja. To moje sekrety naraziły ich na niebezpieczeństwo.

- Nie porzucimy ich - obiecał Monroe, wpatrując się w przestrzeń. - Ale teraz musimy zorganizować akcję ratunkową. Już nie chodzi o sojusz. A przynajmniej nie w tej chwili.

- Potrzebujemy więcej informacji, zanim w ogóle zaczniemy myśleć o ratunku. - Silas opierał się plecami o regał, kiedy spojrzałam na niego groźnie.

- On ma rację, Callo - odezwała się Adne. - Nie możemy w ciemno ruszyć do Vail. Może przetrzymują tylko Rena, a może wszystkich członków twojego klanu.

Spojrzałam na Shaya. Z niechęcią pokiwał głową.

- No więc co? - rzuciłam. - Po prostu czekamy?

- Nie - odparł Monroe. - Czekanie nie wchodzi w grę.

- Czas na broń nuklearną. - Connor się uśmiechnął. - Prawda, Silas?

- W życiu nie słyszałem paskudniejszej metafory. - Silas wrócił do swojego biurka i aż jęknął na widok papierów, które podarłam na strzępy pazurami.

- O co chodzi? - Shay się nachmurzył.

- Jeszcze się nie połapałeś, dzieciaku? - Connor rzucił mu spojrzenie z ukosa. - Mówimy o tobie.

- O mnie? - Shay zamrugał.

Monroe podniósł wzrok. Oczy miał przekrwione.

- Silas, już pora.

- Pora na co? - spytałam. Nadal myślałam o swoim klanie. O Anselu i Bryn. Paliło mnie w piersi, kiedy odpierałam obrazy wszystkich tych rzeczy, które mogłyby ich spotkać. Które mogły się teraz dziać.

- Żeby Shay dowiedział się, kim jest - odparł Monroe.

- Wiem, kim jestem - oświadczył Shay.

- A chcesz się założyć? - Connor się roześmiał. - Bo czeka cię niespodzianka... Albo i sto. Możesz zgadywać dwa razy.

- Daj mu spokój - powiedziała Adne.

- Chcesz usłyszeć historię czy poznać plan? - spytał Silas.

- Poznać plan - zdecydowałam. - Co może zrobić Shay, żeby pomóc mojemu klanowi?

- Wiele jeszcze zrobić nie może. Najpierw musimy pozbierać wszystkie drobiazgi.

- Drobiazgi? - Shay popatrzył na Silasa ponuro. - Jakie znowu drobiazgi?

- Kawalki krzyża - odezwał się Silas przyjaznym tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Kawalki krzyża? - Shay jeszcze mocniej ściągnął brwi. Silas nachylił się, unosząc jedną brew i niemal oskarżycielskim tonem spytał Shaya:

- A tak konkretnie, to ile przeczytałeś stron *Wojny wszystkich przeciwko wszystkim*?

Pospieszyłam na pomoc Shayowi:

- Posłuchaj, profesorku. Musieliśmy ratować się ucieczką, jak tylko się okazało, że Potomek ma zostać zabity na ołtarzu ofiarnym w święto Samhain. I jeśli dobrze rozumiem, gdybyśmy się tu nie znaleźli, to wasze próby uratowania go raczej spełzyłyby na niczym. Więc uważaj, co mówisz. - Pokazałam mu ostre zęby.

Przez pokój przeszedł dreszcz zdumienia. Connor parsknął i roześmiał się, kiedy Silas znów sięgnął po nożyk do papieru. Monroe uniósł dłoń.

- Silas, ona ma rację, nie każdy jest w takiej luksusowej sytuacji, by mógł poświęcać całe życie na studia. Mamy szczęście, że oni tu wylądowali i karcenie ich za to, że nie udało im się przed ucieczką poskładać do kupy całej tej historii nie ma sensu.

Silas zadygotał, jakby z trudem opanowywał mdłości, ale po chwili spojrzął, naburmuszony, na Shaya.

- Przepraszam.

Shay posłał mu słaby uśmiech.

- Przeczytaliśmy tylko fragmenty.

- No, dobra. - Silas wziął głęboki oddech, jakby szykował się do pobicia rekordu w pływaniu pod wodą. - W każdym ze świętych miejsc jest jeden kawałek krzyża. Przepowiednia mówi, że musisz nieść ten krzyż. Tylko w ten sposób uda nam się zwyciężyć. - Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, resztę oddechu wypuścił gwałtownie, a potem zazgrzytał zębami.

- Silas, dobrze, że nie musisz zarabiać na życie pisaniem ludziom gotowców - mruknął Connor. - Kompletnie nie umiesz streszczać.

- Zwariować można - mruknęła Adne, a potem uśmiechnęła się do Shaya, który roześmiał się, ale unikał wzroku urażonego Silasa.

- Streszczenia to świętokradztwo - skwitował Silas.

Z wahaniem pochyliłam się naprzód, nie chcąc narażać się na kolejną ostrą uwagę.

- Nie rozumiem. Shay już nosi krzyż. Ma ten tatuaż. Connor znów się roześmiał.

- Stary, żałuję, że nie chciałeś się założyć. Shay i ja wymieniliśmy niepewne spojrzenia. Silas miał minę kury, która zaraz zniesie złote jajo.

Shay spojrzał na niego i się nachmurzył.

- No?

- Ten tatuaż świadczy tylko o tym, kim jesteś, stanowi sygnał dla tych, którzy cię poszukiwali. Ale to nie ten krzyż. -Błysk w oku Skryby niemal oślepił, może dlatego, że chłopak był tak pełen samozadowolenia.

- Więc czym jest ten krzyż? - spytałam.

Monroe nie patrzył na mnie, nie odrywał brązowych oczu od Shaya. Z gardła wyrwało mu się poważne, niemal smutne westchnienie.

- Rodzajem broni.

Rodzajem broni? - pytanie Shaya padło cicho, ale bez lęku.

- Technicznie rzecz biorąc, to są dwie sztuki broni - powiedział Silas rześko. - Ale powinno się ich używać razem. Jako jedną.

- Dwie sztuki broni? - powtórzyłam.

- Tak - potwierdził Monroe, nadal cichym głosem. - Dwa miecze.

- Miecze? - Shay zmarszczył brwi.

- Krzyż Żywiołów - sprecyzował Silas. - Jeden miecz z ziemi i powietrza, drugi z wody i ognia. Jeśli przyjrzesz się uważnie temu znakowi, zobaczysz, że każde ramię krzyża kończy się ostrzem. To ostrza mieczy.

- Mieczy - znów powtórzył Shay. W jego głosie słychać było frustrację i odrobinę rozczarowania.

- O co chodzi? - spytałam.

Skrzywił się i opuścił wzrok na własne dłonie.

- Shay? - Monroe pochylił się naprzód z bardzo poważną miną.

- No bo to takie jakieś... przewidywalne - mruknął Shay. - Nigdy nie wyobrażałem sobie, że miałbym walczyć mieczem. Zwłaszcza teraz, kiedy jestem wilkiem.

Po jego ostatnich słowach poczułam, że w żyłach krąży mi cieplejsza krew. Musiałam odwrócić wzrok od jego twarzy, żeby uspokoić szybciej bijące serce. Może on naprawdę rozumie, co to znaczy być Strażnikiem.

Jeśli to prawda, mógłby

pomóc poprowadzić mój klan, co dla mnie warte było o wiele więcej niż jakaś tam broń.

- To nie są zwykłe miecze - tłumaczył Monroe. - Jesteś jedyną osobą, która będzie umiała się nimi posługiwać.

Jedyną? Nieźle. Popatrzyłam na Shaya, minę miał dziwną, ale czujną. Splótł palce obu dłoni i znów się nachmurzył.

I nagle się roześmiałam, chwytając, co było źródłem jego niepokoju i frustracji. - Shay, na pewno będzie okej. Może tylko nie tak fajnie jak z biczem lub... szpikulcami do lodu.

- Szpikulcami do lodu? - ożywił się Connor. Shay pokiwał głową, ale nie unosił spojrzenia.

- Założę się, że teraz żałujesz, że nie poczytałeś więcej tych komiksów o nindżach, co? - Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Adne patrzyła to na mnie, to na Shaya.

- O czym ona mówi?

- O dziecięcych inspiracjach Shaya - objaśniłam, szczerząc zęby. - I o jego ulubionych podręcznikach walki.

- Miecze są takie... pospolite. - Pokręcił głową.

- Jeśli szukasz obrazkowej inspiracji, to *Ścieżka asasyna* albo *Szaman i wojownik* są najlepsze - podsunął Silas. - Mnóstwo walki na miecze i walki z dwiema sztukami broni, czyli dokładnie to, co musisz opanować. Mogę ci pożyczyć swoją kolekcję.

Shay rozchmurzył się nieco i uśmiechnął do Skryby.

- Będziemy kontynuować treningi, które w tym tygodniu rozpoczęłeś w Akademii - dodał Monroe. - To żaden problem. Connor może się tym zająć.

- Ja też mogę pomóc. - Adne rzuciła mroczne spojrzenie Monroe'owi, a ten zmarszczył brwi.

- Ona ma rację - stwierdził Connor. - Wiem, że nie jest Napastnikiem, Monroe, ale Adne ma naprawdę niezłe umiejętności bojowe.

Mrugnął do niej.

- Na pewno wszyscy będziemy kibicować przy twojej pierwszej potyczce z Potomkiem.

Adne uśmiechnęła się do niego.

- Widzisz, Monroe?

- No dobrze - westchnął. - Adne pomoże ci w treningach.

- Ale i tak musimy zebrać wszystkie cztery fragmenty krzyża, zanim to w ogóle będzie miało sens - dodał Silas.

Mimo gniewu w głowie miałam mętlik. Fragmenty krzyża. Shay powiedział, że w tekście Opiekunów były cztery mapy. Czy Haldis stanowił jeden z tych czterech fragmentów? I co to w ogóle za broń? W niczym nie przypominał żadnego miecza, jaki widziałam... A może jednak. Krzyż Żywiołów ma się składać z dwóch mieczy. Ten cylinder, który znaleźliśmy w jaskini, nie był, oczywiście, żadnym mieczem, ale wiedziałam, że mógłby się w niego zmienić. Zwłaszcza jeśli Shay jest jedynym, który może tymi mieczami władać. I jedynym, który może dotykać Haldisa. Tak musi być.

- Nie - powiedziałam cicho. - Musimy odnaleźć już tylko trzy fragmenty. W pokoju zapadła cisza, a spojrzenia wszystkich skupiły się na mnie.

- Słucham? - odezwał się wreszcie Silas.

- Shay i ja byliśmy w Jaskini Haldisa. On ma ten kawałek, który był tam ukryty.

Shay poblądł.

- Hm, Cal, ja im jeszcze nie mówiłem o Haldisie.

- Wiem. - Pozwoliłam mu wyczytać z mojego spojrzenia, co myślę o jego decyzji. - To rękojeść. Prawda? Rękojeść miecza?

- Tak... owszem. - Monroe popatrzył na Shaya. - Czego nie powiedziałeś nam o Haldisie?

Shay sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Przepraszam. Po prostu nie byłem pewien, czy możemy wam zaufać.

Ale zdaje się, że to już poza dyskusją. - Wyjął połyskujący ochrą cylinder.

Cisza, jaka zapadła w pokoju, była tak gęsta, że miałam wrażenie, że mogłabym ją ująć w wyciągniętą dłoń.

- Kiedy znalazłeś Haldisa? - spytał wreszcie Monroe. Nie odrywał oczu od tego dziwnego przedmiotu.

- Calla i ja poszliśmy przeszukać jaskinię w październiku - odparł Shay, turlając cylinder w dłoniach. Im uważniej się temu przyglądałam, im wyraźniej dostrzegałam, jak idealnie jego palce obejmują zakrzywienie cylindra, tym głębiej byłam przekonana, że moje domysły były słuszne.

- To wtedy Shay użył szpikulców do lodu - powiedziałam. - Opiekunowie zostawili na straży Haldisa wielkiego pająka. Zabił go.

- Szpikulcami do lodu? - Connor szerzej otworzył oczy. Shay wzruszył ramionami.

- To było okropne.

- No, ja nie wiem. - Uśmiechnęłam się na wspomnienie tamtej walki. - Przygwoździłeś tego potwora bez najmniejszego problemu.

- Szpikulcami do lodu? - powtórzył Connor, patrząc na Shaya tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

- No - przytaknął Shay, ale nieco zmienił się na twarzy. Mocniej ścisnął połyskliwy cylinder.

Silas parsknął i pochyliwszy się, zaczął grzebać w skórzanej torbie na wpół zakopanej pod papierami na jego biurku. Kiedy wstał, założył na ręce parę grubych skórzanych rękawic. Sięgnął po błyszczący przedmiot. Już otwierałam usta, ale szybko je zacisnęłam i patrzyłam. Musnął palcami gładką powierzchnię, a potem wrzasnął i odskoczył w tył, potrząsając dłonią. Reszta Poszukiwaczy gapiła się na Silasa.

- Dziwne - stwierdził i znów wyciągnął rękę po Haldisa.

- Na twoim miejscu bym tego nie robiła - powiedziałam spokojnie. - Ból za każdym razem jest większy.

Wszyscy w pokoju popatrzyli na mnie. Nie zmieszałam się i każdemu odpowiadałam wojowniczym spojrzeniem.

- Wiedziałaś, że to zaboli? - Silas zbulgotał z oburzeniem.

- Nie wiedziałam. No, przynajmniej nie byłam pewna. Pomyślałam, że może tylko Strażnicy nie mogą go dotykać. Ale wygląda na to, że tylko Shay może.

Silas wytrzeszczył oczy.

- Mimo rękawic chronionych zaklęciami? Ten facet był nienormalny.

- A ty myślałeś, że rękawice pozwolą ci dotknąć Haldisa?

- No bo miałem taką teorię... - Podrapał się po głowie. Monroe jęknął i schował twarz w dłoniach.

- Silas, nie mówiłeś, że to tylko taka teoria. Przysięgałeś, że to zadziała. Powiedzieliśmy Anice, że zadziała!

- Kretyn - warknął Connor. Przysunął się bliżej Shaya, by przyjrzeć się Haldisowi, ale zachowywał bezpieczną odległość.

- Coś nie tak? - spytał Shay, patrząc na ich markotne miny.

- Silas opracowywał ostatnie ataki naszych Napastników. - Adne uśmiechnęła się blado. - Grupy uderzeniowe Poszukiwaczy próbowały dostać się do świętych miejsc w nadziei, że zdołają pozbierać fragmenty krzyża i przechowamy je bezpiecznie, dopóki nie pojawi się Potomek.

- Ale nikt z was nie może ich dotykać - powiedziałam. Moja wiara w Poszukiwaczy nieco zmaląła. Czy naprawdę pomogą mojemu klanowi, skoro zdarza im się popełniać takie błędy?

- Nie wiedzieliśmy o tym. - Connor popatrzył na Silasa. - A dziesiątki Poszukiwaczy zginęły, próbując dostać się w pobliże świętych miejsc. Musiałam odwrócić wzrok, bo doskonale wiedziałam, że dziś sami popełniliśmy podobny błąd. Nie mogę ich obwiniać. Wszyscy staramy się najlepiej jak umiemy.

Silas wydawał się tylko odrobinę zbity z tropu.

- Byłem pewien, że to zadziała.

- Ale dlaczego skupialiście się na tych fragmentach? - spytałam. - Co takiego niezwykłego jest w tych dwóch mieczach?

- Krzyż Żywiołów to jedyna siła na świecie, która może zniszczyć zmyry.

- Głos Monroe'a był śmiertelnie poważny. -Potomek za pomocą mieczy będzie mógł zmieść z powierzchni ziemi te stwory, pokonać sługusów piekieł. Nawet samego Bosque'a Mara, Nic innego go nie pokona.

Shay popatrzył na Monroe'a. Twarz chłopaka nagle zbladła.

- Mogę walczyć ze zmorami?

- Tak - powiedział Monroe, kładąc dłoń na ramieniu Shaya. - Możesz i będziesz walczył. Kiedy nadejdzie pora.

Silas, który najwyraźniej otrząsnął się po chwilowym upokorzeniu, dodał:

- Musimy odnaleźć elementy Krzyża Żywiołów. Tylko to pozwoli nam zwyciężyć Opiekunów.

Pokiwałam głową, próbując wyobrazić sobie siłę, jakiej byłoby trzeba, żeby pokonać Bosque'a i jego hordy.

- Dlaczego ukrywałaś to przed nami? - Monroe zwrócił się do Shaya, a jego oczy błyszczały gniewem.

Shay popatrzył na ich przygnębione twarze i westchnął.

- Przepraszam. Ale nie miałem pewności, że jesteście po tej dobrej stronie. Nie mogłem wam zaufać, dopóki nie zaufa wam Calla.

Przygryzłam wargę, wdzięczna za jego słowa, ale żałowałam, że Poszukiwacze musieli zapłacić za to taką cenę.

- Dobrze - mruknął szorstko Monroe, zakładając ramiona na piersi. - Idźmy więc dalej. Przynajmniej już wiemy, że Opiekunowie nie zdołają mu odebrać broni, jak już ją zdobędzie.

- Dobrze, że masz Haldisa, Shay - powiedziała Adne. -To nam oszczędzi jednej podróży.

Shay się uśmiechnął.

- Chyba tak. - Spojrzał na Silasa. - No więc, kim była ta kobieta?

- Kobieta? - Silas uniósł brew.

- Kobieta, która była w tamtej jaskini; zaśpiewała i wtedy wszystkie światła znikły, a Haldis znalazł się w mojej dłoni.
- Ach. - Silas się uśmiechnął. - To była Cian.
- Kto? - Shay popatrzył na niego nieprzytomnie.
- Wojowniczką i prorokini - odparł Silas. - Tylko dzięki niej jeszcze tu dziś jesteśmy.
- Była pierwszą Poszukiwaczką - dodał Monroe. - I twoją cioteczną babką w którymś tam pokoleniu. Linia krwi Potomka sięga naszych pramatek: Eiry i Cian.
- Kim była ta Eira? - spytałam. Monroe'a zachmurzył się i zerknął na Shaya.
- Twoją prababką. Była siostrą Cian i pierwszą Opiekunką.
- Jej siostrą? - Shay szerzej otworzył oczy. - Jak to możliwe? Silas odchrząknął.
- Och, skończmy już z tym wszystkim - jęknął Connor. Bez ceremonii rzucił się na podłogę i wyciągnął na niej, stertę papierów traktując jak poduszkę.
- To naprawdę wcale nie taka długa historia - mruknął Silas. Connor nie otwierał oczu.
- A poza tym, to niezła historia - dodał błagalnie Silas.
- Niezła? - Connor szybko otworzył oczy. - To przecież jedna wielka katastrofa.
- No, chodzi mi o to, że jest interesująca - poprawił się Silas.
- Tak... nasze życie leży w gruzach a ty to nazywasz literackim sukcesem.
- Daj mu już opowiedzieć tę historię, Connor - przerwała szorstko Adne i gestem zachęciła Silasa, żeby mówił. - Kiedyś, dawno, dawno temu... Silas się rozpromienił.
- Świat duchów nie był oddzielony od świata ludzi. Społeczeństwa na całej planecie miały kontakt z siłami ziemi

i siłami podziemi. Większość ludzi takie łączenie się różnych sił nazwałaby magią, ale chodziło o coś więcej.

- Jak to? - zaciekawiał się Shay.

- Łączenie się z mocami ziemskich żywiołów jest czymś naturalnym.

Pojawiło się wraz z życiem na tej planecie. Wszystko jest częścią jednego systemu, tej samej energii. Zdolność łączenia się z tymi siłami jest różna u różnych osób, ale w każdym kryje się taka uśpiona możliwość.

- No więc, w czym problem? - Shay się nachmurzył. - Jeśli magia to po prostu część ludzkiego życia?

- Nie tylko ludzkiego - poprawił go Silas. - Zwierząt, roślin, ziemi, nieba, kamieni. Wszystkiego.

- Siły żywiołów nie są problemem, Shay - wtrącił spokojnie Monroe. - Ale magia ziemi nie jest jedyną obecną na tym świecie.

- Chodzi ci o Podziemie? - spytałam. Jakby ktoś przebiegł zimnymi palcami po moim krzyżu. - Skąd pochodzą zmory i sukuby?

Monroe pokiwał głową.

- Nieźle, wilczyco. - Silas uśmiechnął się złośliwie. - Podziemie jest czymś w rodzaju siły opozycyjnej do ziemskiej. Nigdy tak naprawdę nie stanowiło części tego świata, ale zawsze istniało obok. Jak pociąg na równoległych torach.

- Albo jak zły brat bliźniak. - Adne się zaśmiała, ale w tym śmiechu brakowało radości.

- Święta prawda. - Silas pokiwał głową. - Kiedy więcej ludzi miało aktywny kontakt ze światem duchów, niektórzy uznali, że byłoby mądrze spróbować okiełznać siły Podziemia dla swoich własnych celów.

- Ale dlaczego o tym nigdzie nie piszą? - spytał Shay. - Skoro ludzie zawsze wiedzieli o istnieniu Podziemia.

- Przepraszam - rzucił ostro Silas. - Podobno masz jakieś tam wykształcenie. Nie czytałeś żadnych książek historycznych?

- Jasne, że czytałem.
- No, to gdybyś czytał uważnie, zauważyłbyś, że aż do połowy XIX wieku ludzie bez przerwy pisali o czarownicach, demonach i potworach.
- Myślałem, że to tylko takie przesady. - Shay spoważniał.
- Bo nastąpiła rewolucja naukowa i wiek nowoczesności. - Silas się uśmiechnął. - Proszę państwa o wielkie oklaski dla Opiekunów. Shay i ja wymieniliśmy ogłupiałe spojrzenia.
- Silas, za bardzo wybiegasz naprzód - mruknął Monroe.
- Dobrze, przepraszam - powiedział szybko Skryba. - Idea przesądu jest dość niedawnym wynalazkiem. Służy, oczywiście, temu, by zaprzeczać istnieniu stworzeń, które zawsze były rzeczywiste i trudne do kontrolowania. Jak właśnie wykazałeś, przesady to bardzo użyteczny wybieg, który przyniósł wielki sukces w przepisywaniu historii na nowo. Shay mu nie dowierzał.
- Chyba żartujesz.
- Bynajmniej - odparła chłodno Adne.
- No więc, co się tak naprawdę stało? - spytałam, nadal walcząc z murem kłamstw, który do tej pory wyznaczał granice mojego życia.
- Jak mówiłem, wykorzystanie mocy żywiołów jest jak najbardziej przydatne, ale amatorzy Podziemia stwarzali problemy dla samych siebie i dla innych wokół. Stworzenia Podziemi jakoś kiepsko współżyją z ludźmi.
- Co masz na myśli? - odezwał się Shay.
- Przecież widziałeś - powiedziałam. - Jesteśmy dla nich pożywieniem. Zmory, sukuby, inkuby. Żywią się tym, co najgorsze w tym życiu. Kwitną, karmiąc się naszym cierpieniem. Twarz Adne miała odcień popiołu, ale odsunęła się, kiedy Monroe obszedł stół i chciał wziąć ją za rękę.
- Och - mruknął Shay. - Rozumiem. Sorki. Silas zamachał lekceważąco dłonią.

- Nie ma problemu. Ale kiedyś, w przeszłości, niektórzy ludzie o szlachetnych charakterach wzięli na siebie obowiązek zapanowania nad Podziemiem. Ograniczyli praktyki ludzi nieodpowiedzialnych, którzy nie zdawali sobie sprawy, że igrają z ogniem, i zaczęli walczyć z istotami z Podziemia, które objawiały się na ziemi.

- Ale ze zmorami walczyć się nie da - zaproponowałam.

- Zmory to nowy wymysł - powiedział Monroe. - No cóż, stosunkowo nowy. Tak plus minus mają z pięćset lat.

- I to ma być nowość? - Aż sapnęłam.

- Z historycznego punktu widzenia... - odparł Silas. - Zmory pojawiły się razem z Opiekunami. Przedtem magowie potrafili przywoływać wyłącznie sukuby i inkuby: mają więcej cech ludzkich i łatwiej im przekraczać barierę, nie kosztuje to przywołującego aż tyle energii.

- A skąd wzięli się Opiekunowie? - spytałam niecierpliwie.

- Zaraz do tego dojdę - rzekł Silas, niewzruszony moim tonem. -

Wojownicy, którzy mianowali samych siebie na wartowników mostu pomiędzy ziemią a Podziemiem, odnieśli sukces. Czujni, cierpliwi i waleczni, trzymali moce Podziemia na wodzy i hamowali zniszczenia, jakie mogły spowodować w tym świecie. Ale w XVI wieku pojawiła się pewna wojowniczką, która oznaczała się urodą, charyzmą i wydawała się niepokonana w boju. Wymyśliła dla swoich współczesnych inny los.

Eira.

Głos Shaya był prawie tak cichy jak szept.

- Co zrobiła?

- Była ambitna - mówił Silas. - Twierdziła, że wojownicy mogą robić coś więcej, nie tylko bronić świata; raz na zawsze wybawić ziemię od Podziemia. Zamknąć drzwi między naszym światem a tamtym.

- To chyba niezły pomysł - powiedziałam.

- Bo nie był zły - odparł Silas. - Ale droga do piekła jest wybrukowana dobrymi chęciami.

- W tym przypadku niemal dosłownie - mruknął Connor. Zakrył sobie oczy ramieniem, ale widziałam, jak napięły się jego szczeka i szyja. Silas rzucił mu lekceważące spojrzenie.

- Eira zdecydowała, że poprowadzi rycerzy do tej nowej walki. Ale żeby zamknąć przejście pomiędzy światami, musiała dowiedzieć się, jak zostało otwarte. Poszukała wiedzy na temat Podziemia i to ją odmieniło.

- W jaki sposób ją odmieniło? - Shay powoli zaczął odzyskiwać kolory.

- Odnalazła źródło, same początki ścieżki z Podziemia do naszego świata. Istotę, która była potężniejsza niż wszelkie inne napotkane przez rodzaj ludzki w czasie jego przelotnych kontaktów ze światem ciemności. Stwór wysłał swoich emisariuszy do naszego świata, żeby zdobyli i zanieśli mu moc, sprawili, że stanie się jeszcze silniejszy, a przejście między światami jeszcze szerzej otwarte. Wtedy więcej jego poddanych mogłoby przedrzeć się na ziemię.

Zadygotałam, czując się tak, jakby coś wciągało mnie w tunel, z przepaską na oczach, której wcale nie chciałabym zdjąć, kiedy już się tam znajdę.

- Eira była silna, ale górę wzięły jej ambicje. Bardziej niż wszystkiego innego, ten stwór pragnął otworzyć kiedyś przejście tak szerokie, żeby sam mógł wkroczyć do naszego świata i uczynić z niego własne królestwo. Zostać panem nie tylko jednego, ale obu światów, i Podziemi, i ziemi. Obiecał Eirze miejsce u swojego boku, jeśli mu pomoże.

- A ona się zgodziła. - Monroe spojrział na własne, drżące dłonie.

- Nie była sama - powiedział Silas. - Zbyt wielu wojowników znużyło powstrzymywanie Podziemi i ryzykowanie przy tym własnego życia.

Głód władzy pomiędzy podobnymi Eirze okazał się zbyt silny. Bez trudu zgromadziła wielu lojalnych zwolenników.

- Opiekunów - domyślił się Shay.
- Tak sami siebie nazwali - powiedział Silas. - Opiekunowie mocy zbyt potężnej dla większości ludzi. Uważali, że są lepsi, że są elitą. Że los ich wybrał, żeby panowali nad ziemią poprzez okiełznanie sił Podziemia.
- Ale to nieprawda - rzucił Connor.
- Tak? - mruknęłam. - Opiekunowie władają ziemią; korzystają ze swojej mocy i czerpią wszelkie profity.
- Owszem - odparł Monroe, a oczy miał zapatrzzone w dal i nieszczęśliwe.
- Ale ta moc do nich nie należy i żyją w lęku przed jej utratą. Koniec końców są tylko niewolnikami tego samego stwora, który skusił Eirę. Nasi historycy nazywają go Zwiastunem. Wy go znacie jako Bosque'a Mara.

9

Kiedy wyszliśmy z pokoju, Shay milczał. Nie wiedziałam, czy mam do niego zagadać, czy może go dotknąć. Jak bym sama się czuła, gdybym się dowiedziała, że mój jedyny żyjący „krewny” to tak naprawdę jakiś władca demonów?

Ścierpła mi skóra. Dowiedzieliśmy się zbyt wiele, jakbyśmy przewracali jakieś głązy i żalowali, że nie zasłaniają już kryjącego się pod nimi paskudztwa. Wiedziałam, że moi panowie są okrutni, ale teraz musiałam stawić czoło ich prawdziwej naturze: Opiekunowie nie tylko korzystali z sił Podziemi, oni z własnej woli przeszli na stronę ciemności. Ten mroczny świat rodził istoty, które przynosiły tylko cierpienia, a potworność tego świata stanowiła właściwe źródło władzy Opiekunów. Władzy, o której utrwalenie walczyłam przez całe życie.

Szłam przed siebie, zmuszając swoje uparte ciało do ruchu. Miałam ochotę skulić się gdzieś w kłębek, zamknąć oczy i pograżyć w snach, które odsuną ode mnie prawdę. Żalowałam, że nie ma tu Bryn, żebym mogła z nią o tym pomówić - byłam pewna, że znalazłaby jakiś sposób, żeby się ze mną z tego wszystkiego pośmiać. Zawsze kontrowała moje wątpliwości żartami. Jej pogodne nastawienie łagodziło moje napięcie, kiedy musiałam, jako alfa, podejmować trudne decyzje. Obraz jej uśmiechniętej twarzy wywołał we mnie ukłucie winy. Co się z nią dzieje? Czy Opiekunowie ją skrzywdzili?

- Powinniście trochę odpocząć - powiedział Connor. - Zabiorę was do waszych pokojów.

- Znam drogę - odparł Shay, obejmując dłonią moje ramię. - Niepotrzebna nam eskorta.

- Spokojnie, mały. Jesteście przecież naszymi gośćmi. Okaż nieco szacunku.

- Mały? - Shay zjeżył się, ścisnął mnie boleśnie za ramię. - Jesteś tylko trzy lata ode mnie starszy.

Connor wyprostował się, kładąc dłoń na rękojeści szpady.

- Założę się, że widziałem o wiele więcej, niż byłbyś w stanie znieść. Potomek czy nie.

Wiedziałam, w jakim kierunku to wszystko zmierza.

- Uspokójcie się obaj. - Wszyscy byliśmy zmęczeni i rozdrażnieni.

- Ona ma rację - dodała Adne. - Już i tak mamy za sobą trudne chwile. Nie potrzeba nam, żebyście sobie skakali do oczu w ramach wielkiego finału paskudnego dnia.

- No, co ty powiesz? - Connor nie zdejmował dłoni z rękojeści broni.

Próbowałam stłumić własną irytację, obserwując żyłki kryształów widoczne na ścianach. W korytarzu, oświetlonym teraz łagodnym światłem kinkietów rozmieszczonych w regularnych odstępach, kryształowe wzory emanowały delikatnym blaskiem. Kiedy tak szliśmy, kolory Tordisa, pokrywające ściany jak pajęczyny lodu, zaczęły zmieniać się w róż i bladą żółć. Skomplikowane wzory wielokolorowych światełek zaczęły migotać i drżeć. Wkrótce na ścianach pojawiły się barwy szkarłatu i jaskrawej pomarańczy, zupełnie jakbyśmy wchodzili w głąb rozpalonego pieca.

I nie tylko kolory się zmieniały. Powietrze wkoło stało się cieplejsze, ale ciepło, zamiast sprawiać przyjemność, zaczęło mnie drażnić. Kichnęłam, potrząsając głową, żeby odegnać od siebie jakiś nowy, dziwny zapach. W tej samej chwili Shay zmarszczył nos.

- Co to jest? - spytał.

Niewidzialna mieszanka, która atakowała mój nos, miała znane mi składniki: czarny pieprz, szalwia, goździki i drewno cedru, ale połączenie tych zapachów stawało się nieprzyjemne. Oczy mnie zapiekły i zaczęły łzawić. Ciepło, ogarniające skórę, zaczęło wywoływać swędzenie - niemiłe wrażenie, jakby kąsały mnie małe owady. Shay warknął i podrapał się po ramionach.

- Och. - Connor zerknął na nas z ukosa. - Chyba trzeba było pójść na skróty, przez dziedziniec.

Shay kaszlnął i spojrzał oskarżycielsko na Connora.

- Nie przejmuj się - powiedziała Adne. - Już prawie to mineliśmy.

- Mineliśmy co? - Złożonymi dłońmi osłoniłam nos i usta, ale zaczęłam kaszleć, jakbym nawdychała się dymu.

- To Pyralis i właśnie mijaliśmy ich Aptekę - wyjaśniła Adne, machając ręką w stronę podwójnych drzwi, które przypominały te prowadzące do sali taktycznej Haldisa, ale trójkąty wyryte na drzwiach Apteki były gładkie i skierowane ostrzami w górę.

- Przepraszam - mruknął Connor. - Nie wiedziałem, że tak na was podziała.

- Dlaczego wam to nie przeszkadza? - spytałam, oddychając płytko, chociaż odkąd mineliśmy te drzwi, ostre wonie zaczęły słabnąć.

- W Aptece wytwarzane są nasze eliksiry; te składniki, które sprawiają, że nasza broń staje się skuteczniejsza przeciwko. .. - Adne skrzywiła się i zerknęła na mnie.

- Strażnikom.

Przesunęłam językiem po wyostrajających się kłach.

„Zaczarowane bełty, mam nadzieję, że spodoba ci się ta zabawa”. Dobrze, że Ethan został w Czyścicu. Gdyby szedł koło mnie, kiedy w piersi zakłuło mnie wspomnienie jadu z broni Poszukiwaczy krążącego w moich żyłach, nie zdołałabym się powstrzymać, żeby nie oderwać mu ramienia.

- Tak... - dodał Connor. - Trzymajcie się z daleka od Pyra-lisa. Wizyty w tym miejscu nigdy nie będą dla was przyjemne.

- Dzięki za wskazówkę - mruknął Shay, opuszczając kołnierzyk koszuli, który postawił przedtem niemal jak parawan zasłaniający nos.

Zorientowałam się, że zbliżamy się do Haldisa, bo zaczęły znikać płomienne barwy, zastępowane łagodnymi plamami ciemnych odcieni, jakie występują tylko w głębi ziemi. Pałace wyziewy Pyralisa znikły. Brałam jeden głęboki oddech za drugim, ciesząc się czystym powietrzem, kojącym moje podrażnione płuca. Swędzenie ustało, chociaż i Shay, i ja mieliśmy na ramionach czerwone ślady po zadrapaniach na pamiątkę naszej krótkiej wycieczki w pobliże Apteki.

- A więc każde skrzydło odzwierciedla swój żywioł? - spytałam. - Ziemię, powietrze, ogień albo wodę?

Obejrzawszy trzy skrzydła, zastanawiałam się, jak wygląda część Akademii związana z żywiołem wody.

- Tak - powiedziała Adne.

- Ładnie, prawda? - odezwał się Connor. - Przyjemnie się tu mieszka.

- Dzięki. - Adne uśmiechnęła się do niego serdecznie przez ramię.

- Hm? - Zmarszczyłam brwi. Connor się roześmiał.

- To Tkacze przetykają cały budynek nićmi. Ale Adne właśnie przyjęła komplement w imieniu ich wszystkich.

Na dźwięk jego śmiechu napięcie usztywniające mi ramiona zelżało; widziałam, że Connor dochodzi do siebie. Błyskawiczny efekt jego żartów uświadomił mi, jak wielką zaletą dla przyjaciół mógł być jego czarny humor. Nawet jeśli często bywał też irytujący.

- Nici? - powtórzył Shay.

- To klucz do przenoszenia Akademii - tłumaczyła Adne, pocierając skronie. - Ale, szczerze mówiąc, głowa mi pęka.

Czy mogę pozachwycać was swoimi niesamowitymi umiejętnościami nieco później?

Zatrzymała się przy jakichś drzwiach.

- Tu mieszkasz, Callo.

Connor rzucił mi ukradkowy uśmiezek.

- Ja jestem kawałek dalej korytarzem, gdybyś miała złe sny, wilczyco.

Łóżko jest dość duże dla dwojga, o ile nie gryziesz... za mocno.

Przytrzymałam Shaya, zanim zdążył rzucić się na Connora.

- Naprawdę musisz trochę wyluzować - warknął Connor i pokręcił głową, patrząc na zaciśnięte pięści Shaya.

- Boże, Connor - jęknęła Adne. - Głowa mnie boli, pamiętasz? Mógłbyś dziś już darować sobie te komentarze?

- Przepraszam.

Oślupiałam. Dotąd za żaden swój żart nie przeproszał. Connor podszedł do niej i odsunął włosy opadające jej na oczy.

- Powinnaś trochę się przespać.

- Jeszcze za wcześnie, żeby się kłaść. - Zdawało mi się, że zadygotała. - A nawet gdyby już była pora, nie wiem, czy udałoby mi się dzisiaj zasnąć.

- No to możemy pogadać - zaproponował. Wszelkie ślady jego złośliwego humoru znikły.

Patrzyła na niego przez kilka chwil, a potem skinęła głową.

- Znajdziesz swój pokój, Shay? - spytał Connor, nie odrywając wzroku od Adne.

- Jestem całkiem pewien, że już ci to mówiłem - odparł Shay. - Jakieś dziesięć minut temu.

- Uhm. - Connor objął ramieniem plecy Adne i poprowadził ją w głąb korytarza.

Patrzyłam, jak odchodzą, zaskoczona, że ich kontakty tak bardzo przypominają jazdę kolejką górską.

Usłyszałam, że Shay odchrząkuje, i oderwałam myśli od dziwnego związku Connora i Adne.

- Gdzie jest twój pokój? - zagadnęłam.

Wcisnął ręce w kieszenie, spoglądając w głąb korytarza, ale unikając mojego wzroku.

- To te drzwi obok, ale myślałem, że może...

Puls mi przyspieszył, a policzki zaczerwieniły się, kiedy w myślach znów usłyszałam komentarz Connora.

- Chcesz wejść? - spytałam.

Uśmiechnął się i spojrzał mi w oczy pełen nadziei.

Wzięłam go za rękę, wiedząc, że gdy zetkną się nasze palce, on wyczuje szybkie bicie mojego pulsu tuż pod skórą. W mojej sypialni było ciemno, ale udało mi się dostrzec łóżko, biurko i kilka obitych materiałem krzeseł. Pokój wyglądał jak połączenie klasztornej celi i luksusowego hotelu.

Nieźle.

Ale gdzie miałam usiąść? Znalazłam się na obcym terytorium. Shay i ja byliśmy sami i nie musieliśmy się ukrywać. W tym miejscu nie groziło nam, że ktoś nas przyłapie. Byliśmy bezpieczni. Teoretycznie... Ręce i nogi drżały mi, pełne pragnienia i swobody niosącej różne możliwości. Mam go zaprowadzić do łóżka? Czy to nie będzie za szybko? Mam udawać wstydliwą? Kurczę, ja sobie z tym nie radzę.

Shay stanął za moimi plecami. Ramionami otoczył moją talię i przyciągnął mnie do siebie tak, że przylgnęłam do niego plecami.

Kiedy zaczął całować mnie w kark, ciepło otuliło moje ciało jak delikatny jedwab. Oparłam się o niego, czując wielką ulgę. Moje ciało rozluźniało się, każdy mięsień się odprężał. Byliśmy sami, już nie pod ciągłą obserwacją Poszukiwaczy -która mimo ciepłego przyjęcia z ich strony, wciąż budziła moją niepewność. Nawet jeśli w tych nowych warunkach nie czułam się całkiem swobodnie, przynajmniej nadal żyłam. Shay nadal żył. Odetchnęłam głęboko, czując, że przynajmniej na razie jesteśmy bezpieczni.

Zamknęłam oczy, kiedy jego dłonie zaczęły powoli wędrować wzdłuż mojego ciała. Nawet przez ubranie wyczuwałam jego ciepło. Było takie kojące.

- No i co myślisz? - odezwał się. - O Poszukiwaczach? Z tego, co widzę, są w porządku.

- Na to wygląda. - Lekko przesunęłam się w jego ramionach. - To dziwne, ale w jakiś sposób przypominają mi Strażników.

- Moim zdaniem, to ma sens. I oni, i wy jesteście wojownikami. I na wojnie jesteście gotowi do poświęceń. - Odsunął brzeg mojej koszulki i jego usta dotknęły mojego ramienia.

- Poświęcenie. - Zadrżałam, kiedy lekko musnął ustami moją skórę. Pomyślałam nagle o Lydii. O panu Selbym. Ich zdaniem, za co oddali życie? Jeszcze wciąż tylu rzeczy o Poszukiwaczach nie wiedziałam.

- Są wspaniałymi wojownikami. - Wróciłam myślami do tego, co wydarzyło się na wschodnim stoku góry. - Nawet jeśli nie są wilkami.

- Czasami masz przewagę, jak jesteś człowiekiem - powiedział Shay.

- Na przykład kiedy?

- Na przykład, gdybyśmy teraz oboje byli wilkami, mógłbym co najwyżej cię polizać.

Roześmiałam się, próbując obrócić się do niego twarzą, ale przytrzymał mnie mocniej.

Pocałował mnie w miejsce tuż pod szczęką.

- Widzisz, to o wiele przyjemniejsze niż lizanie. - Nagłe przyspieszenie bicia serca i przyływ gorąca zalewającego mi żyły uświadomiły mi, że naprawdę to było o wiele, wiele lepsze.

Znów musnął ustami moje ucho, a jego dłonie ześlizgnęły się na moje biodra i przyciągnęły je do siebie.

- Jestem pewien, że uda nam się wymyślić parę innych rzeczy, które też będą przyjemniejsze.

Obróciłam się, zanim zdążył mnie powstrzymać i uniosłam twarz w stronę jego twarzy, prosząc o pocałunek. Kiedy dotknął ustami moich ust, było zupełnie tak, jakby płonąca strzała nagle przeszła moje ciało.

Całował mnie lekko, jakby

się ze mną drażniąc. Łagodny dotyk jego warg niemal bolał, sprawiał, że chciałam go jeszcze bardziej. Wsunęłam palce w jego miękkie loki, przyciągając go do siebie, żeby pocałował mnie mocniej. Ujęłam jego dolną wargę zębami i usłyszałam, jak w jego piersi rodzi się warkot zadowolenia. Jedną dłoń przycisnął do mojego krzyża, a druga wsunęła się pod moją koszulkę i pieścizotliwie wyruszyła na poszukiwania.

- Tęskniłem za tobą - szepnął, znów mnie całując. - Tak bardzo.

- Ja też. - O mało nie jęknęłam, kiedy jego usta przesunęły się wzdłuż mojej zuchwy. Moja skóra ożywała pod jego palcami, każdy dotyk przejmował mnie jak prądem.

Roześmiał się, a mnie udało się złapać oddech, żeby zapytać:

- Ciebie to bawi?

- Nie - mruknął prosto w moje wargi. - Ale po prostu z tymi ciuchami o wiele łatwiej sobie poradzić niż z tamtym pasem cnoty, który miałaś, jak ostatnio cię całowałem.

Zadygotałam, kiedy jego palce podkreśliły znaczenie wypowiedzianych słów.

- Chodzi ci o moją ślubną suknię? - Usiłowałam wydobyć z siebie parę sensownie brzmiących słów. - Te ciuchy są wygodniejsze, ale trochę dziwnie czuję się w ubraniu naszych wrogów.

- Oni już nie są naszymi wrogami. A tobie w tych ubraniach do twarzy. - Uśmiechnął się tuż przy moich ustach. - A szczególnie podobają mi się te skórzane spodnie. - Jego dłonie znów się przesunęły i zaczęłam się obawiać, że dłużej nie ustoję na nogach.

- Chciałabyś zacząć od tego miejsca, w którym przerwaliśmy u mnie w pokoju? - spytał. - Znaczący, w którym przerwaliśmy, bo musieliśmy uciekać, żeby ratować życie?

Serce zabiło mi mocniej, ale w moich myślach zabrzmiał jeszcze inny głos. Głos, który usłyszałam wtedy, kiedy musieliśmy ratować skórę. „Kochasz go?”. Słowa Rena rozbrzmiewały wokół mnie, napełniały mi uszy. Słyszając je znów, musiałam zamknąć oczy i walczyć z naporem dopadających mnie uczuć.

Tu chodzi o miłość.

Ten jego głęboki głos brzmiał tak blisko, wydawał się taki realny.

Otworzyłam nagle oczy i niemal spodziewałam się, że zobaczę samca alfa stojącego przede mną: włosy w kolorze kawy espresso, błyszczące ciemnoszare oczy, żartobliwy uśmiech, usta rozchylone do pocałunku.

„Cześć, Lilio”.

Jednak tylko wysokie okna z szybkami oprawnymi w ołów spoglądały na mnie z przeciwległej ściany.

Odrobinę niechętnie wysunęłam się z objęć Shaya. Dlaczego to mi się ciągle zdarza? Nie mogłam uciec przed wspomnieniami o Renie. Stawały się coraz silniejsze.

- Chyba nie powinniśmy. - Mój głos zabrzmiał ochryple, a ręce nadal mi drżały, ale nie wiedziałam już, czy to wciąż efekt dotyku Shaya, czy też tego nagłego obrazu Rena, który mi przeszkodził.

Westchnął i patrzył, jak się od niego odsuwam.

- Co się stało?

Nie chciałam mu mówić, więc chwyciłam się innej cięższej mi myśli.

- Ta dzisiejsza walka była trudna. Lydia poległa, żebym mogła uciec.

Umarła za mnie. Ciężko uwierzyć, że Poszukiwacze mnie za to nie nienawidzą.

- Moim zdaniem Ethan już cię nienawidzi - odparł i się skrzywił.

- To odwzajemnione uczucie. - Uśmiechnęłam się z żalem. - Miałam na myśli innych. Monroe nie okazuje uczuć, ale nigdy się nie złości. A Connor jest w sumie całkiem sympatyczny.

- Rozumiem. - Shay zazgrzytał zębami.

- Nie o to mi chodzi - mruknęłam. - Po prostu jest zabawny i miły. Wiesz, tak samo jak Adne.

Pozwoliłam sobie przy jej imieniu na odrobinę irytacji w głosie. Oboje mogliśmy pogrywać kartą zazdrości. Albo tego nie zauważył, albo to zignorował.

- Tak, ona naprawdę jest świetna. Spędziłem z nią cały tydzień.

- I co robiliście? - spytałam, powstrzymując warkot.

- Ach, jesteś słodka, jak się robisz zazdrosna. - Pogłaskał mój policzek i szybkim ruchem cofnął palce, kiedy dla żartu udałam, że chcę go ugryźć.

- Wiesz, że nie zauważam nikogo poza tobą.

- Jasne. - Zaśmiałam się, ale w tym śmiechu pobrzmiwał warkot.

- Poważnie. - Ciepło w jego głosie sprawiło, że spojrzałam mu w oczy. Kiedy się nachylił i cmoknął czubek mojego nosa, rozczulił mnie, bo wiedziałam, że jest szczerzy.

- Adne oprowadzała mnie po Akademii - powiedział. - Trochę razem potrenowaliśmy. Oni tu naprawdę poważnie traktują treningi.

- Jakie treningi? - Pogłaskałam go palcami po barku i po rękę, zatrzymując się dłużej na napiętych mięśniach.

- Bojowe - odparł, zaciskając zęby. Poczułam pod swoją dłonią, jak napręża się jego biceps.

- Och. I jak one wyglądają? Roześmiał się ostro.

- Chyba poduczyłem się walki.

- Już przedtem byłeś całkiem niezły - stwierdziłam.

- Kotku, powinnaś zobaczyć mnie teraz. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy więcej nie mów do mnie: kotku - ostrzegłam. - Albo te bojowe umiejętności naprawdę ci się przydadzą.

- Jasne. - Uniósł dłonie w żartobliwym geście kapitulacji. - Żadnych protekcjonalnych pieszczotliwych zwierzątek. W sumie uczyłem się tu trochę o działaniu Akademii i o tym, jak trenowani są Poszukiwacze, ale jeśli chodzi o to, co będzie

w przyszłości, i co powinienem wtedy robić, jestem ciągle jak ślepe szczenię.

- Shay... Dlaczego aż do dziś nie pokazałeś im Haldisa? - Coś nadal nie dawało mi spokoju, ale wciąż nie mogłam się zorientować co.

- Nie chciałem nic im dawać, póki nie zyskam pewności, że mogę im zaufać. Póki ty nie wróciłaś - powiedział, a moje ciało przejęło gorąco, po czym usadowiło się gdzieś w podbrzuszu. - Chyba teraz już im ufam.

- A więc ty i Poszukiwacze traktowaliście się z rezerwą?

- W sumie tak. - Roześmiał się. - Chciałem mieć pewność, że o tym sojuszu ze Strażnikami mówią całkiem poważnie i że jak się obudzisz, nie zrobią ci krzywdy.

- Dzięki - powiedziałam, ale wciąż byłam zdziwiona, że Shay ich tak zwodził. - Wiedziałaś, że spróbujemy odszukać mój klan. Dlaczego nas nie powstrzymałaś?

- Chciałaś przecież pójść - zaprotestował, ale ja wiedziałam, że to unik.

- Ani na chwilę nie mogłam przestać myśleć o odszukaniu klanu - przyznałam. - Nawet nie przyszło mi na myśl, że patrole mogły zostać zawieszane... Dopiero jak nie mogliśmy znaleźć żadnych wilków. Shayowi nie udało się ukryć lekkiego uśmiechu.

- Wiedziałaś - warknęłam. - Wiedziałaś, że ich nie znajdziemy.

- Nie wiedziałem. Domyślałem się tylko.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - Moje zdziwienie zamieniło się w gniew. Dwoje ludzi zginęło. - Mój instynkt alfy wziął górę, kiedy szukałam Ansela i innych. Nie mogłam myśleć o niczym innym. Ale ty powinieneś.

- Chciałem, żebyś była bezpieczna. - Jego ramiona zeszywniały. - Pomyślałem, że uda ci się dowieść Poszukiwaczom swojej wartości, a jednocześnie nie wpadniesz w poważne tarapaty.

- Wpadliśmy w całkiem spore tarapaty - warknęłam wściekła, że wydawało mu się, że może mnie osłaniać i na dodatek próbował to robić za pomocą kłamstwa. - Zginęli ludzie. Dobrzy ludzie.

- Wiem - powiedział szybko i dostrzegłam, że staje się równie zły jak ja.

- I bardzo mi z tego powodu przykro, Calla. Nic nie powiedziałem, bo myślałem, że w pobliżu Haldisa nie będzie wilków. Skąd mogłem wiedzieć, że się tam na ciebie zaczają?

Bo to potrafimy najlepiej. Ugryzłam się w język, bo nie chciałam już więcej na niego naskakiwać. Łzy paliły mnie w oczach, a głęboko w kościach poczułam znużenie, niemal bolesne. Nie tylko straty

Poszukiwaczy mnie dotykały. Dokuczało mi też moje własne rozczarowanie, zalegało w piersiach bolesnym, dotkliwym ciężarem. Zapaliłam się do tej misji, bo miałam tak wielką nadzieję na odszukanie swojego klanu. A teraz nie wiedziałam, co się jeszcze zdarzy, w jaki sposób w ogóle mamy ich znaleźć.

Osunęłam się na materac i wcisnęłam głowę w poduszki. Po policzkach spłynęło mi kilka samotnych łez. Zamknęłam oczy. Łóżko ugięło się pod ciężarem ciała Shaya, który wyciągnął się obok mnie. Ustami dotknął mojego karku, ale ja już nie byłam razem z nim w tym pokoju. Byłam z powrotem w Vail, ze swoim klanem. Konieczność zmierzenia się z Emilem nie tylko pokazała mi, z czym mam do czynienia - przypomniła mi też, co straciłam. Nie cierpiałam alfy klanu Kary Nocy, ale nie jego syna. „Wracasz błagać o przebaczenie? Obawiam się, że na to już za późno”.

Ucieczka zapewniła mi wolność, ale Ren nadal był w Vail. I skłamał, żeby pomóc nam uciec. Jak źle zareagował Emil na jego zdradę? Czy Opiekunowie okażą Renowi wyrozumiałość? Czy on w ogóle jeszcze żył?

Palce Shaya dotknęły mojego biodra, przyciągnął mnie do siebie.

- Przestań, Shay. Nie rób tego. - Głos mi zadrżał, kiedy się od niego odsuwałam. - Ja po prostu... nie mogę.

Pragnęłam go, ale zalew myśli przyprawiał mnie o nerwowy niepokój. Objął mnie w talii.

- Dlaczego nie?

Odezwałam się dopiero po chwili:

- Wiesz, dlaczego.

Z gardła wydarł mu się cichy warkot.

- Wiesz, jego tu nie ma. Te twoje Zaślubiny, te historie o związku alf... to się już skończyło. Nie musisz wciąż się zachowywać, jakby on nadal miał do ciebie jakieś prawa. Chciałbym po prostu, żebyś...

Shay nie miał pojęcia, jak bardzo się mylił. Ren był tutaj, w jakiś sposób wciąż był ze mną, nawiedzał mnie w każdej chwili. Zaślubiny czy nie, jako alfy doświadczyliśmy naprawdę silnej więzi. Istniała, odkąd tylko go poznałam i kiedy zapowiedziano nam, że będziemy sobie zaślubieni. Ta więź, ta lojalność nadal łączyła mnie z nim i łączyła mnie z Vail. Jedyne, co kazało mi zadawać sobie pytanie, czy naprawdę Ren i ja jesteśmy sobie przeznaczeni, to ten chłopak, który teraz leżał obok mnie. I nie byłam pewna, czy wiem, co to wszystko znaczy.

Shay milczał, ale czułam, że gniewne spojrzenie wbija w tył mojej głowy.

- Nie rozumiem - powiedział. - Przecież jesteś teraz wolna, Cal. Chcesz tego.

Miał rację. Chciałam, ale nie tylko moje własne pragnienia napędzały mnie do działania.

- Nie, nie chcę. Naprawdę - westchnęłam i przesunęłam się, żeby na niego spojrzeć. - Przepraszam, ale dopóki nie będę wiedziała, że mój klan jest bezpieczny, nie chcę podejmować kolejnych decyzji, które potem sprawią, że znów poczuję, że ich porzuciłam.

Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, zrozumiałam, że są prawdziwe. Nie tylko Ren nawiedzał mnie we wspomnieniach; nawiedzały mnie wszystkie wybory, których sama dokonałam.

Usta Shaya zamieniły się w wąską, prostą linię.

- Kochając mnie, zdradzasz własny klan? Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, nadal uważasz, że dla ich dobra mogłabyś zostać partnerką Rena?

- Ja... nie wiem. - I zrozumiałam, że naprawdę tego nie wiem. Nie wiedziałam, co zrobić. Spróbowałam nadać swojemu głosowi łagodniejszy ton. - Przy tym wszystkim, co się teraz dzieje, moim zdaniem lepiej zachowywać się neutralnie, nie sądzisz? Musimy się uporać z ważniejszymi sprawami niż ty, ja i Ren. Prawda?

Kiedy to mówiłam, moje palce odruchowo odszukały pierścionek Rena, dotknęły metalowego kółka.

Bładozielone oczy Shaya stwardniały niczym agaty.

- Ważniejsze sprawy?

- Na przykład ratowanie świata. Ta wojna, w której powinniśmy zwyciężyć dla Poszukiwaczy? Powiedziałabym, że to całkiem ważna sprawa. - Chciałam roześmiać się przy tych słowach, ale zdecydowanie mi się nie udało.

Shay też pozostał poważny.

- To. Zupełnie. Różne. Sprawy.

- Wiem. - Już dłużej nie mogłam patrzeć mu w oczy. -Tylko że... No dobrze. Ale to ci się nie spodoba.

- Nieważne. Chcę po prostu usłyszeć od ciebie prawdę.

A jeśli ja nie znam prawdy? A jeśli moje uczucia przepływają mi przez palce jak woda, ile razy próbuję któreś z nich pochwycić?

- To się jeszcze nie skończyło - ledwie udało mi się wyszeptać.

- Co się jeszcze nie skończyło?

- Między mną i Renem.

- Jak możesz mówić coś takiego? - spytał. - I dlaczego ciągle się tym bawisz?

Zamarło mi serce, kiedy złapałam jego wzrok na swojej dłoni.

- Co to jest?

- Nic. - Chciałam schować dłoń pod poduszkę, ale złapał ją i spojrzał na połyskliwy metal i głęboki błękit szafiru.

- Calla... - odezwał się powoli. - Co to jest? Odchrząknęłam, próbowałam zachować spokój mimo mocno tłukącego serca.

- To pierścionek.

- Pierścionek. - Kiedy dotknął obrączki z białego złota, wyszarpnęłam rękę. - On ci to dał. - Wyczułam, że jego ciało tężeje tuż obok mojego i usłyszałam jego warkot. - Prawda?

Pokiwałam głową. Przez chwilę miałam wrażenie, że przemieni się w wilka i mnie pokąsa.

- Kiedy? - spytał, a jego oczy nadal patrzyły twardo.

- W noc Zaślubin.

- Zdejmij to.

- Co? - Zasłoniłam się poduszką niczym tarczą.

- Zdejmij to - powtórzył. - Dlaczego masz dalej nosić pierścionek od niego?

- Ja nie... - Urwałam, bo brakło mi słów. - Jak go zdejmę, to może mi zginąć.

- I co z tego?

Nie odpowiedziałam, odwróciłam wzrok.

- Więc jak mówisz, że między tobą a Renem jeszcze nie wszystko skończone, chcesz powiedzieć, że nadal jesteś z nim zaręczona? Dlatego nosisz jego pierścionek? - Mówił spokojnie, ale wiedziałam, że nie jest spokojny. Wyczuwałam płynące od niego wzburzone emocje. Jego gniew zawisł między nami jak gęsty dym z płonącego drewna, a pod nim czaiło się coś jeszcze. Serce mi się ścisnęło, kiedy rozpoznałam subtelny, słodko-gorzki zapach żalu, pachniał kurzem i więdnącymi różami.

- Nie to miałam na myśli... Ale nie mogę być z tobą. Nie w taki sposób. - Głos mi drżał. - Kiedy on gdzieś tam jest i Bóg wie co się z nim dzieje. Z nimi wszystkimi. Shay, my ich tam zostawiliśmy. Jak moglibyśmy myśleć o czymś innym? Ja nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Ale to nie znaczy...

- Nie.

- Niech to cholera. - Podniósł się z łóżka. - Idź spać, Callo. Nie będę ci już dzisiaj więcej zawracał głowy.

Poczułam ucisk w żołądku, kiedy odchodził. Opanowałam chęć, by za nim pobiec i tylko przetoczyłam się na plecy, wpatrując się w połyskujące gwiazdy, które widziałam przez przeszklony sufit, z nadzieją, że w końcu zmęczenie sprowadzi na mnie sen.

Uciekłam z Vail i to mogło zmienić wszystko, ale nadal nie mam pojęcia, gdzie jest moje własne miejsce.

10

Zacisnęłam szczękę na jego gardle, miażdżąc mu krtań. Do gardła spłynęła mi z pyska gorąca, metaliczna w smaku krew. Jego serce zwolniło. Długie, okropne pauzy pojawiały się między kolejnymi uderzeniami. Spojrzał mi w oczy, jego usta wykrzywiły się w uśmiechu, a ja usłyszałam w myślach jego głos. „Witaj, Callo”.

Z trudem cofnęłam się i z powrotem przybrałam ludzką postać. Zrobiło mi się nagle zimno, poczułam się źle. Martwy Stuart nadal uśmiechał się mimo dziury ziejącej w jego policzku. Czyjś lekki dotyk musnął moje ramię. Określiłam się na pięcie i stanęłam naprzeciw kobiecie. Uśmiechała się tak samo jak nieżywy mężczyzna. Wielkodusznie, serdecznie. Jej ciemnokasztanowe włosy opadały wijącymi się falami na plecy, a srebrzyste źrenice przecinały ciemnoszare tęczę. Błyszczały zachwytem, kiedy tak na mnie patrzyła. Jej pełne wargi się rozchyliły. - Callo. - Wyszepiała moje imię, jakby intonowała modlitwę, a ja poszłam za jej spojrzeniem. Dziecko, ledwie wyrosłe z niemowlęctwa, mocno spało w jej ramionach. Spokojna twarzyczka dziecka skłoniła mnie, żeby podejść o krok. Kiedy patrzyłam na dziecko, nagle otworzyło oczy. Jak nocne niebo pełne migotliwych gwiazd. Oczy takie same jak u matki. Oczy Rena.

Spojrzał na mnie. Z jego ust wyrwał się radosny, dźwięczny śmiech i zaklaskał w ręce, rozpoznając mnie i ciesząc się na mój widok. W środku przejęło mnie ciepło; takie uczucie, jakbym znalazła się w domu.

Spojrzałam na Corinne Laroche i mój uśmiech zamarł. Nad nią unosił się cień jak rosnąca burzowa chmura zniszczenia. Rozchyliłam usta, żeby krzyknąć ostrzegawczo, ale nie mogłam złapać tchu. Przezryziste, ale ciemne jak atrament obręcze opadły na jej szyję i ramiona. Wijąca się jak wąż winorośl oplatała jej ręce. Zaczęła krzyczeć, a Ren wypadł z jej objęć. Zapłakał ze strachu. Rzuciłam się naprzód, żeby go złapać, ale inne silne ręce chwyciły dziecko w powietrzu. Corinne krzyczała, kiedy zmore ją zabierała, oplatając jej ciało wijącymi się czarnymi linami, które pulsowały i drgały w rytm jej agonii.

Przerażona, osunęłam się na kolana. Czyjś złośliwy śmiech oderwał mój wzrok od torturowanej kobiety. Emil Laroche gniewnie patrzył na swoją partnerkę, jego jasnoblękitne oczy były pełne oburzenia. Spojrzał na płaczące dziecko, które trzymał na rękach. Jego ramiona zadrżały i pokręcił głową; ciemnoblonde włosy opadły mu na oczy, zasłoniły twarz, rzuciły na nią cień i trójkątne oblicze zmieniło się w diaboliczną okrutną maskę. Ren krzyknął, a usta Emila zacisnęły się w wąską linię, jego obrzydzenie cięło jak nóż. Ścisnął dziecko mocniej. Z ostatnim, pogardliwym spojrzeniem popatrzył na wijącą się w konwulsjach Corinne, obrócił się do niej plecami i odszedł. W moich uszach brzmiały przerażone krzyki Rena; płacz dziecka mieszał się z krzykami matki, tworząc koszmarny chór.

Nie mogłam się poruszyć. Nie odrywałam wzroku od cierpiącej Corinne. Obok mnie pojawiła się jakaś postać; obróciłam twarz w jej stronę. Ren patrzył w kierunku spętanej przez zmore kobiety. Nie był już dzieckiem, ale prawie dorosłym mężczyzną, moim przyszłym partnerem.

Ciemnoszare oczy, które przedtem błyszczały jak gwiazdna galaktyka, teraz stały się nieprzeniknione i matowe. Ciemne włosy lepiły się od

potu do czoła i policzków. Jego tors pokryła mozaika żółtych, zielonkawych i fioletowych sińców. Szkarłatne ślady po uderzeniach i blizny po oparzeniach tworzyły na jego ramionach i plecach groteskowy wzór. Oczyma powoli wodził za matką. Zmarszczył brwi, jakby rozgrywająca się przed nim straszliwa scena nie miała żadnego sensu. Pokręcił głową i westchnął.

- O Boże, Ren. - Wyciągnęłam do niego rękę, ale moja dłoń przeszła przez jego ciało na wylot.

Nadal patrzył na krzyczącą kobietę. Nie odwracał oczu w moją stronę, ale jego usta poruszyły się nieznacznie.

- Gdzie jesteś, Lilio? - Szarpnął dłonią. Coś pochwyciło światło i zabłysło błękitem; mój pierścionek, nasunięty na czubek jego palca, kołysał się na nim jak wahadło odmierzające czas, którego Ren nie miał.

Na jego ramionach pojawiły się głębokie cięcia, skóra się otwierała, popłynęła krew i zalała jego ciało szkarłatną powodzią. Czerwone płynne wstążki oplatały jego ręce, nadgarstki, palce. Osunął się na kolana, pochylił głowę. Corinne i ja zakrzyknęłyśmy jednym głosem.

Z trudem złapałam oddech i otworzyłam szeroko oczy. Koszmar czał się jeszcze na obrzeżach mojego umysłu. Te krzyki brzmiały w moich uszach jak echo. Próbowałam leżeć w łóżku spokojnie, zapanować nad oddechem. Powoli ten strach, który wyrwał mnie ze snu, ustąpił płytkiemu smutkowi.

Serce przestało mi tłuc. Świat powoli wracał do siebie. To ten koszmar wyrwał mnie ze snu. Byłam wykończona i domyśliłam się, że spałam pewnie niewiele dłużej niż z godzinę. Na wpół przytomna, zacisnęłam palce na pierścionku, który dostałam od Rena w noc naszych Zaślubin. Nawet w panującym w mroku pierścionek połyskiwał, chwytając najbłedsze światło gwiazd, wpadające przez przeszklony sufit. Ułożyłam się na boku, zamykając oczy, ale w tej samej chwili znów zobaczyłam krwawiącego Rena. Sen nie był żadnym rozwiązaniem - przynajmniej na razie.

Wyślizgnęłam się ze swojego pokoju, nie mając pojęcia, dokąd idę. Z łóżka wygoniła mnie myśl, że spacer po korytarzach Akademii jakoś oderwie mnie od tego straszego snu. Spojrzałam w stronę następnych drzwi w głębi korytarza. Chciałam iść do Shaya, przeprosić go i poszukać ukojenia w jego ramionach. Ale z drugiej strony nadal niepokoiło mnie to miejsce, wciąż myślałam o walce z Emilem. Zbyt wiele rzeczy związanych z ostatnią walką wstrząsnęło mną do głębi i napełniło wątpliwościami. Nie tylko śmierć Lydii, ale i moje własne wybory. Nie zabiłam Sashy. Nie chciałam. Czy dla Poszukiwaczy byłabym cokolwiek warta w boju?

Przerwałam ponure rozmyślenia, bo coś podrażniło mój węch. Znajomy, kuszący zapach poprowadził mnie schodami na dół. Wzięłam kolejny głęboki oddech, pozwalając, żeby ten bogaty, głęboki aromat wiódł mnie w swoją stronę. Dwa piętra niżej weszłam do długiego, sporego pomieszczenia pełnego stolików. Paliło się kilka lamp, łagodnie oświetlających wnętrze.

Szybko odnalazłam źródło tego cudownego zapachu. Siedem szklanych francuskich zaparzaczy do kawy stało na jednym ze stołów. Znad kubków pełnych kawy unosiła się para, a Poszukiwacze popijali napój, cicho ze sobą rozmawiając. Monroe dolał kawy do kubka Tess. Nie płakała już, ale jej twarz zastygła w wyrazie żalu. Adne też była z nimi, z gitarą na kolanach. I Connor tam siedział, nieco rozczochrany. Zdziwiłam się, widząc, że obok Monroe'a przycupnął Silas.

Nastrój panujący w pomieszczeniu uświadomił mi, że Poszukiwacze zebrali się, żeby opłakiwać swoich zmarłych. Zapach kawy bardzo mnie kusił, ale nie chciałam im w tym przeszkadzać. Zawracałam już, kiedy usłyszałam, że ktoś wymówił moje imię.

Obejrzałam się przez ramię. Monroe zapraszał mnie gestem. Z wahaniem podeszłam do stołu.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał Przewodnik.

- Nie - odparłam, czując się niezręcznie pod ostrzałem spojrzeń. - Źle spałam i poczułam zapach kawy.
 - Aż tam na górze? - spytał Connor. Pokiwałam głową, przestępując z nogi na nogę.
 - Niezły numer. - Uśmiechnął się, wyjął piersiówkę z za pasa i dolał czegoś do kawy. Whisky, jak zgadłam po ostrym, przypominającym torf zapachu bursztynowego płynu.
 - Nie chciałam wam przeszkodzić - powiedziałam.
 - Nie przeszkadzasz. - Tess gestem kazała mi usiąść, naląła kubek świeżej kawy i postawiła go przed wolnym krzesłem tuż koło siebie. - Dołącz do nas, proszę.
 - Opowiadamy sobie różne historie - odezwała się Adne. Trzącała przy tym struny gitary, nie grając żadnej konkretnej melodii. - O Lydii i Grancie.
 - Też mogłabyś coś opowiedzieć, jeśli zechcesz - dodał Monroe. - W ten sposób oddajemy hołd naszym zmarłym i zatrzymujemy ich przy sobie.
 - Ja? - Zmarszczyłam brwi, ale usiadłam na krześle i ujęłam obiema dłońmi gorący kubek z kawą.
 - Widywałaś Granta częściej niż my. - Silas miał przed sobą otwarty notes i podniósł wzrok znad swojej pisaniny. - Na pewno masz jakieś historie, którymi mogłabyś się podzielić.
- Pomyślałam o panu Selbym. Co mogłabym powiedzieć? Był dobrym nauczycielem. Ale miałam wrażenie, że „wielkie idee były moim ulubionym przedmiotem” zabrzmiały zwyczajnie głupio.
- Przepraszam - powiedziałam cicho. - Chyba naprawdę nie dam rady.
 - Nic się nie martw - pocieszył Connor, popijając swoją wzmocnioną kawę. - Chyba dziś wieczorem nie zniosę już więcej tych smętnych opowiadań.
 - Nie bądź gburem. - Silas znów zaczął pisać. - Okaż choć trochę szacunku.

- Lydia była wojowniczką - powiedział Connor. - Pomyślałaby, że powariowaliśmy, że tak się nad nią użalamy.
- Connor - skarcił go Monroe, spoglądając na Tess. Ale ona tylko pokręciła głową.
- On ma rację. - Tess się uśmiechnęła. - Naprawdę, teraz chyba wszystkimi nami byłaby rozczarowana.
- Nigdy nie mogłabyś jej rozczarować. - Adne wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Tess.

Tess miała błyszczące oczy, ale nadal się uśmiechała. Adne też się uśmiechnęła, ale nie patrzyła na Tess.

- Hej, śpiochu, a słyszałeś, że są na świecie grzebienie?

Obróciłam się i zobaczyłam Shaya, który szybko przeczesywał włosy palcami, chociaż nijak nie udało mu się przygłodzić gęstych, miękkich loków. Miał na sobie dzinsy i koszulkę, ale i tak było wyraźnie widać, że przed chwilą wstał z łóżka.

- Przepraszam. Miałem złe sny, a potem poczułem zapach kawy...

- Dobrali się jak w korcu maku - stwierdził Connor. Zerknęłam na Shaya, zastanawiając się, czy nadal się na

mnie gniewa. Usiadł na krześle między mną i Adne. Kiedy uśmiechnął się do mnie nieśmiało, zrozumiałam, że mu przykro z powodu naszej kłótni.

Tak samo jak mnie. Nachyliłam się i cmoknęłam go w policzek.

- Ja też nie mogłam spać. Objął mnie ramieniem. Silas nam się przyglądał.

- Co? - spytałam, bo nie spodobało mi się jego spojrzenie.

- Rozważałem dwie sprzeczne teorie na temat Potomka - wyjaśnił. - I nie umiem zdecydować, czy to, że przemieniłaś go w wilka, zwiększyło jego umiejętności czy je osłabiło.

- Jakie znów umiejętności? - spytał Shay.

- Masz wrodzoną moc - ciągnął Silas - która wynika z twojego dziedzictwa.

- Mojego dziedzictwa? - Shay się zasepił. - Chodzi ci o te wszystkie historie o rycerzach i demonach, które nam opowiadałeś?

- Myślałem o twoim ojcu, oczywiście. - Silas przechylił głowę i spojrzał Shayowi w twarz spod zmrużonych powiek, a potem wrócił do swojego notesu i znów zaczął zawzięcie coś pisać.

Usiadłam prosto.

- Robisz notatki na jego temat?

- No jasne. - Silas nie podniósł głowy.

- Przestań! - Wytrąciłam mu pióro z ręki. Silas zagapił się na mnie z otwartymi ustami.

- Ech, ty. - Connor uśmiechnął się do mnie serdecznie. - Ja cię chyba jednak kocham.

- Po prostu zapisuję swoje spostrzeżenia. - Silas poszedł podnieść długopis. - To jedyna taka okazja w życiu.

- Jestem człowiekiem, a nie okazją - sarknął Shay.

- Jesteś Potomkiem - zaprotestował Silas. - To konieczne, żebym naszkicował jak najpełniejszy obraz twoich możliwości, zanim zrobimy kolejny krok. Anika poleciła mi określić, jak twoje umiejętności mogą zostać wykorzystane podczas koniecznych działań.

Monroe westchnął.

- Silas, moim zdaniem nie miała na myśli tego, że masz zapisywać każdą swoją rozmowę z Shayem.

- Tak... - Connor dopił kawę i nalał sobie kolejną porcję. - Dlaczego zawsze zachowujesz się jak jakieś dziwadło?

- Ty za to jesteś potwornie marudny. - Silas usiadł i spio-runował Connora wzrokiem. - To ja już wolę siebie.

- Nadal nie rozumiem, o co ci chodziło z tym moim dziedzictwem - przypomniał Shay, też nalewając sobie kawy. - Swojego ojca nawet nie pamiętam. Umarł, kiedy miałem trzy lata.

Silas popatrzył na niego i zmarszczył brwi.

- Przez ostatnie szesnaście lat Bosque Mar włączył mnie za sobą po świecie - dodał Shay. - Wcześniej nazwałeś go Zwiastunem. I najwyraźniej wcale nie jest moim wujkiem. Ale o co chodzi z tym moim ojcem?

W pokoju nagle jakby zrobiło się zimniej i nawet Silas poblądł, kiedy Shay wymówił nazwisko Opiekuna.

- Tak, to prawda. Bosque Mar nie jest twoim wujem - potwierdził Monroe. - Ale twój ojciec był jednym z Opiekunów.

Twarz Shaya pobieliała.

- Dzięki, że mi o tym przypominasz.

- Nie to się liczy, Shay - powiedział Monroe. - Liczy się to, że ty jesteś Potomkiem.

- To znaczy, że nie jestem człowiekiem? - Kubek w dłoni Shaya zaczął drżeć, a Shay spojrzał na mnie z prośbą w oczach.

- Jesteś człowiekiem... A przynajmniej byłeś, dopóki cię nie przemieniłam - zapewniłam go szybko, a potem spojrzałam z gniewem na Monroe'a. - Umiem odróżnić śmiertelników od istot własnego rodzaju.

Shay nie jest Opiekunem.

- Teraz nagle zostałam specjalistką od spraw Potomka? - zakpił Silas.

- Spokojnie, Silas - odezwał się cicho Monroe. - Opiekunowie woleli, żeby Shay pozostał nieświadomy swojego dziedzictwa. - Skupił się teraz na mnie. - A Strażnikom również tej informacji nie udzielali. I to ważne, żebyś zrozumiała, Callo, że Opiekunowie sami też są ludźmi. Tak samo jak my.

Oddech mi zaparło i ogarnęło mnie jakieś niemiłe uczucie.

- A więc kłamali - uznał Shay. - Nie są żadnymi mitycznymi Starszymi.

- Na kłamstwach znają się najlepiej - powiedziała Tess. Udało mi się wydusić z siebie pytanie:

- Ale jakim cudem mieliby być ludźmi? Nie pachną jak ludzie, zresztą wy też nie, skoro o tym mowa. I skąd te ich wszystkie moce?

- Callo, wyczuwasz u nich magię, której używają, to ona daje ten trwały zapach mocy. Poszukiwacze i Opiekunowie są w takim samym stopniu związani z mocą, która ma swoje źródło poza nimi samymi, ale wszyscy bez wyjątku pozostajemy ludźmi. Był taki czas, kiedy ludzie mieli bliższy kontakt z ziemią i jej naturalnymi mocami - tłumaczył Monroe. - Ci, którzy mieli najsilniejszy związek z magią żywiołów i umieli nią władać, oddzielili się od swoich społeczności. Stali się uzdrawiaczami i mędrkami.

- Ale to niemożliwe, żeby byli ludźmi - zaprotestowałam. - Oni są nieśmiertelni.

- Nie, nieprawda - zaprzeczył Monroe. - Chcieli, żebyście w to wierzyli, właśnie ze względu na to, w jaki sposób wykorzystują swoją moc. My tego nie robimy. Tak jak mówiła Tess.

- Co masz na myśli? - spytał Shay.

- Szacunek dla ziemi, dla naturalnej mocy istniejącej w jej stworzeniach i jej cyklach - odparł Connor z kpiącym uśmiechem.

- Poszukiwacze wierzą, że śmiertelność jest czymś dobrym, a nie czymś, od czego trzeba uciec. - Silas zignorował Connora, rozpoczynając wykład. - Starzejemy się i umieramy. Śmierć stanowi część cyklu natury. Opiekunowie wykorzystują swoje moce, żeby przedłużyć sobie życie w sposób nadnaturalny. Kontakt z siłami Podziemi oznacza, że zmienia się istota ich natury, ale i tak urodzili się jako zwykli ludzie i wewnątrz zwykłymi ludźmi pozostają. Tak samo postępują wobec podległych im Strażników. Dlatego tak rzadko powstają nowe klany. Tylko wtedy, kiedy uważa się to za konieczne, wilki proszone są o dorobienie się potomstwa. Nasze rejestry mówią, że nie było żadnych nowych wilcząt związanych z Haldisem od mniej więcej dwóch pokoleń. Wtedy Opiekunowie po raz ostatni zainteresowali się wzmocnieniem rodzinnych powiązań między klanami.

Shay zerknął na mnie; na jego twarzy pojawił się nowy lęk, a ja pokiwałam głową, potwierdzając te słowa.

- Ale przecież Opiekunowie mają dzieci - zaprotestował. - Znaczący, w waszej szkole były przecież dzieci Opiekunów. A Logan odziedziczył wasz klan.

Silas skrzywił się złośliwie.

- Opiekunowie są niesamowicie próżni i zazdrośnie strzegą swoich mocy. Zbyt wielka liczba Opiekunów mogłaby doprowadzić do walk w ich własnych szeregach, a tego nie chcą ryzykować. Tylko najsilniejszym z nich wolno mieć dzieci, żeby ktoś mógł po nich przejąć schedę. Niektórzy mieszkają w Vail, jak widzieliście. Inni porozrzucani są po całym globie, zwykle w pobliżu miejsc mocy. A my utrzymujemy placówki Poszukiwaczy, które mają za zadanie śledzić ich poczynania. Mimo to, ich liczba, chociaż jest ich więcej niż nas, nie może się równać z liczebnością populacji ludzkiej. Dlatego Opiekunowie zaczęli wykorzystywać ludzi jako pionki w tej swojej grze o życie. Polityka, globalne rynki, wszystko inne.

- Ale jak im się udaje zachować przewagę? - W głowie mi się kręciło od tego zalewu nowych informacji. Kłamstwa, wieczne kłamstwa.

- Tak... - dodał Shay. - Rozumiem, że wykorzystują swoje moce, żeby udawać nieśmiertelnych, ale czy na początku nie było was mniej więcej tylu co ich?

- Mniej więcej. - Silas się skrzywił. Chyba się zezłościł, że jego przemowa nie kazała nam zamilknąć z zachwyty nad jego erudycją.

- I tak właśnie dochodzimy do tego, w jakiś sposób oni zyskali na dnami przewagę. - Connor rozparł się na krześle, zwieszając ramiona.

- Nie rozumiem - powiedział Shay.

- Może lepiej zacząć od tego, kim jest Shay, a wtedy cała ta historia sama się wyjaśni - wtrącił Monroe.

- Ale... - zaczął Shay.

- Mów prosto - polecił Monroe. - Zaczynij od rodowodu Shaya.
- Dobrze - westchnął Silas. - Potomek pochodzi w prostej linii od pierwszej Opiekunki, Eiry, i od syna zdrajcy. To po tym Poszukiwacze go poznają. Po tym i po znamieniu.
- Zdrajcy? - Shay zrobił jeszcze bardziej zagubioną minę. Ja od tej rozmowy czułam się kompletnie ogłupiała. Jednak żaden z Poszukiwaczy nie okazywał zdziwienia; dla nich najwyraźniej były to sprawy oczywiste i wiadome.
- Tak, tak. - Silas zabębnił palcami w blat stołu. - Znakiem zapowiadającym nadejście Potomka miało być to, że któryś Opiekun, potężny i pochodzący od samej Eiry, porzuci swój własny ród, obróci się przeciwko niemu, a potem jego spadkobierca doprowadzi ich do upadku. Dziecko tego Opiekuna to Potomek.
- Shay nadal patrzył na niego ponuro, a Silas zaczął przerzucać strony swojego notesu, zwracając się twarzą do Shaya.
- O, tutaj.
- To po łacinie - powiedział Shay.
- Nie czytasz po łacinie? - spytał Silas z niedowierzaniem.
- Bez słownika nie umiem - rzucił ostro Shay.
- Silas, większość z nas nie umie czytać po łacinie z taką łatwością, jak ty
- zbeształ Silasa Monroe.
- Możemy kontynuować? - Connor schował twarz w dłoniach.
- Zaraz. - Rzuciłam mu przeproszący uśmiech. - Mówię ci, nawet jeśli Opiekunowie to tylko tacy podrasowani magią ludzie, czy coś, to przecież Shay nie miał ich cech. Nie pachniał tak jak oni. Znam Opiekunów, ale nigdy nie sądziłam, że Shay mógłby być jednym z nich.
- Tak - zgodził się Monroe. - Ja to rozumiem. Ale to dlatego, że matka Shaya była zwykłą kobietą.
- Jego ojciec zdradził Opiekunów przez tę miłość - dodała Adne.

- Dlaczego? - Shay osłupiał. - Dlaczego opuścił Opiekunów?

- Och, daj spokój, Adne, to taki frazes - powiedział Silas. Adne spojrzała na niego ostro, a on odpowiedział równie stanowczym spojrzeniem.

- Może to i frazes, ale to dlatego, Silas, że miłość jest ważna - wtrąciła Tess, a w jej oczach pojawiły się łzy. - To jedna z niewielu spraw na świecie, która powoduje, że ludzie stają się skłonni ponieść jakieś ryzyko. Spojrzałam Shayowi w oczy, czując, że policzki zaczynają mi się rumienić.

- Jasne. - Silas wydawał się znudzony. - No, w każdym razie, odszedł, bo Opiekunowie, którzy tak uwielbiają swoją władzę, zabronili związków między własnym rodzajem a zwykłymi ludźmi. Tristan uciekł z Sarah i próbował się z nią ukrywać. A potem motylki i pszczołki... I urodziło się dziecko. - Wskazał ręką Shaya.

- I jak go znaleźliście? - spytałam. - Skoro się ukrywał, to skąd Poszukiwacze dowiedzieli się, że zdrajca z przepowiedni w ogóle istniał?

- Nie musieliśmy go szukać - powiedział Monroe. - To on odszukał nas.

- Naprawdę? - Shay szerzej otworzył oczy.

- Tak - potwierdził Monroe. - Chciał zapewnić ochronę swojej żonie i dziecku. Wiedział, kim jest; wiedział, że tę opiekę im zapewnimy. Niestety, to nie wystarczyło.

- Opiekunowie ich znaleźli? - spytałam. Pokiwał głową.

- Na wyspach Aran. Myśleliśmy, że są tam bezpieczni, utrzymywaliśmy miejsce ich pobytu w najściślejszym sekrecie, ale się nie udało. Zabrali rodzinę, zabili Tristana i Sarah, a Bosque Mar zatrzymał Shaya pod własną strażą. Aż do teraz.

Shay wpatrywał się w przestrzeń pustym spojrzeniem. Jego dłonie nadal drżały.

- Ale nie rozumiem, czemu on nie jest Opiekunem - powiedziałam. - Nie liczy się to, kim był jego ojciec?

- Liczy się, jeśli chodzi o przepowiednię - odparł Silas. - Ale jeśli chodzi o jego istotę, jego tożsamość, liczy się, kim była matka. W takich sprawach zawsze liczy się matka.

- Hm? - Zmarszczyłam brwi. Tess się uśmiechnęła.

- Bo siła tworzenia tkwi w kobietach.

- Chwal się, ile chcesz, Tess. Ja przynajmniej nigdy nie stracę figury. - Connor poklepał się po płaskim brzuchu.

- Zapomijmy na chwilę o walce płci - odezwał się Silas - Tess ma rację. Tożsamość matki zawsze w jakiś sposób dominuje, określa naturę dziecka. Właśnie dlatego on wydawał ci się człowiekiem: bo pod każdym względem nim był. Kontakty jego ojca z Podziemiem nie dotknęły jego samego. Jedyne świadectwem jego mieszanego pochodzenia jest to znamię.

- Ale jak to, tożsamość matki zawsze dominuje? - spytałam. - Znaczy, że to się zdarzało już przedtem?

- Z Opiekunami, nie - odrzekł Silas. - Nikt poza Tristanem nie odważył się złamać tabu, jakie Opiekunowie nałożyli na rozmnażanie się poza własną grupą. Wiemy o tym zjawisku ze względu na erę Pogromu.

- Ale przecież to była tylko zwykła wojna - sprzeciwiłam się. - Co to mogło mieć wspólnego z dziećmi?

- Sojusze zawierane są z wielu powodów - powiedział cicho Monroe. Odwrócił twarz od nas wszystkich, ale jego spojrzenie nagle stało się odległe.

Silas pokiwał głową.

- W latach, które poprzedziły rewoltę Strażników, związki między Poszukiwaczami a wilkami stały się bardzo silne pod wieloma względami. Zapisy historyczne mówią nam, że dzieci z tych związków zawsze odzwierciedlały linię pochodzenia matki. Jeśli ojciec był Strażnikiem, dziecko mogło być

Poszukiwaczem, jeśli ojciec był Poszukiwaczem, dziecko i tak było wilkiem.

Szerzej otworzyłam oczy.

- Poszukiwacze i Strażnicy mieli ze sobą dzieci?

- Bardzo dawno temu - odparł Monroe. Zaciśnął zęby i nadal odwracał wzrok. - Opiekunowie postarali się jak mogli wszystkie te dzieci zlikwidować, żeby przeciąć więzy raz na zawsze.

Dłonie mi zadrżały.

- Ale Strażniczki nie mogą mieć dzieci ot, tak... Urwałam, czując, że krew napływa mi do policzków. Nie chciałem tego powiedzieć. Słowa same mi się wymknęły. Tyle sekretów związanych z moim życiem już wyszło na jaw, ale ten jeden wolałam zachować tylko dla siebie.

Kiedy się odezwałam, Shay ocknął się z zamyślenia.

- Co takiego? - Popatrzył na mnie uważnie. Wbiłam wzrok w stół.

Nie. Nie. Nie chcę o tym rozmawiać. To zbyt osobiste. I zbyt straszne. Monroe odchrząknął.

- Wysiłki Opiekunów związane z zyskaniem jak największej kontroli nad Strażnikami polegały między innymi na monitorowaniu związków między ich żołnierzami i narodzin ich dzieci. Zaczęli to stosować po Pogromie. Wykorzystują swoje moce, żeby wywoływać albo powstrzymywać cykle płodności u Strażniczek, więc zachodzą one w ciążę tylko wtedy, kiedy ich panowie wyznaczają odpowiedni czas i wybiorą odpowiedniego partnera.

- O mój Boże - szepnął Shay.

Z trudem łapałam oddech. Co on sobie teraz o mnie pomyśli?

- To nie twoja wina, kotku. - Tess objęła mnie ramieniem. Jej zapach niósł ogromną pociechę, pachniała kwiatami jabłoni i miodem. Dałam się przytulić, wdzięczna za jej ciągłą dobroć. - To prawdziwe bydlaki.

Odezwał się Silas:

- Ale to Pogrom zapoczątkował te praktyki; przed rewoltą Opiekunowie nie przejmowali się tak bardzo takimi kwestiami.

- Twoja matka była śmiertelną kobietą, Shay - powiedział Monroe, rzucając krótkie, współczujące spojrzenie w moją stronę. - Twoja ludzka tożsamość była tą, z którą się urodziłeś, i tą, którą wyczuła w tobie Calla. - A więc zdrada mojego ojca była znakiem, że to ja jestem Potomkiem - domyślił się Shay.

Ulżyło mi, bo zdawało się, że nasza rozmowa rusza z miejsca i zaczyna toczyć się dalej.

- No i to znamię. Ale on go przecież nie widzi. - Wskazałam Shaya. - Kiedy mu powiedziałam, że ma tatuaż w kształcie krzyża, sam nie miał o tym pojęcia.

- Symbol jest chroniony, bo powinien zostać w ukryciu - wyjaśnił Silas. - To nie jest tylko znamię, to nie tylko tatuaż. To mistyczny emblemat.

- A więc ludzie są na niego ślepi? - spytałam.

Silas przewrócił oczami i zamachał dłonią przed twarzą, jakby odganiał natrętą muchę.

- To bardziej subtelne zakłęcie. Opiekunowie są w tym świetni; w takich drobnych manipulacjach. Naprawdę, uczynili z tego sztukę. Tym, którzy mogliby go zauważyć, tatuaż po prostu sugeruje, że powinni go ignorować. Korzystamy z podobnej taktyki, żeby ludzie nie natknęli się na naszą Akademię. Zawsze odwracają od niej wzrok, nie dostrzegają jej. To wystarczy, żeby do Shaya nikt nigdy nie podszedł z pytaniem, w którym salonie zrobił sobie tatuaż.

Zerknął na Shaya z szacunkiem doprawionym odrobiną kpiny.

- Ludzie myślą, że nie domyłeś karku po zażartym meczu rugby. No wiesz, że jesteś ubłocony, coś w tym stylu.

- Ale ja zobaczyłam tatuaż - powiedziałam.

- Nie jesteś człowiekiem - stwierdził Silas. - Jesteś...

Przerwałam mu:

- Wybrykiem natury. Jasne. Jak mogłam zapomnieć? Odsunął się z krzesłem, kiedy pokazałam mu zęby. Shay skrzywił się i pomacał sobie kark.

- Super. Więc jestem Wybranym, ale nie umiem zadbać o higienę osobistą.

Twarz Silasa rozjaśnił zaskakujący uśmiech.

- Dokładnie.

Adne zachichotała i spojrzała na Shaya z olśniewającym uśmiechem.

- Pomóż mi, Obi-Wan, jesteś moją jedyną nadzieją... Gdybyś tylko najpierw mógł się wykapać... - Zatrzepotała rękami. - Bardzo chętnie wyszoruję ci plecy.

Błada twarz Shaya poczerwieniała, a ja spojrzałam na Adne z przyganą.

Ale ona patrzyła na Connora, a on, jakby nigdy nic, dolewał sobie whisky do kawy.

Silas nie przestawał się uśmiechać. Rozparł się na krześle i obserwował Shaya.

- Ale teraz, kiedy twoja dziewczyna, wilczyca, przemieniła cię, i tak dalej, powinieneś go dostrzegać. To zaklęcie nie powinno działać na Strażnika.

- Nie jestem jego dziewczyną - warknęłam, a potem skrzywiłam się, bo Shay poczerwieniał jeszcze bardziej. Wszyscy Poszukiwacze spojrzeli na mnie, a na ich twarzach zauważyłam zaskoczenie. - No, bo nie jestem - dokończyłam głupawo. Czułam się śliska i zimna jak marmur. Nie mogłam spojrzeć znów na Shaya. To było trudne, ale powiedziałam przecież prawdę. Kochałam go, ale nie wiedziałam, kim dla Shaya jestem. W naszym życiu wszystko wciąż się zmieniało. Nie mogłam znaleźć pod stopami pewnego gruntu.

Shay ukrył twarz w dłoniach.

- Myślałem, że jak poznam prawdę, to wszystko stanie się łatwiejsze. Ale tak nie jest. W głowie mi się nie mieści, że jedyna moja rodzina, taka, jaką znałem, to jakiś stwór z Podziemi.

- Nie żaden pierwszy lepszy stwór z Podziemi. On jest potężniejszy niż którykolwiek z wrogów, z jakimi walczyliśmy, a ty jesteś kluczem do jego panowania - powiedział Monroe. - Zwiastun nie mógł powierzyć ochrony nad tobą wyłącznie swoim sługusom. Jak widzisz, zawiedli w swoich obowiązkach. Jestem pewien, że niektórzy bardzo cierpieli przez twoją ucieczkę.

Słyszając słowo „cierpieli”, zaczęłam się trząść i okazało się, że nie mogę już przestać. Co się dzieje z moim klanem? Shay położył dłoń na mojej i spojrzał na Monroe'a.

- To się zdarzyło już przedtem, prawda? - spytał Shay. - Czytaliśmy o tym, jak ostatni raz Strażnicy się zbuntowali.

- Mówisz o Pogromie? - spytał Silas. - To był przełomowy okres w naszej historii. Nigdy nie byliśmy bliżsi zwycięstwa. Ale skończyło się kiepsko.

- Nie. - Wyprostowałam się i spojrzałam wprost na Monroe'a, bo wiedziałam, że dysponował odpowiedzią na dręczące mnie pytania. - To nie była ostatnia rewolta.

Monroe się wyprostował.

- Nie.

- Lilio, zostaw ten temat. - Adne spojrzała na mnie oskarżycielskim wzrokiem. - To nie twoja sprawa.

Błysnęłam w jej stronę kłami.

- Możesz tak mnie nie nazywać?

- Nie, jeśli za każdym razem będziesz tak reagować. Fajnie jest wiedzieć, że masz jakieś ludzkie cechy. Ta zimna wilczyca sprawia, że mam dreszcze, wiesz.

Popatrzyłam na nią. Znam tę dziewczynę niecałą dobę, a ona czyta we mnie jak w otwartej książce. Jak to możliwe?

- Adne ma rację. - Connor nachylił się w moją stronę. W jego oddechu czułam whisky. - Zostaw już ten temat.

- Nie, nie zostawię - odparłam. - Co się stało z klanem Kary Nocy? Jak umarła Corinne Laroche?

- Mówiłem, daj spokój. - Connor trzasnął pięścią w stół.

- Odwal się - warknął do niego Shay.
- Monroe? - szepnęła Tess, zerkając z niepokojem na Connora.
- Wszystko w porządku - powiedział cicho Monroe. -Oni powinni wiedzieć.

Connor pokręcił głową, wlewając reszkę whisky z piersiówki do kubka z kawą.

- No, a miało nie być już więcej smutnych historii.

11

Monroe odchylił się w tył na krześle.

- Po raz pierwszy trafiłem do Czyścica, gdy miałem dwadzieścia lat, żeby działać jako Napastnik. Byłem aroganckim chłopakiem, same ambicje i fajerwerki, i zero rozsądku. Miałem o sobie całkiem wysokie mniemanie. Zachichotał, przesuwając dłonią po ciemnych włosach. -Nie podobały mi się zasady ustalone przez naszego ówczesnego Przewodnika. Był to skrupulatny facet, nazywał się Davis. Złościło mnie jego naleganie, żeby młodzi Napastnicy patrolowali zawsze dwójkami. Żebyśmy tyle samo czasu poświęcali na zbieranie informacji o Opiekunach, co na planowanie i przeprowadzanie ataków.

Złożył ramiona na piersi, pogрузzył się we wspomnieniach.

- Któregoś dnia, kiedy powinienem był trenować, wyruszyłem samotnie. Kręciłem się w pobliżu Haldisa, przekonany, że w pojedynkę ustrzelę jakiegoś Strażnika albo dwóch. Byłem głupcem. Gdyby wydarzenia potoczyły się choć trochę inaczej, nie wróciłbym żywy.

- A jak się potoczyły wydarzenia? - spytał Shay.

- Spotkałem samotną Strażniczkę. Dopadła mnie, nim się obejrzałem. Nawet nie zdążyłem wyciągnąć broni. Kompletnie nie doceniałem doświadczenia swoich przeciwników. Powaliła mnie na ziemię i byłem pewien, że mnie zabije. -Głos mu się zmienił i Monroe z trudem przełknął. - Ale po chwili nie pochylała się już nade mną wilczyca, tylko młoda

kobieta. - Spojrzał na mnie i się uśmiechnął - Niewiele starsza od ciebie, Callo.

Pokiwałam głową, serce mocno mi tłukło.

- Dlaczego przyjęła ludzką postać? Monroe zacisnął zęby.

- Poprosiła mnie, żebym ją zabił.

- Co takiego? - wykrztusił Shay.

Usłyszałam zduszony szloch i obejrzawszy się, zobaczyłam, że Tess znów płacze. Adne objęła ją ramieniem.

- Osłupiałem - ciągnął Monroe. - Ona ledwie mogła mówić przez łzy.

Przywarła do mnie, szlochając.

W oczach Monroe'a mignęło gorące uczucie, a mnie nagle coraz trudniej było złapać oddech.

Niespokojnie zakręcił się na krześle.

- Była partnerką okrutnego mężczyzny, którego nie kochała, dręczył ją ciągły strach przed panem jeszcze okrutniejszym niż jej mąż, bała się o los klanu, na którym bardzo jej zależało, ale życie jego członków było równie nieprzewidywalne i pozbawione wolności wyboru jak jej własne.

- Przerwał i powoli odetchnął, zanim znów przemówił. - Ale powiedziała, że wszystko to znosiła. Do tego momentu.

- Coś się zmieniło? - szepnął Shay. Spojrzał na mnie i zobaczył grymas na mojej twarzy. Złapał mnie za rękę, a ja mocno ścisnęłam jego dłoń.

- Jej pan rozkazał jej urodzić dziecko. - Monroe zamknął oczy. - A ona nie mogła pogodzić się z myślą, że miałyby sprowadzić kolejne życie na ten świat i zmuszać własne dziecko, by przeżywało ten sam ból, który ją codziennie doprowadzał do rozpacz.

- I co zrobiłeś? - spytałam szeptem.

- Zaproponowałem jej pomoc. - Monroe otworzył oczy, przepełniały je dręczące uczucia. - Powiedziałem jej o Pogromie. Prawdziwą historię, która kryła się za tymi wszystkimi kłamstwami, jakimi karmiono ją od urodzenia. O czasach,

kiedy Poszukiwacze i Strażnicy zjednoczyli się, żeby walczyć z Opiekunami. Bardzo chciałem ją przekonać, że istnieje jeszcze inne wyjście. Coś oprócz śmierci, co mogłoby jej dać nadzieję. Nigdy nie byłem świadkiem takiego bólu, jak jej. Niczego nie pragnąłem bardziej niż ją uratować.

Shay i ja siedzieliśmy w milczeniu, zafascynowani tą opowieścią. Connor wpatrywał się w swój kubek, a Adne zaczęła głaskać Tess po włosach. Silas jakby na nic nie zwracał uwagi, znów cały się skoncentrował na swoich notatkach i tylko od czasu do czasu przerywał, żeby zerknąć na Shaya.

Monroe uśmiechnął się ze smutkiem.

- Zaczęliśmy spotykać się w tajemnicy. Podałem jej tyle informacji, ile tylko mogłem, o tym jak kiedyś w przeszłości tworzone takie sojusze. Poczułam pieszczotliwy dotyk na swojej dłoni. Spojrzałam na Shaya, a on uśmiechnął się do mnie łagodnie. Monroe dostrzegł tę wymianę spojrzeń i uniósł brwi.

- Brzmi znajomo? Shay pokiwał głową.

Uśmiech Monroe'a zamienił się w grymas. Zaczął mówić dalej:

- Davis był na mnie wściekły za sprzeciwianie się jego zarządzeniom, ale chwycił się nadarzającej się okazji, by przeciągnąć Strażników na naszą stronę. Wyglądało na to, że mamy wielką szansę pozbawić Opiekunów kontroli nad Haldisem. Corinne zdołała przekonać kilku członków swojego klanu. Planowaliśmy najpierw ich tu sprowadzić, zebrać kilka drużyn Poszukiwaczy i wspólnie uderzyć na Opiekunów z Vail.

Na chwilę zamilkł, splótł dłonie na stole.

- Bała się uciekać, póki była w ciąży, a nie chciała też ponosić dodatkowego ryzyka, mając maleńkie dziecko, więc poprosiła, żebyśmy na razie wstrzymali się z tym planem. Żebyśmy poczekali, aż jej dziecko trochę podrośnie, aż jej syn skończy przynajmniej rok i nie będzie taki bezradny,

kiedy uciekniemy. Zgodziłem się. - Urwał. Zobaczyłam, że ręce mu drżą. Zmusiłam się, żeby zadać to pytanie, chociaż coraz bardziej bałam się odpowiedzi.

- I co się stało?

- W międzyczasie nasz spisek został wykryty. - Kostki palców mu pobielały, kiedy jeszcze mocniej zacisnął dłonie. -Zamiast uciec, grupa Poszukiwaczy natknęła się na terenie klanu Kary Nocy na zasadzkę. Straciliśmy ponad połowę ludzi.

- A Corinne? I jej wspólnicy? - Głos Shaya brzmiał surowo. Monroe odparł bezbarwnym tonem:

- Zostali już przekazani zmorom. Wszyscy zginęli przed naszym przybyciem.

Musiłam zamknąć oczy, kiedy Monroe nadawał sens scenom z mojego własnego koszmaru. Czułam się krucha w środku, miałam wrażenie, że zaraz się rozsypię.

- Ale Rena pozostawili przy życiu? - szepnęłam. - Nie zabili jej dziecka.

- Niełatwo było pozbierać fragmenty tej układanki, ale z tego, co zrozumiałem, jej partner był lojalny wobec swojego pana, nigdy nie konspirował przeciwko Opiekunom. I dziecko zostało pod jego opieką. Mimo wszystko nadal potrzebny był młody samiec alfa dla nowego klanu. A jak już sama powiedziałaś, nie wiedział nic o tym, jak naprawdę umarła jego matka.

Shay znów uścisnął moją rękę, a ja zdałam sobie sprawę, że po policzkach spływają mi łzy. Szybko je otarłam. Popatrzył na Monroe'a.

- Wiesz coś o tym, w jaki sposób została zdradzona? Monroe zacisnął zęby, patrzył na swoje ręce.

- No, to chyba już wszystko, moi drodzy - mruknął Connor. -

Zadowoleni?

Shay obrócił się raptownie.

- Może byś się po prostu...

- Nie, Shay. - Położyłam dłoń na jego ramieniu. - Dziękuję ci, Monroe.

Monroe wstał, obracając się do nas plecami.

- Pożegnaj się już z wami na dziś.

- Ja też - powiedziała Tess. Poszła śladem Monroe'a w stronę schodów.

- Niezłe wyjście - mruknął Connor, zerkając na swój pusty kubek po kawie.

- Daj spokój, Connor - powiedziała Adne, wstając. -Znajdźmy sobie inny sposób na zabicie czasu.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Mam parę pomysłów.

- Moje są lepsze i możliwe do realizacji. - Adne usiadła na stole, oparła jedną stopę na ławce, a gitarę na kolanach. Trąciła struny i przechyliła głowę.

- Jakież życzenia?

- Panie mają pierwszeństwo - rzucił Connor. Zaczęła śpiewać pełnym i głębokim głosem:

- *Gniew, gniew na umieranie światła...* Shay się ożywił.

- Dylan Thomas?

Urwała, wzruszyła ramionami.

- Tak... Tu dla nas to jak mantra. Dobrałam melodię do wiersza.

- Ile czasu już grasz? - Shay patrzył, jak przesuwa palcami po progach, wyraźnie zafascynowany.

- Odkąd skończyłam cztery lata. Matka mnie nauczyła.

- Adne ma talent, ale nic w tym dziwnego. We wszystkim jest świetna.

Genialne dziecko i tak dalej. - Connor odsunął z czoła Adne ciemny lok. Jego brązowe oczy zabłyśły w świetle ognia, kiedy przesuwał palcami po jej skórze.

Dopadło mnie nagłe podejrzenie. Coś się kryło pod powierzchnią tych ciągłych sprzeczek Adne i Connora. Byłam tego pewna.

Tyle skrywanych historii łączy tu wszystkich ze sobą. Ci dwoje mają swoje własne sekrety.

- Widzę - mruknął Shay, nie odrywając wzroku od szybko poruszających się palców Adne. - Mogłabyś mnie nauczyć?

Adne przestała brzdąkać.

- Znaczy, grać? Shay pokiwał głową.

Uśmiechnęła się do niego i poklepała ławkę obok siebie.

- Jasne.

Shay przysunął się do niej, a ona oparła gitarę na jego udach. Z trudem przełknęłam, kiedy usiadła na stole bliżej niego i pochyliła się nad nim, żeby ułożyć jego dłonie na instrumencie.

Mimo moich podejrzeń co do Connora i Adne zastanawiałam się, czy ich historia nie należała już do przeszłości -i czy Adne nie robiła sobie nadziei na przyszłość z Shayem. Nie wątpiłam, że Shay czuje coś do mnie, ale zazdrość i tak mnie chwytala, ile razy widziałam go przy Adne. Nawet jeśli nie był nią zainteresowany, szybko stawali się przyjaciółmi. A od tego zaczynało mnie boleć serce. Tęskniłam za własnymi przyjaciółmi. Zwłaszcza za Bryn. Nawet jeśli musiała na siłę wyciągać ze mnie informacje o tym, co czułam, jej stała troska, jej obecność podtrzymywała mnie na duchu. Każda alfa potrzebuje takiego wsparcia. Z trudem oderwałam spojrzenie od Adne i Shaya. Myśl o zmienieniu się w wilka i przygwożdżeniu Adne do podłogi coraz bardziej mi się podobała.

- Ja na dziś też dam spokój. - Connor ziewnął głośno, chociaż obserwował tę improwowaną lekcję gry na gitarze twardym wzrokiem. - Adne, odprowadzić cię do pokoju?

- Co? - Adne ledwie na niego spojrzała. - Nagle potrzebna mi eskorta? Cofnęliśmy się do XIX wieku, a ja to przegapiłam?

Connor zmierzył Shaya gniewnym wzrokiem, a potem tupnął obcasem o posadzkę. Minę miał bezbronną, jeszcze takiej u wiecznie żartującego Poszukiwacza nie widziałam.

- Nie, ja... - zaplątał się. - No, to dobranoc.

- Dobranoc. - Adne znów skupiła uwagę na gitarze. Connor jeszcze raz obejrzał się na Shaya i Adne, zawahał się krótko. Jego mina była dziwna, jakby pomiędzy gniewem a smutkiem.

- Ja chyba też już pójdę się położyć - oświadczyłam. Zanim powyrywam jej te paluchy.

- Odprowadzę cię do pokoju. A nawet zaśpiewam ci kołysankę... A ty mogłabyś mi pokazać, co trzeba zrobić, żebyś zawyła - powiedział Connor z lekkim uśmiechem na ustach.

- Hej! - Shay ocknął się nagle ze swojego transu i spojrzał ostro na Poszukiwacza.

- Siad, chłopcze - zaśmiał się Connor.

- Dalej, Shay - skarciła go Adne, układając mu dłonie na gitarze. - Skup się. Palce masz trzymać tu i tu. To jest akord G.

Shay zarumienił się, obracając głowę, żeby popatrzeć na Adne.

- Przepraszam. Hm... Okej, akord G.

- Nie martw się, połapiesz się w tym jeszcze. - Oparła brodę na jego ramieniu.

Śladem Connora wyszłam z jadalni, a w miejscu, gdzie zwykle mam żołądek, ziała paląca dziura.

- Trzymasz się, dzieciaku? - Obejrzał się na mnie, kiedy wspinaliśmy się po schodach. - Sporo w twoim życiu zmian.

Wzruszyłam ramionami, niepewna, jak odpowiedzieć na jego pytanie.

- A co mnie to obchodzi? - Pożałowałam z miejsca ostrych słów, ale nadal byłam podenerwowana widokiem Adne całej owiniętej wokół Shaya przy stole. Poza tym w towarzystwie Connora czułam się jak na kolejce górskiej. Nie miałam pojęcia, czy akurat rzuca nieodpowiednią uwagę, czy zadaje przemyślane pytanie. Poszukiwacze przyprawiali mnie o rozstrój emocjonalny.

- Wiesz, że w końcu będziesz musiała nam zaufać - powiedział.
Wolałam pokazać mu zęby niż zwyczajnie się do niego uśmiechnąć.

- W końcu.

- Niech będzie. - Przystanął przy drzwiach do mojego pokoju. - Słodkich snów, alfo.

- Dzięki - odparłam i otworzyłam drzwi.

Nie zwracałam sobie głowy zapalaniem światła; zamiast tego rzuciłam się na łóżko i wpatrzyłam w mroczne niebo nad głową zbyt podenerwowana, żeby sen wydawał się realną możliwością. Mimo to wciąż czułam się znużona, zmęczona. Ból sięgał jednak jeszcze głębiej. Jestem sama.

Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że taka jest prawda. Nigdy nie byłam zupełnie sama. Zawsze miałam przy sobie klan, nieważne, jakie wyzwania stawiano akurat przede mną życie. Kiedy zabrakło mojego klanu, poczułam się zagubiona, zupełnie pozbawiona celu. Uciekłam z Vail, żeby ratować Shaya, ale też by ratować swoich przyjaciół. Teraz ta decyzja wydawała się mniej wyborem, a bardziej nieuchwytną nadzieją, której realizacja coraz bardziej odsuwała się w czasie.

Co ja tutaj robię?

Przekreśliłam się na bok, chowając twarz w poduszce i zamknęłam oczy. W pokoju było nieco chłodno, ale nawet nie chciało mi się przykrywać ciepłą kołdrą. Ten dokuczliwy chłód, który coraz głębiej przenikał moje ręce i nogi, karmił moją zgłodniałą duszę. Ciało mi się napięło, ale nawet nie drgnęłam, kiedy usłyszałam, że drzwi uchylają się, a potem znów cicho zamykają. Pochwyciłam zapach rozgrzanej słońcem trawy i koniczyny. Shay przeszedł cicho przez pokój, a potem się zatrzymał.

- Wiem, że nie śpisz, Callo.

Westchnęłam, obróciłam się i spojrzałam na niego.

- A co się stało z twoją lekcją gry na gitarze? - Zabrzmiało to złośliwie i tylko jeszcze bardziej się rozszłościłam, że Adne z taką łatwością znalazła mi za skórę.

- Chciałem sprawdzić, czy nic ci nie jest. - Położył się na łóżku.

Odsunęłam się, obracając na plecy.

- I zostawiłeś Adne zupełnie samą? Chyba miała wielką ochotę cię pouczyć.

Chyba miała ochotę na coś więcej.

- Musiała wracać do Denver - powiedział. - Silas pojawił się z raportem, który miała zanieść do tamtej placówki. Ale teraz, kiedy już tu jestem, widzę, że ty chyba wolałabyś, żebym to tobie dał wreszcie spokój.

Nie umiałam się zorientować, czy mówił to z irytacją czy z rozbawieniem, więc nie odpowiedziałam. Moje spojrzenie znów powędrowało w stronę rozgwieżdżonego nieba. A potem te maleńkie migoczące światełka zasłonił cień Shaya, który przysunął się do mnie bliżej. Wstrzymałam oddech, kiedy zamiast wyciągnąć się obok mnie, pochylił się nade mną. Przycisnął mnie całym ciężarem ciała do materaca.

- Shay... - Byłam zaskoczona, ale nie przestraszona. - Co robisz? -

Podniosłam dłonie do jego torsu i przytrzymałam go pochylonego tuż nade mną.

Palcami ujął mnie za nadgarstek i odsunął moją rękę, nie pozwalając mi sobie odepchnąć.

- Dość już tego chowania się za swoim łękiem, Callo. Dość uciekania - powiedział. - Możesz próbować wyrwać mi obie ręce, jak chcesz. Ale ja i tak cię teraz pocałuję.

Przełknęłam, dostrzegając jasny, pewny błysk w jego oczach. Nie bał się mnie. Mimo że jego palce trzymały mnie lekko, wyczuwałam, ile ma w sobie siły; zdziwiło mnie to, ale i podnieciło. Już nie zbliżał się do mnie z obawami, jak wtedy, kiedy był człowiekiem. Teraz sam był Strażnikiem. A do tego Potomkiem; to on będzie niósł Krzyż Żywiołów. Broń, jakiej

świat jeszcze nie widział. Był prawdziwym wojownikiem. Kimś mi równym. A może nawet kimś więcej. Uśmiechnęłam się, kiedy dotarło do mnie, że bezbronność Shaya, która na początku sprawiła, że chciałam uratować mu życie, znikła i została zastąpiona żelazną siłą, która odpowiadała jego twardej, niezłomnej woli. Już nie potrzebował mojej ochrony, ale nadal mnie chciał. W jego twarzy widziałam głód, potrzebę wiedzy, że ja też go pragnę. I ja go pragnęłam.

Jestem teraz wolna. Kocham go. Nie ma powodu, żeby się powstrzymywać.

Puścił moje nadgarstki, obserwując mnie. Nie odpychałam go, ale położyłam dłonie na twardych mięśniach jego torsu. Pochylił się w moją stronę, a ja objęłam go ramionami za szyję, palce wplotłam w miękkie loki. A potem jego usta dotknęły moich i lekko je rozchyliły.

Pocałunek Shaya niósł w sobie obietnicę wolności, za którą tęskniłam. Był słodki i delikatny jak pierwsze zielone pędy, które przebijają się w stronę wiosennego słońca. Zamknęłam oczy i pozwoliłam się ponieść emocjom. Delikatny, ciepły deszcz napełniał mi usta, oblewał ciało. Shay był jasnym światłem słońca, które rozpraszało chłody zimy.

Jego ciało przycisnęło się mocniej do mojego, a ja oplotałam go nogami. Z jego gardła wyrwał się cichy dźwięk, ni to warkot, ni to jęk przyjemności. Jego pocałunki stały się dłuższe, badał moje usta, a każda pieszczota wydobywała z głębi mnie jeszcze większe pożądanie. Przesunęłam dłońmi po jego plecach, poczułam siłę jego ramion, pragnęłam poznać ją lepiej. Wsunął dłonie pod moją koszulkę, głaszcząc nagą skórę na moim brzuchu i powoli przesunął ręce wyżej. Krew mi się zagotowała.

Zerwałam z siebie koszulkę i rzuciłam ją w kąt. Poczułam, że nagle ciało Shaya znieruchomiło, kiedy na mnie spojrzał. Wsunęłam dłonie pod jego koszulkę, palcami sunąc nie w górę, ale w dół, aż znalazłam guziki jego dzinsów i za-

częłam się nimi bawić. Chciałam posunąć się dalej, ale brakowało mi śmiałości. On pochylił się i mocno mnie pocałował. Przysunęłam się do niego, pragnęłam czuć go jak najbliżej, nienawidziłam tych ciuchów, które nas od siebie oddzielały. Rozpięłam pierwszy guzik jego dżinsów i przesunęłam palce do następnego. Z trudem łapałam oddech, kiedy jego dłonie rysowały rozpaloną ścieżkę, przesuając się po mojej skórze.

- Calla - wymruczał z ustami tuż przy moich. - Nie masz pojęcia, jak długo już na to czekałem.

Coś w tych jego słowach sprawiło, że zawahałam się, jakbym potknęła się w mroku i nagle zaczęła spadać, spadać. Pokręciłam głową.

- Co się stało? - Dłonie Shaya się zatrzymały.

- Przestań. - Oparłam pięści na jego torsie i tym razem odepchnęłam go od siebie tak mocno, że cofnął się, zaskoczony. Zamknęłam oczy i porwałam z podłogi koszulkę, nie potrafiłam już na niego spojrzeć. - Nie mogę.

Całe ciało drżało mi tak mocno, że z trudem udało mi się ubrać. Mroczna przepaść, która ziała w głębi mojego serca, otwarła się i pochłonięła mój chwilowy spokój. Nienawidziłam sama siebie za to, że się od niego odsuwam. Wiedziałam, że pragnę Shaya, że go kocham. Dlaczego nie mogę odsunąć od siebie przeszłości? Co się ze mną dzieje?

W jego głosie pojawił się niepokój.

- Co się stało? Jesteś blada jak ściana. - Próbował wziąć mnie w ramiona, ale ja zeskoczyłam z łóżka.

- Przepraszam cię - mruknęłam. Nie umiałam ubrać w słowa sprzecznych emocji, które mnie rozdzierały. Zasłoniłam dłońmi własną pierś.

Odruchowo, nieświadomie, pogładziłam palcami pierścionek Rena.

Usłyszałam głos Rena w swoich uszach. „Powiedz mi, że wróciłaś ze względu na klan. Ze względu na mnie”.

Miałam wrażenie, że pokój wiruje. Zostawiłam go i uciekłam. On dla mnie zaryzykował wszystko, a ja w taki sposób

mu się odpłacam. Oddając się komuś innemu, chociaż to jemu zostałam obiecana. Co ja tutaj robię? Z ludźmi, którzy zawsze byli moimi wrogami? Moje miejsce jest przy moim klanie. Ogień w moich żyłach zamienił się w lód, kiedy dotarło do mnie, że przecież nie jestem wolna. Nie odzyskam wolności, póki mój klan nie będzie bezpieczny. Jakaś część mnie była więźniem obawy, że sama skazałam ich na straszliwy los.

- Calla, co się dzieje? - Shay podszedł do mnie o krok, ale oboje szybkim ruchem obróciliśmy głowy, kiedy ktoś nagle zaczął dobijać się do drzwi. Po chwili drzwi się otworzyły, a do środka wpadła Adne.

- Calla! - Oczy miała dzikie. - Musimy natychmiast wracać do Denver!

- Adne, co się stało? - Shay podbiegł do niej. - Jakiś atak? Opiekunowie?

- Nie. - Patrzyła na niego przez chwilę, jakby zaszokowała ją jego obecność w moim pokoju. Otrząsnęła się ze zdziwienia i obróciła w moją stronę. - Ethan postrzelił patrolującego Strażnika.

- Strażnika? - Serce zaczęło mi szybko bić, kiedy zrozumiałam niepokój w jej spojrzeniu.

Głos Adne drżał.

- On mówi, że to twój brat.

Część 2
Piekło

Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie. - Dante Piekło

12

Co takiego? - spytałam ochrypłym szeptem.

- Jej brat? - jęknął Shay. - Znaczy Ansel?

- Imienia nie wyłapałam - powiedziała Adne. - Dlaczego tak stoicie?
Chodźcie!

Otrząsnęłam się i rzuciłam do drzwi. Adne już biegła korytarzem.

Słyszałam tuż za sobą tupot stóp Shaya.

Ethan postrzelił Strażnika. Postrzelił? Przyływ adrenaliny, który kazał mi gnać za Adne, ustąpił otepiałemu przerażeniu. Lodowate pasma strachu zmieniły się w ostre kolce przerażenia, kiedy dostrzegłam zarys połyskującego, otwartego przejścia.

Przystanęłam, nie poznając stojącego obok niego mężczyzny.

- Dobrze, że ich znalazłaś - stwierdził. - Wszyscy już przeszli na drugą stronę.

- To tylko Jerome, Callo. Idź. - Adne pchnęła mnie w stronę portalu.

Potknęłam się i wylądowałam na czworaka w sali treningowej Czyścica.

- Coś ty sobie wyobrażał?! - darł się Monroe. - Przecież to dzieciak!

Wystraszyłam się tego, co mogło wprawić Monroe'a w podobny gniew.

- Monroe, on na mnie biegł. Wrzeszczał jak upiór. Przysięgam! -

odkrzyknął Ethan głosem zduszonym i piekielnie

nerwowym. - Wrzeszczał raz po raz: „Jestem Strażnikiem, jestem Strażnikiem!”. Co ja niby miałem zrobić?

Isaac, Connor i Silas wpatrywali się w kształt leżący przed nimi na podłodze, twarze mieli szare jak popiół. Wtedy dostrzegłam krew rozlewającą się u ich stóp w kałużę.

Monroe oderwał wściekły wzrok od Ethana, słysząc, że się zbliżamy. Jego gniew ustąpił lękowi, kiedy mnie dostrzegł.

- Callo... - Przeształ ponad strużką krwi, która lała się poza krąg pozostałych Poszukiwaczy, i złapał mnie za ramię.

Wyrwałam mu się i odepchnęłam na bok Connora, który stanął za plecami Monroe'a i też próbował zasłonić przed moim wzrokiem coś, co leżało na posadzce.

Ansel leżał bez ruchu. Ubranie miał ciemne od krwi. Krzyknęłam i zasłoniłam dłońmi usta. Z jego piersi sterczały bełty kuszy.

- Ansel! Ansel!

- Nie wiedziałem, kto to... - zaczął Ethan i spojrzał na mnie rozszalałymi oczami. - On się na mnie zwyczajnie rzucił. Myślałem, że mi oczy wydrapie.

Szarpnęłam się w stronę Ethana, ale Connor objął mnie od tyłu ramionami i przytrzymał.

- Spokojnie, dziewczynko. - Próbował panować nad głosem, ale i tak czułam jego niepokój. - Nie rób nic nieprzemyślanego.

- Zabiję cię - syknęłam, wyrywając się Connorowi.

- O Boże. - Shay stanął koło mnie i spojrzał na Anselę. Popatrzył potem na mnie. - Możesz mu pomóc?

Czerwona fala wściekłości wyparła z mojej głowy wszelkie racjonalne myśli. Przymknęłam oczy, usiłując złapać oddech.

- Jeśli jego serce nadal bije - szepnęłam. - Być może.

- Dobra, to spróbuj. Ja ci pomogę. Musisz się skupić, Callo. Ratuj Anselę.

- Shay dotknął mojego ramienia. Spojrzał na Connora. - Puść ją.

Connor zerknął na Monroe'a, który ustawił się pomiędzy mną a Ethanem. Monroe nieznacznie skinął głową. Connor rozluźnił chwyt, którym mnie przytrzymał, a Shay ujął mnie za obie ręce i pociągnął do boku Ansel. Uklękałam w kałuży krwi i położyłam dłonie na torsie brata. Słyszałam jego oddech, urywany, charkotliwy. Wyczuwałam puls, ale był wolny i słabł.

- O Boże, Ansel - wykrztusiłam. Dławił mnie szloch.

- Przepraszam. - Ethan patrzył na nas, a na twarzy miał przerażenie i żal. - Nie wiedziałem, że to twój brat.

Spojrzałam na niego z gniewem. Wściekłość sprawiała, że ogłuszało mnie dudnienie własnego serca.

- Zamknij się, Ethan - powiedział Monroe i stanął tak, żebym nie widziała Poszukiwacza.

- Calla. - Głos Shaya kazał mi znów skupić się na tym, co miałam przed oczami. - Ansel potrzebuje teraz pomocy. Co mogę zrobić?

Pokręciłam głową, usiłując się skoncentrować.

- Musi dostać krew, a strzały trzeba usunąć. Shay przytaknął.

- Kiedy ci powiem, usuń bełty, jak najszybciej możesz.

- Dobrze.

Przykucnął po drugiej stronie bezwładnego ciała Ansel i chwycił bełt kuszy. Uniosłam przedramię do ust i mocno ugryzłam. Podsunęłam dłoń pod głowę Ansel i uniosłam ją. Palce wsunęłam mu do ust, rozchylając jego wargi. A potem pochyliłam się i szepnęłam mu do ucha, przyciskając krwawiącą rękę do jego ust.

- Posłuchaj, braciszku. Błagam, posłuchaj - szlochałam. - Musisz mnie posłuchać. Musisz pić, Ansel. Proszę, pij.

Moja krew lała mu się do ust. Do gardła. Zamknęłam oczy i przycisnęłam czoło do jego skroni. Poszukiwacze patrzyli na nas w milczeniu i w całkowitym bezruchu. Na ich twarzach widziałam grozę i ciekawość.

Ansel nawet nie drgnął. Moja krew napełniała mu usta, zaczynała się wylewać kącikiem.

- Calla? - głos Shaya podszyty był lękiem.

- Proszę cię, Ansel - znów szepnęłam. - Pij. Kocham cię. Nie umieraj. Pij. Ciało Ansela drgnęło, takim ostrym, nagłym ruchem. Jego szczeka poruszyła się i przełknął. Jego mięśnie zadygotały, a głowa stoczyła się z mojego ramienia.

- Adne, Connor, chodźcie tu! - krzyknęłam. - On będzie się bronił. Musicie go przytrzymać.

Oboje podeszli do mnie i przycisnęli jego ramiona do podłogi. Znów się szarpnął, ale bez trudu go utrzymali. Chociaż byłam przerażona, nachmurzyłam się, widząc jego wysiłki. Tak słabo walczył. Coś było nie w porządku. Znów przytknęłam krwawiącą rękę do jego ust.

- No dawaj, An - zachęcałam. - Potrzebujesz jej. Pij dalej. Nie walcz z tym.

Znów przełknął, a potem zaczął pić bez oporów.

- Trzymajcie go mocno - odezwałam się, patrząc na Adne i Connora.

Oboje skrzywili się, ale pokiwali głowami.

- Shay, zacznij wyciągać bełty.

- Dobra. - Shay szybko wziął głęboki oddech. - No, to jedziemy. -

Wyszarpnął pierwsze ostrze z piersi Ansela.

Ansel nie otworzył oczu, ale wzdrygnął się i warknął, plując krwią. Adne jęknęła, ale Connor nadal mocno przytrzymał ciało Ansela.

- Trzymajcie go! - krzyknęłam, podtykając bratu krwawiącą dłoń do ust.

Z chwili na chwilę niepokoiłam się coraz bardziej. Ansel wcale nie próbował się bronić. Może moją krew dostał za późno?

- Następny, Shay - poleciłam, walcząc z tym okropnym lękiem, który dusił mnie za gardło. - Musimy jak najszybciej usunąć bełty.

Shay pokiwał głową i wyciągnął kolejne dwa.

- To już wszystkie - powiedział, odrzucając je na bok.

Nadal przyciskałam rękę do ust Ansel. Przestał się szarpać i pił łąpczywie, już spokojniej. Oparłam się na podłodze drugą ręką. Wypił już sporo mojej krwi.

- Calla... - Shay podsunął się do mnie i objął mnie w talii ramieniem.

- Nic mi nie będzie - zapewniłam.

Ansel przestał pić. Z wahaniem odjęłam rękę od jego ust i zacisnęłam dłoń na ranie po zębach. Powoli otworzył oczy.

- Calla?

Zatkałam i przyciągnęłam go do siebie. Monroe wypuścił powietrze z płuc w długim, urywanym oddechu.

- Bogu dzięki.

- Nic dziwnego, że Napastnikom tak trudno ich zabić - rzucił Silas. - Czy wyście widzieli, jak szybko to idzie? Musimy porozmawiać w Akademii o jakichś nowych zaklęciach, które to przełamują.

- Silas, nie teraz - mruknął Connor przez zaciśnięte zęby.

- To naprawdę ty - powiedział Ansel, patrząc na mnie i mrugając powiekami, głosem nadal trochę niepewnym. - W głowie mi się nie mieści, że cię znalazłem.

- Ansel. - Przytuliłam twarz do jego zmierzwionych włosów. - O Boże, Ansel.

Nadal nie bardzo mógł skupić wzrok, gdy spoglądał na grupkę Poszukiwaczy, a wreszcie na Ethana, który cofnął się o krok.

- On do mnie strzelał - w głosie Ansel zabrzmiało dziwne rozbawienie. - To przecież on do mnie strzelał.

- Nie martw się - zaczęłam tłumaczyć. - Wszystko będzie dobrze. On nie wiedział, kim jesteś, ale teraz już nic ci nie grozi.

Ansel znów na mnie spojrzał. Nie poznawałam tego dziwnie sztucznego uśmiechu, który pojawił się na jego ustach. - Trzeba było mu dać mnie zabić.

13

Zacisnęłam palce na ramieniu Ansel, gapiąc się na niego, niezdolna wykrztusić słowa ani uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam. Ledwie poznawałam zapach własnego brata pod tym innym, nowym nieprzyjemnym odorem. Brud, krew i ostry zapach strachu.

Shay przykucnął tuż koło nas.

- Ansel, cześć. Wyluzuj. Wszystko będzie dobrze. Niemiłe uczucie wzmogło się, kiedy Ansel zaczął się śmiać.

Jeszcze nigdy nie słyszałam tak przerażającego śmiechu. Był ostry i zupełnie pozbawiony radości.

- Naprawdę, Shay? - spytał, znów się tak okropnie uśmiechając. - Wszystko będzie super?

- Ansel, co się dzieje? - Odsunęłam włosy lepiące się do jego czoła. Odepchnął moją dłoń i spróbował wysunąć się z moich objęć.

- Daj spokój. Puść mnie już.

Tylko jeszcze mocniej przyciągnęłam go do siebie. Nic nie rozumiałam z jego dziwnego zachowania. Szarpał się ze mną, ale nie odpuściłam nawet na centymetr.

Shay szerzej otworzył oczy, kiedy dostrzegł, że Ansel przestaje się wyrywać. Wstał, zbladł na twarzy.

- O nie...

Popatrzyłam na niego.

- Co?

Shay pokręcił głową, nie odrywając wzroku od Anseła.

- Ja nawet nie wiem, czy to w ogóle możliwe, ale chyba.

- Co chyba, wybrany chłopczyku? - Ansel spojrzał na Shaya i zadygotał. - Wiesz. Oczywiście, że wiesz. - Uśmiech znikł zastąpiony obojętną, zrezygnowaną miną.

- O czym wy mówicie? - szepnęłam.

- Ja... - Uniósł ku mnie spojrzenie. Na moment w jego szarych oczach mignęła wściekłość, sprawiając, że rozbłysły jak burzowe chmury oświetlone błyskawicą, ale potem to światelko znikło, zostawiając tylko mgłę, gęstą i pozbawioną nadziei.

Monroe ostrożnie się do nas zbliżył. Ansel nie zareagował. Wpatrywał się w przestrzeń, ale nie patrzył na nic konkretnego. Monroe przyklęknął obok nas, minę miał zatroskaną.

- Coś mu jest?

- Nie wiem - odparłam, nie odrywając wzroku od Anseła. - Braciszku, proszę. Powiedz coś.

- Zabrali to - szept Anseła był taki cichy, że z trudem rozróżniłam słowa.

- Co zabrali? - spytałam.

- Calla - w głosie Shaya pojawiła się ostrzegawcza nuta. - Może trzeba mu pozwolić odpocząć. Daj mu spokój.

- Mnie - ciągnął Ansel, nie patrząc mi w oczy. - Zabrali wszystko. Nie ma nic. Już po mnie.

- Tutaj nie mogą cię dosięgnąć - odezwał się Monroe łagodnie. - Twoja siostra ma rację. Już nic ci nie grozi.

- To już nie ma znaczenia - powiedział Ansel. Straciłam cierpliwość.

- Co się z tobą dzieje?

Odepchnęłam go od siebie, a on potoczył się na posadzkę jak szmaciana lalka. O Boże. Co się stało?

Przez chwilę leżał tak, a potem jego ramiona zaczęły drżeć, a on uderzył pięściami w podłogę i się rozplakał.

Connor patrzył na mojego brata jak oniemiały.

Wszyscy Strażnicy mogą tak ciskać jeden drugim? To dlatego, że jesteś alfą?

- Nie! - Walczyłam z okropną myślą, która zaczynała do mnie powoli docierać.

Podczołgałam się do boku Ansel, ostrożnie obróciłam go na plecy.

- Ansel? - Wyciągnęłam do niego rękę, ale on się odsunął.

- Nie dotykaj mnie.

- Dlaczego mi się nie opierasz? - Pomyślałam, że już znam odpowiedź, ale instynktownie się przed nią broniłam.

Popatrzył na mnie ostro, zwinięte pięści trzymając przy bokach.

- Mówiłem ci, odebrali mi to.

- An, musisz mi to wyjaśnić. Nie rozumiem. - Ale rozumiałam. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć.

Głos Shaya rozległ się gdzieś tuż za moimi plecami:

- On już nie jest Strażnikiem.

Obejrzałam się na niego. Twarz miał nadal bladą, wręcz zielonkawą.

- To niemożliwe. - Nie, nie, nie.

- A jednak - powiedział cicho Monroe, zachowując pełen szacunku dystans i obserwując, jak mój brat zaczyna z żalu kołysać się w przód i w tył.

- Nie, to niemożliwe! - wrzasnęłam, nie chcąc uwierzyć w coś, na co patrzyłam własnymi oczami.

- Strażników się stwarza - ciągnął Monroe. - I można ten proces odwrócić.

- Nie! - Zerwałam się na nogi i stałam nad swoim bratem, jakbym chciała go bronić przed atakiem. - To niemożliwe!

- Monroe ma rację. - Silas wygładził gors swojej koszuli. - Strażnicy są wybrykiem natury. Opiekunowie potrafią manipulować swoimi stworzeniami tak, jak im się żywnie podoba.

Warknęłam na niego.

Popatrzył na mnie, wcale niezbity z tropu.

- To prawda.

- Zamknij się, Silas. - Connor trzepnął go w potylicę.

- Auć! - krzyknął Silas i potarł głowę. - Co jest? Ja tylko zauważyłem, że...

- Daj spokój - uciął Monroe.

- Dlaczego? - Shay przykucnął obok Ansel'a i przyglądał mu się uważnie.

- Dlaczego postanowili ci to zrobić?

Ansel skrzywił się i spojrzał ostro na Shaya.

- Dla przykładu. Potrzebowali przykładu. Zaszło mi w ustach.

- Przykładu dla kogo? - wychrypiałam.

Ansel zwrócił spojrzenie na mnie, a ja aż przysiadłam na piętach. Jak mój własny brat mógł patrzeć na mnie w taki sposób?

- Dla twojego klanu - syknął. - A może o nich zapomniałaś, odkąd masz tylu nowych przyjaciół?

- Spokojnie - odezwał się Shay, stając między mną a An-selem. - Calli nie wolno obwiniać. Zrobiła to, co musiała, żeby ratować mi życie. Jak musisz kogoś obwiniać, obwiniaj mnie.

Ansel uśmiechnął się do niego pustym i zimnym uśmiechem.

- Stary, moje gratulacje. Jesteś wilkiem, a ja już nie. Stworzyła sobie ciebie dla siebie, a nas porzuciła.

- Ansel, to nie tak było, chcieli go zabić! - Oczy mnie piekły, łzy spływały po policzkach.

- Lepiej jego niż nas - powiedział, znów wbijając wzrok w posadzkę. - Już niedługo cały klan zginie.

- Nie... - szepnęłam. Przecież by się nie ośmielili? Zabić młode wilki? Wszystkie? W głowie mi zawirowało, nie potrafiłam się pogodzić z taką możliwością. W przeszłości zdarzało się, że Opiekunowie dokonywali egzekucji zbuntowanych Strażników. Czy uciekając, przypieczętowałam los członków własnego klanu?

Monroe znalazł się nagle tuż przy mnie i oparł dłonie na ramionach Ansel'a.

- Posłuchaj mnie uważnie. Możemy pomóc tobie i twoim przyjaciołom, ale musisz powiedzieć mi prawdę. Czy ktoś cię śledził?

Ansel potoczył wkoło spojrzeniem i splunął Monroe'owi w twarz.

Adne aż sapnęła, ale Monroe uniósł dłoń.

- Rozumiem twój ból - powiedział cicho, bez gniewu. - Ale musisz mi zaufać. Nie jesteśmy twoimi wrogami. Twoja siostra jest tutaj bezpieczna. Ty też będziesz.

Z trudem chwytałam oddech. Łzy nadal płynęły mi po twarzy, skapywały z brody na obojczyki. Co ja narobiłam? Pod moimi zaciśniętymi powiekami pojawiły się różne twarze. Bryn. Mason. Ren.

Poczułam na swojej dłoni dotyk.

- Calla - szepnął Shay. - To nie twoja...

- Przestań. - Wyszarpnęłam palce spod jego dłoni. - To jest moja wina.

Ansel wziął długi drżący oddech.

- Wyrzucili mnie z samochodu gdzieś na obrzeżach miasta. Powiedzieli tylko, że jak mi się poszczęści, to może znajdę siostrę.

- Ethan? - Monroe podniósł się na nogi.

- Był sam - odparł Ethan. - Żadnych ogonów. Żadnych Strażników.

- Pewnie stanowi tylko ostrzeżenie - powiedział Connor. - Oni lubią robić takie rzeczy.

Adne zadygotała, a Connor objął ją za ramiona.

- Możliwe, że masz rację - zgodził się Monroe. Adne podeszła o krok.

- Powinniśmy dać mu się ogarnąć. Poszukam mu jakichś ubrań.

- Chcę tylko zostać sam - mruknął Ansel, ale gniew już znikł z jego głosu.

Przysunęłam się do niego.

- An, pozwól im sobie pomóc. Oni naprawdę mogą nam pomóc.
- Nie powinienem być mówić ci takich rzeczy. - Ansel zadrżał i wreszcie na mnie spojrzał oczyma szklistymi i pełnymi żalu. - Cieszę się, że żyjesz. Roześmiałam się przez własne łzy.
- Dzięki.
- Dlaczego nas porzuciłaś?
- Nie mogłam pozwolić Shayowi umrzeć. Po prostu nie mogłam - wykrztusiłam. - Nie chciałam was zostawiać. Tak bardzo mi przykro. Znów oparł głowę o moje ramię i zadygotał, kiedy go objęłam.
- Mnie też jest przykro.

Zebraliśmy się w kuchni Czyścica. Silas i Adne postawili przed nami parujące kubki herbaty. Już nieoblepiony krwią i błotem, przebrany w czyste ciuchy, które skądś wytrzasnęła Adne, Ansel znów był podobny do siebie. Jego twarz nadal była cieniem tej, jaką pamiętałam, i dygotał pod kocem, którym owinięto mu ramiona. Mój brat zawsze tryskał optymizmem, w kącikach jego ust wiecznie czaił się uśmiech. Teraz rysy jego twarzy były ściągnięte. Jego oczy, na wpół ukryte pod opadającymi na czoło włosami w odcieniu piaskowego brązu, były odległe i patrzyły tępo. Siedziałam naprzeciw niego, obserwując każdy jego ruch, zastanawiając się, o czym myśli, czy coś go boli. Próbowалаm usiąść bliżej niego, ale odsuwał krzesło. Jakby nie potrafił znieść mojej bliskości.

Już nie był wilkiem. Rozumiałam ciężar tej straty. Zawsze byliśmy wilkami. Życie bez tej części samego siebie, to by było... nie do zniesienia. Czułabym się zagubiona w świecie. Ale dlaczego nie chce dopuścić mnie do siebie? Wiem, że to nie jego wina. Czy on się wstydzi? Czy się mnie boi?

Ansel został nie tyle rzucony między wilki, ile wyrwany spomiędzy nich. Porzucony na ulicy jak śmieć, już nieprzydatny swoim panom.

Siedzieliśmy w milczeniu, czekając, aż odpowie na pytanie, które przed chwilą zadał mu Monroe.

Nie ruszał się, palce zaciskał na stojącym przed nim kubku.

Monroe odchrząknął.

- Wiem, że to trudne, ale musisz nam opowiedzieć, co się stało po ucieczce Calli i Shaya z Vail.

Ansel odsunął od siebie kubek i schował drżące dłonie pod stołem.

- Czekaliśmy na nią na polanie.

Zamknęłam oczy, czując się tak, jakbym znów znalazła się w lesie.

Usłyszałam tamte bębny. Śpiew Sabine i Neva. Przypomniałam sobie, że poczułam zapach Shaya, że znalazłam go związanego, z zasłoniętymi oczami. Serce zaczęło mi mocno tłuc w piersi, dostrajając się do gorączkowego rytmu bębnow.

- Ale ona w ogóle nie przyszła - głos Anseli przeszył mgłę wspomnień i otworzywszy oczy, przekonałam się, że na mnie patrzy.

- Znalazła mnie - powiedział Shay. - Zostałem porwany. Związali mnie, miałem czekać, aż zostanę złożony w ofierze podczas ceremonii.

- Interesujące - mruknął Silas.

- To nie jest interesujące - rzucił ostro Connor. - To chore.

- Co ty tu w ogóle jeszcze robisz? - Pokazałam Silasowi zęby. - Nie powinieneś przekładać swoich papierków?

- Moja dziewczynka. - Connor się uśmiechnął.

- Skrybowie koordynują wszelkie działania wywiadowcze prowadzone w placówkach - rzekł Silas, dumnie wypinając pierś. - Straciliśmy dzisiaj kluczowego agenta, ten chłopak może nam wyjaśnić, jak do tego doszło. Uniósł brew, patrząc na Anselę, ale Ansel tylko bezmyślnie gapił się w blat stołu.

Silas odchrząknął i spojrzał na Shaya.

- Opowiedz nam o tej ofierze. Wchodziły w grę jakieś rytualne przygotowania?

- Rytualne przygotowania? - powtórzył Shay. - Och... nie. Po prostu mnie ogłuszyli. Jeśli coś się działo, zanim ocknąłem się w lesie, to ja nic o tym nie wiem.

Connor zerknął na Shaya.

- Dobrze się czujesz, mały?

- Nic mi nie jest - odparł Shay, chociaż wyglądał nieco blado.

- Możemy poczekać z pytaniami, póki nie skończy? - odezwał się Monroe, gestem zachęcając Ansel, by mówił dalej.

Grupa zamilkła.

- Nikt z nas nie wiedział, co się stanie - powiedział Ansel po chwili milczenia. - No cóż... przynajmniej nikt z naszego klanu. Myśleliśmy, że Ren i Calla przyjdą razem. Wiedzieliśmy, że kogoś się zabije, ale myśleliśmy, że to będzie...

Urwał i rozejrzał się wokół.

- Och, jak miło. - Connor roześmiał się ponuro.

- Co? - spytała Adne.

Ethan się skrzywił. Wstał i zaczął przechadzać się obok paleniska.

- Jeden z nas. Myśleli, że to jeden z nas zostanie tam zabity. Isaac zakrztusił się lekko swoją herbatą. Adne podała mu kuchenny ręcznik.

W kuchni zapanowało niezręczne milczenie.

- To już przeszłość - podsumował na koniec Monroe. -Zostawmy to.

Ansel popatrzył na Monroe'a, a kiedy ten skinął głową, zaczął mówić dalej:

- Czekaliśmy tak długo, że Efron kazał kilku starszym wilkom z Kary Nocy pobiec do lasu. Po chwili rozległo się ich wycie. Pobiegliśmy tam wszyscy. Wilki i Opiekunowie. I wtedy ją zobaczyłem.

- Flynn - Shay i ja powiedzieliśmy jednym głosem. Ansel pokiwał głową.

- Nie mogłem przestać się gapić. Nie wiedziałem, skąd ona w ogóle wzięła się w lesie, a teraz nie żyła, najwyraźniej zabita przez kogoś z nas.

- Przerwał i spojrzał na mnie. -Wiedziałaś, że jest sukubem?

- Dopiero, kiedy nas zaatakowała - szepnęłam, wspominając jej skrzydła i ten ogień, który buchnął z jej gardła.

- No i wtedy zaczęło się prawdziwe szaleństwo - ciągnął Ansel. - Efron i Lumine wykrzykiwali jakieś rozkazy. Ja próbowałem trzymać się Bryn, ale starsze wilki Kary Nocy nas rozdzieliły. Nie rozumiałem, co się dzieje. Wepchnęli mnie do samochodu, a potem znaleźliśmy się w mieście.

- W mieście? - powtórzyłam, marszcząc brwi.

- W Edenie. Ale nie w samym klubie. W podziemiach. Efron ma tam coś w rodzaju... więzienia. Tam nas zabrali.

- No cóż, to pomocna informacja - mruknął Silas.

- Co takiego? - spytał Shay.

- Nie wiedzieliśmy, gdzie Opiekunowie je umieścili - wyjaśnił Monroe. - Mów dalej, Ansel.

- Nie wiedziałem, dlaczego traktują nas jak wrogów. - Jego dłonie teraz wyraźnie drżały. - Mnie i Masona wsadzili do jednej celi. I chyba Fey i Bryn też są razem... nie widziałem ich, ale słyszałem ich krzyki.

Zadygotałam. Shay splótł palce z moimi, a ja nie wyrwałam mu ręki.

- Przez jakiś czas nic się nie działo. - Ansel mówił tak cicho, że wszyscy nachyliliśmy się naprzód, natężając słuch. - Nałożyli nam dyby i nie mogliśmy zmieniać postaci. Ale to był tylko początek.

Shay spojrział na Monroe'a.

- Wy się wymieniacie pomysłami, czy jak? Monroe nie odpowiedział.

- O co chodzi? - Nachmurzyłam się i spojrzałam na Shaya.

- Zaraz po przybyciu do Akademii oni też ci takie założyli.

- Gdyby się ocknęła, kiedy ją przenosiliśmy, zaatakowałyby, sama nie wiedząc, co robi - stwierdził Connor. - Nie mieliśmy wyboru.

Shay otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

- Daj spokój, Shay - wtrąciłam szybko. - Nic się nie dzieje.

- A potem przyprowadzili tam Rena. - Ansel jakby nie zauważył naszej wymiany zdań. Tkwił myślami w przeszłości zupełnie jak w pułapce. Na dźwięk imienia Rena wyrwałam rękę Shayowi. Ren usiłował nam pomóc. Okłamał Opiekunów dla nas. Jaką cenę musiał za to zapłacić? I nagle wydało mi się, że słyszę jego głos. „Tu przecież chodzi o miłość”. Poczulałam na skórze jego oddech, jego usta na swoich. Jego gorący uścisk, zanim go tam zostawiłam.

- No i wtedy się zaczęło. - Ansel poruszył się gwałtownie na swoim krześle, jego ramiona mocno zadrżały.

- Co się zaczęło? - spytał łagodnie Monroe.

- Kary - szepnęła Ansel. - Wtedy pojawiły się zmory.

- Adne, powinnaś już stąd iść. - Monroe nie odrywał wzroku od roztrzęsionego Ansel.

- Nie - odparła, chociaż jej też trzęsły się ręce.

- Lepiej by było, gdybyś tego nie słuchała. Kiedy skończymy, powiem ci, o co chodziło.

- Nie - powtórzyła.

- Dlaczego nie miałyby zostać? - spytał Shay. Monroe zacisnął zęby. Nie odpowiedział Shayowi i zamiast tego cały czas patrzył na Adne. Adne z trudem przełknęła ślinę, ale wyprostowała się dzielnie.

- Zmory zabiły moją matkę.

- Powinnaś odejść - powiedział cicho Monroe. - Proszę.

- Nie trzeba, Monroe. - Connor podszedł do Adne i wziął jej dłonie w swoje. - Ona jest silna.

Monroe zmarszczył brwi, ale dłużej się nie spierał. Ansel nadal trząsł się i mówił:

- Najpierw wchodzili do naszych cel z Lumine i Efronem. Zabierali nas pojedynczo. Zmuszali innych do patrzenia. Czasami to był Emil albo któryś ze starszych z klanu Kary Nocy. Byliśmy skuci w ludzkiej postaci, a oni atakowali nas,

szarpali zębami i pazurami. Tak, żeby nas poranić, ale nie zabić. Innym razem wchodził Opiekun i przyzywał zmory. Zmory były gorsze niż Strażnicy. O wiele gorsze. Zupełnie jakby pochłaniały cię w całości, jakbyś był uwięziony w środku. Czujesz, że ciało się rozpada, jakby pożerały cię żywcem, powoli... Tak strasznie powoli. Przez chwilę krzyczysz. A potem mdlejesz. Kiedy się budzisz, ich już nie ma. Ale parę godzin potem wracają i to się wszystko dzieje od nowa. Czasem słyszałem krzyki Bryn i Fey.

Opuściłam głowę, walcząc z obrazem Bryn spętanej ciemnymi więzami cienia. Adne zachwiała się na nogach. Connor objął ją w talii i podtrzymał.

- Pytali was o coś? - zapytał Monroe. - Czego od was chcieli?

- Chcieli wiedzieć, gdzie jest Calla - odrzekł Ansel. - I ciągle pytali o Potomka. Nie rozumiałem, o co im chodzi.

- Mieli na myśli Shaya - wtrąciłam. - To Shay jest Potomkiem.

Ansel uśmiechnął się ponuro.

- Teraz już wiem. Wiem, że chcieli go zabić. Niektóre sprawy same się wyjaśniały, w miarę jak zadawali kolejne pytania.

- A co z Renierem? - zapytał Monroe. Ręce, zaciśnięte mocno w pięści, oparł na stole.

- Wyprowadzili nas z cel do takiej jednej dużej sali. Wszystko tam było nowe i błyszczące jak w szpitalu. Pomijając samą salę. Była ciemna i stara. Czuję się tak, jakbyśmy z więzienia przeszli do zamkowych lochów. I wszyscy tam byli.

- Wszyscy? - powtórzyłam.

- Wszyscy Strażnicy. Ponad setka naszych i wszyscy Opiekunowie ze zmorami. Patrzyli na stos usypany z kamieni. Wyglądał jak jakaś scena czy ołtarz.

Ołtarz.

Nie, nie. Nie Ren. Proszę, tylko nie Ren.

- Czy na tym ołtarzu był Renier? - głos Monroe'a drżał. Popatrzyłam na niego, zdumiona, że wystraszył się tego samego, co ja.

- Nie. On był obok ołtarza z Emilem i moim ojcem - powiedział Ansel, a potem spojrział w moją stronę. Na ołtarzu była moja matka.

Poderwałam się na nogi, chociaż roztrzęsione mięśnie ledwie pozwalały mi stać.

- Co?!

Na twarzy Ansela znów pojawił się ten sztuczny uśmiech.

- Zaskoczona?

- Jak możesz mnie o to pytać?! - wrzasnęłam. - Mama nie miała z tym nic wspólnego.

- Ale była samicą alfa - rzekł Ansel. Spokój w jego głosie przeraził mnie niemal tak samo jak słowa. - Powinna była cię nauczyć, gdzie jest twoje miejsce.

Moje miejsce. Wszystko, czego nienawidziłam w swoim przeznaczeniu. Inny powód, dla którego uciekłam. Niemał tak okropny jak groźba utraty Shaya.

- I zawiodła - szepnął Ansel. - Właśnie to powiedziała Lumine. Że nie udało jej się wywiązać z obowiązków.

Opadłam na ławkę i nawet nie drgnęłam, kiedy Shay objął mnie ramionami.

- Co oni jej zrobili?

- Pozwolili Emilowi ją zabić, a tata musiał tam stać i patrzeć. Nogi pod mną się ugięły. Spadłabym z ławki, gdyby Shay mnie nie trzymał.

Monroe zerknął na pobladłą Adne.

- Zamordowali twoją matkę? - szepnęła.

Connor przyciągnął ją do siebie, szepcząc coś do ucha. Po jej policzkach spływały łzy, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

- Powiedzieli, że to kara dla nich obojga jako alf. Ona umarła, bo uciekłaś. Tata stracił partnerkę.

Wyrwał mi się szloch, oczy mnie piekły, a łzy przesłoniły mi widok twarzy Ansela.

Moja matka. Przeze mnie zabili moją matkę. Jestem potworem.

- Ale pozwolili samcowi alfa Cienia Nocy żyć? - spytał Silas. Robił notatki i dopadła mnie ochota, żeby odgryźć mu palce. Powolutku.

- Już nie ma samca alfy klanu Cienia Nocy - powiedział Ansel.

- Jak to? - Shay mocno mnie do siebie przytulił. Czułam się otepiała, niezdolna się poruszyć.

- To reszta kary - opowiadał Ansel. - Opiekunowie rozwiązali klan Cienia Nocy. Emil jest teraz jedynym samcem alfa. Oddano mu oba klany. Efron i Lumine powiedzieli nam, że wprowadzają nowe porządki. Klan Kary Nocy okazał się bardziej lojalny i będzie przewodzić klanowi Cienia Nocy, dopóki członkowie Cienia Nocy znów nie dowiodą swojej lojalności.

- Ale jak mieliby to zrobić? - spytał Ethan.

- Mają sprowadzić go z powrotem. - Ansel wskazał na Shaya. - To nowy rozkaz. Strażnikom przykazano odszukać go i dostarczyć Opiekunom. Któremu się uda, ten zyska ich przychylność. Jeśli to będzie wilk Cienia Nocy, to zostanie nowym alfą i dostanie własny klan.

- Ale przecież to niemożliwe - powiedziałam. - Alf się nie mianuje, trzeba się alfą urodzić. Jak długo żyje nasz ojciec, jest alfą Cienia Nocy, czy to się Opiekunom podoba, czy nie.

- Powiedz to Opiekunom. - Ansel spiorunował mnie wzrokiem.

- To może podzielać na naszą korzyść - mruknął Ethan. Pochwycił wzrok Connora i Connor skinął głową.

- W jaki sposób? - spytałam. - Jak to ma nam pomóc? Będą na nas polować.

- To by mogło... - zaczął Connor, ale Monroe mu przerwał:

- Zaraz. Ansel, co z Renierem Laroche'em? Ansel westchnął długo i powoli.

- Nazwali go zdrajcą takim jak Calla. Kazali mu klęknąć przed ołtarzem. Jakoś udało mi się wydobyć z siebie głos, zduszony szept:

- Zabili go?

Ansel pokręcił głową, a we mnie znów odżyło coś, co, jak wcześniej sądziłam, umierało.

- Co się stało? - spytał Monroe, nie zaciskając już dłoni tak kurczowo w pięści.

- Powiedzieli, że jego zdrada to вина Calli. Że kobietom nie wolno ufać. Że samice rodzą się po to, żeby uwodzić i zwodzić. Że Calla oszukała Rena. Że on tylko próbował uratować partnerkę, o której miłości był przekonany.

„O której miłości był przekonany”. Zakochałam się w kimś innym, ale Ren nadal stanowił część mnie. Łączyło nas coś, czego nie umiałam określić. Czy to też miłość? Poczucie winy zakłuło mnie, jakby tysiąc igieł wbijało mi się w skórę. Zmusiłam się, żeby stanąć prosto i wysunęłam się z objęć Shaya.

Silas pokiwał głową.

- Hm, no tak. Grzech Ewy. Sprytny manewr.

- Silas, przysięgam, powybijam ci zęby, jak powiesz jeszcze słowo - zagroził Connor, mocniej obejmując ramiona Adne.

- Nie ma nic złego w tym, żeby zrozumieć pobudki, którymi się kieruje twój własny wróg - oświadczył Silas wyniośle. - Jak nie będziemy ich analizować, nie będziemy umieli przewidzieć ich następnych posunięć.

- Daj spokój, Connor - poprosił Monroe. - Silas, nie czas teraz na to. Silas mruknął coś pod nosem, a Connor nadal patrzył na niego groźnie.

- Wypuścili na niego zmorę. - Ansel zadygotał. - Na dłużej niż kiedykolwiek widziałem. Jak było po wszystkim, nie mogłem uwierzyć, że jest nadal przytomny. A potem powiedzieli,

że ma wybierać własny los. Że nadal może decydować o własnym przeznaczeniu.

- I co odpowiedział? - spytał Monroe.

- Po tym ataku zmory nie mógł mówić. Zdziwiłem się, że w ogóle przeżył. Trzymała go tak długo... - Skulił się i aż jęknął.

Ogarnęło mnie zimno, jakby mróz wypełniał mi kości. Ręce i nogi drżały mi w sposób, którego w ogóle nie mogłam opanować.

Moja matka nie żyje. Rena torturowali. I to wszystko moja wina.

- Wyprowadzili go. - Ansel otarł sobie ślinę z ust. Chciał wypić łyk herbaty, ale kubek za mocno drżał w jego dłoni. - Nie wiem dokąd. Ale jak nie odpowie im na wszystkie pytania, to jestem pewien, że go zabiją. Monroe cicho jęknął. Wpatrywał się w płomienie na palenisku, pochłonięty własnymi myślami.

- A potem podprowadzili do ołtarza mnie - ciągnął Ansel.

Wyciągnęłam ręce przez stół z nadzieją, że je ujmie. Popatrzył na moje otwarte dłonie i odwrócił wzrok. Cofnęłam puste ręce, w środku też czułam pustkę.

- Lumine powiedziała, że dzieciom Naomi Tor nie wolno ufać - powiedział Ansel. - Położyła mi ręce na piersi. Myślałem, że mnie rozedrze na pół. Usłyszałem własne wycie, zobaczyłem, że moja wilcza dusza unosi się przed moimi oczami, a potem, że płonie. Płonie, płonie. Paliło się futro. Czułem ten smród, czułem, że płonę żywcem. A potem wilk zamienił się w popiół. Lumine machnęła rękoma i ten popiół się rozwiął. A ja już wiedziałem. Poczulem, że wilk znikł. Że mnie nie ma.

- Żyjesz, to najważniejsze. - Monroe stanął za nim. Położył mu dłonie na ramionach. Ansel drgnął, ale się nie odsunął. - Jesteśmy tylko ludźmi, a przecież uważamy, że warto jest żyć.

- Ja nie jestem człowiekiem - zaprzeczył Ansel. - Jestem Strażnikiem. Byłem Strażnikiem. Nie wiem, kim jestem teraz.

- Mogłabym znów cię przemienić - oznajmiłam nagle. - Możesz znów być Strażnikiem.

- Nie. Zostałem odczarowany. - Twarz Ansela wykrzywiła złość. - Tak powiedziała Lumine. Powiedziała im wszystkim. Mogę zostać znów przemieniony tylko za pomocą Starej Magii. Zwykła alfa nie może mnie przemienić. Jestem przeklęty.

- Pomożemy ci - obiecał Monroe. - Możemy cię nauczyć naszych sposobów walki. Nie musisz być wilkiem, żeby mieć siłę.

- Ta wojna skończyłaby się dawno temu, gdyby tylko wilki były silne - mruknął Ethan.

- Nie chcę walczyć inaczej! Chcę znów być wilkiem. - Ansel popatrzył na Monroe'a, a w jego oczach płonęła gorączka. - Możecie to zrobić? Wiem, że znacie się na magii.

Monroe milczał.

- Powiedziałeś, że chcecie mi pomóc. - Ansel był jak oszalały. - Tego właśnie potrzebuję. Calla, powiedz im, żeby mi pomogli.

- My nie stwarzamy Strażników - oświadczył wreszcie Monroe. - Nie zmieniamy natury.

- Co ty mówisz? - odezwała się. - Natura Ansela to natura wilka. Nienaturalne jest to, co oni mu zrobili.

- Możliwe, że masz rację - przyznał Monroe. - Ale, szczerze mówiąc, nie mamy możliwości, żeby to zmienić. Nie zniszczymy innej istoty, żeby znów stał się wilkiem.

- Nie rozumiem, jak to, zniszczyć inną istotę? - zdziwił się Shay.

- Musielibyśmy przejąć tożsamość innego wilka... Zabić przy tym zwierzę... Żeby dać twojemu bratu, czego chce.

Skóra mi ścierpła.

- Nie rozumiem.

Silas podniósł wzrok znad notatek.

- Strażnicy zostali stworzeni po latach eksperymentów z prawami naturalnego świata. Opiekunowie zawsze lubili

naginać naturę do własnej woli. Strażnicy byli jednym z pierwszych efektów mocy, którą Opiekunowie zyskali, sprzymierzając się z Podziemiem. Brali zwierzęta oraz ludzi i przez wiele lat próbowali połączyć ich w jedno, żeby stworzyć niepokonanych wojowników. Wiele, wiele prób się nie udało. Kalekie ciała, kalekie istoty niezdolne żyć ani w tym świecie, ani w żadnym innym. A potem pojawili się Strażnicy. Są grzechem przeciwko samej naturze. Prawdziwym powodem, dla którego Poszukiwacze walczą z Opiekunami. Popatrzyłam na niego.

- Czy ty właśnie nazwałeś mnie grzechem przeciw naturze? Silas obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Owszem. Tak powiedziałem.

- Silas, wystarczy - rzucił Monroe.

Skóra mnie świerzbiła, jakby łąziły po niej owady, jakby mnie dotkliwie gryzły i zostawiały drażniące ślady.

- I tak właśnie stworzono pierwszych Strażników?

Pomyślałam o pewnej historii, którą mi opowiadano, kiedy byłam dzieckiem. O pierwszym Opiekunie - szlachetnym wojowniku, rannym, uratowanym dzięki pomocy samotnego wilka. Nagrodą był wyższy status. Więż polegająca na wiernej służbie i miłości, która nie mogła być zdradzona.

- Zgadza się. A oni opowiadali wam o waszym stworzeniu jakieś bajki dla grzecznych dzieci? - zażartował Silas, który wyraźnie chciał powiedzieć jeszcze więcej, ale gniewne spojrzenie Monroe'a go uciszyło.

- Kolejne kłamstwa - szepnął Shay. Patrzył na własne dłonie.

Zastanawiałam się, czy teraz, kiedy poznał już prawdę, żałuje, że został przemieniony. Kiedy wiedział, że mój rodzaj powstał nie w nagrodę za lojalność, ale jako okrutny eksperyment na siłach natury. W jednym z pierwszych aktów potwornych zbrodni, których dokonali Opiekunowie.

- Calla, musisz coś zrobić - szepnął Ansel. - Nawet jeśli nie możesz mi pomóc. Zanim mnie odesłali, Lumine powie-

działa, że resztę naszego klanu też pozbawią wilczej natury, jednego po drugim, dla przykładu. Nie możesz na to pozwolić. Przecież to twój klan. Nie mogłam wydobyć głosu. W ustach czułam własny język, napęczniały jak kłęb waty. Prawie się krztusiłam. Co mogłam zrobić? Wszystkie dokonane przeze mnie wybory tylko zniszczyły mój świat. Moja matka nie żyła, mój brat stał się poranionym cieniem chłopaka, którym był kiedyś. I po co to wszystko? Shay i ja byliśmy bezpieczni, ale czy zrobiliśmy coś dobrego? Czy Opiekunowie stali się choć trochę mniejszym zagrożeniem? Przytknęłam dłonie do skroni, usiłując jakoś opanować wątpliwości.

- Nie pozwolimy, żeby to się stało.

Uniosłam wzrok, słysząc słowa Monroe'a. Twarz miał ponurą, mocno zaciskał zęby.

- Co konkretnie masz na myśli? - Isaac zwrócił się w jego stronę. - Popatrzył na Connora. A potem obaj nieco się wyprostowali, napięli mięśnie.

- Mam na myśli dokładnie to, co powiedziałem - odparł Monroe. - Uratujemy twój klan.

Wydawało mi się, że zimniej już nie może mi się zrobić, ale kiedy usłyszeliśmy słowa Monroe'a, mogłabym przycisnąć, że temperatura spadła jeszcze bardziej.

Shay jako pierwszy odchrząknął i się odezwał:

- Jak to, uratujemy jej klan? Monroe nie odpowiedział. Shay nie patrzył na mnie.

- Mówię to z przykrością, ale Ren na pewno wiedział, na jakie ryzyko się naraża, kiedy podejmował tę decyzję. Dostrzegał możliwe konsekwencje. Z własnej woli zdobył się na ofiarę.

- Ofiarę? - Nienawidziłam tego słowa, które tak często zaczęło się w moim życiu powtarzać. Moją matkę złożono w ofierze. Mój brat żałował chyba, że nie spotkał go podobny los. Nie mogłam znieść myśli, że Ren niedługo też dołączy do ofiar, złożonych dlatego, że uratowałam Shaya.

- Nie. - Popatrzyłam na nich z gniewem. - Ren nie stanie się ofiarą.

Wrócimy po niego do Vail.

Ansel kiwał głową, chociaż nadal kołysał się w przód i w tył na swoim krześle. Shay unikał mojego spojrzenia.

- Pójdziecie do Vail i co? - spytał Shay. - Dacie się pozabijać? Popatrz, jak skuteczna okazała się wasza ostatnia wycieczka.

- Shay - odezwał się Monroe. - Nie możemy zostawić tych młodych wilków na pastwę Opiekunów. To byłoby okrucieństwo. Kilka z nich może uda się nam uratować, jakoś ocalić

ten sojusz. Po prostu nie stanie się to tak szybko, jak chcieliśmy.

- Nie chcę wcale być okrutny - bronił się Shay. - To wy ciągle nam powtarzacie, że jest wojna. A na wojnie zdarzają się ofiary.

Monroe nie odrywał wzroku od Ansela.

- To są dzieci. To co innego.

- Dzieci? - Śmiech Shaya zabrzmiał szorstko. - Mówimy tu o kolejnym samcu alfa. Wiem, że Calla jest młoda, ale dzieckiem bym jej nie nazwał. Renier Laroche to taki sam alfa jak ona. Wiedział, co robi. Skończona sprawa.

- Jak możesz mówić coś takiego? - Popatrzyłam na Shaya ostro. - Może zginać tylko dlatego, że próbował nas uratować!

- Mówię szczerze - odparł chłodno. - Jeśli pójdziemy do Vail, dojdzie do jakiejś rzezi. Nie wolno ci podejmować takiego ryzyka. Ja ci na to nie pozwolę.

- Nie pozwolisz mi! Do diabła, a tobie się wydaje, że kim jesteś? - Krew zaszumiała mi w żyłach, zęby tak mi się wyostrzyły, że skaleczyłam się w język, kiedy krzyknęłam.

Obróciłam się na pięcie i spojrzałam na Monroe'a.

- Nie możemy go zostawić! Monroe złapał mnie za rękę.

- Nie zostawimy go, Callo. Masz moje słowo.

- Jak możesz tak mówić?! - Shay teraz już krzyczał. - Co by niby mogło uzasadnić taką samobójczą misję?!

- On kocha Callę - odrzekł spokojnie Monroe. - Już zaryzykował życie, żeby ją ratować. Nie zdradzi jej. Raczej dla niej umrze.

Poczucie winy przeszło mi wewnątrz jak cios nożem. Shay zaklął pod nosem.

- Tego nie możesz być pewien. - Zacisnął dłonie w pięści przy bokach. -

On jest Strażnikiem. Już widziałem, do czego są zdolni. Czytałem ich historię. Przez całe stulecia słuchali Opiekunów bez zadawania pytań.

Ren jest jednym z nich.

Monroe obrócił się stroną Shaya, zacisnął szczękę.

- On nie jest wyłącznie Strażnikiem. Jest synem Corinne. Ona zmieniła zdanie. On też zmieni.

- Corinne nie żyje - syknął Shay. - Zapomnij o tej swojej rzewnej miłosnej historii, staruszk.

Rozległ się potężny trzask, kiedy pięść Monroe'a trafiła Shaya w szczękę i cisnęła go na posadzkę. Adne krzyknęła i przykucnęła obok leżącego Shaya. Ethan stanął u boku Monroe'a. Usta miał zaciśnięte, a w oczach jakąś tajemnicę.

- Daj spokój, tato - mruknęła Adne. Musiała być wytracona z równowagi, bo dotąd nie słyszałam, żeby zwracała się do Monroe'a inaczej niż po imieniu. - Proszę, zachowuj się rozsądnie. Shay po prostu obawia się o Callę. On też ją kocha.

Więc naprawdę straciła nad sobą panowanie. Po raz pierwszy w ogóle przyznała, że jest świadoma uczuć Shaya do mnie. Może to jakaś pociecha, ale byłam zbyt wściekła na Shaya, żeby jej słowa mogły na mnie wpłynąć. Nawet jeśli kierowała nim miłość, nie miał prawa powstrzymywać mnie od pomocy mojemu klanowi.

- Widzę, że już zupełnie nie kierujemy się rozumem - sarknął Shay i potarł szczękę, a Adne pomogła mu wstać.

- Przepraszam. - Monroe powoli pokręcił głową, patrząc na własną, wciąż zaciśniętą pięść.

Connor tylko raz zerknął na moją osłupiałą twarz i szybko stanął pomiędzy mną a Monroe'em, Adne i Shayem.

- Słuchajcie - powiedział. - Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to kłótnia. Jesteśmy przecież wszyscy po tej samej stronie.

- No popatrz, a mógłbym się założyć, że niekoniecznie - mruknął Shay.

- Wyluzuj, Wybrańcze. - Connor uśmiechnął się cierpko. - Jeśli naprawdę chcemy coś zmienić, uczynić świat lepszym, to musimy pomóc Strażnikom. Ich życie to piekło; musimy

im pomóc się z niego wydostać. A Monroe ma rację. Wyrwanie stamtąd choćby kilku może stać się pierwszym krokiem w stronę sojuszu. Musimy od czegoś zacząć. Monroe pokiwał głową.

- Ethan - odezwał się Shay. - Pomóż mi w tym wszystkim.

- Ja wiem, mały, że jesteś Potomkiem i tak dalej - mruknął Ethan. - Ale uważam, że Monroe i wilczyca mają rację. Powinniśmy interweniować, i to szybko.

- Jesteś ostatnią osobą, którą podejrzewałem o członkostwo w Ruchu na Rzecz Etycznego Traktowania Strażników. -Connor się roześmiał.

Ethan uśmiechnął się, a potem spojrzał na budzącego litość Anselę, który nadal siedział skulony i na zmianę to zaciskał, to otwierał pięści.

- Być może źle ich oceniałem.

- I jak proponujesz im pomóc, nie tracąc wszystkiego? -spytał Shay, pocierając swoją obolałą szczękę.

Serce na moment mi stanęło, bo wszyscy Poszukiwacze popatrzyli w moją stronę. Ale to Adne się odezwała:

- Ja wiem.

- Co? - Monroe wyrwał się z ponurego zamyślenia i spojrzał na nią wzrokiem ostrym i niespokojnym.

- Tajna operacja tuż przed świtem. To nam zostawia parę godzin na przygotowania. Zbierzmy niewielką grupę. Otworzę wewnętrzne przejście.

- Nie. - Twarz Monroe'a pobladła.

- Każdy Tkacz musi umieć otworzyć wewnętrzne przejście, żeby móc objąć jakąś placówkę - powiedziała. - Zdałam egzaminy. Masz moje papiery. Mogę się tego podjąć.

- Ale o co chodzi? - Shay się nachmurzył. Ethan uśmiechnął się do Adne.

- Bystra dziewczynka.

- Nie - powtórzył Monroe. Podszedł o krok bliżej córki. -Wewnętrzne przejścia otwiera się wyłącznie w sytuacjach

wyjatkowych. Nie powinny być stosowane przez grupy uderzeniowe.

- Ale co to jest to wewnętrzne przejście? - spytałam. Adne spojrzała na mnie błyszczącymi oczami.

- Tak nazywamy portal, który otwiera się w miejscu, jakiego Tkacz przedtem nie widział. Trzeba stworzyć drzwi, opierając się na własnym wyobrażeniu wybranego miejsca, dysponując tylko wyrywkowymi informacjami.

Obróciła się do Monroe'a.

- W tym przypadku zyskujemy element zaskoczenia tak bardzo nam potrzebny.

- To jest wbrew protokołowi - sprzeciwił się Monroe. - Nie pozwolę na to.

- Protokół jest kretyński - upierała się Adne. - Mogę grupę przerzucić tam i z powrotem. To jedyne wyjście.

Spojrzała na Monroe'a ostro.

- Coś takiego ocaliłoby Stuarta i Kyle'a. Monroe'owi drgnęła szczęka, ale nic nie powiedział. Connor położył dłoń na ramieniu Adne.

- To spore ryzyko, mała. Jesteś pewna, że wiesz, co chcesz zrobić?

Pokiwała głową, ale Monroe pokręcił swoją.

- Zabraniam wszelkich dalszych dyskusji na ten temat. To wykluczone.

Ochrona nad Tkaczem to priorytet każdej drużyny.

Śmiech Adne zabrzmiał wyniośle.

- Pięć sekund temu gotów byłś rzucić wszystko na jedną szalę. Tu nie chodzi o protokół, chodzi ci o mnie. Daj spokój, Monroe. Podsuwam ci jedyną realną strategię, i ty o tym wiesz.

Monroe popatrzył na nią nieruchomymi oczami. Ściszyła głos.

- Proszę cię. Poradzę sobie. Pozwól mi im pomóc. Ethan popatrzył na Monroe'a.

- Ona ma rację. Tylko coś takiego może się udać. Chociaż i tak pewnie skończy się totalną klęską.

- To by musiał być naprawdę mały zespół - stwierdził Connor, nie odrywając wzroku od Adne.

- Jak mały? - Shay spojrzał na niego ponuro. - Znaczący, nie licząc obecnych.

- Ty nie idziesz - uciął Connor krótko. - Potomek nie pójdzie. Adne, możesz otworzyć drzwi obok Edenu, ale nie w środku.

- Ale to może nie wystarczyć - zaprotestowała.

- Wewnętrzne drzwi w środku klubu to by było samobójstwo. Ryzyko, że przegramy, a Tkacz i portal zostaną wykryte jest o wiele za duże - oświadczył. - No i dopiero co dowiedzieliśmy się o istnieniu tych cel. Szlibyście na ślepo. Ja takiego ryzyka nie podejmę. Po przeciwnej stronie ulicy albo w jakiejś bocznej alejce. Stamtąd uderzymy, odbijemy jeńców i uciekniemy.

- Kto idzie? - spytał Shay. Nie miał zbyt uszczęśliwionej miny, ale z jego oczu znikło oburzenie.

- Tylko ochotnicy - zdecydował Monroe. - Ta inicjatywa nie wychodzi od Strzały. To sprawa osobista. Nie wrócimy do Akademii, a akcję zaczniemy godzinę przed świtem. Ci, którzy zamierzają wziąć udział, powinni odpocząć albo zająć się koniecznymi przygotowaniami, zanim znów zbierzemy się przed atakiem.

Ethan odchrząknął.

- Ja pójdę.

Nie zdołałam powstrzymać niedowierzającego parsknięcia. Uśmiechnął się do mnie zimno.

- Wilczyco, mogę cię nie lubić, ale przykro mi, że o mały włos nie zabiłem twojego brata. A tamte bydlaki zabiły mojego. Chcę im dać popalić... I wkurzyć ich, odbijając ich więźniów.

Monroe spojrzał na niego ostro, ale Ethan wzruszył ramionami.

- Sam to powiedziałaś, Monroe. To sprawa osobista.

- No dobra, Ethan. Pójdiesz ty i pójde ja.

- We dwóch? - Shay popatrzył na niego z otwartymi ustami. - Pójdziecie tylko we dwóch?

- Nie. - Monroe uśmiechnął się do niego, a potem popatrzył na mnie. - Zabierzemy ze sobą Strażniczkę alfa. Tyle siły powinno nam wystarczyć do odbicia więźniów.

- Nie bierzcie Calli - powiedział Shay. - Oni chcą ją zabić. To zbyt niebezpieczne.

Drgnąłam i błyskawicznie pokazałam mu zęby.

- Czy ty w ogóle pamiętasz, kim jestem? Nie potrzebuję, żebyś mnie chronił!

Kiedy spojrzał mi w oczy, przeszła mi cała złość. Jego spojrzenie było pełne lęku... i miłości.

- Wiem.

- Potrzebujemy jej, żeby nam pomogła znaleźć jej klan - wytłumaczył Monroe. - Ona musi pójść.

Shay zwiesił ramiona, ale nic już nie powiedział.

- Ja też pójde - odezwał się nagle Connor. - Jeśli to ma być ostatnia impreza, to do cholery nie chcę, żeby mnie ominęła.

- No to umowa stoi - zatwierdził Monroe. - Silas?

- Co? - Skryba wciąż przeglądał swoje notatki.

- Mogę ci zaufać, że nie zgłosisz tego Anice... a przynajmniej nie od razu?

- spytał Monroe.

Silas znów zaczął coś pisać, ale pokiwał głową.

- Ubijemy interes. Dowiedzcie się, jak dopadli Granta, a ja nie polecę z tym do Strzały. Raport, jaki mogę teraz sporządzić, będzie w najlepszym razie wyrywkowy.

- Dziękuję - powiedział Monroe. - Ethan, omówmy logistykę. Isaac, możesz zorganizować chłopakowi coś do jedzenia? Connor...

- Już się robi - potwierdził Connor, kierując się do drzwi. Obejrzał się przez ramię na Adne, Shaya i na mnie. - Chodźcie, ludzie. Sam tego wszystkiego nie przeniosę.

Zerknęłam na Ansela, ale on znów gapił się na własne ręce i cały drżał. Lepiej było zostawić go teraz samego. Chciałam mu pomóc, ale jeśli miałam wyruszyć do walki, musiałam się skoncentrować. Kiedy patrzyłam na Ansela, coś zaczynało ściskać mnie w dołku. Widziałam tylko jego kruchość i obraz mojej matki leżącej we krwi na ołtarzu. Z trudem przełknęłam gorycz i wstałam z krzesła, żeby iść za Connorem. Adne już wychodziła z kuchni.

- Ale co mamy przenieść? - Shay też wstał.

- Broń. - Connor uśmiechnął się od ucha do ucha i wyszedł.

16

Broń? - powtórzył Shay, patrząc na zamaszyste ruchy Connora przechodzącego przez salę treningową.

- Och, idź już z nim - jęknęła Adne. - Chłopcy i te ich zabawki. Myślałby kto, że kiedyś z nich wyrosną.

- Ale o co chodzi? - spytałam, zrównując z nią krok. - Przecież on już ma swoje szpady.

- Tylko dwie.

- A dwie nie wystarczą? - mruknął Shay pod nosem, kiedy tak szliśmy za Connorem.

W przeciwległym rogu znajdowały się wąskie drzwi. Connor otworzył zamek i weszliśmy jego śladem do środka. Ogarnęła nas całkowita ciemność, bo w pomieszczeniu nie było żadnych okien. Zmarszczyłam brwi i potrząsnęłam głową, w której rozległo się dziwne brzęczenie.

- Och! - krzyknął Connor. - Jasna cholera. Silas znów zostawił swoje podręczniki walki na podłodze. Gdzie jest to głupie światło...?

- Tu! - odkrzyknęła Adne i w następnej chwili słaba poświata pojedynczej żarówki rozjaśniła wnętrze.

Aż sapnęłam, a Shay zagwizdał. Wszystkie cztery ściany, od posadzki po sufit, obwieszane były bronią: groźnie zakrzywionymi szablami, których długość wahała się od połowy metra do wysokości przeciętnego człowieka; sztyletami o zakrzywionych lub zygzakowatych klingach; jedno i dwuręcznymi toporami; maczugami i pałkami; okutymi dragami

oraz kijami. Cała ta broń załśniła nawet w kiepskim oświetleniu. Powietrze aż wibrowało Starą Magią; dobywała się z objętej zaklęciami broni, która wypełniała cały pokój. Moje zdumienie ustąpiło nieprzyjemnemu uczuciu, które zaczęło ścisnąć mnie w żołądku. Patrząc na broń, przypominałam sobie, że Poszukiwacze przez całe życie doprowadzali do perfekcji sztukę zabijania Strażników. I właśnie tak to robili. Jakby na sygnał, zapiekło mnie ramię. Zdawało się, że mięśnie zapamiętały ciosy, jakie zadała im taka broń.

- Popatrzcie na to - powiedział Connor, kopniakiem odsuwając sobie z drogi kilka rozrzuconych na podłodze podręczników. - Skoro Silas tak bardzo kocha te swoje książki, dlaczego wszędzie je zostawia?

- Silas tu trenuje? - Nadal gapiłam się na broń, ale sama myśl, że używa jej ten Skryba, wydawała mi się dziwaczna. - Myślałam, że Skrybowie nie walczą.

- Nie walczą, ale wszyscy Poszukiwacze muszą uczyć się walki. Każdy z nas miewa wyznaczone dyżury w placówkach - mruknął Connor. - Nawet Skrybowie, i to nie wyłączając tych, którzy do niczego się nie nadają.

- To nie tak, że on się do niczego nie nadaje; jest po prostu zapominalski. - Adne przeszła przez pokój i wspięła się na drabinkę, ułatwiającą dostęp do broni zawieszanej wysoko na ścianie. - Co chcesz?

- Daj mi francuski gladius - zdecydował Connor. - 1 jeszcze ze dwa katary.

- Jesteś taki przewidywalny - stwierdziła Adne, zdejmując broń z haków. Jeden wydawał się zwykłym krótkim mieczem, ale para krótkich ostrzy, po które sięgnęła później, wyglądała obco.

- Wiem, co lubię. - Uśmiechnął się szeroko, chwytając miecz, który rzuciła mu w dłoń.

- Ile ostrzy nosisz? - spytał Shay, kiedy Connor wziął od Adne kolejne dwa sztylety, krótkie i szerokie.

- To zależy - odparł Connor. - Moim zdaniem sześć sztuk to akurat. Może siedem.

- Ethan i Connor są zdania, że ich męskość określa liczba stalowych ostrzy, które zdołają upchnąć pod ubraniem. - Adne uśmiechnęła się złośliwie. - Moim zdaniem próbują sobie coś rekompensować.

- Ej, zaraz! - zachnął się Connor.

- Kiedyś zrobili sobie konkurs, który zdoła unieść więcej broni za jednym zamachem - ciągnęła Adne.

- I kto wygrał? - spytała.

- Ja - pochwalił się Connor. - Dwadzieścia dwie sztuki.

- Serio? - Shay wysoko uniósł brwi. Zaczął przyglądać się pozawieszanej na ścianach broni o rozmaitych kształtach i rozmiarach.

- Super. - Adne przewróciła oczami. - Wygląda na to, że znalazł się nowy kandydat do zakładów.

Connor pokręcił głową.

- Ja bym ci tego nie polecał, Shay. Jak przekroczysz jakieś piętnaście sztuk, broń zaczyna okropnie kłuć przy każdym ruchu.

- Postaram się o tym pamiętać. - Shay uśmiechnął się szeroko.

- A poza tym, Connor oszukiwał. - Ethan oparł się o framugę. - Poignard to nie jest prawdziwy sztylet.

- Wbity w oko albo pod brodę zabija całkiem skutecznie - przekonywał Connor.

- I tak to nóż dla panienek, i ty o tym wiesz.

- Wiem, że nie zamierzałeś obrażać dziewczyn - wtrąciła Adne, spoglądając na niego z gniewem. - Bo to by ci mogło nie wyjść na zdrowie.

- No jasne, że nie - powiedział Ethan. - Zamierzałem obrazić Connora.

- Wściekasz się zwyczajnie, bo przegrałeś. - Connor uniósł ostrze szpady do światła. - Trzeba to naostrzyć.

- Powinieneś bardziej dbać o własną broń. - Ethan zignorował gest, który wykonał Connor, i zwrócił się do Adne: -A więc to jest dziś wieczorem nasza poczekalnia?

- Na to wygląda. Potrzebujesz więcej bełtów? Albo poćwiczyć strzelanie, żeby jakoś zabić czas, jak będziemy czekali?

- No, przecież wiesz. - Uśmiechnął się szeroko. Kiedy Adne zdejmowała kolejne sztuki broni, a Ethan grzebał w skrzyniach, Shay podszedł do mnie, wciskając pięści w kieszenie.

- Przepraszam za to, co powiedziałem tam wcześniej. Zazgrzytałam zębami, usiłując jakoś opanować gniew i nie odpalić czegoś niemilego.

- Po prostu nie chcę cię stracić.

Pokiwałam głową, ale na niego nie patrzyłam. Nawet jeśli jego słowa płynęły z miłości, nie podobały mi się. Nie zasłużyłam na nie. Ani Ren. Coś mnie ścisnęło w piersi, kiedy myślałam o Shayu i o alfie klanu Kary Nocy. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będą w stanie walczyć razem.

Shay patrzył na mnie kątem oka. Pokręcił głową.

- Nic ci nie jest? - spytałam, opanowując wreszcie resztki gniewu.

- Nie - mruknął. - Po prostu się zastanawiam. Popatrzył na mnie i znów westchnął.

- A więc on wróci.

- Kto? - spytałam, patrząc na błyski stali, kiedy Connor bawił się bronią.

- Ren - odparł Shay, a kiedy to imię zawisło w powietrzu między nami, wreszcie zwróciłam na niego pełną uwagę. -Znaczy, o ile to się uda. On tu będzie. Z nami.

Odwróciłam wzrok. Ren.

Ren tu będzie. Nie mogłam ignorować przyływu ciepła we własnych żyłach na myśl, że Ren będzie bezpieczny. I że znajdzie się blisko mnie.

- Co to oznacza? - nie ustępował Shay.

- Nie wiem - odparłam szczerze, przesuając się w głąb pokoju, żeby dokładniej obejrzeć śmiercionośne ozdoby na ścianach.

Złapał mnie za rękę.

- Callo, zaczekaj.

Kiedy obróciłam się do niego twarzą, oczy Shaya błyszczały jak wiosenne liście skropione rosą.

- Shay, nie chcę o tym rozmawiać. Mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład, nie dać się zabić.

- Nie musimy rozmawiać. Po prostu mnie wysłuchaj. - Uniósł obie dłonie i ujął moją twarz. - To nie ma dla mnie znaczenia, że Ren tu będzie. No dobra, kłamię. Sama świadomość, że znajdzie się gdzieś niedaleko ciebie, doprowadza mnie do szału. Nie mogę wtedy normalnie myśleć i czuję w sobie wyłącznie wilka. Dlatego powiedziałem...

W jego gardle zaczął się rodzić warkot, a w jego oczach dostrzegłam wyraźny wilczy błysk, groźny i dziki.

- Nieważne zresztą. Przysięgam, że chcę pomóc twojemu klanowi. I nie chcę, żeby coś złego spotkało Rena... No dobrze, prawie nigdy nie chcę. Obchodzi mnie tylko, co będzie z tobą i ze mną. Odkąd jesteśmy sami, wszystko między nami się zmieniło, a przynajmniej chciałbym wierzyć, że tak jest.

Nie mogłam na niego patrzeć. Miałam wrażenie, że serce mi się wyrывa z piersi, jakby i ono też próbowało uciec przed tą rozmową.

- Nie jesteś już w Vail - ciągnął. - Zasady się zmieniły. Będę walczył, żeby stać się tym, który stoi u twojego boku.

Zmieniły się? Nie wiedziałam już, czyje zasady teraz obowiązują ani gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce.

- Shay... - Próbowałam się odsunąć, ale objął mnie w talii i przytrzymał.

- Powiedz mi, że tego nie chcesz, a odejdę. - Nachylił się tak, że jego usta musnęły mój policzek.

Gardło mi się zacisnęło. Chciałam mu powiedzieć, że go kocham. Naprawdę chciałam. Stał się obecny w moim życiu w taki sposób, który wcześniej nie wydawał mi się nawet możliwy. Zasługiwał, żeby o tym wiedzieć. Powinnam była go zapewnić, że jego uczucie jest w pełni odwzajemnione. Ale już sama sobie nie ufałam. Nie po tej historii Ansela. Sprowadziłam tortury i śmierć na tych, których kochałam. Mój klan nadal znajdował się w niebezpieczeństwie, mój brat był z maltretowany i sam siebie nienawidził. Wszystko z mojej winy. Co ja naprawdę miałam do zaoferowania Shayowi, skoro sprowadzałam na innych tylko nie-szczęście?

- O czym tak ze sobą szepczecie? - zawołała Adne ze swojego szczebla na drabinie. - Masz, łap!

Rzuciła Shayowi szpadę. Drgnęłam, ale on podskoczył i z łatwością złapał ją za rękojeść.

- Po co mi to? - spytał. - Przecież nawet z wami nie idę.

- A jak inaczej mamy zabić czas, zanim Monroe nas tam wyśle?

- Ja wiem, że na pewno nie zasnę - powiedział Connor. - Nie masz ochoty na bójkę, Shay? Zostawiamy cię tu, ale to nie znaczy, że nie możesz trochę poćwiczyć dla samej frajdy.

- Bo ja wiem... - Pochwyciłam błysk ostrych kłów, kiedy Shay odezwał się do Connora.

- Też coś chcesz, Callo? - Adne wskazała na ścianę pełną broni.

- Nie, dzięki. - Spojrzałam na to zatrzesienie połyskujących toporów, mieczy i dziesiątki sztuk broni, której nie umiałabym nazwać. - Będę się trzymać moich naturalnych zdolności.

- Które posiadasz... aż w nadmiarze. - Connor popatrzył na mnie, komicznie ruszając brwiami.

Kiedy się uśmiechnęłam, pokazując mu ostre zęby, przestał się szczerzyć.

Ethan zaśmiał się i po raz pierwszy spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Grzeczna dziewczynka.

Obok mnie Shay wywijał szpadę, wypróbując broń.

- No i co myślisz? - spytała Adne, schodząc z drabiny i zbliżając się do niego.

- Nie jestem pewien - odparł ze smutkiem. - Żałuję, że nie wiem, jak będzie wyglądał Krzyż Żywiołów. Fajnie byłoby poćwiczyć z czymś podobnym.

- Nie ma czegoś podobnego. - Connor rzucił sztyletami do ćwiczebnego manekina. Każde ostrze lądowało dokładnie pośrodku klatki piersiowej. Coś mnie ścisnęło w żołądku. W czym utkwią te ostrza, kiedy zaatakujemy Eden? W sercach wilków, które kiedyś znałam? Z którymi walczyłam kiedyś ramię w ramię?

- Pewnie nie. - Shay spojrzał na ścianę. - Ale nic z tego tutaj się nie nada. Zastanawiam się po prostu, czy ćwiczenia z nimi to nie jest strata czasu.

- Przestań obrażać naszą broń, Wybrańcze. - Connor zamachał mu szybko dwiema szablami tuż przed nosem. Cofnęłam się parę kroków przed tą śmiertelnie groźną paradą ciosów, które Connor wymierzał z taką łatwością. - Nie jest aż taka zła.

- No pewnie, że nie. - Shay się roześmiał. - Mnie tylko chodziło o to, że... Bezradnym gestem rozłożył dłonie.

- Nieważne zresztą.

- Wiem, o co ci chodziło. - Connor uśmiechnął się szeroko. - I praktyka ci nie zaszkodzi, nawet jeśli nie będziesz ćwiczył najświętszym ze świętych Krzyżem Żywiołów. Jeśli walka jeden na jednego cię nudzi, może chcesz się spróbować z nami dwojgiem naraz?

Shay spojrzał najpierw na niego, a potem na Adne.

- No, może.
- Connor, nie podpuszczaj go. - Adne pokręciła głową. - Shay, nie zwracaj na niego uwagi. Nie musisz próbować walczyć z nami obojgiem. To szalony pomysł.
- Przepraszam - powiedział Connor. - Twój wrogowie zwykle ustawiają się w rzędzie i czekają na swoją kolej?
- Connor. - Adne oparła dłonie na biodrach.
- Nie - mruknął ponuro Shay. - On ma rację. Spróbujmy.
- Jesteś pewien? - spytała Adne, chociaż na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.
- Tak - potwierdził Shay i nagle szeroko się uśmiechnął. - Rzuć mi jeszcze jedną szpadę.
- Daj mi to japońskie tsurugi - zaproponował Connor. - Ta głównie przypomina trochę Haldisa.
- Robi się. - Adne wróciła na drabinę i sięgnęła po wąski, lekko zakrzywiony miecz.
- A czym się posłuży moja pani? - spytał Connor. Swoboda, z jaką kręcił przed sobą młynki obiema szpadami, świadczyła o tym, że posługuje się bronią ze śmiertelnością wprawą.
- Zobaczmy, jak sobie poradzi z *qi jie bian* - stwierdziła Adne. - To coś trochę innego.
- Trzydzięciowy łańcuch? - odezwał się Connor. - Niezły pomysł.
- Nieźle sobie radzi z łańcuchami. - Zadrżałam, wracając myślami do nocy Zaślubin. Mroczny las i zły uśmiech Flynn. Jej krzyk, kiedy urwałam jej ramię, a Shay wyrwał mroczny bicz ze słabnącego chwytu oderwanej kończyny, a potem pokonał Flynn jej własną bronią.
- Czy jest coś, z czym sobie nie radzisz? - Adne uśmiechnęła się ołśniewająco. Zaciśnęłam dłonie za plecami, żeby jej nie udusić.
- Golf - odparł Shay z ponurym uśmiechem. - Brak mi do tego cierpliwości.

Powietrze aż zasyczało, kiedy przeciął je ostrzem szpady.

Adne odchyliła głowę do tyłu i do przodu, rozluźniając mięśnie karku i zbliżając się do niego. W obu dłoniach trzymała bicz o drewnianych rękojeściach, składające się z siedmiu metalowych elementów.

Końcówkę każdego bicza wieńczyła zaostrzona strzałka. Były przerażające i wydawały się niemal żywe, gdy przecinały powietrze, kierowane pełnymi wdzięku ruchami Adne.

- To są bicz? - spytał Shay, wpatrując się w zwodnicze metalowe węże, którymi Adne z łatwością przed sobą obracała. Ta broń w niczym nie przypominała żadnych biczów, jakie widywałam do tej pory.

- A i owszem - potwierdziła i machnęła nadgarstkiem. Srebrzyste elementy bicza zabłyśły i zanim się połapałam, strzałka tkwiła głęboko w gardle najbliższego manekina.

- Łał - pochwalił Shay i cofnął się o krok.

- Nieźle - powiedziała Adne i wyszarpnęła bicz.

- A te to co? - spytałam, patrząc, jak Connor mocuje sobie do paska jakieś krótkie ostrza.

- Podejź bliżej z tymi swoimi ostrymi zębiskami, to ci zademonstruję. Ethan parsknął, unosząc kuszę.

- Nigdy nie pojmę, dlaczego lubisz te katary.

Z niesamowitą szybkością wystrzelił kilka bełtów w manekin. Shay podszedł do celu.

- Jakim cudem udaje ci się tak szybko strzelać? Zawsze myślałem, że kusza to powolna broń. Potężna, ale niezbyt szybka.

- Bo myślisz o europejskich kuszach. - Ethan podszedł do Shaya i wyszarpnął bełty z manekina. - Ta kusza wzorowana jest na chińskiej. Zbudowana dla prędkości, nie mocy. Ma magazynek, który ładuje nowy bełt po każdym wystrzale.

Przycisnęłam palce do piersi, aż za dobrze pamiętając, jak szybko bełty z kuszy Ethana zatapiały się w moim ciele. Zerknął na mnie i pokiwał głową.

- Jeśli nie trafiasz do Strażników wystarczająco szybko i często, giniesz.
Connor nieco pogardliwie spoglądał na kuszę Ethana.

- Zanudziłbym się na śmierć, walcząc czymś takim.

- Brutalna siła to nie jedyny sposób na walkę - odparł Ethan.

- Po prostu boisz się pobrudzić sobie rączki. - Connor wyjął zza pasa jeden z katarów. Palce zacisnął na uchwyty, które biegły równoległe do szerokiego, krótkiego ostrza.

- Pobrudzić krwią - sprostowała Adne, spoglądając na broń. - Powinieneś być dodać: „pobrudzić krwią”.

Connor zerknął na nią z ukosa, wydając kolejnego katar. I nagle jego ciało poruszyło się tak szybko, że jego obraz prawie się zamazał.

Wyskoczył w górę, przeskoczył obok manekina, wylądował w przykłęku za jego plecami.

Shay gwizdnął, obserwując sieć głębokich nacięć, jakie Connor zostawił w manekinie w ciągu tych paru sekund, kiedy był tuż obok.

Odkaszlnęłam.

- Nindza.

Shay zerknął na mnie z ukosa, rzucając mi kwaśny uśmiezek.

- Pozer. - Ethan się roześmiał. - Nie widziałeś, że ten manekin już poległ?

- Uniósł w dłoni bełty, które właśnie z niego wyciągnął.

- Przecież wcale nie wy dwaj macie się tu popisywać - przypomniała Adne.

- Jak to? - spytał Ethan.

- Shay potrzebuje praktyki. - Adne machnęła biczem, który zwijał się i rozwijał niczym wąż.

Shay podrapał się po karku. Minę miał trochę niepewną.

- Może nie powinniśmy.

- Och, daj spokój - powiedział Connor. - Jestem pewien, że świetnie sobie poradzisz. A ja już nie mogę się doczekać,

żeby upuścić trochę pary przed tym zwariowanym wypadem za parę godzin.

- Zawsze to jakaś myśl. - Shay się wyprostował. - Też jestem trochę nie w sosie.

Ethan się roześmiał.

- Nie martw się. Będę sędziował i dopilnuję, żebyście walczyli czysto.

- Psujesz całą frajdę. - Connor wymienił katary na swoje zwykłe miecze.

- Jesteśmy gotowi? - spytała Adne.

- Jak zawsze. - Connor się uśmiechnął.

Shay pokiwał głową, patrząc na dwójkę Poszukiwaczy, którzy zaczęli powoli go okręzać. Widziałam, jak żyły na szyi zaczynają mu

nabrzmiwać i lekko pulsować, kiedy ta para się do niego zbliżyła. Bicz Adne dosięgnął go pierwszy; uderzyła nisko, celując w kostki jego nóg.

Shay zrobił unik z taką łatwością, jakby skakał przez skakankę. Ale kiedy lądował na ziemi, rzucił się na niego Connor, a ostrza jego mieczy nie poruszały się już w swobodnym tańcu, ale wirowały z taką prędkością, że nie widziałam, w którym miejscu kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Ruszyłam w ich stronę, bo mój instynkt kazał mi rzucić się pomiędzy Shaya a błyszczącą stal. Moje ciało chciało podążyć ze zewem krwi.

Czułam się tak, jakby coś mnie dusiło, kiedy próbowałam odepchnąć od siebie wilczą naturę, wyrrywającą się na wolność z tego ludzkiego ciała, które ją więziło. Nie mogłam się jednak wtrącać. Shay potrzebował tej walki. Czas już, żeby Potomek zaczął walczyć na własny rachunek. Po prostu zaskoczyło mnie, że tak trudno mi było mu na to pozwolić.

Cofnęłam się znów pod ścianę, żeby znaleźć się nieco dalej od toczącej się walki, i znów skoczyłam przed siebie, kiedy ostrza, którymi nabijana była wisząca na ścianie maczuga, zakłuły mnie w plecy.

Shay patrzył prosto w oczy Connora. Ich szpady spotkały się, a brzęk stali uderzającej o stal odbijał się od ścian i sufitu. Dwóch młodych mężczyzn skupiło się na sobie, a Adne zaczęła zachodzić Shaya od tyłu. Jej bicz poleciały w stronę jego odsłoniętych pleców. Krzyknęłam cicho, kiedy Shay nagle zmusił Connora do opuszczenia broni i sam skoczył w powietrze, przeskakując nad Adne i lądując tuż za nią. Connor krzyknął, lądując na podłodze po tym, jak ledwie mu się udało nie nadziać piersią na ostre zakończenia biczów Adne. Shay złapał Adne w pasie, szarpnął ją w tył i przytknął ostrze szpady do jej szyi.

- Poddajesz się?

Jej zaszokowana twarz zastygła. Z trudem przełknęła i ostrożnie pokiwała głową, żeby nie naciskać ostrza szyją.

- Jasna cholera. - Connor śmiał się, wstając z ziemi. - No to ja już rozumiem. Potomek został wybrany, bo ma oczy z tyłu głowy. Jeśli tylko zgolimy ci tę szopę, to je zobaczymy, prawda?

Adne z trudem chwytając oddech, a Shay opuścił szpadę i uśmiechnął się, kiedy na niego popatrzyła.

- Jak to zrobiłeś? - spytała.

To samo pytanie dźwięczało w moich myślach. Nigdy nie widziałam czegoś takiego jak to, co zrobił Shay. Przyciskałam dłoń do piersi, łapiąc oddech i czułam w czubkach palców pulsowanie krwi.

Wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Wiedziałem tylko, że tam jesteś. Czułem cię za sobą.

Ethan milczał, ale on i Connor wymienili spojrzenia.

- No dobra. - Connor uniósł swoje miecze. - Pierwsza runda dla ciebie. Może jeszcze dwie? W sumie trzy?

- Adne? - spytał Shay.

- Drugi raz tak mnie nie zaskoczysz. - Żartobliwie go odepchnęła, wyrywając mu się z rąk.

- No, to zobaczymy. - Shay uśmiechnął się szeroko. Nie mogłam już dłużej na to patrzeć. Kiedy obserwowałam ich zażartą walkę, a teraz słuchałam ich swobodnych żartów, poczułam się wykluczona. Jakby ani mnie nie potrzebowali, ani nie chcieli. Ich siła, płynność ruchów i ten śmiech - to wszystko było jak wbijające się w moje ciało kolce. Zupełnie jakby nie liczyło się nic z tego, co zostało powiedziane w kuchni. Moja matka nie żyła, mój klan był skazany na zagładę, a oni już robili coś nowego. Ze swoim bólem miałam zostać sama.

Kiedy smutek zaczynał mnie powoli spychać w otchłań żalu na cały świat, pomyślałam o Anselu. O ile gorsze to wszystko musiało być dla niego? Dopadło mnie poczucie winy i przypomniałam sobie, że nie ja jedna straciłam kogoś bliskiego. Naomi, nasza matka, została nam odebrana, ale Ansel stracił coś więcej. Odebrano mu i zniszczono jego wilczą naturę. Ja byłam pogrążona w żalu, ale przynajmniej nadal byłam sobą. Nadal byłam Strażniczką. Dla niego nie było już drogi powrotu. Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy odwróciłam się i skierowałam do drzwi, a Connor rzucił się na Shaya i z zaskoczenia zmusił do opuszczenia szpady.

- Hej!

- Myślałeś, że po ostatniej rundzie będę cię ostrzegał? -warknął Connor. - Adne, na ziemię go!

- A chętnie. - Roześmiała się i dołączyła do przepychanki. Shay uchylił się, a potem przetoczył po podłodze, unikając szybkiego kopniaka Adne.

- I co jeszcze?

Kiedy zamykałam za sobą drzwi, dobiegał mnie szczęk stali.

Snop światła padał na korytarz z pokoju u szczytu schodów, które odkryłam, kierując się zapachem Ansela. Drzwi były leciutko uchylone. Pchnęłam je cicho, otwierając szerzej i zajrzałam do środka.

- Dzieciaku, już nie wiem, co ci powiedzieć. - Isaac potarł skronie, patrząc na mojego brata. - Co jeszcze mogę dodać?

Zapukałam we framugę. Isaac obejrzał się za siebie, a Ansel podniósł spojrzenie, ale gdy tylko mnie zobaczył, znów nisko opuścił głowę.

- Przychodzisz jako ekspedycja ratunkowa? - zapytał Isaac, podchodząc do drzwi.

Pokiwałam głową, patrząc, jak Ansel siedzi na skraju łóżka i gapi się na własne buty.

- Cieszę się, że cię widzę. - Kiedy Isaac do mnie podszedł, zniżył głos. - Tess o wiele lepiej niż ja radzi sobie w takich sytuacjach. Zawsze zajmuje się naszymi gośćmi.

- Nie wiedziałam, że w waszej placówce są pokoje gościnne. -

Rozejrzałam się po tym małym, spartańsko urządzonej wnętrzu.

- Kiedy pojawiają się u nas grupy Napastników, czasem potrzeba wielu dni, żeby przygotować misję - odparł Isaac. - Korzystają z tych kwater, jeśli nie zatrzymują się w Akademii. Poza tym Żniwiarze w nich mieszkają.

- No tak. Jak on się czuje?

- Mówi, że nic go nie boli. Ale dzieciak wyraźnie jest nieswój. Nie zdołałem go namówić do jedzenia. Podgrzałem dla niego gulasz. Stoi na stoliku koło łóżka. Może tobie pójdzie lepiej.

- Dzięki, że się nim zająłeś.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Isaac. - Jeśli tu sobie poradzisz, to ja powinienem wracać na dół.

- Jasne - odparłam, już go mijając.

Usiadłam obok Ansela na łóżku. Nie odezwał się ani słowem. Wpatrywał się we własne dłonie, zaciskając je na czymś, czego nie widziałam.

- A więc nie chcesz jeść? - spytałam, wskazując nietkniętą miseczkę gulaszu.

- Zjem, kiedy będę głodny - mruknął.

- Jadłam już ich jedzenie - powiedziałam, starając się, żeby moje słowa zabrzmiały pogodnie. - Przysięgam, że nie jest zatrute.

Nie roześmiał się, ale rozwarł dłonie i wsunął przedmiot, który w nich trzymał, do kieszeni. Wyglądał jak zwinięta kulka papieru.

- Co to jest? - Zmarszczyłam brwi.

- Nic takiego. - Założył ramiona na piersi. - Czego chcesz?

- Sporo przeszedłeś - powiedziałam, porzucając lekki ton. - Musisz teraz o siebie zadbać.

Kiedy wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego ramienia, odsunął się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie.

- Dlaczego nie? - spytałam ostrożnie. - Bardzo się cieszę, że cię znów widzę, An. Brakowało mi ciebie.

Roześmiał się, ale to był znów ten sam okropny, pusty dźwięk.

- Naprawdę? W życiu bym się nie domyślił.

Nie wiedziałam, co zrobić, kiedy ten jego pusty głos boleśnie szarpnął moje wnętrze.

- Musiałam uciec. Nie odpowiedział.
- Musiałam. Oni go chcieli zabić.
- Zabili mamę - szepnął.
- Wiem - wykrztusiłam z trudem. - Ale ta ceremonia, An. Oni chcieli mnie zmusić, żebym zabiła Shaya.
- Ile razy jeszcze mi to powiesz? - spytał cicho Ansel. -Nie usprawiedliwisz w ten sposób tego, co się z nami stało. Nawet nie wiesz, co oni nam zrobili. Nie było cię tam.
Wbijął sobie paznokcie w nadgarstki. Nachyliłam się i zobaczyłam czerwone, zaognione ślady zadrapań. Złapałam go za rękę i szarpnęłam.
- Przestań! Znów się roześmiał.
- A niby czemu?
- Może mnie tam nie było, ale widzę, jak cię skrzywdzili. Zadygotał, ściskając się za brzuch, jakby nagle źle się poczuł.
- To tak jakbym nadal czuł, że mi coś wydzierają. Nie mogę zapomnieć, jak się wtedy czułem. - Obniżył głos do szeptu. - Nie mogę tak żyć.
- Ansel, twoje życie się nie skończyło. Jesteś nadal sobą -a ja cię Kocham.
- Złapałam jego dłoń w swoje ręce. - Proszę cię, nie rób krzywdy sam sobie.
Nie mogłam twierdzić, że to bez znaczenia, że nie jest już wilkiem. Kłamałabym. Wiedziałam, co dla niego znaczy utrata wilczej natury.
- Znajdziemy jakiś sposób, żeby było lepiej.
- Tylko Poszukiwacze mogliby znowu przemienić mnie w wilka. A oni już powiedzieli, że tego nie zrobią. A Opiekunowie...
- To co zrobili, jest straszne, ale nie możesz się poddawać. Proszę cię. Musisz być dla mnie silny. Dla Bryn.
Skrzywił się.

- Nawet jeśli Bryn jeszcze żyje, lepiej jej będzie beze mnie.
- To nieprawda.
- Zasługuje na kogoś, kto będzie mógł z nią być. Gdyby została ze mną, nie mogłaby być sobą. Ona potrzebuje Strażnika.
- Nie, nieprawda.
- A skąd ty to wiesz?
- Bo nie zawsze tak było jak teraz - powiedziałam cicho.
- O czym ty mówisz, Callo? - Popatrzył na mnie, wściekły tak, jak chyba jeszcze nigdy przedtem. On się czuje tak, jakby stracił wszystko, co kiedykolwiek się liczyło.
- Bo dowiedziałam się, że kiedyś Strażnicy i Poszukiwacze zakochiwali się w sobie. - Delikatnie uścisnęłam jego rękę. - Nie musisz być wilkiem, żeby być wart miłości.
Popatrzył na mnie niedowierzająco.
- To prawda. Kiedyś, dawno temu. Wszyscy bywaliśmy sprzymierzeńcami... a czasem nawet czymś więcej.
- Dawno temu. - Patrzyłam, jak jego oczy stają się obojętne, jak znów się poddaje.
- Ale wiem o tym też dlatego, że sama pokochałam Shaya. - Głos zaczął mi drżeć. - I to jeszcze zanim go przemieniłam.
Ansel spojrzał na mnie. Na moment obojętny wyraz twarzy znikł, a ja znów patrzyłam na swojego brata.
- Wiedziałem. - Prawie się uśmiechnął.
- Wiem, że wiedziałeś.
- Może i coś w tym jest. - Westchnął. - Powiedziałem ci przecież, że uciekłbym dla Bryn. Może to wszystko moja wina. - Kącik jego warg zaczął się lekko unosić. A potem popatrzył na mnie poważnie. - Czy ty kiedykolwiek kochałaś Rena? Myślałem, że może tak. Znaczący, widać przecież było, że coś was ze sobą łączy. Czy to dlatego, że oboje jesteście alfami?
Zadygotałam, kiedy nagle, przerażające uczucia przebiegły mi jak dreszcz po krzyżu.
- Ja...

Przed oczami zatańczyły mi obrazy, wspomnienia śmiechu Rena, jego twarzy, jego dotyku. Do swojej miłości do Shaya przyznałam się dopiero wtedy, kiedy wydawało mi się, że go straciłam. Teraz to Ren znalazł się w niebezpieczeństwie. Czy potrzeba ratowania go też płynęła z miłości? A potem poczułam się zupełnie tak, jakby stał obok mnie i do mnie szeptał. „Przecież tu chodzi o miłość”. Prawie czułam jego oddech na swojej skórze.

Kiedy nie odpowiadałam, Ansel pokręcił głową.

- Nieważne zresztą.

Położył się na łóżku twarzą w dół.

- A więc, ufasz im? - spytał.

- Poszukiwaczom?

- Tak.

- Chyba tak - odparłam. Ale nie tak bardzo, jak bym chciała.

- I co teraz zrobisz? - spytał. - Jak ocalisz swój klan jutro, co zrobisz potem?

- Potem pomożemy Shayowi - odrzekłam, nadal na wpół pogrążona w myślach o Renie.

- W czym mu pomożecie?

- Uratować świat.

- Tylko tyle? - Ansel się roześmiał, i tym razem jego śmiech zabrzmiał naturalnie.

- Tak. - Uśmiechnęłam się. - To wszystko. Na parę chwil oboje umilkliśmy.

W ciszy panującej w tym pokoju bicie własnego serca aż mnie ogłuszało.

- Ansel, uważam, że powinniśmy spróbować.

- Ale czego?

- Przemienić cię - odparłam. - Opiekunowie zawsze kłamią. W tej sprawie też mogli kłamać.

Patrzyłam, jak mięśnie szyi mu pracują, kiedy z trudem przełykał ślinę.

- Naprawdę tak myślisz?

Sama nie wiedziałam, co myślę, ale miałam wielką nadzieję, że w tej sprawie kłamali.

- Oni zawsze kłamią - szepnęłam. Obrócił głowę i spojrzał na mnie.

- Dobrze. - Cały się trząsał.

Kiedy zamieniłam się w wilka, skrzywił się. Nie umiałam sobie nawet wyobrazić, jak mu trudno patrzeć na moją przemianę, taką naturalną, taką łatwą, kiedy jego z tej mocy okradziono.

Ansel przesunął się na łóżku, patrząc na mnie. Powoli przysunęłam pysk do jego ręki, zastrzygłam uszami. Spojrzałam na niego, a on pokiwał głową. Ugryzłam go, szybko i głęboko. Westchnął. Pochwyciłam kwaśny zapach jego łęku.

Znow zmieniałam postać i uniosłam dłonią jego podbródek, żeby spojrzał mi w oczy.

- *Bellator silvae servi*. Wojowniku lasu, ja, alfa, nawołuję do ciebie, żebyś stanął do służby w tej godzinie potrzeby.

Słyszałam wyłącznie odgłos naszych płytkich i lękliwych oddechów.

Czekałam. Przymknęłam oczy z nadzieją, że poczuję, jak moc przepływa ode mnie do Ansel, łącząc alfę i członka klanu. Mocno zacisnęłam powieki. Odezwał się znow. Tym razem głos mi drżał.

- *Bellator silvae servi*. Wojowniku lasu, ja, alfa, nawołuję do ciebie, żebyś stanął do służby w tej godzinie potrzeby.

Nic. Żadna magia nie wypełniła przestrzeni pomiędzy nami dwojgiem.

Kiedy otworzyłam oczy, Ansel pokręcił głową. Oczy miał zamknięte. Po jego policzku spłynęła łza.

- *Bellator silv...*

- Przestań - wychrypiał Ansel i poszukał mojego wzroku zaczerwienionymi oczami. - Dość.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Oni naprawdę to zrobili. Ansel-wilk znikł, a ja nie mogłam sprowadzić go z powrotem.

W tej chwili nienawidziłam Opiekunów jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

- Dam ci krew - zakrzusiałam się przy tych słowach i wtedy do mnie dotarło, że ja też płacę. - Ciągłe krwawisz.

- Nie. - Ansel ściągnął koszulę i owinął nią ranę od ugryzienia na ramieniu. - Nie chcę.

- Ansel... - Wyciągnęłam do niego rękę.

- Nie chcę! - Furia w jego spojrzeniu mnie sparaliżowała. Położył się na łóżku. Jego twarz pozbawiona była wszelkich uczuć, ale ta obojętna mina przeraziła mnie jeszcze bardziej niż wcześniejszy gniew.

- Lepiej już idź - powiedział, wpatrując się w sufit. - Powinnaś się wyspać przed jutrem.

- Nie zostawię cię.

Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął z niej zwiniętą kartkę.

- Ansel, co to jest? - spytałam, zerkając na kartkę.

- Daj mi spokój. - Przez moment wpatrywał się w zabrudzony papier, a potem zwinął go w mocno zaciśniętej pięści i przycisnął do piersi. - To od Bryn, jasne? Udało mi się to zachować, kiedy Opiekunowie nas rozdzielili.

- Och. - Musiała napisać dla niego wiersz. Serce mi się ścisnęło, oczy piekły. Czy ona miała ze sobą coś na pamiątkę po nim? Mój brat i moja najlepsza przyjaciółka, których miłość chciałam ukryć przed Opiekunami. Może lepiej byłoby, gdyby oboje razem uciekli. Czy to by mogło doprowadzić do czegoś gorszego niż to, co się działo teraz? Ansel przetoczył się na plecy i odwrócił ode mnie wzrok.

- Idź już.

Siedziałam na skraju łóżka, kolana podciągnęłam pod brodę. Kiedy jego powolny, regularny oddech upewnił mnie, że wreszcie zasnął, wyciągnęłam się na łóżku ostrożnie, żeby go nie dotykać, i położyłam głowę na poduszce, nadal patrząc, jak mój brat śpi.

Po chwili zaczęły mu się wyrywać jakieś odgłosy, przypominające ciche skomlenie zbolełego młodego zwierzęcia. I tak to trwało, a on drżał i wiercił się obok mnie, ale się nie przebudził. Wreszcie odpłynęłam w sen, wciąż nasłuchując cichych jęków, wywołanych koszmarnym snem, który dręczył umysł Ansela.

18

Calla - szepnął Shay, delikatnie potrząsając moim ramieniem.

Dźwięk jego głosu wywabił mnie z powrotem ze snów pełnych krzyków rozpacz i oślizgłych cieni, które groziły, że mnie pochłoną.

Przez moment nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem. Słyszałam tylko ciepły głos Shaya i czułam jego delikatny, miły zapach.

Przysunęłam się do niego, złąkniona jego bliskości.

Zrobił dziwną minę, kiedy palcami obrysowałam linię jego szczęki.

- Poprosili mnie, żebym cię obudził. Już czas.

Słodycz tej chwili znikła, odepchnięta zimną świadomością tego, gdzie jestem i co mnie niedługo czeka. Mruganiem powiek odpędziłam senność, szybko usiadłam, a potem zaraz tego pożałowałam, bo Ansel się poruszył. Nastrój popsuł mi się jeszcze bardziej, kiedy przypomniałam sobie, że próbowałam mu pomóc, ale nie mogłam.

- Chodź - powiedział Shay. - Reszta czeka na dole. Cicho wyszliśmy z pokoju.

- Jak on się czuje? - zagadnął, kiedy schodziliśmy po schodach.

- Próbowałam go przemienić. - Przytłoczona żalem, musiałam oprzeć się o poręcz.

- Naprawdę? - spytał Shay. - Sądząc po twojej minie, zgaduję, że się nie udało.

Pokiwałam głową. Objął mnie ramieniem, muskając ustami moją skroń.

- Ale dobrze, że próbowałaś, Cal. Przykro mi.

- Mnie też.

- Nic mu nie będzie?

- Nie wiem - odparłam, zerkając za siebie w głąb korytarza. - Wydaje się po prostu... załamany.

- Tak. - Shay zadrżał. - Dopiero od niedawna potrafię się przemieniać, a już tak bardzo to się stało częścią mnie. Nie umiem sobie wyobrazić, że mógłbym to stracić.

Pokiwałam głową, obserwując go. Czy to była prawda? Czy Shay rzeczywiście miał tak silną więź ze swoim wewnętrznym wilkiem? A może tylko próbował okazać współczucie Anselowi?

- Powiniennem iść z tobą - powiedział.

- Nie - sprzeciwiłam się. - Poszukiwacze mają rację. Nie możemy pozwalać ci na takie ryzyko.

Przestał mnie obejmować i wcisnął ręce w kieszenie.

- Nadal uważasz, że nie umiem walczyć.

- Wiem, że umiesz - zapewniłam. - Widziałam cię w walce więcej niż raz. Wiem, że jesteś wojownikiem. Tu nie o to chodzi.

- Mógłbym pomóc - stwierdził, patrząc na mnie z ukosa. - Wiem, że mógłbym.

- Tym razem nie liczy się, jak dobrze potrafisz walczyć. - Pokręciłam głową. - I tak będziemy musieli zmierzyć się ze zmorami. Dopóki nie zdobędziesz Krzyża, nie możesz się z nimi skonfrontować.

- Nikt z was też nie może - warknął, a ja zobaczyłam, że światło odbija się w jego ostrych siekaczach.

- Wiem. - Piers przygniótł mi jakiś ciężar i zaległ na niej jak wielki głaz. Misja samobójcza.

Ryzykowaliśmy tak wiele, a ja nawet nie wiedziałam, czy reszta klanu jeszcze żyje. Czy Ren jeszcze żyje. A jeśli dla nich wszystkich byliśmy już straceni?

Słyszałam, jak Poszukiwacze kręcą się po pustym holu. Kiedy dotarliśmy do stóp schodów, Shay złapał mnie za ramię i obrócił do siebie. Zanim się zorientowałam, o co chodzi, pocałował mnie. Przywarłam do niego, rozchylając usta, zachęcając go do pocałunku. Jego dłonie przesunęły się po moich ramionach, palce wpiły w moją skórę. Czułam jego lęk i zastanawiałam się, czy powinnam się odsunąć. Wiedziałam, że z każdą pieszczotą Shay przejmuję też moje obawy. Zaczęłam drżeć, i z powodu ognia, który zapłonął mi w żyłach, gdy pocałunek się pogłębiał, i dlatego, że nagle zdałam sobie sprawę, że jeśli wyprawa do Vail zawiedzie, może już nigdy nie pocałuję Shaya. Nigdy.

Przerwał pocałunek i przysunął czoło do mojego czoła.

- Może nie powinnaś tam iść. Ansel cię potrzebuje. Niech Monroe wyruszy z Poszukiwaczami. Mogą zorganizować ucieczkę bez ciebie.

- Muszę - powiedziałam, odpychając go od siebie. - Tylko ja zdołam przekonać klan, że Poszukiwaczom można zaufać.

- Jeśli cokolwiek ci się stanie...

- Tu jesteście. - Adne podeszła do schodów, cmoknęła językiem. - Nie mamy czasu na długie pożegnania. Nie słyszeliście? Romantyzm się już skończył. Czas nas goni.

- Przepraszam. - Wysunęłam się z objęć Shaya z obawą, że jeśli jeszcze chwilę postoję tak blisko niego, mój własny strach mnie pokona i zrezygnuję z nadziei, że kiedykolwiek uda mi się ocalić członków własnego klanu.

Nadal jesteś alfą, Cal. Ten klan cię potrzebuje. Wiesz, kim jesteś.

Uczepiłam się tej myśli, idąc przez pusty korytarz. Zobaczyłam, że Ethan i Connor na mnie czekają. Connor pokiwał głową, kiedy się zbliżyłam.

- Isaac zatroszczy się o twojego brata, kiedy nas tu nie będzie.
- I ja też - obiecał Shay, wyprzedzając mnie i stając obok nich.
- Dzięki. - Nie potrafiłam na niego popatrzeć, bo bałam się, że dopadnie mnie atak tchórzostwa, płynącego z tej samolubnej chęci, żeby być przy nim blisko.

Kim się stałam? Czy poddając się swojej miłości do Shaya, stałam się słaba? Czułam, że zupełnie brak mi siły, że w niczym nie przypominam tej osoby, za którą zawsze się uważałam. Żelazna wola, niezależność - cechy, które tak wysoko sobie ceniłam, jakby ze mnie wyparowały w czasie minionego tygodnia. Rozpaczliwie chciałam odnaleźć samą siebie. Musiałam udowodnić Anselowi i swojemu klanowi, że ich nie porzuciłam. Gdybym teraz mi się nie udało, nie mogłabym sama ze sobą żyć.

Monroe wyszedł z kuchni i podszedł do nas szybko.

- Jak wygląda sytuacja?
- Wszyscy obecni i gotowi - zameldował Connor, chowając sztylet w cholewie buta.

Monroe pokiwał głową.

- Adne otworzy przejście w zaułku przylegającym do klubu Efrona. Do środka wślizgniemy się bocznymi drzwiami, a potem zejdziemy do więzienia.

- Co zrobi Adne, kiedy już będziecie w środku? - spytał Shay. - Zostawicie ją samą przy portalu?

Monroe skinął głową.

- A jeśli zostanie zaatakowana? - Shay się zasepił. - Pozwólcie mi z nią iść. Zostanę przy portalu, tak na wszelki wypadek.

- Wykluczone. Nie ma mowy, żebyś w jakikolwiek sposób włączył się do tej walki, Shay. - Monroe zacisnął zęby, ale uśmiechnął się poważnie do swojej córki. A jeśli portal zostanie zaatakowany, ona będzie umiała się obronić.

Adne popatrzyła na niego, szeroko otwierając oczy.

- Dzięki.
- Chyba się popłaczę - zakpił Connor, chowając twarz na ramieniu Ethana.
- Och, odwal się - warknął Ethan i poprawił kuszę przewieszoną przez plecy. - Wszyscy pewnie zginiemy za godzinę. Może mniej.
- Tym bardziej trzeba cieszyć się każdą chwilą. - Connor udał, że z twarzy ociera sobie łzę.
- Adne, mogę zamienić z tobą słówko na osobności? - spytał Monroe.
- Absolutnie nie. - Pokręciła głową. - Nie pozwolę ci wygłaszać do siebie jakiejś łzawej przemowy ojca do córki, tylko dlatego, że możemy zginąć. Daj mi po prostu robić, co do mnie należy.
- Ale to nie... - zaczął Monroe, ale Adne już odwróciła się do niego tyłem.
- Connor. - Monroe patrzył, jak Adne wyjmuje zza paska swoje czółenka. Connor obejrzał się za siebie. - Muszę ci coś powiedzieć. Connor zmarszczył brwi, lecz poszedł za Monroe'em w mroczniejszy kąt pomieszczenia.
- Ach, tak. - Ethan uśmiechnął się szeroko. - Pogaduszki na boku... Adne obejrzała się za siebie i zerknęła na Shaya.
- Nie będziesz próbował przejść przez portal, który tu otworzę, prawda? Zastanawiam się, czy nie powinnam ci kazać przysiąc.
- Lepiej nie - zaznaczył Ethan. - Już to przerabialiśmy. Nie zamierzam nadstawiać karku, jeśli nie będę miał pewności, że jesteś tu bezpieczny. Lepiej, może już po prostu idź spać.
- Pójdę na górę i posiedzę przy Anselu, jak już będziecie po drugiej stronie - stwierdził Shay, ale słyszałam w jego słowach cichy warkot. - Nie zamierzam udawać, że to się nie dzieje.

- Jak tam sobie chcesz. - Ethan wzruszył ramionami. - Na twoim miejscu bym to przespał.

- On jest po prostu dżentelmenem, którym ty nie jesteś - powiedziała Adne, obejmując Shaya szybko i cmokając go w policzek. - Dzięki za troskę, Shay. Damy sobie radę.

Nagle to mnie zachciało się warczeć.

- Masz absolutną rację, że żaden ze mnie dżentelmen - zgodził się Ethan. - Gdybyś mnie tak obściskowała, nie dałbym ci się wykręcić całuskiem w policzek.

Shay skrzywił się, pocierając kark, a jego skórę oblał różowawy rumieniec, gdy tymczasem Adne zachichotała, widząc jego reakcję. Ja popatrzyłam na Connora i Monroe'a i już nie odwracałam od nich wzroku. Nic nie rozumiałam z tego, co się działo, ale widziałam, że obaj mężczyźni są zdenerwowani. Monroe szybko coś mówił i coś trzymał w dłoniach. Co to było? Jakies koperty? Connor chodził w tę i z powrotem, słuchając Monroe'a, przeczesując sobie włosy dłońmi i kręcąc głową. Zerkaliśmy na nich i zastanawiałam się, o co właściwie chodzi.

Wreszcie Monroe złapał Connora za ramiona i przycisnął papiery do jego piersi. Zobaczyłam, że Connor się garbi, jakby po głębokim westchnieniu, a potem z rezygnacją bierze koperty od Monroe'a i chowa je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Monroe raz, krótko go uściskał, a potem wrócił do nas. Odwróciłam wzrok, nadal zdziwiona tym, co widziałam.

- Już prawie skończyła - powiedział Ethan, kiedy Monroe się zbliżył. Obejrzałam się na Adne, która podskakiwała i okręcała się wokół własnej osi, w ekstazie tkając portal. Chociaż już wcześniej widziałam, jak otwiera przejście, nadal zdumiewały mnie te oślepiające świetlne wzory, który kreśliła.

Drgnęłam, gdy nagle poczułam obok siebie czyjąś obecność. Connor stanął tuż przy mnie, w milczeniu patrząc, jak Adne tka. Z jego twarzy znikły wszelkie ślady rozbawienia, była

teraz blada i ściągnięta troską. Popatrzyłam na Monroe'a, po raz kolejny zastanawiając się, co zaszło między nimi dwoma.

Krew zaszumiała mi w uszach, kiedy po drugiej stronie migotliwego portalu zmaterializowała się mroczna aleja z zaspami śniegu po obu stronach. Nieco dalej ledwie widziałam uliczną latarnię rzucającą mdłe światło na zamknięte sklepy centrum Vail.

Dom.

19

Po drugiej stronie portalu było chłodno. Rześkie zimowe powietrze szczypało moją skórę. Wzięłam głęboki wdech, a lodowaty wiatr wypełnił mi gardło. Ożywczy dreszcz dotarł do każdej komórki ciała. Zapraǳnęłam biec, polować. Patrzyłam, jak obłoczek oddechu kłębi się niczym smuga dymu.

Odwróciłam się i ujrzałam za przejściem zamgloną sylwetkę Shaya. Chciałam go dosięgnąć i w jakiś sposób dodać mu otuchy. Gdy Monroe wydał rozkaz, po prostu przekroczyłam próg, nie oglądając się za siebie, żeby nie pokazać, jakie wątpliwości mną targają. Teraz żałowałam, że nie uśmiechnęłam się do niego, nie pocałowałam jeszcze jeden raz. A kiedy uświadomiłam sobie, że ostatnią osobą, która go pocałowała, jest Adne, poczułam się jeszcze gorzej. Stała przy portalu z obnażonymi mieczami i pogodną twarzą, gdy Connor i Ethan patrolowali aleję.

- Nie boicie się, że ktoś zobaczy światło? - spytałam, wskazując na rozmigotane przejście.

- Od tej strony nie ma żadnych okien - odparła Adne - dlatego ją wybraliśmy.

Po tych słowach zrobiło mi się tylko odrobinę raźniej. To prawda, portal nie był już tak jasny, jak w czasie tkania, ale nadal rzucał się w oczy, mniej więcej jak migoczące lampki choinkowe. Na szczęście do świąt zostało niewiele czasu, więc miałam nadzieję, że w razie czego ktoś pomyśli właśnie o lampkach.

- Pusto - zameldował Ethan, pojawiwszy się w wylocie ciemnej alei. -
Żadnych przeszkód ani patroli pomiędzy nami a bocznym wejściem.
Connor milczał, wpatrywał się w ciemność.

- W porządku - orzekł Monroe - idziemy.

Ethan i Monroe szli na czele pochodu, ja przemieniłam się w wilka i
stapałam cicho, a Connor zamykał tyły. Serce waliło mi jak młotem,
zagłuszało mój wyostrzony wilczy słuch i nie mogłam uwierzyć, że
Poszukiwacze go nie słyszą. Ale żaden nic nie powiedział, nawet na mnie
nie spojrzeli. Ich twarze były napięte, skradali się wąskim przejściem.
Gdy dotarliśmy do bocznych drzwi, Monroe podniósł rękę.

- Alarm?

- Nie - odpowiedział Ethan - tylko zamek.

- Uwaga. - Connor wyjął z kieszeni metalowy przedmiot i podszedł do
drzwi.

Ethan osłonił naszą stronę.

Usłyszeliśmy kliknięcie zamka i skrzypienie, gdy drzwi się otwierały.
Monroe i Connor w jednej chwili znaleźli się w środku, na ugiętych
nogach oczekiwali ataku.

Który nie nadszedł.

Spojrzeli na siebie i dali znak, byśmy szli za nimi. Ethan zamknął drzwi.
Wślizgnęliśmy się w głąb korytarza. Żołądek mi się skurczył, kiedy
przypomniałam sobie podróż tą samą trasą do biura Efrona. Czy był tu
teraz? Podniosłam pysk i wciągnęłam powietrze. Klub cuchnął starym
potem, przesiąkniętym gęstym, mdląco-słodkim smrodem oddechu
sukubów. Potarłam nos łapą, żeby pozbyć się tego zapachu.

Wydawało mi się, że w klubie nie pachnie niczym nowym, nie
wyczuwałam też ruchu. Dudniące basy i plamy kolorowych świateł
zastępowały cisza i mrok. Nie było tancerzy, sukubich tancerek go-go ani
Strażników. Jedyнным odgłosem były kroki Poszukiwaczy, którzy
skradali się pośród cieni. Tapozorna samotność wydawała mi się
podejrzana. Było zbyt

cicho, zbyt nieruchomo jak na miejsce takie jak Eden, karmiące się krwią i żądzą.

- Tu jest zejście - wyszeptał Connor. Stał u szczytu wykutych z metalu spiralnych schodów. Wychyliłam się za poręcz, śledząc wzrokiem metalowego ślimaka, który nikł w ciemnej otchłani.

- Nie ma światła? - spytał Ethan.

- Jeszcze nie - odparł Connor i zaczął schodzić. Szliśmy w dół, coraz niżej, niżej i niżej. Od ostrych zakrętów wirowało mi w głowie. Ciemność nas osaczyła i czułam, jakbym zamknęła oczy i kręciła się w kółko.

Choć zwykle dobrze widzę w ciemnościach, ta trasa w dół mnie wyczerpała.

Ulżyło mi, gdy pojawiło się fluorescencyjne światło, tym silniejsze, im niżej schodziliśmy, i zalało wszystko wokół zielonkawą szarością. Schody prowadziły coraz niżej do podziemi klubu. Zdawało mi się, że idziemy już całą wieczność i zastanawiałam się, jak daleko w głąb ziemi dotarliśmy.

- To chyba tu - powiedział Connor, pokonawszy nareszcie spiralne schody. Stał w kwadratowym pokoju, który najwyraźniej kiedyś pomalowano na biało, ale teraz jego ściany pokryte były obrzydliwą warstwą pajęczyn. Zrobił jeszcze jeden krok, gdy nagle ciemny kształt oderwał się od podnóża schodów, powalił go na ziemię i wytrącił mu z ręki miecz, który poleciał w kąt.

Usłyszałam przekleństwo Ethana, który przeskoczył przez barierkę i wylądował na podłodze, a ja, wyprzedziwszy Mon-roe'a, zaatakowałam wilka. Ethan strzelił z kuszy do Strażnika, który przygwoździł Connora do ziemi, a ja zatopiłam zęby w jego odsłoniętym boku. Wilk warknął i potrząsnął głową, a belty wbiły mu się w plecy. Odsłonił zęby i kłapnął w moim kierunku, ale zrobiłam zręczny unik i znów do niego przyskoczyłam.

Connor wykorzystał moment, w którym odwróciłam uwagę Strażnika, wyciągnął zza paska katar, wbił krótkie ostrze w brzuch wilka i przekreślił. Strażnik zawył, a potem jego jęk przeszedł w przedśmiertne rżenie. Opadł na Connora i zastygł w bezruchu. Connor zepchnął z siebie jego ciało. Ethan trzymał kuszę w gotowości i obserwował pokój.

- Tylko jeden? - zapytał Monroe, podchodząc do nas z nagimi mieczami w dłoniach.

- Jak na razie - odparł Ethan i opuścił broń.

- Mamy szczęście. - Connor starł krew z dłoni. Zbliżyłam się i przyjrzałam martwemu wilkowi. To był jeden ze starszych członków klanu Kary Nocy, ale nie był mi obcy. Znałam go: to ojciec Sabine. Zabili ojca Sabine.

Przemieniłam się i pokręciłam głową.

- W porządku? - spytał Connor.

- Coś jest nie tak - powiedziałam, rozglądając się w małym pomieszczeniu. Czuję się niepewnie w ludzkiej postaci, gdy niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie. - Jego nie powinno tu być.

- Jak to? - spytał Monroe. - Ja byłbym zdziwiony, gdyby nie było tu żadnego Strażnika. A w zasadzie jestem zdziwiony, że był tylko jeden Strażnik.

- Nie. - Starłam się opanować nawracającą falę mdłości. - Chodzi mi o tego wilka. Znam go. Właściwie znałam... Nie pracuje dla Efrona, był Strażnikiem górskiego patrolu. Jak wilki z mojego klanu.

- Może po prostu zmienił stanowisko? - zapytał Ethan.

- To się nie zdarza - odparłam. - Nie w górskich klanach.

- Obstawiam, że wiele się zmieniło, odkąd zniknęłaś - rzucił Connor.

- Może. - Czuję się zagubiona, patrząc na martwego wilka. Nie powinno go tu być, nie powinno.

- Będziemy czujni, Callo - zapewnił Monroe i odsunął mnie od ciała wilka - ale teraz musimy iść, zejście zajęło nam

więcej czasu, niż szacowałem. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze opóźnienia. Przykro mi, że to ktoś znajomy.

Za spiralnymi schodami były tylko jedne drzwi. Connor nacisnął klamkę, a potem wyjął metalowy wytrych. Ostrożnie otworzył i ujrzeliśmy wąski korytarz, oświetlany tymi samymi bzyzącymi fluorescencyjnymi lampami. W korytarzu było sześć par drzwi, po jednych na każdym końcu i dwoje na każdej dłuższej ścianie. Boczne drzwi miały chropowate, metalowe skrzydła, z wąską szczeliną na poziomie oczu.

- Co teraz? - spytał Ethan.

- Musimy je pootwierać - powiedział Monroe. - Każde z nas może użyć wytrycha, próbujcie.

- Nie, zaczekajcie. - Złapałam Monroe'a za ramię. - Idźcie za mną.

Przemieniłam się i opuściłam nisko pysk, wężąc wzdłuż korytarza.

Kiedy dotarłam do drzwi na prawej ścianie, zaskomlałam i podrapałam w nie łapą.

- To te? - zapytał Monroe.

Zaskomlałam znów, pragnąc czym prędzej dostać się do środka. Miałam serce w gardle, kiedy Monroe grzebał w zamku. Drzwi się otwarły i wstrzymałam oddech.

Po obu stronach celi, pod ścianami, siedziało dwóch młodych mężczyzn. Ich nadgarstki były przykute do ścian łańcuchami, izolując ich od siebie i ograniczając ruch. Nie ruszali się, mieli zamknięte oczy. Strzępy ubrań zwisały z ich ciał; poszarpane spodnie, podarte koszulki. Twarze były zmasakrowane, opuchnięte i posiniaczone zielono, fioletowo, czerwono. Obrzydliwa tęcza wymalowana na skórze.

Światło w celi wciąż migało, więc wydawało się, że pokój faluje.

Zawyłam i wbiegłam do środka.

Mason otworzył oczy na dźwięk mojego głosu. Powoli odwrócił głowę i mrugając, patrzył na mnie.

- Niemożliwe.

Nev jęknął, ale nie otworzył oczu:

- Powiedz mi, kiedy będzie po wszystkim.

- Calla? - Mason przechylił się w moją stronę i wykrzywił. Polizałam go po twarzy i przybrałam ludzką postać, żeby przemówić.

- Mason, to ja. Wyciągnę cię stąd.

- Naprawdę? - Mason wpatrywał się we mnie, jakbym była tylko wytworem jego wyobraźni.

- Calla? - Teraz także i Nev otworzył oczy.

- Jest prawdziwa? - Mason wyciągnął rękę i dotknął mojej twarzy, a łańcuchy zaszurały na betonie. - O mój Boże.

- Możesz chodzić? - Monroe podszedł do nas i ukucnął, żeby popatrzeć na Masona.

- Kim jesteś? - Mason się zmarszczył. - Ej! Jesteś Poszukiwaczem! O co chodzi, do cholery?

- Mason, w porządku - uspokoiliam, biorąc go za rękę -oni są po naszej stronie.

- Poszukiwacze? Po naszej stronie? - Nev się roześmiał. -Może jednak nie jest prawdziwa?

- Jestem - zapewniłam szybko, świadoma uciekającego czasu. -
Odpowiedz mi, proszę. Możesz chodzić?

- Chyba tak. - Mason wyprostował nogi. - Dawno nie miałem okazji.
Możesz wyjaśnić, jak się tu dostałaś? I dlaczego Poszukiwacze ci pomagają?

- Zrobiliśmy kawał drogi - wtrącił Connor - będzie jeszcze czas na opowieści.

- On ma rację, ale obiecuję, że później wszystko nabierze sensu.

- Może nawet nie mieć sensu, jak tylko wyciągnięcie nas z tego piekła - wymamrotał Nev i zakrył oczy.

- Nie wiem, czy na coś się przydamy - powiedział Mason. - Odkąd tu jestem, nie mogę się przemienić.

- To przez te łańcuchy - wyjaśniłam, dotykając żelaza na jego nadgarstku.
- Będiesz mógł się przemienić, gdy tylko je zdejmujemy.
- Connorze. - Monroe wskazał na Neva. - Uwolnij go. Sam ukląkł, żeby oswobodzić Masona.
- Nie wiem, czy to dobry pomysł - zawahał się Ethan, łypiąc podejrzliwie na dwóch skutych łańcuchami Strażników.
- Więc co zrobisz? Zastrzelisz ich? - przerwałam mu. -Pamiętasz jeszcze, po co tu przyszliśmy?
- Czyżby nasi wybawcy chcieli nas zabić? - spytał Mason, gdy kusza Ethana została wycelowana w jego pierś. - Pięknie!
- To by się nawet trzymało kupy, sądząc po ostatnich wydarzeniach - dodał Nev. - Powiedziałbym, że jestem zaskoczony, ale nie będę kłamał.
- Nie zabijają was. - Nie spuściłam z Ethana wzroku, dopóki nie opuścił kuszy.
- A co, jeśli... - zaczął.
- A co, jeśli to pułapka? - dokończyłam. - Popatrz na nich. Jak mieliby walczyć? Martwię się, czy uda się ich stąd wyciągnąć w jednym kawałku.
- To jest nas dwoje - rzekł Connor. - A liczyłem na wsparcie wilków w drodze powrotnej .
- Jeśli dojdzie do walki, będziemy walczyć - mruknął Nev, gdy łańcuchy opadały z jego rąk.
W jednej chwili zmienił się w wilka i warcząc, zbliżył się do Masona.
- O kurczę. - Ethan wycofał się i uniósł kuszę.
- Opuść ją! - nakazałam - To nie wrogowie.
Mason także się przemienił, gdy tylko został uwolniony. Dwa wilki krążyły wokół siebie, obwąchiwały się, lizały, ocierały o siebie i znajdowały ukojenie we wzajemnej bliskości. Obserwowałam ich i pragnęłam się przyłączyć, ale chciałam też dać im tę chwilę, by nacieszyli się sobą.

- Au... - jęknął Ethan, gdy Mason obnażył zęby i zatopił kły w grzbiecie Neva, a potem zaczął zlizywać krew, która popłynęła.

- W porządku - uspokoiłam go cicho - to doda im sił. Będą mogli walczyć. Nev pił krew z piersi Masona; czułam moc ich krwi, wypełniała celę i przemieniała ból w siłę.

- Cieszę się, że to działa - oświadczył Connor, najwyraźniej wyczuwając te same emocje, co ja - ale musimy iść.

- Chwileczkę. - Ethan zmarszczył brwi.

- Co? - spytał Connor.

- Ten numer z krwią to poważny problem. - Ethan zwrócił się do mnie. - Jakim cudem macie zamiar zabijać innych?

- O czym ty mówisz? - Ja też zmarszczyłam brwi.

- Skoro ataki dodają wam sił, czy każdy łyk krwi w walce nie będzie leczyć?

Zebrałam się w sobie, żeby nie przywalić mu w twarz.

- To tak nie działa - wyjaśnił Monroe. Popatrzyłam na niego zaskoczona, ale chyba powinnam się przyzwyczać, że skoro planował bunt Strażników, zdążył zgłębić tajniki uleczenia wewnątrz klanu.

Oparłszy ręce na biodrach, popatrzyłam na Ethana.

- Nie wystarczy napić się krwi Strażnika, żeby uleczyć rany. Krew musi zostać ofiarowana, inaczej nie ma żadnej mocy.

- Ofiarowana? - Ethan zagapił się na mnie.

Mason przysłuchiwał się naszej rozmowie. Zmienił się w człowieka.

- Ona ma rację - potwierdził. - Krew nie może zostać zabrana. Żeby zainicjować moc uleczenia, krew musi zostać ofiarowana. - Sińce na jego twarzy nie zniknęły całkiem, ale wyraźnie zbladły.

- Teraz o wiele, wiele lepiej. - Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie ręce. Wpadłam w jego ramiona.

- Dobrze, że nic ci nie jest - powiedział. - Byłem prawie pewien, że nie żyjesz.

- Ofiarowana - wymruczał jeszcze raz Ethan, a jego twarz wyrażała zdziwienie pomieszane z zadumą.

Nev pozostał w wilczej postaci, na wszelki wypadek stał u boku Masona, ale kiedy uśmiechnęłam się do niego, zamachał ogonem.

Wskazałam na Poszukiwaczy:

- Connor, Ethan, poznajcie Masona i Neva. Monroe już wcześniej pomagał Strażnikom.

Mason uniósł brwi. Pokręciłam głową.

- Już mówiłam, wyjaśnienia później. Gdzie są pozostali?

- Nie wiem - odparł. - Często nas przenosili. Izolowali nas, zamieniali miejscami. Zawsze byliśmy parami. - Zamilkł na chwilę i przełknął ślinę.

- Pewnie myśleli, że szybciej nas złamią, jeśli będziemy patrzeć, jak zmora zabiera nam towarzysza. Nev i ja byliśmy razem już od jakiegoś czasu, ale straciłem rachubę dni i nie wiem, od jak dawna nie widziałem nikogo z pozostałych.

- Myślisz, że żyją? - spytał Monroe.

- Tak - westchnął Mason. - Opiekunowie nie przeprowadzają cichych egzekucji. Gdyby zabili kolejnego wilka, bo już się to stało, wywlekliby nas, żebyśmy patrzyli.

Spojrzał na mnie.

- Callo, twoja mama... Tak mi przykro.

- Wiem - mruknęłam, przerywając mu, a w gardle poczułam gulę. - Ansel mi powiedział. Odnalazł nas.

- Jest cały? - Mason pobladł. - To, co mu zrobili...

- Nie czuje się dobrze - przyznałam - ale jest bezpieczny.

- Mówiłeś, że was przenosili - przerwał Monroe. - Dokąd?

- Na dole są cztery bloki cel - wyjaśnił Mason. - Każda z przejściem do Komnaty.

- Czym jest Komnata? - zapytał Ethan.

- Miejscem, gdzie przemoc zamienia się w przedstawienie - odparł Mason i uśmiechnął się ponuro. - W głowie układałem o tym piosenkę. No wiecie, żeby zabić czas. To tam zabili Naomi. - Chwycił mnie za rękę, gdy się skuliłam. - Tam torturowali Anselę... i Rena.

Kiedy wypowiedział imię Rena, jego pytające spojrzenie spotkało się z moim. Krew mi zawrzała, a tętno zadudniło od pragnienia, by go odnaleźć.

- Musimy sprawdzić pozostałe cele - przypomniał Monroe, a w jego głosie słychać było ten sam impuls, który sama czułam. - Chodźmy. Connor sprawdził ostatnią z czterech cel. Była pusta. Mason i Nev byli tu jedynymi więźniami.

- Teraz bramka numer 5. - Connor podszedł do drzwi naprzeciwko tych, którymi tu weszliśmy.

Wilk stojący u boku Masona, z sierścią w kolorze miedzi i stalowej szarości, zawarczał.

- O co chodzi twojemu psu obronnemu? - zapytał Ethan. Monroe rzucił mu karcące spojrzenie.

- Bez obrazy - dodał szybko Ethan.

- Te drzwi prowadzą do Komnaty - odrzekł Mason, a jego ręce zaczęły się trząść.

- Czy jest inna droga do drugiego bloku cel? - zapytał Monroe.

Mason pokręcił głową.

- A więc otwieraj - rozkazał Monroe.

20

W Komnacie nie było buczących fluorescencyjnych lamp. Salę okrażały maleńkie, migoczące i przygasające światełka, zastępy lampek naftowych wysyłających ponury sygnał ostrzegawczy. Przestrzeń skąpana w tym falującym, brudnożółtym świetle przypominała ziewające, zgłodniałe usta. Wydawało mi się, że między moimi żebrami pracuje młot pneumatyczny.

- Te drzwi przeniosły nas w przeszłość czy co? - spytał Connor.

- Chyba tak, albo odbędzie się tu najbardziej przygnębiający festiwal sztuki renesansowej - zażartował Ethan, wchodząc dalej do sali, z kuszą gotową do strzału.

Ja rozglądałam się wokół i usiłowałam opanować żołądek, który podchodził mi do gardła. Mieli rację. W przeciwieństwie do sterylnych, nowoczesnych cel ta sala zbudowana była z kamiennych głazów, ułożonych jeden na drugim jak stosy ślimaków, a ich oślizgła ciemnoszara powierzchnia sprawiała wrażenie wiecznie wilgotnej. Skąpo oświetlone pomieszczenie było puste, nie licząc postumentu, stylizowanej na gotyk sceny, która wyrastała ze ściany. Na głazie za podestem wyryte były słowa.

„Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”.

Dante. Zadrżałam na wspomnienie piekielnych obrazów, które pokrywały ściany w biurze Efrona i na myśl, że prawdopodobnie sceny z obrazów były odtwarzane w Komnacie. Cuchnęła pleśnią, pajęczynami, moczem... i krwią. Najbardziej

krwią. Zatoczyłam się. Smród był obezwładniający. Śmierć wniknęła do moich płuc, a żołądek zwariował. Mason złapał mnie za rękę, żebym ustała na nogach.

- Wiem - powiedział tylko.

Staralam się powstrzymać, ale mój wzrok wciąż wędrował w kierunku sceny. Tutaj zamordowano moją matkę. Zabił ją Emil Laroche, a mój ojciec musiał na to patrzeć. Brat został złamany. A Ren? Co zrobili Renowi? Łzy żłobiły płonące ścieżki na mojej twarzy, dopóki Monroe nie podniósł ręki i kciukiem nie starł mi z policzka szczypiącej słonej cieczy.

- Nadejdzie dzień, gdy to wszystko zostanie zburzone, kamień po kamieniu. O to walczymy.

Pokiwałam tylko głową, bo nie mogłam wydusić ani słowa.

- Bloki z celami odchodzą od każdej ściany Komnaty - wyjaśnił Mason i wskazał na najbliższe drzwi, dokładnie takie same jak te, którymi weszliśmy.

- Czy tutaj zawsze jest pusto? - zapytał Connor, a jego pytanie rozniosło się po przestronnym wnętrzu Komnaty echem, podkreślającym każde słowo.

- Nie, kiedy ja tu przebywałam - odparł Mason. - Wtedy wypakowana była Strażnikami oczekującymi na wyrok Opiekunów.

- Nie podoba mi się tu - stwierdził Ethan.

- Ani mnie - dodał Monroe, zerkając w moją stronę: - Możesz zaprowadzić nas do pozostałych?

Wzięłam oddech i prawie zwymiotowałam. Wspomnienie męki wsiąkło w podłogę. Czułam się, jakbym tropiła zapach pomiędzy stosami rozkładających się zwłok. Mdłości znów nie pozwoliły mi utrzymać równowagi.

- Nie tutaj - odrzekłam. - Może bliżej cel, jak tam, skąd przyszliśmy.

- Musimy załatwić to tak szybko, jak tylko się da - zarządził Monroe. - Connor, Ethan i wilki, zajmijcie pozycje, a ja otworzę drzwi.

Skierowaliśmy się najpierw ku drzwiom na południowej ścianie. Monroe grzebał w zamku, a Connor i Ethan lustrowali pokój, wyczuleni na zwiastuny nadchodzącego ataku. Mason i Nev byli teraz wilkami, okrążali nas, łapali powietrze, ich uszy leżały płasko, a kły mieli odsłonięte z powodu agresywnych zapachów wirujących wokół. Monroe pchnął drzwi, a ja weszłam za nim. Wciąż pachniało paskudnie, ale tutaj smród nie zmiatał mnie już z nóg. Zrobiłam kilka kroków naprzód, zanim przyjąłam ludzką postać.

- Nikogo tu nie ma - stwierdziłam - idźmy dalej.

- Pusto? - zapytał Ethan, gdy wróciliśmy do Komnaty. Monroe pokiwał głową.

- Dokąd teraz? - Connor opuścił przygotowane do walki ręce, ale jego oczy wciąż lustrowały okolice wejścia do Komnaty.

- Zachodnia ściana - orzekł Monroe i ruszył przez pokój. Rozejrzałam się. Kolejność narzucona przez Monroe'a oznaczała, że północne wejście sprawdzimy na samym końcu, jeśli nie znajdziemy nikogo wcześniej. Północne drzwi były położone najbliżej sceny, a ja chciałam znaleźć się wszędzie, tylko nie tam, gdzie kamienie nasiąknięte były krwią mojej matki. Czy jej krew wyróżniała się spośród innych? Czy załamie się, gdy poczuje jej zapach, wżarty pomiędzy kamienne głazy?

Gdy odwracałam wzrok od sceny, zdawało mi się, że wychwyciłam kątem oka jakiś ruch, jak gdyby gdzieś pod sufitem zadygotał cień. Zatrzymałam się i wbiłam wzrok w ciemność.

- Calla? - Ethan zatrzymał się przy mnie. Czekałam, obserwując miejsce, gdzie wydawało mi się, że widziałam ruch. Ale były tam tylko cienie. To napięte nerwy płatały mi figle.

- To nic - powiedziałam, idąc szybko za Monroe'em. Gdy mijaliśmy południowe drzwi, Nev zapiszczał i zaczął drapać próg.

- Co jest? - spytał Monroe. Nev zmienił postać.

- Czuję zapach Sabine. Ona tam jest. I inne wilki. Mason zawył i zataczał koła z nisko opuszczonym pyskiem.

- Ilu jest tych innych? - Dłonie Connora zacisnęły się na rękojeściach mieczy.

- Nie jestem pewien. Ale na pewno Sabine nie jest sama.

- A reszta twojego klanu? - rzuciłam. - Jest tam Ren?

- Jeśli jest, jego zapach tłumią inne wilki - odparł Nev. - Nie mogę go wychwycić.

- Ale Sabine możesz? - Ethan zmarszczył brwi.

- Pachnie jaśminem. To szczególny zapach, łatwo wyczuć go w tłumie.

- Aha... - Oczy Ethana rozszerzyły się ze zdziwienia -
Jaśmin?

- Czy temat perfum możemy przedyskutować później? - wtrącił Connor. -
Zdaje mi się, że za tymi drzwiami czeka nas walka.

- Jesteśmy gotowi - oświadczył Nev, przemieniając się z powrotem w wilka, a sierść nastroszyła mu się, kiedy zawarczał.

- Otwieram drzwi - ostrzegł Monroe - macie być gotowi na wszystko.
Zamek trzasnął. Drzwi stały otworem. Ja też się przemieniłam, a moja sierść się zjeżyła.

Korytarz był pusty, identyczny jak te, które przeszukiwaliśmy wcześniej.

- Które drzwi? - wyszeptał Monroe do Neva.

Nev minął dwie pierwsze cele, nos miał przy ziemi, węszył. Mason trwał bez ruchu, uszy płasko leżały na jego głowie.

Nev zatrzymał się przed dalszymi drzwiami, po prawej stronie i spojrzał na Monroe'a, który skinął głową. Connor i Ethan unieśli broń, gdy Monroe przekreślił klamkę. Wstrzymał oddech i popatrzył na nas.

- Otwarte - wyczytaliśmy z ruchu warg. Poszukiwacze wymienili ponure spojrzenia i wyprostowali się, gdy Monroe popychał drzwi.

Usłyszałam warkot i dwóch starszych członków klanu Kary Nocy wypadło z celi. Pierwszy rzucił się na Connora i zaskomlał, gdy sztylet wbił się między jego żebra. Dwa beł-ty z kuszy Ethana trafiły w pierś drugiego wilka. Opadł na ziemię, skowyczał, ale wciąż trzymał się na nogach i gotował do następnego ataku. Mason przypadł niego. Turlali się po podłodze, błyskając kłami i pazurami. Nev ruszył na pomoc Masonowi. Ethan wpadł do celi.

- Idź z nim, Callo - rozkazał Monroe. - Jeśli są tam twoi towarzysze z klanu, będziesz musiała ich przekonać, że jesteśmy przyjaciółmi. Pokiwałam głową i wślizgnęłam się do celi. Ethan wpatrywał się w trzeciego członka klanu Kary Nocy, który czał się przy wychudzonej postaci leżącej pod ścianą. Zauważyłam rozsypane ciemne włosy i zarys wychudzonych nóg, ledwie zakrytych strzępami sukienki. Sabinę. Nie ruszała się. Krew zastygła mi w żyłach. Czy była martwa?

- Calla? - Odwróciłam się na dźwięk swojego imienia i poczułam, jakby serce miało mi wybuchnąć. Bryn patrzyła na mnie, a w jej oczach widziałam niedowierzanie. Była przykuta łańcuchami do ściany tak samo, jak wcześniej Nev i Mason. Miała wychudzoną twarz, policzki zapadłe, sukienkę tylko odrobinę mniej poszarpaną niż Sabinę. Ścisnęło mnie w gardle, gdy zdałam sobie sprawę, że obydwie wciąż mają na sobie stroje, które włożyły w noc Zaślubin. A raczej to, co z nich zostało. Zaskamlałam i rzuciłam się w jej kierunku, ale wtedy usłyszałam cichy głos Ethana:

- Jeśli ci życie miłe, odsuń się od dziewczyny. - Celował do wilka, który warczał, trzymając się swojego miejsca przy Sabinę.

Uszy miał ściągnięte do tyłu i nie spuszczał wzroku z Ethana. Pochylał się nad Sabinę, kły zbliżał do jej gardła. Słyszałam, że w jego głuchym warkocie czał się ton występnej rozkoszy.

Sabine coś wymamrotała, a jej powieki zatrzepotały. Uczucie ulgi, że żyje, ustąpiło przerażeniu, gdy wilk opuścił pysk i szyja Sabinę znalazła się między jego szczękami.

- Calla, zrób coś! - krzyknęła Bryn, miotając się w swoich więzach. - Efron rozkazał zabić ją, jak ktokolwiek się tu pojawi.

Odwrociłam się i skupiłam na wilku.

Ethan już wystartował. Z krzykiem odrzucił kuszę i napadł na zaskoczonego wilka. Człowiek i Strażnik upadli na posadzkę. Ethan zaklął, gdy zęby wilka zatopiły się w jego ramieniu. Przemknęłam przez celę. Wilk zamierzał zaatakować ponownie, a cała jego uwaga skupiona była na Ethanie. Wbiłam zęby w jego grzbiet. Krew trysnęła i usłyszałam zgrzyt, gdy natrafiłam na kość. Strażnik zawył i odwrócił się, żeby mnie dopaść. Przeturlałam się kawałek dalej, poza zasięg jego paszczy. Tej sekundy nieuwagi potrzeba było Ethanowi. Złapał swój sztylet, dosunął się do wilka i wbił mu ostrze w gardło. Wilk zadrżał, a potem znieruchomiał. Zwiotczone ciało uderzyło o podłogę, gdy Przewodnik wyszarpnął z niego sztylet.

Sabine trzymała rękę przy gardle i patrzyła na Ethana. Podszedł do niej i delikatnie dotknął jej dłoni.

- Nic ci nie jest? - zapytał, a jego wzrok powędrował po jej ciele.

Odwrocił się i oblał się rumieńcem, gdy zobaczył, jak niewiele zakrywa poszarpana sukienka.

- Nie - wyszeptała, wciąż na niego patrząc. - Kim jesteś?

- Nazywam się Ethan. - Odchrząknął i starał się znaleźć jakiś bezpieczny punkt zaczepienia dla oczu. - Jestem tu, żeby ci pomóc.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jesteś Poszukiwaczem.

Pokiwał głową i w końcu na nią spojrzął.

- Ale jestem po twojej stronie.

Prawie się zadławiłam, nie od krwi w pysku, ale ponieważ nigdy nie spodziewałam się usłyszeć tych słów od Ethana.

- Myślałam, że mnie zabije. - Łzy popłynęły po policzkach Sabine. - Byłam tego pewna. Powiedział, że nie opuszczę go żywa.

- Kto tak powiedział? - Ethan powoli wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Widziałam, że jego palce drżą.

- Efron. - To Bryn odpowiedziała na pytanie.

- Efron z klanu Kary Nocy? - Jakby przypominając coś sobie, Ethan opuścił rękę i odwrócił twarz w kierunku Bryn. -Opiekun.

Pokiwiała głową.

- Lubił mieć Sabine blisko. Wydaje mi się, że wziął jej wybór do siebie.

- Co znaczy „blisko”? - Ethan zmarszczył brwi. Sabine odnalazła jego oczy i wydawało się, że coś mu przekazała.

Zacisnął pięść.

- Niech szlag trafi tego drania!

Sabine odwróciła twarz i kolejne łzy spłynęły po jej policzku. Zmieniłam postać i podeszłam do niej.

- Jaki wybór?

- Powiedział, że mogę złożyć nowe przyrzeczenie wierności - wyszeptła, a łzy popłynęły strumieniem. - Mogę wrócić do klanu Emila, jeśli zdradzę ciebie i twój klan.

Wybór. Opiekunowie albo ja. Wzdrygnęłam się.

- Nie zrobiłabym tego - ciągnęła Sabine. Skrzywiła się, a potem otarła łzy.

- Nie wiem, czemu odeszłaś, Callo, ale to, co zrobili Anselowi...

Wiedziałam, że to samo spotka Masona i Bryn. Nie mogłam do tego dopuścić.

- Efron wyzywał się na niej - dodała Bryn. - Zmory przychodziły po nią codziennie. Tylko po nią. Mnie wzywali o wiele rzadziej. Cztery razy, może pięć. Udało mi się.

- Nie powiedziałabym - zaprotestowała Sabine ze słabym uśmiechem. - Już jeden raz jest dość koszmarny.

- Tak mi przykro, że musiałyście przez to przejść. - Uklękłam przy Bryn. Przytuliła mnie tak mocno, że nie mogłam złapać tchu.

- Bardzo się cieszę, że żyjesz.

- Tak mi przykro... - wyszeptałam raz jeszcze, a przerażenie odbierało mi zmysły. Mogłam zostać uwięziona, a byłam bezpieczna, dobrze traktowana i tak daleka od koszmaru, jakiego doświadczali moi towarzysze z klanu, dzień po dniu, odkąd opuściłam Vail.

- Nie ma powodu - zapewniła. - Nie ty to zrobiłaś. To oni.

- Wiem, ale...

Przerwała mi i wydusiła z siebie urywane słowa:

- Cal... Nie wiem, co się stało z Anselem po tym, jak go zranili. Obawiam się, że on...

- Nie! - Złapałam ją za ramiona i zmusiłam, żeby spojrzała mi w oczy. - Wiem, co mu zrobili, Bryn, to potworne, ale on żyje. Jest bezpieczny. Odnalazł mnie i Shaya.

- Żyje? - Jej głos drżał, oczy się rozszerzyły. Z jednej strony pragnęła wierzyć, z drugiej nie pozwalała sobie zaufać moim słowom.

- Przysięgam ci, że zobaczysz go, jak tylko dotrzemy do Denver.

Do celi wpadł Connor, jego miecze ociekały krwią. Mason i Nev biegli tuż za nim, a ich pyski były tak samo szkarłatne, jak ostrza mieczy:

- Tutaj wszystko w porządku?

- Tak - odparł Ethan. - Możesz to zdjąć? - Wskazał na spętane nadgarstki Bryn, a sam sięgnął do uwięzionych nóg Sabine. - Ja zajmę się nią.

Mason towarzyszył Connorowi przy Bryn. Przemienił się i ugryzł w nadgarstek, pozwalając jej pić swoją krew, podczas gdy Connor zdejmował okowy. Ethan zrobił miejsce Nevowi, który ukląkł przy Sabine.

- Trzymasz się jakiś? - szepnął Nev, wyciągając do niej rękę.

- Ledwie - odparła, zatapiając zęby w jego ciele. Ethan pochylił się na nimi i obserwował, jak wycieńczone ciało Sabine wypełnia się życiem. Usłyszałam, że gdy uniosła twarz i się uśmiechnęła, głośno wypuścił powietrze.

- Jak się teraz czujesz? - wymamrotał.

- Będzie dobrze - powiedziała z taką nieśmiałością w głosie, jakiej jeszcze nigdy u niej nie słyszałam. Popatrzyła mu w oczy. - Uratowałeś mi życie. Teraz to Ethan odwrócił wzrok.

- Ja... No... - Pocierał kark, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Uwolniona od łańcuchów Sabine zarzuciła mu rękę na szyję i przyciągnęła go do siebie.

- Dziękuję ci. Bardzo dziękuję. Znieruchomiał w jej objęciach, ale nie zwolniła uścisku i w końcu jego mięśnie się rozluźniły. Wtulił policzek w jej włosy.

- Jaśmin - wymamrotał.

- Co? - spytała Sabine i spojrzała na niego.

- Nie ma za co. - Odchrząknął.

- Nawet Poszukiwacz! - parsknął Nev - Tylko ciebie na to stać, Sabine, jak słowo daję.

- O czym ty gadasz? - Popatrzyła na Neva i zmarszczyła brwi. Nev tylko się uśmiechnął.

- Nieważne - szybko powiedział Ethan i jeszcze raz odchrząknął, posyłając Nevowi mordercze spojrzenie. Wyplątał się z jej objęć i wstał. Sabine uśmiechnęła się, tylko do niego, a Ethan wyglądał na lekko skołowanego.

Nev śmiał się i kręcił głową.

- Co cię tak bawi? - spytała Sabine, gdy pomagał jej wstać. Ale zanim Nev zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się Monroe.

- Kogo znaleźliśmy?

- Jeszcze dwie. - Wskazałam na dziewczyny. - Bryn i Sabine.

Jego twarz odrobinę stężała.

- Ani śladu reszty?

Pokręciłam głową, wiedząc, że oboje jesteście tak samo rozczarowani.

Nie znaleźliśmy Rena. Zastanawiałam się, czy w ogóle się uda.

- Jeśli są już silniejsze, musimy ruszać - zdecydował Monroe. - Nie znaleźliśmy jeszcze wszystkich.

- A możemy sobie pozwolić na jeszcze jedną walkę? -zapytał Connor. -

Opiekunowie najwyraźniej się nas spodziewali, ta grupa to dopiero początek. Następne starcie może być o wiele trudniejsze.

- Skończymy to, co zaczęliśmy - odrzekł Monroe. - Tym bardziej że jest nas dwa razy więcej niż na początku.

Connor już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale Monroe pokręcił głową.

- Skończymy to. - Odwrócił się, zanim Connor zdążył cokolwiek powiedzieć i ruszył korytarzem.

Kiedy wychodziłyśmy z celi, Bryn zbliżyła się do mnie i chwyciła za rękę.

- Bardzo za tobą tęskniłam, Cal - wyznała. - Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Ja też za tobą tęskniłam - odparłam i wcale nie czułam się warta jej oddania. Przeszła tak wiele, czekając na mnie. Wszyscy przeszli.

- Lepiej jak będę w gotowości. - Odwzajemniła mój uśmiech i opadła na ziemię pod postacią brązowego wilka. Dołączyła do pozostałych, którzy biegli jeden obok drugiego, blisko siebie, tuląc się i machając ogonami. Ethan i Connor obserwowali młode wilki cieszące się swoim towarzystwem. Twarze Poszukiwaczy wyrażały zdumienie. Czułam, że nie mogą oswoić się z tym, jak ich śmiertelni wrogowie okazują sobie przywiązanie, oddanie, a nawet chęć zabawy. To cechy, które Poszukiwacze utożsamiali ze swoim gatunkiem, ale nie ze Strażnikami. Tylko Monroe pozostał niewzruszony zachowaniem wilków. Kroczył naprzód, gnany jednym pragnieniem.

Przeszliśmy przez salę, zmierzając ku północnym celom. Scena majaczyła przed nami i zapach krwi, starej i świeżej, był teraz silniejszy. Ostra woń, złożona z warstw udręki, zalewała moje zmysły oślepiającą falą. Zachwiałam się, gdy mijaliśmy scenę. Przemoc, której świadkiem była Komnata, zdawała się przenikać podłogę i ściany. Opuściłam głowę, chciałam

zatkać uszy. Zdawało mi się, że słyszę krzyk matki. Connor złapał mnie za łokieć, żebym nie upadła.

- Trzymaj się - wymruczał.

Skinęłam głową i starałam się nie patrzeć w kierunku obrzydliwego postumentu.

Kiedy Monroe otworzył drzwi prowadzące do cel i pchnął je, kątem oka zobaczyłam jakiś ruch. Tak samo, jak wcześniej, błyskawiczne drgnięcie w cieniu.

- Zaczekaj. - Złapałam Monroe'a za rękę.

- Co jest, Callo? - zapytał, przyglądając mi się bacznie. Przeszywałam wzrokiem miejsce, gdzie jak mi się wydawało, coś się poruszyło. I wtedy go ujrzałam.

Gargulec.

Teraz się nie ruszał. Wyglądał jak rzeźba na gzymsie otaczającym sklepienie, ale każdy nerw w moim ciele podpowiadał mi, że był żywy.

- Ethan - wyszeptałam i wskazałam palcem na stwora -zastrzel to.

Natychmiast.

- To tylko rzeźba. - Zmarszczył brwi. - Obrzydliwa jak jasna cholera, ale nie mogę na nią tracić bełtów.

- Zastrzel to.

Patrzył na mnie przez moment, a potem wycelował. Bełt przeciął powietrze. Ethan zaklął, gdy wbrew oczekiwaniom nie odbił się od rzeźby, tylko przeszył ciało stwora. Gargulec wrzasnął, kamień ożył.

- Co, do diabła? - Connor odskoczył, gdy stworzenie zanurkowało, spadając z gzymsu prosto na nas. Zatkaną uszy, bo wydawało mi się, że bębniaki popękają mi od tego potwornego pisku. Bryn zawarczała i wyskoczyła w powietrze. Zaskoczony jej śmiałością gargulec zwolnił, ale nie przestawał wrzeszczeć. Zęby Bryn przeszyły jego skrzydło i kiedy upadł na ziemię, ciekła z niego szarawa krew. Sabinę skoczyła na jego pierś i przygwoździła go do sceny. Bryn zaatakowała ponownie, tym razem starannie wycelowała i chwyciła zębami

za gardło. Usłyszałam trzask łamanej kości i głowa gargulca zwisała bezwładnie.

- Obserwował nas przez cały czas - wydusiłam z siebie.

- Jest ich więcej? - Connor obrócił się wkoło, lustrując wzrokiem gzyms przy suficie.

- Nie, ale Calla ma rację, śledził każdy nasz ruch, odkąd tu weszliśmy - powiedział Monroe. - A teraz pewnie uruchomiliśmy alarm.

Zamarliśmy, rozważając znaczenie słów Monroe'a. Nasze milczenie wyostrzyło odległe, pospieszne kroki gdzieś w oddali. Brzmiały jak ciche bębnienie. Uderzenia pazurów w kute żelazo, łapy odbijające się od stopni schodów. Zbliżały się szybko, bębnienie było coraz głośniejsze; nasi wrogowie opuszczali górne piętro i schodzili na dół.

- Idą po nas - stwierdził Monroe, patrząc na drzwi, które mogły wyprowadzić nas z więzienia z powrotem na schody.

- Znacie jakieś inne wyjście? - zapytał wilki Connor. Moi towarzysze spojrzeli po sobie. Sabinę pisnęła, zanim zmieniła postać.

- Żadne z nas nie zna innej drogi - odpowiedziała. - Zostaliśmy wprowadzeni tymi drzwiami. Przykro mi.

Kiedy przeproszała, spojrzała na Ethana.

- W takim razie jesteśmy w pułapce - orzekł, patrząc na nią, jakby zastanawiał się, w jaki sposób chciałby spędzić ostatnie chwile swojego życia.

- Reszta klanu musi być w tym bloku - odezwał się Monroe. - Jeśli uda nam się ich znaleźć, będziemy mogli stanąć do godnej walki. A może nawet się stąd wydostać.

- Może nie wszyscy - powiedział Connor.

- Nie mamy innego wyjścia - odparł Monroe.

- Ma rację. - Ethan ładował do kuszy nowe bełty. - Czas na ostatnie starcie. Zawsze wiedziałem, że kiedyś nadejdzie.

- Nie - zaprotestowała Sabinę. - Nie mam zamiaru tutaj umrzeć. Nie dam Efronowi tej satysfakcji.

Przemieniła się w wilka i zawyła. Reszta mojego klanu uniosła pyski i dołączyła do jej wojennego okrzyku. Z oddali usłyszeliśmy odpowiedź Strażników, którzy zagrzewali się do własnej walki.

Wycie wilków jakby dodało Poszukiwaczom wiary.

- Mogę zablokować zamek! - Connor biegł przez salę. - Jeśli to naprawdę jedyne wyjście, zyskamy w ten sposób trochę czasu.

- Dobrze kombinujesz - pochwalił Monroe. - Ethan, pomóż Connorowi i wilkom. Powstrzymajcie ich. Calla, ty chodź ze mną.

Poszłam za nim do cel, oglądając się za siebie, na wilki okrążające Connora i Ethana, którzy manipulowali przy zamku wschodniego wejścia do więzienia. Złapałam oddech i zadrżałam. Głęboko pod zapachem surowego metalu cel wyczuwałam aromat dymu z płonącego drewna.

- Co to? - spytał Monroe.

- On tu jest - wyszeptałam.

Wycie z drugiej części więzienia dotarło do naszej celi. Włoski na karku stanęły mi dęba. Poznałam ten głos, to Mason wzywał pomocy. Sekundę później odpowiedziało mi wycie Neva. Monroe na mnie popatrzył.

Słyszałam drapanie pazurów na kamieniach i towarzyszące mu poszczekiwanie i warkoty.

- Strażnicy - domyśliłam się. - Dostali się do środka.

- Znajdź go. Powiedz mu, że nadchodzimy. Ja powiem innym... Upewnię się, że walka nie dotrze tutaj i wrócę po ciebie i resztę twojego klanu, obiecuję.

Kiwnęłam głową, ale zalała mnie fala strachu.

Monroe wyciągnął miecze i wbiegł z powrotem do Komnaty.

Zapach zaprowadził mnie do drugich drzwi po lewej.

Błagam, niech będzie otwarte. Proszę.

Przekreśliłam klamkę i drzwi stanęły otworem. Ta cela była większa niż pozostałe. Bzyczące fluorescencyjne lampy, biegnące wokół sufitu, oświetlały metalowe elementy. Poczułam

jego zapach, zanim jeszcze go zauważyłam. Ciepła woń drzewa sandałowego i szorstkiej skóry sprawiły, że zabolą mnie w piersi. Niewiele myśląc, rzuciłam się naprzód, ku skulonej postaci w odległym kącie celi.

- Ren! - Otoczyłam go ramionami i przyciągnęłam do siebie.

- Calla - wymruczał. Jego czoło było przyciśnięte do mojego gardła, a dłonie dotykały pleców.

- Jesteś ranny? - wyszeptałam, wciąż tuląc go do siebie, nie dowierzając, że jest żywy.

- Nie.

- Całe szczęście. - Delikatnie się odsunęłam i złapałam oddech; prawie nie słyszałam swoich słów, tak głośno biło mi serce. - Nie mamy czasu. Nie mogę teraz wyjaśnić, musimy się stąd wydostać.

Ren spojrzał na mnie, a potem nagle przyciągnął do siebie. Jego usta odnalazły moje, płonęły na mojej skórze. Wspomnienia wróciły, zatopiły mnie w powodzi uczuć.

Ren.

Ren, którego znałam od tak dawna. Przeznaczony mi partner. Młody alfa klanu Kary Nocy. Mój rywal i przyjaciel. Ten, który miał rządzić u mojego boku. Wojownik jak ja. Wilk jak ja.

Oddałam pocałunek i łzy napłynęły mi do oczu. Fala przeszłości porwała mnie ze sobą, przysunęłam się do niego. Nie wiedziałam, co czuję ani co myślę. Jedyne, czego byłam pewna, to że dobrze być znów przy nim.

Przywarłam do jego ciała i zawładnęło mną przeznaczenie, które wyczuwałam, ale którego nie wypełniłam. Czasy, gdy nie wiedziałam, że kłamstwa były kłamstwami. Kiedy wydawało mi się, że znam swoje miejsce w świecie. Jakaś część mnie tęskniła do tej pewności, do życia, które mogłam wieść, zanim moim światem zawładnął chaos.

Odsunął się i patrzył na mnie. Uniósł dłoń i obwiodł owal mojej twarzy.

Drugą chwycił moją rękę. Jego palce zatrzymały się i potarły pleciana obrączkę z białego złota.

- Moja - wymruczał - jesteś moja.

W gardle miałam gułę, nie mogłabym wypowiedzieć ani słowa, nawet gdyby udało mi się jakieś znaleźć. Jak wiele obietnic zламаłam? Jak wiele mu odebrałam, odchodząc?

Pocałował mnie jeszcze raz, tym razem delikatnie. Jego usta przesunęły się po linii mojej szczęki, aż do gardła. Przyciągnął mnie jeszcze bliżej i wyszeptał do ucha:

- Powiedzieli, że przyjdiesz. Nie wierzyłem, ale jesteś. Wir uczuć, który mnie unosił, zatrzymał się, gdy padły te słowa, i brutalnie przywrócił do rzeczywistości. „Powiedzieli, że przyjdiesz”.

Uniosłam głowę i mu się przyjrzałam. Był tutaj. Żywy, w tej celi. Ale w przeciwieństwie do reszty nieporaniony. Jego twarz nie nosiła śladów cierpienia ani głodu. Ubrania nie były podarte ani brudne. Zapach był bliski, ciepły i męski, ale nieskażony odorem wymiocin, krwi i brudu. Spojrzałam na jego ręce. Nie był związany. No i siedział sam.

Przeszył mnie dreszcz strachu.

- Ren? - wyszeptałam. Serce sprzeciwiało się suchym faktom, które mój mózg szybko łączył w jedną całość.

Pochylił się i pocałował mnie w ucho.

- Tęskniłem za tobą, Lilio. Bardzo - mruzczał, zamykając moje ramiona w uścisku. - Przepraszam.

I nagle leciałam na drugą stronę celi. Uderzyłam głową o ścianę i przez chwilę nic nie widziałam. Osunęłam się po ścianie na podłogę. Wziął mnie pod pachy i postawił na nogi. Czułam jego oddech na skórze. Jego usta znów dotknęły moich, ale tym razem poczułam smak krwi.

Odwróciłam głowę i łapałam powietrze, walcząc o odzyskanie równowagi i wzroku.

- Ren, przestań, proszę. - Wymacałam jego ramiona i spróbowałam go odepchnąć. - Co robisz?

Wpatrywał się we mnie i widziałam zarys jego szczęki, wysiłek w oczach. W czerni źrenic mieszały się furia i smutek.

- Nie chcę tego, nigdy tego nie chciałem - wycedził przez zaciśnięte zęby
- ale nie mam wyboru. Nie zostawiłaś mi wyboru.

Znów popchnął mnie na ścianę i zapało mi dech. Wahał się chwilę, patrzył na mnie, a cierpienie znaczyło jego twarz, nawet jeśli wciąż trzymał mnie w żelaznym uścisku.

- To jedyny sposób - wypowiedział te słowa w taki sposób, jakby sam starał się w nie uwierzyć. - Jesteś moja. Muszę mieć cię z powrotem. Moim obowiązkiem jest sprawić, byś została. Powiedzieli, że muszę to zrobić.

- Zrobić co? - Patrzyłam na niego.
- Złamać cię.

Ren przygniótł mnie do zimnej ściany celi, jego kolano znalazło się między moimi udami.

Przerażenie odebrało mi siły. Nie mogłam znaleźć woli, by się przemienić. To nie dzieje się naprawdę.

- O Boże, Ren, nie - mogłam tylko szeptać i patrzeć na niego. Nie wiedziałam już, kim jest ten chłopak naprzeciwko mnie, w którego oczach widziałam rozpacz i szaleństwo, każące mu mnie krzywdzić.

Ogarnęła mnie taka panika, jak nigdy wcześniej. Nie wierzyłam, że może dokonać się aż taka zmiana, ale palce wbijał mi w nadgarstki tak mocno, że krzyknęłam. Czułam w ustach smak krwi. Jego zęby poraniły mi wargi. Czy Ren jest teraz po stronie Opiekunów?

Cała drżałam, wstrząsały mną fale mdłości. Stałam prosto tylko dlatego, że Ren przyciskał mnie do ściany. Szał w jego oczach przerażał mnie i utwierdzał w przekonaniu, że każdy z jego wyborów podyktowany był rozpaczą i bólem.

- Nie musisz tego robić, Renier. - W drzwiach pojawiła się nowa postać i przemówiła cicho, ale zdecydowanie: - Puść ją.

Ren obnażył zęby, kiedy Monroe powoli ruszył w naszą stronę. W dłoniach trzymał opuszczone miecze.

- Masz wybór - mówił dalej niskim głosem - opuść to miejsce, zostaw za sobą. Chodź z nami.

- Z wami? Z Poszukiwaczami? - Ren splunął na podłogę.

- To nie tak, jak myślisz - ciągnął Monroe. - Przyszliśmy po ciebie. Calla chce ci pomóc. I ja też.

Popatrzyłam na Rena błagalnie, chociaż boleśnie wykręcał mi nadgarstki.

- Ren, proszę cię. To prawda. Chodź z nami.

- Swoimi kłamstwami odebrałaś mi wszystko. - Nie spuszczał wzroku z Monroe'a. - Prędzej cię zabiję, niż uwierzę w jakiegokolwiek twoje słowo.

Spojrzał na mnie, a twarz wykrzywiona gniewem i smutkiem wywołała ciarki na mojej skórze.

- Mam nadzieję, że to się nie wydarzy - kontynuował Monroe. - Nie jestem twoim wrogiem, ale nie mogę cię zmusić, żebyś dokonał właściwego wyboru. To się nie musi tak skończyć, ale jeśli nie chcesz iść z nami, puść przynajmniej dziewczynę. Nie pogarszaj sprawy.

- Czy może być coś gorszego niż uściśnięcie ręki wyciągniętej przez potwora? - Z cienia przy drzwiach wyszedł mężczyzna.

Serce waliło mi jak oszalałe, gdy poznałam Emila Laro-che'a, masywnego i krępego, innego niż jego rośli, smukły syn; jego ciało pokrywały napięte mięśnie i szorstkie, najeżone włosy. Alfa klanu Kary Nocy patrzył prosto na mnie. Choć zachował ludzką postać, otaczały go trzy wilki: Dax, Fey i Cosette. Serce mi zamarło, gdy wszyscy troje spojrzeli na mnie i zawarczeli. Z ich pełnych nienawiści min mogłam wyczytać łączącą ich myśl: Zdrajczyni.

Nie chciałam widzieć prawdy, którą miałam przed oczami. Prawdy pod postacią ostrych kłów, zjeżonej sierści i oczu pełnych wrogości.

Wybór. Dali mu wybór. Tak jak Sabine.

Troje moich towarzyszy z klanu odwróciło się ode mnie. Teraz należeli do klanu Emila. Stanęli po stronie Opiekunów, nie przyjaciół.

Dlaczego?

Potem spojrzałam na Rena. Wciąż wbijał mi palce w ramiona. Jemu też dali wybór. Żołądek mi się skurczył i bałam

się, że zwymiotuję. Ponad gniewem Rena wyczuwałam ból i wiedziałam, że nie chce zrobić mi krzywdy, wybrał Opiekunów tylko dlatego, że odeszłam. Zdradziłam kogoś, kto mnie kochał. Kłamał dla mnie i był torturowany. Złamali go i to była moja wina. Jakiego innego wyboru mógł dokonać?

- Emil - ochryply głos Monroe'a odwrócił moją uwagę od Rena. Twarz Poszukiwacza była niemal nierozpoznawalna, gdy patrzył na Emila, a oczy pociemniały mu od pustej, nieskończonej nienawiści.

Emil wciąż się uśmiechał.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że znów cię widzę. Tak miło, że wpadłeś.

Monroe nie odpowiedział, ale ręce zaczęły mu drżeć. Emil odwrócił się do Rena. Kiedy przemówił, jego głos był opanowany i miękki:

- Renier, poznaj człowieka, który zabił twoją matkę.

Ren uwolnił mnie, a krew odpłynęła mu z twarzy. Odsunęłam się i skuliłam pod ścianą. Patrzyłam to na Rena, to na Monroe'a, to na drzwi wciąż zablokowane przez Emila i wilki. Nie było szansy ucieczki.

Monroe wysyczał:

- Ty kłamliwy draniu!

Pustkę w jego oczach rozjaśniły zbierające się łzy. Śmiech Emila brzmiał jak grzechot kości.

- Kłamię? Naprawdę wierzysz, że Corinne umarłaby, gdyby nie ty?

Monroe rzucił się z krzykiem na Emila.

Ale Ren już tam był, w pół skoku przemienił się w ciemnoszarego wilka i z warkotem wylądował między ojcem a Poszukiwaczem, odbierając Monroe'owi możliwość ataku. Monroe zastygł, straciwszy swoją szansę. Odsunął się na bok, schodząc z drogi Renowi, który na niego ruszył.

- Wygląda na to, że jestem górą, stary druhu. - Emil uśmiechnął się, a Ren zmierzał ku Monroe'owi, zapędzając go w daleki kąt celi.

- To się jeszcze okaże - powiedział Monroe, nie spuszczać Rena z oka. Mięśnie wilka były napięte, warczał rozwścieczony. Wiedziałam, że w każdej chwili może zaatakować Monroe'a, rozlewając krew, która, jak wierzył, pomści śmierć jego matki.

- Ren, nie! - krzyknęłam. - Monroe nie zabił twojej matki. Próbował ją uratować!

- Dax, zabij tę sukę - wycedził Emil, wskazując na mnie. - Natychmiast. Dax ruszył w moim kierunku, warczał i obnażył swoje ostre jak brzytwa zęby. Do tej pory nie zwróciłam uwagi, jaki jest potężny w ciele wilka. Nigdy też nie przypuszczałam, że będę zmuszona z nim walczyć. Był najlepszym wojownikiem wśród młodych z klanu Kary Nocy. Kiedy obserwowałam mięśnie grające pod jego futrem, doszłam do wniosku, że jest największym wilkiem, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Przemieniłam się, zjeżyłam sierść i przywarłam do podłogi. Górował nade mną wielkością i siłą, ale ja byłam szybsza.

Nawet teraz, gdy usiłowałam zaplanować strategię obrony, w mojej głowie tłukła się jedna desperacka myśl: Nie chcę zabić Daxa. Jak mogłabym to zrobić?

Był mniej więcej metr ode mnie, tę odległość mógł pokonać jednym skokiem. Zawarczałam, ale w myślach wyciągnęłam do niego rękę.

Nie rób tego.

Sama się o to prosiłaś, Callo. Przyczał się, mięśnie miał naprężone jak struny, pokazywał kły. Nawet jego zęby były ogromne.

Ostry warkot przerwał ciszę i Dax zawahał się, odwrócił głowę zawołany przez Rena. Ich spojrzenia się spotkały. Dax szczerknął krótko i niezdecydowanie, patrząc to na Rena, to na Emila.

Myśli Rena nie docierały do mnie, słyszał je tylko Dex, a ja ze wszystkich sił pragnęłam się dowiedzieć, o czym rozmawiają.

- Nie wtrącaj się, chłopcze. - Emil łypnął na Rena.

Dax wycofał się, a ja zrobiłam krok w stronę drzwi. Zastanawiałam się, czy dam radę tam dobiec. Ale nawet gdybym mogła, nie zostawiłabym Monroe'a. Zastygłam w miejscu, rezygnując z ucieczki bez niego.

- Jestem twoim alfą - powiedział do Daxa Emil i obnażył ostre zęby. - Zabij ją. Zabij i zostań moją prawą ręką.

Dax popatrzył na mnie, jego oczy płonęły żądzą krwi i wiedziałam, że drugi raz nie pozwoli się powstrzymać. Musiałam pozbyć się wszelkich skrupułów dotyczących walki z byłym współplemieńcem. Natychmiast. Albo już było po mnie.

- Z drogi, puszkę okruszku! - Connor wpadł do celi i stanął między Daxem a mną, prezentując miecze. - Przepraszam, że przerywam imprezę, ale na nas już czas. Choć oczywiście było uroczo.

Dax zaatakował, ale Connor zrobił unik i zadał cios, raniąc bark wilka.

Dax skoczył ponownie, lecz Connor powstrzymał go dwoma kolejnymi ciosami w bok. Ogromny wilk zazgrzytał zębami i warczał wściekle, gdy Connor go okrążał i z zawrotną prędkością siekał powietrze pomiędzy nimi.

Fey i Cosette patrzyły z warkotem.

- Nie! - krzyknął Emil, wskazując na Monroe'a. - Zostaw dziewczynę, to jego chcemy. Dax, wycofaj się. Niech inni idą, to nie ma znaczenia. Stąd i tak nie ma ucieczki.

Spojrzał z powrotem na Monroe'a.

- My mamy poważniejsze sprawy. Prywatne.

Dax powoli, nie przestając warczeć, odszedł. Fey i Cosette ustawiły się po obu stronach Rena, odcinając Monroe'owi drogę ucieczki.

- Connorze - powiedział Monroe pewnym głosem, gdy cztery wilki zbliżały się do niego - bierz Callę i natychmiast uciekajcie.

Connor zdziwionymi oczami popatrzył na niego.

- Nie.

- Idźcie - Monroe nie spuszczał z Rena wzroku - to rozkaz.

- Nigdzie nie idę - głos Connora zadrżał - to nie jest tego warte, nie może być.

- Jest - cicho odezwał się Monroe. - Wiedziałaś, że może się tak skończyć. A teraz bierz dziewczynę i zjeżdżajcie. I nie próbuj po mnie wracać.

Byłam zszokowana, przybrałam ludzką postać.

- Nie!

Emil zaczął się śmiać. Ren wciąż tkwił pomiędzy swoim ojcem a Poszukiwaczem, jego czarne jak węgiel oczy lśniły, gdy Monroe opuszczał miecze.

- Nie skrzywdziłbym chłopca - powiedział. - Doskonale

o tym wiesz.

- Tak przypuszczałem - odparł Emil i mrugnął do powar-kujących młodych wilków. - Dopilnujcie, żeby nie uciekł. Czas, żeby Ren pomścił swoją matkę.

- Ren, nie! On kłamie! To wszystko kłamstwa! - wrzasnęłam. - Chodź z nami.

- Ona nie jest już jedną z nas - syknął Emil. - Przypomnij sobie, co ci zrobiła, jak odwróciła się od nas. Wciągnij powietrze, chłopcze. Ona cuchnie Poszukiwaczami. To zdrajczynie i dziwka.

Spojrzał na mnie, a ja zatoczyłam się w tył pod naciskiem gorejącego wściekłością spojrzenia.

- Nie martw się, ślicznotko. Twój dzień nadejdzie. Szybciej niż myślisz.

Wyrwałam się, kiedy Connor złapał mnie mocno za rękę i pociągnął w stronę niestrzeżonych drzwi.

- Nie możemy go zostawić! - krzyczałam.

- Musimy. - Connor zachwiał się, gdy próbowałam wyszarpnąć mu rękę, ale szybko odzyskał równowagę i otoczył mnie ramionami.

- Chcę walczyć! - Miotalam się, pragnęłam za wszelką cenę tam wrócić, ale nie krzywdząc przy tym Poszukiwacza, który starał się mnie wyprowadzić.

- Nie! - Twarz Connora pozostała niewzruszona. - Sama słyszałaś, mamy odejść. A jeśli zamienisz się teraz w wilka, przysięgam, że zrobię ci krzywdę.

- Błagam! - Oczy mi zapłonęły, gdy ujrzałam błysk zębów Rena i Monroe'a, który rzuca na ziemię swoje miecze.

- Co on robi?! - darłam się i szarpałam, a Connor próbował złapać mnie mocniej.

- Teraz to jego walka - wysyczał przez zaciśnięte zęby -nie nasza. Kiedy miecze uderzyły o ziemię, Ren odskoczył w tył. Choć wciąż był nastroszony, przestał warczeć.

- Posłuchaj mnie, Ren - powiedział Monroe, kucając, żeby spojrzeć mu w oczy. Nie zwracał uwagi na dwa pozostałe wilki, które zbliżały się do niego z okrutną powolnością. - Wciąż masz wybór. Chodź ze mną i poznaj prawdę o tym, kim jesteś. Zostaw to wszystko za sobą.

Krótki, ostry szczek Rena przeszedł w pisk zaskoczenia. Trzy pozostałe wilki wciąż zbliżały się do Poszukiwacza, który opuścił ręce.

Ramię Connora boleśnie zacisnęło się pod moją szyją.

- Nie możemy na to patrzeć - oświadczył, powoli wywlekając mnie z celi.

- Ren, proszę! - krzyczałam. - Nie wybieraj ich, wybierz mnie!

Ren odwrócił się, słysząc desperację w moim głosie i patrzył, jak Connor wyciąga mnie przez drzwi. Zmienił postać i w zdumieniu patrzył na wyciągnięte ręce Monroe'a. Zrobił krok w jego stronę.

- Kim jesteś?

Głos Monroe'a zadrżał:

- Jestem...

- Dość tego! Jesteś głupcem, chłopcze. - Emil warknął na Rena, a potem uśmiechnął się do Monroe'a. - Zupełnie jak twój ojciec.

I już leciał, zmieniając się w powietrzu w wilka, skłębione futro, kły i pazury. Sekundę przed tym, zanim znikli mi z oczu, widziałam, jak opada na Monroe'a i zaciska zęby na gardle nieuzbrojonego mężczyzny. Wciąż w mocnym uścisku Connor prowadził mnie korytarzem. Obejrzałam się z nadzieją, że zobaczę Rena i Monroe'a biegnących razem, zjednoczonych w chęci ucieczki. Ale słyszałam tylko warkoty i pomruki odbijające się echem w pustce za naszymi plecami.

23

Nigdy się stąd nie wydostaniemy. To pułapka. Biegłam i płakałam, zdruzgotana tym, co zobaczyłam i czego się dowiedziałam. To zawsze była pułapka. Strażnicy i Opiekunowie już pewnie roili się na pierwszym poziomie Edenu i odcinali nam drogę ucieczki. Cały czas biegłam, ramię w ramię z Con-norem, ale moje kroki były coraz wolniejsze, jakbym brnęła przez mokry cement.

Z sali przed nami dochodziły krzyki.

Connor popchnął drzwi i wprowadził mnie do Komnaty. Jeśli miałam choć odrobinę nadziei, zniknęła, gdy zobaczyłam, co dzieje się wewnątrz. Strażnicy po dwóch, trzech naraz wchodzili drzwiami wschodniego bloku więziennego. Ethan stał na podwyższeniu i rozsyłał bełty tak szybko, jak mógł, spowalniając napływ przybyszów, w których krwi płynęła teraz stworzona przez alchemików trująca mieszanka. Zranione wilki chwiały się na nogach i potrzęsały łbami, aż w końcu padały na kamienną posadzkę. Te, które jeden za drugim dostały serię strzałów i padły w samym progu, tworzyły naturalne wąskie gardło, tarasując innym wejście do Komnaty. Moi towarzysze z klanu byli w ogniu walki, rozprawiali się z tymi, którzy uniknęli strzały Ethana.

Connor zaklął i doprowadził mnie do sceny.

- To nie wygląda dobrze, stary - wycedził Ethan przez zaciśnięte zęby, wybierając cel. - Już prawie nie mam bełtów.

- Będzie po nas w ciągu pięciu minut - orzekł Connor, który rozglądał się po sali.

- Gdzie Monroe? - zapytał Ethan.

- Straciliśmy go - odparł cicho Connor. Te słowa, wypowiedziane na głos, zmroziły mi krew w żyłach.

- Czyli już po nas. - Ethan uśmiechnął się ponuro. - Ostatnie słowa skazańca, może ktoś ma ochotę?

- Callo - odezwał się Connor - jak powstrzymamy ich atak, ty i pozostali dacie radę pobiec schodami na górę?

Objęłam spojrzeniem potok wrogich wilków wlewających się do Komnaty ponad zaporą z ciał; zaczynały warczeć i przepychać się, gdy tylko znalazły się w środku.

- Nawet jak damy radę i tak natkniemy się na pięćdziesięciu albo więcej Strażników w okolicach pierwszego piętra. To się nie uda.

Connor pokręcił głową i zerknął w stronę północnego wejścia do cel. Towarzyszyłam jego spojrzeniu i myślałam, czy to możliwe, że Monroe jest żywy, czy jest jakakolwiek szansa, że wyjdziemy stąd razem.

Nagle ogłuszający trzask i oślepiające światło sprawiły, że przywarłam do podłogi. W uszach dudniło mi tak, jakby piorun uderzył w kamienną ścianę za mną. W sali słychać było trzask elektryczności, a powietrze pachniało ozonem. Ethan jęknął gdzieś obok mnie, odwrócił się i wziął na cel to, co nas zaatakowało.

- Nie wierzę - wymruczał Connor, gdy w lśniącym przejściu ukazała się Adne i wyciągnęła do niego rękę.

- Uwierz. - Uśmiechnęła się i pomogła mu wstać. Jej uśmiech stężał, gdy ujrzała Strażników wlewających się do Komnaty.

- Przejście wewnątrz Edenu. - Ethan z trudem łapał oddech i wpatrywał się w portal. - Zrobiłaś to, naprawdę to zrobiłaś.

- Z przyjemnością przyjmę wyrazy uznania nieco później - oznajmiła - ale teraz lepiej stąd znikajmy.

- Mój klan - powiedziałam, gramoląc się na nogi.

- Poczekaj - odrzekł Ethan. Zeskoczył ze sceny, odrzucił kuszę i wyciągnął miecze. Wycinał sobie drogę przez tłum i krzyczał: - Hej, dzieciaki, koniec zabawy! Mamy bilet powrotny!

Mason nastawił uszy; ujrzał rozświetlone przejście na postumencie i wydał długi, radosny pisk. Nev odwrócił się i pomknął do podwyższenia. Bryn wypuściła z pyska gardło innego wilka i też zmierzała w naszym kierunku. Sabine, zagoniona pod ścianę, walczyła z trzema wilkami jednocześnie.

- Bądź dzielna, Sabine! - krzyknął Ethan. - Już idę!

- Callo, trzymaj Strażników z dala od Adne - rozkazał Connor. Sam ruszył za Ethanem, żeby pomóc mu pokonać Strażników, którzy uniemożliwiali odwrót moim towarzyszom. Przemieniłam się i gotowa byłam do ataku na każdego wilka, który zamierzał się zbliżyć. Ethan właśnie dotarł do Sabine i kilkoma pchnięciami miecza pozbył się dwóch wilków, które na nią nacierały.

- Biegnij! - krzyknął, kiedy odepchnęła trzeciego wilka. - Będę tuż za tobą.

Wyminęła go i biegła ku podwyższeniu. On też ominął jednego wilka, ale drugi zacisnął szczęki na jego ramieniu. Zaklął, usiłując się uwolnić. Ale wilk nie zamierzał puścić, wbił zęby jeszcze głębiej. Ethan odrzucił nóż i wolną ręką sięgnął po sztylet. Wilk wciąż szarpał jego ciało, gdy nagle ostre ostrze utkwilo w jego oku. Strażnik padł na ziemię, ale krew tryskała z rany Ethana, gdy chwiejąc się, biegł ku przejściu.

- Oślaniam cię, stary - zapewnił Connor, odpychając jednego wilka, a drugiego nokautując ciosem pięścią w pysk.

- Tutaj! - krzyczała Adne i machała do nich. - Przejdźcie przez portal, muszę go zamknąć, zanim pójdą za nami.

Mason, Nev i Bryn byli już po drugiej stronie przejścia wypełnionego światłem. Sabinę czekała obok mnie. Zmieniła postać, gdy Ethan wdrapał się na podwyższenie, złapała go wpół i pomogła mu przejść przez portal.

- Teraz ty, Callo - powiedziała Adne, rozglądając się wokół. - A gdzie mój ojciec?

- Teraz ty, Callo - Connor powtórzył jej słowa i popchnął mnie w kierunku rozświetlonego przejścia.

Obejrzałam się za siebie i przeszłam przez smugę światła, a Connor poprowadził Adne, szepcząc jej coś do ucha. Twarz dziewczyny zmartwiała i Adne osunęła się na niego. Connor wziął ją na ręce i przeniósł przez przejście, z dala od zgiełku walki.

Pod łapami poczułam żwir. Wciągnęłam do płuc zimne powietrze świtu. Smakowało wolnością, ale ta ulga trwała tylko chwilę i podszyta była goryczą.

Słyszałam za sobą łkanie Adne i ciche słowa Connora:

- Musisz zamknąć przejście, Adne. Proszę cię. Dobiegł mnie warkot i w tej samej chwili krzyk. Odwróciłam

się w stronę wejścia i przygotowałam na nową walkę. Przez portal wpadło dwoje Strażników. Jeden zaatakował Adne, trzymał ją za twarz, a ona wiała się pod nim; drugi wilk biegł na Connora.

Doskoczyłam do Adne i kątem oka zauważyłam mknące przede mną rozmazane sylwetki. Kiedy Connor wyciągnął miecze, Nev i Mason powalili szarżującego na niego wilka. Trawę pokryły sierść i krople krwi, gdy moi towarzysze rozszarpywali wroga.

Żeby odciągnąć wilka od Adne, zatopiłam zęby w jego boku. Zawarczał i odwrócił głowę, a potem nagle zaskomlał, zadrżał i osunął się na ziemię. Adne mruknęła, zepchnęła z siebie jego ciało i odzyskała zakrwawiony sztylet, którym go dźgnęła. Bez chwili namysłu ruszyła w kierunku wciąż otwartego portalu, żeby go zamknąć, zanim przejdzie przez niego kolejny wilk.

Przebieła czółenkami przejście. Migoczące w ciemności światło zgasło dokładnie wtedy, gdy starłam się z jeszcze jednym napastnikiem.

Runęliśmy na ziemię. Prześlizgnęliśmy się po żwirze, a drobne kamyczki drapały mi skórę mimo gęstego futra. Gdy się zatrzymaliśmy, wilk próbował się odsunąć, ale skoczyłam naprzód. Celowałam w jego gardło, ale udało mi się złapać tylko górną część przedniej łapy. Zaskowyczał, usiłując mnie strącić, ale zaciskałam zęby. Usłyszałam brzęk cięciwy Ethana, a potem trzy krótkie uderzenia. Szczek wilka przeszedł w jęk, a potem zwierz padł na ziemię.

Warkot i krzyki ustały, słychać było tylko nasze dyszenie i Poszukiwaczy gwałtownie łapiących powietrze. Ciężkie oddechy wisiały w chłodnym powietrzu jak małe chmurki.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał w końcu Ethan.

Leżał na ziemi, oparty na jednej ręce, a druga, zraniona, spoczywała na jego piersi. Sabine doczołgała się do niego i zaczęła oglądać zmiażdżone ramię. Bryn, Mason i Nev byli wciąż wilkami, zbici w ciasną grupkę, trzymali się z dala od reszty.

Adne nie odpowiedziała na pytanie Ethana; upadła u stóp Connora.

Położył jej dłoń na głowie i głaskał ją po włosach, jednocześnie rozglądając się czujnie wokół.

- Wygląda na to, że jesteśmy na dachu budynku obok klubu.

- Na dachu? - zdziwił się Ethan. - Naprawdę, Adne? Nie odpowiedziała.

- Adne - Ethan spyta! jeszcze raz - gdzie jesteśmy?

- Daj jej spokój - warknął Connor.

- Nie chcę jej dręczyć - bronił się Ethan - ale nie jesteśmy jeszcze całkiem bezpieczni. Musimy dostać się z powrotem do Denver.

Adne powoli podniosła się z ziemi i spróbowała ustać na niepewnych nogach. Odsunęła się, gdy Connor chciał ją podtrzymać.

- Tak, jesteśmy na dachu budynku obok. Otworzę przejście do domu, tylko dajcie mi chwilę.

Odeszła od nas, wycierając twarz.

Usiadłam na ziemi i przemieniłam się w człowieka. Przyciągnęłam kolana do piersi. Część mnie czuła, że powinnam iść do moich towarzyszy z klanu i sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku. Ich pierwsza podróż przez przejście musiała być szokiem i tylko wzmogła stres wywołany naszą ucieczką. Ale nie mogłam im towarzyszyć, moje myśli wciąż krążyły wokół wydarzeń z północnej celi. Zamknęłam oczy i zalała mnie fala żalu i niepokoju.

„Tak jak twój ojciec”.

To zdanie Emila nie miało sensu. I uśmiech, kiedy Monroe wypowiadał słowa, od których ścierpła mi skóra. Dlaczego miałby nazwać głupcem samego siebie? Bo pomylił się, myśląc, że Ren mógłby zrobić mi krzywdę, mimo że mnie kocha?

Moje ciało odczuwało stratę i zdałam sobie sprawę, że pewnie nigdy już nie zobaczę Rena. A jeśli tak, będzie moim wrogiem.

- Calla? - Otworzyłam oczy i zobaczyłam klęczącą przede mną Sabinę. Bryn, Mason i Nev, już w ludzkiej postaci, stali za nią.

- Tak?

Sabinę przełknęła ślinę, a jej oczy lśniły.

- Byłam zbyt zaangażowana w walkę i nie zauważyłam, że wróciłaś bez pozostałych. Ale teraz my jesteśmy tutaj, a oni nie...

Poczułam na piersi wielki ciężar, niemal nie mogłam oddychać.

- Nie żyją, czy tak? - wykrztusiła Sabinę.

Nie mogłam odpowiedzieć, w gardle całkiem mi wyschło. Patrzyłam na jej przepelnioną rozpaczą twarz i nie chciałam dzielić się wiadomością, która była jeszcze boleśniejsza niż to, co jak sądziła, się stało.

- Wszyscy? - wyszeptała Bryn i jej twarz także wykrzywił grymas smutku. - Nawet Ren?

- Nie - szepnęłam.

Connor cicho stanął za mną. Położył mi rękę na ramieniu.

- Widziałaś ich? - pytał Mason. - Ciągłe tu są? Żywi? Zmartwiona mina Sabine wyrażała teraz oburzenie.

- Pozwoliłaś, żebyśmy ich tam zostawili?

Ethan niezgrabnie wstał i wyczuwając wzrastające napięcie, zbliżył się do nas.

- Co jest?

Sabine wciąż wpatrywała się we mnie.

- Jak mogłaś?

- Calla nie miała na to wpływu - przemówił Connor.

- Oczywiście, że miała - odparła Sabine.

Nawet twarz Bryn wyrażała rozczarowanie moim tchórzostwem.

Nie mogłam dłużej patrzeć na żadne z nich, więc wbiłam wzrok w ziemię, a z oczu pociekły mi łzy.

- Nie zostawiliśmy ich - Connor odpowiedział za mnie. - Byłem z Callą, kiedy znaleźliśmy resztę waszego klanu.

- Więc dlaczego ich tu nie ma? - Oczy Sabine się zwięzły.

- Sabine, oni chcieli zostać - powiedział cicho Neville, z takim samym ponurym spojrzeniem jak Connor. - Zostali z Opiekunami.

- To niemożliwe - wycedziła Sabine. - Cosette nigdy by z nimi nie została!

- To prawda - przekonywał Connor. - Zaatakowali Callę.

- Dlaczego mieliby to zrobić? - spytał Mason.

- Emil - wyjaśniłam. - Emil im rozkazał.

- A Ren? - głos Bryn drżał. - On też został?

- Tak.

Został z powodu tego, co mu zrobiłam.

- Cholera. - Nev odszedł, kręcąc głową. Mason poszedł za nim, ale nim się odwrócił, uśmiechnął się do mnie smutno.

Sabinę cicho płakała:

- Cosette... Ethan odchrząknął.

- Zrozum, jeśli Cosette została, to tylko ze strachu.

- Bardziej bała się odejść niż żyć beze mnie? - z trudem wykrztusiła te słowa. - Już nie dam rady chronić jej przed Efronem. Ona wie, co on zrobi...

- Lepsze zło znane... - stwierdził Connor. - Bywa. Pokręciła głową i zaszlochała.

- Byłyście blisko? - cicho spytał Ethan.

- Ja... ja zawsze byłam dla niej jak starsza siostra - wyjaśniła Sabinę. - Po prostu nie rozumiem.

- Calla. - Bryn wzięła mnie za rękę. - A Ren... Możesz...? Wyrwałam dłoń.

- Nie mogę, Bryn. Proszę.

Poczucie winy. Wstyd. Żal. Przytłoczyła mnie lawina uczuć. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym próbować wyjaśnić to, co się właśnie wydarzyło.

- Okej. - Wstała i zmarszczyła brwi. - Zostawię cię samą. Poszła za Masonem i Nevem.

- Ethan, dasz nam chwilę? - poprosił Connor, kucając przy mnie.

- Pewnie. - Patrzył na Sabinę, która podniosła się i powoli oddalała, ale nie poszła za resztą wilków, tylko samotnie powłokła się do krawędzi dachu. Ethan szedł za nią, zachowując pełen szacunku dystans.

Connor patrzył na mnie z uwagą.

- Monroe mówił, że ty i Ren byliście blisko.

Ucisk w gardle był bolesny, ale kiwnęłam głową. Czy mogło być jeszcze gorzej?

Wydawało mi się, że nie zniosę ani jednego więcej pytania o mnie i Rena.

- Słyszałaś, co powiedział Emil - mówił dalej cichym głosem Connor - tuż zanim... - Nie mógł dokończyć i nie

patrzył na mnie. Widziałam, że stara się poradzić sobie z bólem.

- Tak - potwierdziłam głucho, ale nie wiedziałam, jakie to ma znaczenie.

Connor kilka razy odchrząknął, zanim znów zaczął mówić:

- Chciałbym cię prosić, żebyś nic o tym nie mówiła, dopóki nie porozmawiam z Adne.

Nie mówiła nic o czym? Ren był stracony. I Monroe. Połowa klanu przeszła na stronę Opiekunów. Ci, którzy przeżyli, obwiniali mnie o te straty. Nie mogłam tego zmienić. Poza tym to była prawda.

- Ludzie wiedzą - powiedział cicho - a nawet jeśli nie wiedzą, i tak gadają. To nie tajemnica, że Monroe kochał Corinne. Ale nikt nie wiedział o dziecku.

Dziecko.

Bałam się, że serce rozpadnie mi się na milion kawałków, gdy dotarła do mnie prawda. Niekończące się pytania Monroe[^] o Rena. Niewiarygodne ryzyko, jakie podjął, by go ocalić. Sposób, w jaki złożył broń przed atakującym go wilkiem.

Ren w ogóle nie był podobny do Emile, ale do złudzenia przypominał Monroe'a. To dlatego Monroe wydawał mi się znajomy, gdy z nim rozmawiałam. Te same włosy, ciemne jak mocna kawa, tak samo wyrzeźbione linia szczęki i podbródek.

„Nie skrzywdziłbym chłopca. Wiesz o tym”.

Monroe był ojcem Rena. Corinne prosiła, żeby ją zabił, bo rozkazano jej urodzić dziecko. Kochała Monroe'a, odkąd razem spędzili całe miesiące na planowaniu buntu, kiedy jej ciało było wolne od zaklęć Opiekunów.

- O mój Boże - wyszeptałam, a łzy trysnęły mi z oczu. -Ren.

Był synem Monroe'a, nie Emila, a do tego Strażnikiem. „Esencja matki jest ważniejsza, to ona decyduje o naturze dziecka”.

- Już nic nie możemy dla niego zrobić - powiedział Connor - choć chciałbym, żeby było inaczej. Ale Monroe pragnął, żeby Adne poznała prawdę. Nawet jeśli on miałby nie wrócić. Powiem jej, ale jeszcze nie teraz.

Chociaż było to bardzo trudne, przełknęłam gulę, która tkwiła mi w gardle.

- Ale jak...? Co z matką Adne?

- Mnie jeszcze wtedy nie było - Connor ściszył głos - ale słyszałem różne rzeczy. Po zawarciu sojuszu, kiedy Poszukiwacze wpadli w pułapkę i Corinne umarła, było ciężko. Bardzo ciężko. Ale nikt nie był w tak złym stanie jak Monroe. I mam na myśli naprawdę zły stan, beznadziejny.

Wydaje mi się, że dużo wtedy pił. Na misjach ryzykował. Kusił śmierć.

- Co się zmieniło? - spytałam. Bez trudu wyobrażałam sobie, ja wielką winę mógł wziąć na siebie Monroe.

- Po katastrofie Vail poniosło tyle strat, że stanowiska się pozmieniały.

Diana, matka Adne, została nowym Napastnikiem w Haldisie. Oswoiła Monroe'a... Tylko ona potrafiła do niego dotrzeć, ocaliła go przed samym sobą... A potem pojawiła się Adne.

- Znałeś Dianę? - Próbowałam wyobrazić sobie dziewczynę z mahoniowymi warkoczami Adne i jasnymi bursztynowymi oczami. W mojej wyobraźni ćwiczyła z Monroe'em ciosy mieczem i oboje się śmiali. Pokręcił głową:

- Zostałem jej następcą. - Connor przeniósł wzrok ze mnie na Adne. Stała na krawędzi dachu, z opuszczoną głową. - Pewnie nigdy się nie dowiemy, czy Monroe powiedział jej o Renie. - Spojrzał znów na mnie. -

Dochowasz tajemnicy?

Skinęłam głową, przytłoczona straszliwymi nowinami, z których każda wprowadzała coraz większy chaos do mojego świata.

- Dziękuję - odezwał się cicho. Patrzyłam, jak wstaje i zastanawiałam się, w jaki sposób powie Adne, że ma brata,

którego nigdy nie poznała i prawdopodobnie nigdy nie pozna, chyba że będzie zmuszona go zabić.

Gdy Connor się oddalił, moją uwagę przykuły głosy Sabinę i Ethana. Ethan odsuwał się od jej wyciągniętej dłoni.

- Powiedziałem: nie!

- Nie zachowuj się jak dziecko - powiedziała Sabinę i wtedy zauważyłam, że z jej ręki kapie na ziemię krew.

- Nie wypiję twojej krwi. - Ethan usiłował się odczołgać, ale osłabł, nie był w stanie oprzeć się na zranionej ręce.

- Wyobraź sobie, jak boli gojenie w tradycyjny sposób - namawiała - i będzie to trwało wiecznie. A to uleczy cię natychmiast i do tego bez blizn.

- Nie dbam o blizny - warknął.

- No pewnie, że nie, twardzielu. - Roześmiała się. - Ale etykiетка macho na niewiele ci się zda, jak będziesz miał rękę na temblaku przez następny miesiąc. I naprawdę myślisz, że powalczysz w takim stanie?

- Ale... - bełkotał.

- I widzę przecież, że wciąż leci ci krew - mówiła Sabinę. - Dlaczego nie pozwolisz mi sobie pomóc?

- Daj mi spokój - zabrzmiał jak rozzłoszczone dziecko i odwrócił twarz.

- Dam - obiecała - jak już będzie po wszystkim. Usiadła za nim, objęła ramieniem jego pierś i przycisnęła go do siebie.

- Hej! - krzyknął, a w jego oczach pojawiła się panika. Kolejne słowa zostały stłumione, gdy Sabinę przytknęła krwawiącą rękę do jego ust. Próbował się wyrwać, ale Sabinę odzyskała już pełną moc Strażniczki i nie miała problemu z utrzymaniem go. Przyciskała rękę do jego ust, a jej krew ciekła mu po brodzie. Szarpnął się raz jeszcze, a potem musiał wreszcie przelknąć.

Widziałam, jak na jego twarzy pojawia się grymas strachu i zachwytu jednocześnie.

Scena, którą obserwowałam, była mi tak bliska, że aż zadrżałam. Czułam, jakbym doświadczała raz jeszcze tego dnia, kiedy zmusiłam Shaya do wypicia mojej krwi. Jego oczy wyrażały to samo zdumienie. Ethan chwycił nadgarstek Sabine i teraz wpijał się coraz głębiej w jej skórę, zamiast odpychać jej rękę. Pił z zamkniętymi oczami, a jego ciało drżało z rozkoszy.

Connor, który obserwował tę scenę, krzyknął, gdy rozszarpane ramię Ethana zaczęło się goić. Oczy miał wciąż zamknięte. Był we władzy krwi Sabine, która krążyła w jego żyłach.

Kiedy rany były już zamknięte, wyrwała rękę z jego uścisku.

- Ostrożnie, tygrysie - wymruczała - bo przez ciebie zemdleję.

Jej głos przywrócił Ethana z powrotem na zimny dach, w ciemną noc i wydał na pastwę pięciu par oczu, które się w niego wpatrywały.

Odwrócił się od Sabine i skoczył na równe, choć nieco drżące nogi.

- To... - Patrzył na nią najpierw z przejęciem, a potem na jego twarzy pojawiło się oburzenie. - Nie chciałem tego!

- Nie ma za co - powiedziała i zadrżała, gdy zimny wiatr owiał jej nagą skórę.

Ethan wciąż miał gniewny wzrok, ale zdjął swój skórzany płaszcz i narzucił jej na ramiona.

- Sprawdź, czy żadne zmory nie włożą po schodach przeciwpożarowych.

Zmory. Bryn jęknęła. Spojrzałam na nią i okazało się, że cała banda, z wyjątkiem Sabine, zamieniła się w wilki. Nev i Mason przytulili do niej pyski, a ich łapy drżały. Przeszył mnie dreszcz. Nie było trudno zgadnąć, przez jakie piekło przeszli moi towarzysze, a wspomnienia bólu i strachu były wciąż żywe, choć odzyskali już wolność. Powoli wciągnęłam powietrze, szukając sposobu na uspokojenie myśli. Mieliśmy

szczęście, że napadli na nas tylko Strażnicy. Ich mogliśmy pokonać. Szczęście...

- Nikogo nie ma. - Ethan wrócił do spanikowanej grupy. - Nie przyszli za nami. Czy Adne jest już gotowa do otwarcia przejścia?

- Jest - potwierdziła Adne, która wróciła ze swojej pustelni. Ślady łez wciąż lśniły na jej twarzy. - Jesteś pewien, że nikt nas nie śledzi? Poprzednio było ich pełno na zewnątrz, dzięki temu was znalazłam.

- No właśnie - spytał Connor - jak to się stało?

- Po jakichś dwudziestu minutach od waszego zniknięcia na ulicy przed klubem zrobiło się zamieszanie, podjeżdżały samochody, słyszałam krzyki i ruch - opowiadała. - Dziesiątki Strażników zaczęły znikać w bocznym wejściu. Bałam się, że mnie zobaczą, więc zamknęłam przejście i otworzyłam portal na tym dachu. Czekałam, aż zdałam sobie sprawę, że macie poważne kłopoty.

- A jak wpadłeś na to, żeby otworzyć przejście w środku Edenu? - włączył się Ethan.

- Obserwowałam klub z krawędzi dachu - wyjaśniła. - Strażnicy wciąż nadchodzili.

- Było ich tylu i tak wiele czasu minęło; miałam pewność, że wpadliście w pułapkę. Postanowiłam zaryzykować.

- Dzięki - powiedział Ethan. - Gdybyś nie postawiła wszystkiego na jedną kartę, byłibyśmy już teraz ich kolacją.

- Strażnicy nie jedzą ludzi - zaprotestowałam. - Nigdy nie jemy ludzi.

- Przecież wiesz, co mam na myśli. - Uśmiechnął się.

- Cieszę się, że słuchałam uważnie, gdy twój brat opisywał więzienie - rzekła Adne, uśmiechając się do mnie blado. - Dzięki tym szczegółom wiedziałam, gdzie otworzyć przejście.

- Jak to zrobiłaś? - spytała Sabinę, otulając się płaszczem Ethana. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- Adne potrafi za pomocą magii połączyć ze sobą dwa miejsca - próbowałam wyjaśnić najprościej, jak się da. - W ten sposób podróżują.
- Super! - Nev zmienił się w człowieka. - A Opiekunowie was nie śledzą?
- Opiekunowie nie potrafią tworzyć przejść - powiedziałam szybko - wyjaśnię wam później.

To chyba nie był dobry moment na informowanie moich towarzyszy z klanu, że Poszukiwacze uważali nasze istnienie za sprzeczne z naturą. Poza tym coś mi nie pasowało. Słowa Ethana dzwoniły mi w uszach. Nikt za nami nie przyszedł. Czemu? Byliśmy ukryci, ale wcale nie tak dobrze. Wydawało się, że jedynym logicznym posunięciem ze strony Opiekunów będzie przeczesywanie ulic, a nawet dachów, byleby tylko nas znaleźć. To było coś więcej niż tylko napięcie, więc stwierdziłam głośno:

- To nie ma sensu.

- Co nie ma sensu? - spytał Connor?

- Nasza ucieczka - wyjaśniłam. - Za łatwo nam poszło.

- Za łatwo? - warknęła Adne. - Mój ojciec nie żyje! Przeszył mnie smutek. Zwiesiłam głowę i przed oczami

stanęli mi Monroe i Ren. Tak niewiele brakowało, by ojciec odzyskał straconego syna. Zastanawiałam się, czy Bryn, Mason, Nev i Sabinę poniosą takie konsekwencje swoich cierpień jak mój brat. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale czy kiedy opadnie adrenalina wywołana ucieczką, nie dotknie ich rozpaczliwa świadomość, że już nic nie będzie takie samo, jak przedtem? Czy aby na pewno kogokolwiek ocaliliśmy? Fala smutku zmyła niepokój i wciągnęła mnie w wir rozpacz. Connor położył Adne dłoń na ramieniu.

- Adne, spokojnie, nie chciała cię urazić. Co miałaś na myśli, Callo?

Pokręciłam głową, nie chciałam opaść głębiej na dno, gdzie wątpliwości i żal odebrałyby mi oddech.

- Nie - zaprotestował Ethan - powiedz. Znasz Opiekunów. Co cię zaniepokoiło?

Siła w jego głosie odegnała moje poczucie winy. Usiłowałam przypomnieć sobie, kim jestem, a przynajmniej kim byłam.

Przywódczynią. Wojownikiem.

- To była pułapka - powiedziałam.

- Niewątpliwie - zgodził się Ethan, a jego oczy się zwężyły - i to całkiem niezła.

- Ale nie tak dobra, jak mogłaby być - dodałam powoli.

- Mów dalej - zachęcił.

- Zmory - mruknęłam tylko.

Connor odszedł od Adne i zbliżył się do mnie.

- Co z nimi?

- Dlaczego ich nie było? - Starłam się mówić pewnie, mimo że strach pełzył mi po skórze.

Nikt się nie odezwał, ale spojrzenia wszystkich zwrócone były na mnie.

- Pomyślcie: wiedzieli, że przyjdziemy, ale trafiliśmy tylko na Strażników. Nie widziałam ani jednego Opiekuna, a skoro ich nie było, nie było także zmór.

- Do czego zmierzasz? - spytał Ethan.

- Gdzie podziiali się Opiekunowie? - odparłam. - Dlaczego nie byli elementem pułapki?

- Nie chcieli brudzić rąk - mruknął Connor.

- Nie. - Po twarzy Ethana przemknął cień zrozumienia. - Ona ma rację. Jeśli chcieli mieć pewność, że nie uda nam się uciec, czemu nie użyli najpotężniejszej broni?

- Może byli w pobliżu, ale nie w samym budynku? - podpowiedziała Adne, wycierając łzy wierzchem dłoni. - Nigdy przedtem nie otwierałam przejścia wewnątrz. Mogli czekać na nas przy wyjściu z klubu.

- Może. - Strach mnie nie opuszczał. - Ale w takim razie czemu nie ma ich na dole?

Nikt nie odpowiedział.

- Cóż, w każdym razie nic dobrego z tego nie wyniknie, jak będziemy tu czekać na wyjaśnienie - orzekł Connor. - Adne, otwórz portal, wracajmy do Denver.

- Jasne - powiedziała. - Rób swoje. Jakby nic się nie stało. Odwróciła się od niego nadąsana. To nie był dobry znak.

Mój niepokój rósł z każdą sekundą. Musieliśmy jak najszybciej stąd zniknąć, a rozpacz Adne opóźniała naszą ucieczkę. Jak na swój wiek miała wielki dar, ale była bardzo młoda i w takich chwilach dawała temu wyraz. Connor złapał ją za ramiona i zmusił, żeby na niego spojrzała.

Uniósł jej podbródek i spojrzał jej w oczy.

- Nie tylko ty poniosłaś dziś stratę, Adne - wymruczał, przytykając czoło do jej czoła. - Ja też kochałem twojego ojca, i Ethan. - Odwróciłam głowę, nie chciałam zakłócać tej intymnej chwili. - Ale jako jedyna możesz nas stąd wydostać.

Spojrzałam na nich z boku. Adne mu się wyrwała i wyciągnęła zza paska czółenka.

- Wiem - powiedziała i rozpoczęła tkanie. Bryn przemieniła się i podeszła do mnie.

- To niezwykle - szepnęła, obserwując, jak z włókien światła powstaje portal.

Skinęłam głową. Złapała mnie za rękę.

- Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam, Callo, ale tak wiele się wydarzyło...

- Nie przepraszaj. To wszystko moja wina.

- Nie, nie twoja - zaprzeczyła. Zaskoczyła mnie twarda nuta w jej głosie. - Skoro inni zostali tam, są głupi. I to nie jest twoja wina.

- Ale Ren... - Kiedy mnie pocałował, poczułam, jak bardzo wciąż mnie pragnie, a moja wrząca krew zdradziła, że przynajmniej jakaś część mnie wciąż rwała się do niego. To mnie zaskoczyło, odebrało mi oddech, kiedy przypomniałam sobie straszliwe pierwsze minuty w celi. Wciąż widziałam ból w jego oczach, gdy uznał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zrobić mi krzywdę.

- Nie. - Słowa Bryn wdarły się w moje myśli. - Nie wiem, Callo, czemu opuściłaś Vail, ale się domyślam. Ansel i ja zgadliśmy już dawno temu. Nie mam do ciebie pretensji, że poszłaś za głosem serca.

- To nie tylko to.
- Na pewno nie - zgodziła się - ale nawet gdyby nie było nic więcej, i tak twoje odejście nie byłoby zbrodnią. I nie masz powodu obwiniać się za wybory Rena. To wyszło od niego. To jego decyzja.
- Spojrzałam na nią i przeszła mnie miłość przepelniająca jej oczy.
- Przebaczenie.
- Dziękuję - wyszeptałam.
- Czy w życiu coś poza miłością jest godne poświęcenia? - Uśmiechnęła się smutno.
- Jakbym słyszała Ansela.
- Podobieństwa się przyciągają - powiedziała, a ja się wzdrygnęłam.
- Co się stało?
- Nic - odparłam szybko, bo nie chciałam jej mówić, że słyszałam to już wcześniej. To samo mówił mi Ren i kiedy teraz o tym myślałam, rozumiałam, że w ten sposób dawał do zrozumienia, że jesteśmy sobie przeznaczeni. To wspomnienie rozgorzało w mojej piersi i tliło się zdecydowanie zbyt wolno.
- Nie mogę się doczekać, aż go zobaczę. - Zdałam sobie sprawę, że Bryn coś mówi.
- Słucham? - spytałam, wracając do rzeczywistości.
- Ansela - wyjaśniła. - On tam jest, tak? W Denver?
- Tak - przytaknęłam - ale Bryn, on... - Ugryzłam się w język. Może Ansel wróci do siebie, gdy Bryn będzie przy nim. Nie chciałam przerazić jej ani odrobinę bardziej. - On czeka na ciebie - dokończyłam, a ona się uśmiechnęła.

Przejście było gotowe, ale kiedy na nie spojrzałam, zdziwiłam się: coś było nie tak. Nie widziałam miejsca, z którego przyszliśmy. Przestrzeń po drugiej stronie drzwi była ciemna i zamglona.

- Tam właśnie idziemy? - upewnił się Mason, także zaniepokojony czającą się przed nami ciemnością.

- Tak - potwierdziła niespokojnie Adne - nie wiem, skąd ta ciemność.

- Nieważne - przerwał Connor - tak czy siak nie mamy wyjścia, musimy wracać. Jeśli coś jest nie w porządku, zorientujemy się.

- Bardzo pocieszające - rzuciłam. Bryn nerwowo łąpała powietrze, więc chwyciłam ją za rękę i pożałowałam, że w ogóle się odezwałam.

- Ale prawdziwe - odpalił Connor. - Ethan, idź pierwszy. Wilki, wy za nim i włóżcie wyjściowe stroje, na wszelki wypadek. Calla, potem Adne, ja pójdę za wami i zamknę przejście, gdy tylko znajdziemy się po drugiej stronie.

- Wyjściowe stroje? - Bryn zmarszczyła brwi.

- Chce, żebyśmy się przemienili - wyjaśniłam.

- Całe szczęście. - Nev w jednej sekundzie zamienił się w wilka. Za nim Mason i Bryn. Trzy wilki krążyły wokół siebie, lizały się i przytulały. Sabinę wciąż patrzyła na Etha-na. Widziała pozostałych Strażników, ale sama się nie przemieniła.

Connor uśmiechnął się do mnie za smutkiem.

- No idź, to twoje miejsce.

Moje zęby już się wyostrzały, gdy odwzajemniłam uśmiech.

- Ani się waż mnie głaskać.

Witamy z powrotem, Calla. Bryn polizowała mnie po pysku. *Tęskniliśmy.*

Nev i Mason stłoczyli się obok mnie i potracali mnie pyskami.

Wszystko w porządku?

Ty nam powiedz, teraz ty jesteś alfa. Nev skubnął mnie w ramię. *Skoro teraz to twój klan, zróbmy z tego użytek.* Pomachałam ogonem.

Rozumiem.

Możemy się stąd zmywać? Mason tupnął łapą w ziemię.

Spojrzałam na Connora, który obserwował mnie z przerażeniem i ciekawością.

Sabinę też patrzyła, ale stała kawałek dalej, wciąż w ludzkiej postaci.

Ethan uniósł brwi, patrząc to na nią, to na naszą grupkę, tak jakby jej decyzja o pozostaniu w ludzkiej postaci go zaskoczyła.

- Wygląda na to, Ethan, że możemy ruszać - powiedział Connor. -

Pójdiesz pierwszy? Skoro znów jesteś w jednym kawałku.

- Odczep się - warknął Ethan, zarumienił się i z ukosa łypnął na Sabinę.

Wciąż patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem; zadrżała i ciaśniej otuliła się jego płaszczem. Pomyślałam, że to nie z zimna.

- Idź za nim, Sabinę - zachęcił Connor. - Trzymajcie się blisko siebie.

Kiwnęła głową i zniknęła w przejściu. Moi towarzysze pomknęli za nią.

Ja chwilę zwlekałam, odwróciłam się i popatrzyłam na aleję prowadzącą do Edenu. W tym miejscu wszystko się zmieniło. Tutaj mojemu bratu odebrano duszę, Ren został przyjęty jako swój, stało się też grobem Monroe'a.

Zamiast ruszyć za swoim klanem z powrotem zmieniałam postać i popatrzyłam na Connora.

- A co, jeśli... Connor pokręcił głową.

- Nie patrz wstecz.

Zdziwiłam się, kiedy zrobił krok naprzód i popchnął mnie w kierunku przejścia.

- Dzisiaj każde z nas kogoś straciło - wyszeptał i oparł policzek na moich włosach. Adne patrzyła na nas w milczeniu, a w jej pełnych łez oczach odbijał się delikatny blask migoczącego portalu. Skinęłam głową i oparłam się o niego na moment, zanim przemieniłam się w wilka i wkroczyłam w mroczną otchłań przejścia.

Gdy przekroczyłam próg portalu, uderzenie gorąca odrzuciło mnie w tył. Przez moment myślałam, że coś poszło nie tak i jestem uwięziona między światami, skazana na zapomnienie i wkrótce spłonę żywcem. Nic nie widziałam. Gęsty dym pożerał cały tlen, wypełniał mi płuca. Przemieniłam się i chciałam zawołać Poszukiwaczy, ale zamiast tego upadłam na kolana i zakaszlałam, po omacku badając przestrzeń przed sobą.

- Calla! - Czyjaś ręka złapała mnie i odciągnęła na bok. Przez dym ledwie poznałam twarz Ansel.

- Musisz stąd uciekać - wydusił, odciągając mnie dalej od drzwi.

- Co się dzieje? - spytałam, krztusząc się dymem. Ale przynajmniej już się zorientowałam, gdzie jestem. Byłam z powrotem przy wejściu do Czyścica. Płomienie pełzły po ścianach, trawiąc placówkę Poszukiwaczy.

- Na schodach jeszcze dwóch! - usłyszałam krzyk Ethana.

- Idźcie! - sekundę później odezwał się Isaac. - Nie dajcie im się otoczyć! Ansel przycisnął mnie do podłogi, gdy ciemny kształt wyslizgnął się z kłębow dymu jakiś metr od nas. Zmartwiałam z przerażenia, gdy zdałam sobie sprawę, że to zhora.

- Nie ruszaj się - prawie niesłyszalnie wyszeptał mi do ucha Ansel. Serce tłukło mi się o żebra. Gdzie jest Shay?

Usłyszałam krzyk, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy należał do kobiety czy do mężczyzny.

Na tle rozświetlonego przejścia zamajaczyły sylwetki Adne i Connora. Connor cofnął się pod wpływem gorąca i zaczął kaszleć.

- Co, do diabła...

Ujrzałam, jak zmora się odwraca i oddala od naszej kryjówki, ale za to zbliża się do nowo przybyłych. Ansel próbował mnie zatrzymać, ale odepchnęłam go i pobiegłam w stronę przerażonej pary.

- Biegiem! - krzyknęłam, wpadając na nich i odsuwając ich od lśniących drzwi.

Adne gramoliła się, przygnieciona moim ciężarem.

- Boże, co tu się dzieje?

- Znaleźli nas - odrzekł Connor i sięgnął po swoje miecze. - Opiekunowie nas znaleźli.

- Adne? Connor? - Ethan wyłonił się z dymu. W ramionach niósł nieprzytomną Sabinę. Obok niego pojawił się Isaac. Obaj mieli broń, ale ich twarze mówiły, że sytuacja jest beznadziejna.

- Niech to szlag. - Connor wpatrywał się w dym.

- Co się stało? - Spojrzałam na bezwładne ciało Sabinę.

- Budynek się wali - odpowiedział Ethan i wskazał ręką na kupę gruzów. - Kawał dachu runął akurat, jak przeszliśmy przez portal. Dostała w głowę. Odłączyłem się od wilków, żeby się ratować. Nie wiem, gdzie są. Może zostali pogrzebani pod spodem.

- Ktoś idzie! Ethan, ubezpieczaj mnie. - Connor trzymał miecze nisko, ale gdy ujrzał zmorę, stracił nadzieję i pobladł. - Callo, stań za mną.

- Adne, otwórz portal! - krzyknął Ethan. - Zabierz nas stąd! Zmora była tuż przed nami.

Nadal żadnego śladu Shaya ani reszty mojego klanu. Czy zostali przygnieceni przez gruzy? A może już ich złapano?

Kto nas zaatakował? Jakim cudem Opiekunowie znaleźli Czyściec?

- Nie uda nam się. - Connor się skrzywił. Stał między nami a zmorą.

- Niektórym się uda - mruknął Isaac i popatrzył na naszą skuloną grupkę. Odepchnął Connora i stanął zmorze na drodze.

- Nie! - wrzasnął Ethan, gdy atramentowe cienie rzuciły się na Isaaca, ale reszta stała unieruchomiona paniką.

Isaac nie wydał żadnego dźwięku. Jego ciało skurczyło się tylko, gdy potwory Opiekunów go zabierały.

- Adne! - Connor zasłonił nam ten straszliwy widok.

- Otwarte! - krzyknęła Adne. Odwróciłam się i zobaczyłam, że za nią lśni nowe przejście.

- Szybko! - Connor skinął głową i Ethan, z Sabinę w ramionach, przekroczył próg.

- Teraz ty. - Connor złapał Adne za rękę.

- Nie pójde, dopóki ty nie pójdziesz - zaprotestowała.

- Bez dyskusji. Jak nie pojawimy się za dwie minuty, zamykasz przejście. Zrozumiałaś?

Prawie płakała, ale skinęła głową i zniknęła w przejściu.

- Shay! - krzyknęłam i desperacko wpatrywałam się w dym, szukając jakiegokolwiek śladu jego albo innych. - Ansel!

- Przejdź przez portal. - Connor chciał mnie schwycić, ale mu się wywinęłam. - Przyszli po niego. Pewnie już go mają. Musisz iść!

- Nie zostawię ich! - wrzasnęłam, a potem zakrztusiłam się, gdy dym wypełnił mi płuca.

Kilka szarych postaci pojawiło się w kłębach dymu. Connor zaklął i patrzył to na mnie, to na portal.

- Nie wiem, ile jeszcze zmór tu jest, ale nie zamierzam czekać, żeby się dowiedzieć. - Złapał mnie za ramię i zaczął prowadzić.

- Błagam - szlochałam - muszę ich odnaleźć.

Z dymu wydostały się cztery wilki i mknęły w naszą stronę. Mój szloch zamienił się w okrzyk radości. Shay przemienił

się i złapał mnie w ramiona, przyciskając do siebie. A potem Bryn, Mason i Nev stanęli u jego boku. Oczy mieli dzikie, a twarze pobladłe.

- Dzięki Bogu nic ci nie jest - szeptał Shay, wtulając twarz w moje włosy.

- Biegliśmy przez placówkę jak przez jakiś koszmarny labirynt, kryliśmy się przed zmorami.

- Gdzie jest Ansel? - Bryn płakała. - Przez ten dym nie mogłam wyczuć jego zapachu. Nie mogłam go znaleźć.

- Nie wiem, gdzie jest. - Żołądek ścisnął mi się w supeł. Czyżbym wydała mojego własnego brata na łaskę zmór?

- Zbierajcie tyłki i przechodźcie przez portal! - Connor oderwał ode mnie Shaya i popchnął go przez świetliste drzwi. - Musimy zamknąć przejście, zanim zmory nas znajdą.

- Ale... - zaczęła Bryn i wlepiła wzrok w dym, wypatrując jakiegoś znaku od Anseła.

Mason i Nev znów zmienili postać, zaczęli węszyć w powietrzu i skomleć.

- Koniec - syknął Connor i wyciągnął rękę do Bryn. - Nie czekamy dłużej.

- Wiedziałem, że mnie zostawisz! - Przez dym przebił się głos Silasa. - Draniu!

Opierał się na ramionach Anseła. Mój brat powoli szedł do przodu, przygarbiony pod ciężarem Skryby.

- Ansel! - Szukałam na jego ciele ran. - Nic ci nie jest? Pokręcił głową, ale nie spojrzał na mnie.

- A tobie? - Connor spytał Silasa.

- Spadłem ze schodów, kiedy się pojawili... Chyba skręciłam kostkę. Na szczęście on mi pomógł. - Wskazał brodą na Anseła.

- Zabierz go na drugą stronę - polecił Connor i odwrócił się, ale widziałam, że ulżyło mu na widok Silasa. - Wszyscy się stąd zabieramy, już.

Ansel wciąż patrzył w podłogę, ale pokiwał głową i przeprowadził Silasa przez przejście. Bryn pobiegła za nimi. Shay

wciąż mnie obejmował i przeszliśmy przez portal razem, z Masonem i Nevem przy nodze. Za plecami usłyszałam łomot i poczułam potężny podmuch. Eksplozja popchnęła nas do przodu i wyrwała mnie z ramion Shaya. Zanim straciłam przytomność, zobaczyłam ciała moich towarzyszy wpadających w światło przejścia jak cienie pojawiające się w słońcu.

Leżałam na plecach i widziałam nad sobą szare, mdłe niebo. W powietrzu unosiły się drobinki popiołu, osiadały na mojej skórze i topniały.

Topniały?

Wzięłam głęboki wdech i poczułam w płucach lodowate powietrze. Postrzępione płatki śniegu nieprzerwanie opadały na ziemię. Wszędzie wokół słyszałam szelest. Ciśnienie płomieni i dławiący dym zniknęły. Przekreśliłam się na brzuch i spróbowałam się zorientować, gdzie jestem. Rzędy smukłych kolumn w kolorze przygaszonej żółci wbijały się w niebo i ciągnęły w nieskończoność, a przynajmniej aż po nieznaną horyzont.

A to co, do diabła? Przesunęłam dłonią po suchych łuskach, które pokrywały zmrożoną ziemię.

Kukurydza. Łodygi kukurydzy. Spojrzałam pod swoje stopy; ziemia była twarda, ujarzmiona zimowym chłodem, ale nawet pod warstwą śniegu widać było jej czarną żyzność.

Pole.

Tuż obok usłyszałam, że ktoś walczy o oddech. Adne przeturlała się na bok i wykrzywiła.

- Witamy w Iowa.

- Gdzie jesteśmy? - spytałam, potrząsając głową. Wciąż dzwoniło mi w uszach.

- Na skraju pól Akademii - wyjaśniła Adne.

Shay jęknął i zaczął masować się po brzuchu.

- Właśnie prawie nadziałem się na łodygę kukurydzy. Dlaczego nie jesteśmy wewnątrz Akademii?

- Wołałam nie ryzykować na wypadek, gdyby poszli za nami - odrzekła Adne i się podniosła. - Ale nie martwcie się, to blisko.

- Hej! - krzyk Connora zwrócił moją uwagę.

Mason był wilkiem i warczał, a Bryn stała kawałek dalej i próbowała dotknąć Ansela, który się od niej odsuwał.

Nev klęczał. Wyglądał, jakby coś dusił, przyciskając to do ziemi; coś, co sprawiło, że Mason się zjeżył, gotowy do ataku. Nie coś, kogoś.

- Co, do cholery? - Ethan odwrócił się i popatrzył na niego. Wciąż trzymał na rękach nieprzytomną Sabine.

- Callo, co oni robią? - spytał Connor.

Zbliżyłam się i ujrzałam złote kosmyki. To niemożliwe. Słyszałam strzępy słów wydobywających się z tchawicy, którą Nev powoli miażdżył.

- Bł... błagam - krztusił się Logan. - Ja... ja... jestem... żeby.... pomóc.

- Nev, zaczekaj. - Złapałam go za rękę. - Co on mówi?

- Nie obchodzi mnie to - warknął Nev. Skóra Logana siniała.

Stałam sparaliżowana, nie potrafiłam podjąć żadnej decyzji i nie winiałam Neva, że chciał zrobić Opiekunowi krzywdę. Logan, przyciskany do ziemi, bezskutecznie się wił, bo w płucach brakło mu tlenu. Twarz Neva była wykrzywiona gniewem, a dłonie na gardle Logana jeszcze bardziej się zaciskały.

- Kto to jest? - Connor pojawił się obok.

- Opiekun - odpowiedziałam - syn Efrona.

- A co on tu, do diabła, robi? - Connor z niedowierzaniem patrzył na Logana. - Jak się tu dostał?

- Nie mam pojęcia - wyznałam.

Logan bezskutecznie odpychał ramiona Neva. Spojrzał na Connora.

- Ratuj... ich - głos mu się łamał. - Tristan... żyje...

- Co? - Connor rzucił się naprzód i odepchnął Neva. Teraz sam stał nad Loganem i trzymał mu jedną nogę na piersi. Logan dyszał i parsknął, a potem podniósł dłoń, żeby dotknąć ciemnych sińców na szyi.

Connor nim potrząsnął.

- Co przed chwilą powiedziałaś?

- Udzielcie mi schronienia - wydusił z siebie Logan - zabiją mnie, jak wrócę.

- Zajmiemy się tym w ich imieniu - warknął Nev, który wciąż czaił się w pobliżu - nie będziesz musiał po to wracać.

- Niby czemu mielibyśmy udzielać Opiekunowi azylu? - spytałam, wpatrując się w Logana. Nie ufałam mu za grosz. On i jego ojciec uosabiali niepowodzenie w Vail. To z ich winy Ren był...

Ta myśl mnie przytłoczyła. Ren. Straciłam go na zawsze. A co gorsza, moja zdrada sprawiła, że nie miał szansy na żadne inne życie niż to dyktowane przez Opiekunów. Łzy napłynęły mi do oczu i się zachwiałam. Niczego nie pragnęłam bardziej niż paść teraz na kolana i wydrapać Loganowi oczy, rozszarpać jego ciało, żeby jakoś ukoić ból, który wypełniał moje wnętrze.

Shay był obok, obejmował mnie, ale jego dotyk sprawiał, że moja wina wydawała się jeszcze boleśnieszka, działał jak sól w ranie.

- Nie - powiedziałam i go odepchnęłam. Ethan spojrzał na Logana pustym wzrokiem.

- Zabij go.

Connor skinął głową i sięgnął po miecz.

Adne zaparło dech w piersi, gdy Logan zaczął się śmiać.

- Co za hipokryzja! Myślałem, że Poszukiwacze są szlachetni. Głupi, to jasne, ale jednocześnie szlachetni.

- Jak na umarlaka nieźła z ciebie gaduła - zakpił Connor i przysunął ostrze do gardła Logana.

Logan zeszywniał, ale wciąż się uśmiechał.

- Mówię tylko, że gdybyście nie dali schronienia jednemu z nas, wszystkie wasze nadzieje byłyby już dawno pogrzebane, prawda?

- O czym on mówi? - spytała Bryn. Słuchała, mimo że wciąż trzymała się blisko mojego brata. Ansel wciąż się jej wymykał, ale szła za nim, próbując chwycić go wbrew jego niechęci.

- O moim ojcu - powiedział cicho Shay. - Mówi o moim ojcu.

- Wiedziałem, że z jakiegoś powodu musisz być Wybrańcem - zakpił Logan. - Cóż za przenikliwość.

- Nie jesteś Tristanem - rzucił Ethan.

- Ale mogę wam pomóc go uratować - oświadczył Logan.

- Co? - Shay rzucił się naprzód. - Jak to?

- Cały czas próbuję ci powiedzieć, że twoi rodzice żyją.

- Kłamiesz. - Miecz w dłoni Shaya zaczął drżeć.

- Nie, kiedy zależy od tego moje życie - powiedział Logan. - Tristan i Sarah Doran żyją. Wciąż możesz ich ocalić.

- O czym on do cholery mówi?! - krzyknął Nev, stając obok Connora. - Zabij tego gnoja, nie mogę na niego patrzeć.

Mason zbliżał się, sierść miał zjeżoną.

- Nie! - Shay zablokował mu drogę, a potem zwrócił się do Logana: - Co masz na myśli, że wciąż możemy ich uratować? Gdzie oni są?

Logan uśmiechnął się lekko.

- Jeśli chcesz wiedzieć, daj mi gwarancję, że nie zrobicie mi krzywdy.

- On kłamie - wysyczał Nev. - Zamknij mu gębę. Utnij mu język.

- Zaczekajcie. - Nie chciałam wypowiadać tych słów, ale wiedziałam, że w pewnym sensie Shay ma rację. - Jeśli coś wie o rodzicach Shaya, musimy przynajmniej dowiedzieć się co.

- Umówmy się tak: jeśli nam nie powiesz, odetnę ci język. - Connor schował swój miecz do pochwy i wziął od Ethana sztylet.

Uśmiech znikł z twarzy Logana:

- Barbarzyńcy!

- Potraktuję to jako komplement - powiedział Connor. - Wchodzisz w to?

- Przestańcie! - Silas wystąpił do przodu; wyglądał na nieco osmalonego.

- Jeśli coś wie, przeprowadzimy formalne przesłuchanie.

- Nie przypominam sobie, żebym pytał cię o zdanie - zgał go Connor.

- Takie są zasady - mówił dalej Silas. - Anika się wścieknie, jak je zlekceważymy. Jeśli to rzeczywiście syn Efrona z klanu Kary Nocy, jest nie tylko wartościowym informatorem, ale może też być bezcennym zakładnikiem.

- Mózgowiec dobrze kombinuje - pochwalił Ethan. Adne wystrzeliła naprzód, jeden ze sztyletów trzymała uniesiony.

- Mam gdzieś zasady! Mój ojciec i Isaac nie żyją z powodu Opiekunów. Chcę jego krwi!

Connor złapał ją za rękę w ostatniej chwili, gdy koniec naostrzonego sztyletu Adne dzieliły od policzka Logana centymetry.

- Puść mnie! - wrzasnęła Adne i zaszlochała.

Logan dygotał i z wytrzeszczonymi oczami patrzył na Adne wymachującą sztyletami.

- Przysięgam, że mam informacje, których potrzebujecie. A na dodatek, gdybym chciał zrobić wam krzywdę, czy już dawno nie wezwałbym zmór?

Nikt nie odpowiedział. Byłam wściekła, że to, co mówi, ma sens.

Connor uniósł nogę i Logan oparł się na łokciach, a wtedy Connor przysunął sztylet do jego gardła.

- Jeśli wam coś dam - spytał Logan - zabierzecie mnie do swojego Strzały?

- To zależy, czy będzie to dla nas cenne - wymruczał Connor, skoncentrowany na szamoczącej się Adne. - Twój ludzie odebrali nam dziś bardzo wiele. I nie tylko dziś.

- Wśród was jest zdrajca. Wydam go wam jako dowód mojej dobrej woli.

- Logan zaniósł się śmiechem, od którego ciarki przebiegły mi po plecach.

- Zdrajca? - spytał Connor i zaczął obracać ostrze sztyletu tuż przy gardle Logana.

- A jak inaczej byśmy was znaleźli? - odpowiedział Logan. - Szukaliśmy was całe lata, myślicie, że akurat dzisiaj po prostu nam się poszczęściło?

- Ktoś doprowadził was do kryjówki w Denver - orzekł Connor.

- Ktoś, komu ufacie - dodał Logan. - Ktoś, kogo wyrwaliście ze szponów śmierci.

- Nie - warknął Shay - kłamiesz! - Stał przede mną i osłonił mnie przed czymś, czego jeszcze nie zdążyłam się wystraszyć. O czym on mówi? Logan uśmiechnął się do niego:

- Może i masz moc, Potomku, ale nawet ty jej przed tym nie uchronisz.

- Ty bezduszny gnoju. Zamknij się albo...

- Albo co? - spytał Logan. - Zabijesz mnie, żeby prawda nie wyszła na jaw? Czy moje słowa są zbrodnią, skoro ocala twoich sprzymierzeńców?

- O czym ty mówisz? - Connor pochylił się i dźgnął Logana sztyletem. - Tracę do ciebie cierpliwość.

- Jej brat - wykrztusił Logan pod dotykiem ostrza. - Brat Calli. Zawarł układ z moim ojcem i Lumine.

- Nie - szepnęłam.

Mason warczał i uderzał łapami w ziemię. Logan wpatrywał się we mnie.

- To prawda. Zdradził cię.

W panice zaczęłam szukać Anseła, który chował się za Bryn, przemienioną w wilka i warcząca, żeby uchronić go przed atakiem. Mason podbiegł do niej i ustawił się na posterunku u jej boku.

O Boże.

- Powinnaś bać się go bardziej niż mnie - wysyczał Logan. Connor uniósł sztylet i popatrzył na mnie.

- Calla?

Zaschło mi w gardle. Odwróciłam się od Connora i ruszyłam ku Ansełowi. Bryn obnażyła zęby, ale i tak chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam.

- Ansel, proszę. Powiedz im prawdę. Powiedz im, że tego nie zrobiłeś! Logan kłamał. Musiał kłamać.

Krew odpłynęła Ansełowi z twarzy, gdy podnosił na mnie spojrzenie. Martwe.

- Obiecali, że znowu stanę się wilkiem.

Bryn zaskomlała. Mason szczerkał, okrążając nerwowo Anseła i łypiąc na mnie.

Odeszłam, nogi mi się trzęsły. Pragnęłam rzucić się do biegu, uciec od tej potwornej prawdy. Ale nie było dokąd iść.

Connor pokręcił głową.

- Lepiej przedyskutujmy to z Aniką.

- Zgoda - powiedział Ethan. Popatrzył na mnie i wygodniej ułożył Sabinę w ramionach, ale nie byłam pewna, czy jest wściekły, czy po prostu rozżalony.

Ostry gwizd dobiegł z kukurydzianego labiryntu, a potem dołączyły kolejne. Jeden za drugim, Napastnicy uzbrojeni po zęby wyłaniali się z pola i zacieśniali wokół nas krąg.

Moi towarzysze z klanu stali ramię przy ramieniu, warczeli i stawiali czoło Poszukiwaczom.

- Zaczekajcie! - krzyknęłam i wcisnęłam się pomiędzy wilki a zbliżających się wojowników.

Zdziwiłam się, kiedy stanął przy mnie Ethan, wciąż z Sabine w ramionach.

- Odsuńcie się. - Anika wystąpiła z szeregu wojowników.

Nev, Bryn i Mason powoli się cofnęli, ale wciąż obserwowali

Poszukiwaczy, najeżeni trwali w oczekiwaniu na to, co nastąpi. Ansel stał za naszymi plecami, milczał i kurczył się, jak gdyby chciał zniknąć.

- Dziękuję - powiedziała Anika. Rzuciła okiem na Etha-na trzymającego Sabine i uniosła brew. Objął nieprzytomną dziewczynę jeszcze mocniej. Wzrok Aniki wciąż błędził. Kiedy trafiła na Shaya, całego i zdrowego, wyraźnie jej ulżyło.

Zwróciła się do Connora ostrym jak brzytwa głosem:

- Co ma znaczyć to nieumówione zgromadzenie? I do tego w towarzystwie Strażników? Macie szczęście, że was nie zaatakowaliśmy.

Connor bez mrugnięcia okiem powiedział:

- Nie mogliśmy nic na to poradzić.

- Oczekuję sprawozdania. - Cmoknęła językiem. - I gdzie jest Monroe?

- Nie żyje - odrzekła Adne. - A Opiekunowie przejęli Denver.

- Jak to? - Anice odebrało oddech. - Co się stało? Connor spojrzał na mnie, ale milczał.

- Brat przywódczyni ją zdradził - wyjaśnił Logan i spróbował usiąść, ale Connor popchnął go z powrotem w dół.

- Kim jesteś? - Anika podeszła do nich.

- Jestem Logan z klanu Kary Nocy. - Spojrzał na Connora - I jestem tu, żeby wam pomóc, o ile wcześniej mnie nie wykończycie.

- Kary Nocy? - powtórzyła Anika - Opiekun?

- Tak, jestem Opiekunem. Ale odszedłem od ojca i reszty klanu. Nie należę do nich. Chcę być z wami.

- Kto by pomyślał! - mruknął Connor.

- Bylibyście głupi, gdybyście odrzucili moją propozycję -odezwał się Logan - że przekażę wam rodziców Potomka.

- Tristana i Sarah? - Anika uklękła obok Logana. - Obyś mówił prawdę, dla własnego dobra.

- Mówię.

- Nie słuchaj go. - Adne odepchnęła Connora, który próbował ją chwycić

- To Opiekun. Aniko, mój ojciec nie żyje!

- Możemy o tym porozmawiać później? - Silas pojawił się przy Anice. -

Nie mamy już wiele czasu.

Anika ze zmarszczonymi brwiami oceniała jego niepo-rządny wygląd.

- O czym ty mówisz?

- Placówka w Denver została zdradzona - wyjaśnił Silas - dlatego

pojawił się tu nieproszeni. Jeśli udało im się dostać do

zgrupowanych tam informacji, zanim budynek spłonął, dowiedzą się,

gdzie jest Akademia.

Twarz Aniki pobladła.

- Nie.

- Tak - powiedział Silas - musimy przenieść Akademię. Natychmiast.

Poszukiwacze narzucili szybkie tempo. Ręce Logana zostały związane, a jego każdy ruch nadzorowali czterej Napastnicy, którzy eskortowali go do Akademii. Stanowcze traktowanie Opiekuna nawet by mi się podobało, gdyby nie to, że Ansel został potraktowany w ten sam sposób. Podczas gdy Logan szedł ze swoim niewymuszonym uśmiechem przyklejonym do twarzy, mój brat włókł się między Napastnikami z opuszczoną głową.

- Musimy coś zrobić - szepnęłam do Shaya.

- Wiem - powiedział. - Jak tylko dotrzemy do Akademii porozmawiam z Aniką. Nie sądzę, żeby w międzyczasie coś mu groziło.

Spojrzałam na niego.

- On na to nie zasłużył. Widziałeś, jaki był zdruzgotany. Po prostu nie zdawał sobie sprawy...

- Wiem, Callo. - Shay chwycił mnie za ramię i wzrokiem nakazał mi ciszę. - Wiem. Jestem po twojej stronie, ale musimy się dowiedzieć, co się stało, zanim będziemy mogli ich przekonać, że Ansel nie stanowi zagrożenia.

Wyszarpnęłam mu się i podeszłam do Connora, który towarzyszył Adne.

- Możesz coś w tej sprawie zrobić? - wyszeptałam. - To nie wina Ansel.

- Nie teraz - odparł Connor. - Nawet jeśli mógłbym coś zrobić, nie mamy na to czasu.

Twarz Adne była jak wykuta z kamienia.

- Adne - zaczęłam - proszę...

- On ma rację. - Nie patrzyła na mnie. - Nie mamy czasu. Najpierw trzeba zająć się tym. - Wskazała masywną budowlę górującą ponad polami kukurydzy. Z zewnątrz Akademia była jeszcze bardziej imponująca niż od środka. Marmurowa powierzchnia ogromnego budynku lśniła, gdy zimowe słońce przedzierało się przez ciężką zasłonę chmur. Cztery smukłe wieże strzelały w niebo i zaburzały nienaganną kolistość budynku, dzieląc go na cztery identyczne części. Wszystkie cztery kondygnacje Akademii zabudowane były oknami, dzięki czemu wydawało się, że jest wypełniona światłem.

Patrzyłam na imponującą konstrukcję, większą z każdym naszym krokiem. Jakim cudem miałiby ją przenieść?

Więcej Poszukiwaczy czekało na nas przed wejściem do budynku. Parter składał się z korytarza obiegającego główny dziedziniec, ale drzwi w ścianach rozmieszczone były w dużych odstępach.

- Drużyna Haldisa? - zapytała Anikę kobieta, w której rozpoznałam Przewodniczkę.

Ta skinęła głową i zmarszczyła brwi.

- Wciąż nie wiem, co dokładnie się stało. Ale straciliśmy Monroe'a, a Denver zostało zdradzone. Ogłoś natychmiastową przeprowadzkę.

- Żartujesz? - Kobiecie zapało dech w piersiach.

- Nie - odparła Anika. - Idź.

- Ale ogniwa Eydisu jeszcze nie...

- Natychmiast.

Przewodniczka wbiegła do środka. Anika zaczęła wydawać rozkazy:

- Zawiadomcie skrzydła Pyralisu i Tordisu. Przeprowadzka zacznie się za kwadrans. Wszyscy na swoje pozycje!

Poszukiwacze rozpierzchli się w różnych kierunkach.

Anika zwróciła się do dwóch oddziałów Napastników, którzy eskortowali Logana i Ansel:

- Zamknijcie ich. Zajmiemy się nimi później.

- Nie! - Kilku Napastników uniosło broń, gdy złapałam Anikę za rękę.

Pokręciła głową i się wycofali.

- Callo, rozumiem, że ten chłopak to twój brat, ale dopóki nie dowiemy się prawdy, musi być traktowany z najwyższą ostrożnością.

- Nawet jeśli powiedział im o placówce, jestem pewna, że go podpuścili - mówiłam. - Nawet nie wiesz, co mu zrobili.

Uwolniła ramię.

- Dowiem się w swoim czasie. W tej chwili nie mogę cię wysłuchać.

Przykro mi.

Skinęła głową do Napastników, którzy wyprowadzili Ansel.

- Ansel! - Zaczęłam za nimi biec, ale Shay wtedy mnie powstrzymał:

- Czekaj.

- Traktują go jak więźnia! - krzyczałam, wrywając się z jego uścisku. - To nie jego wina. Torturowali go. Musimy mu pomóc!

- Coś wymyślę, obiecuję. Musimy przekonać Anikę, że może zaufać twojemu klanowi. To przede wszystkim, potem będziemy z nią rozmawiać o Anselu.

W tym czasie Anika podeszła do Connora.

- Możesz mi wyjaśnić, co się stało?

- Niedokładnie - wymruczał i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kopertę.

- Monroe prosił, żebym ci to przekazał w jego imieniu, gdyby nie udało mu się wrócić.

- Wyruszył na misję, wiedząc że może nie wrócić? - Anika chwyciła kopertę. - A skąd wzięliście tych młodych Strażników? Wydawało mi się, że nie umiemy ich zlokalizować?

Connor mówił, unikając świdrującego wzroku Strzały:

- To była nagła konieczność, Aniko.

Oczy Aniki się zwięzły,

- Chcesz przez to powiedzieć, że Monroe dostał się do Vail bez pozwolenia?

- Tak.

- A teraz nie żyje? - Pokręciła ponuro głową. - I straciliśmy Denver.

- Ale mamy wilki - odezwał się Ethan, patrząc na nieruchomą postać Sabine - a w każdym razie niektóre.

- Miejmy nadzieję, że coś na tym zyskamy. - Zanim się odwróciła, zauważyłam łzę spływającą po jej policzku. - Przydałby się Monroe.

- Wiem - powiedział Connor twardo.

- Przewodnicy na mnie czekają - zakończyła. - Porozmawiamy później, po przeniesieniu. Jeśli się uda. - Mówiąc to, oddaliła się powoli.

- Jeśli się uda? - powtórzyłam. Connor milczał.

- Calla. - Odwróciłam się i zobaczyłam Ethana z Sabine na rękach. - Obawiam się, że ona ma jakieś obrażenia wewnętrzne. Muszę zabrać ją do Elikśirów.

- Do kogo? - spytał Shay.

- To nasi uzdrowiciele - wtrąciła Adne. - Są w Sanktuarium Eydisu.

- Może będzie potrzebowała krwi klanu. - Popatrzyłam na Sabine. Z pozoru nie miała żadnych ran, ale te, których nie widać, bywają najgroźniejsze.

Nev kręcił się w pobliżu.

- Pójdę z nimi. Jak będzie trzeba, dam jej swoją krew.

- W porządku.

Bryn i Mason podeszli ostrożnie. Shay, przekonany wreszcie, że nie pobiegnę za Anselem, zwolnił uścisk i mnie wypuścił. Wiedziałam, że jest rozsądny, ale nie mogłam znieść swojej bezradności.

- Co teraz? - spytał Mason.

- Idziecie z nami - zdecydował Connor.

Nagle powietrze wypełnił wibrujący dźwięk dzwonów. Akademia zaczęła pulsować energią, a dźwięk się wzmacniał. Choć krystaliczne kuranty świdrowały w uszach, układały się w hipnotyzującą melodię - ściany zdawały się falować do wtóru muzyki. A potem zdałam sobie sprawę, że naprawdę falują. Labirynt barw plótł się wzdłuż marmurowych korytarzy i z każdą nutą kołysał się coraz mocniej. Adne rzuciła się do schodów.

- Muszę pędzić na swoje miejsce!

- Co się dzieje? - wysapała Bryn. Drżąc, złapała mnie za rękę.

Connor prowadził nas w ślad za Adne, ale w przeciwieństwie do niej nie biegł.

- Tkacze muszą przenieść Akademię.

- Jak to możliwe? - spytał Shay.

- To wymaga doskonałej koordynacji oraz precyzji. -Connor spojrzął na nas przez ramię. - Każdy Tkacz musi prząść te same wątki, żeby jednocześnie otworzyć to samo przejście.

- Ale jakim cudem przeniesiecie budynek przez portal? -Shay zmarszczył brwi. Dotarliśmy na drugie piętro i zbliżaliśmy się do kolejnych schodów.

- Nie przenosimy budynku przez drzwi - powiedział Connor - Tkacze przenoszą drzwi przez budynek.

- Przenoszą... co? - wyjąkałam.

Connor nie odpowiedział. Zabrał nas na czwarte piętro. Adne stała w połowie drogi między skrzydłem naszych sypialni a taktycznym centrum Haldisa. Czółenka trzymała w dłoniach, stała bez ruchu, oczy miała zamknięte, oddychała powoli i rytmicznie.

- Adne... - Shay ruszył w jej stronę.

- Ciii! - Connor wyciągnął rękę i zagroził mu drogę. -Musi się skupić.

Rozejrzałam się i zobaczyłam inną kobietę, stojącą jakieś siedem metrów za Adne, a później młodego mężczyznę, w tej samej odległości, tylko z innej strony.

- To pozostali Tkacze - powiedział Connor, śledząc moje spojrzenie. Popatrzył na nich, a potem na każdego z nas z osobna. - Może lepiej usiądźcie. Za pierwszym razem to mocne przeżycie.

Gapiliśmy się na niego, ale nikt nie usiadł.

- Więc się przygotujcie. - Wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę Adne.

Nowy dźwięk przetoczył się przez korytarz. Wprawił Akademię w kolejne wibracje i przeniknął moje kości. Zadrżałam i Shay złapał mnie za rękę. Spletliśmy palce. Dzwon zabrzmiał ponownie i zauważyłam, że Adne drży tak jak ja. Nie otworzyła oczu. Dzwon uderzył raz jeszcze. Echa kładły się warstwami jedno na drugim. Powietrze było tak gęste od głębokich tonów, że niemal czułam, jak dotykają mojej skóry.

Gdy dzwon odezwał się po raz czwarty, Adne zaczęła się poruszać. Zrobiła krok naprzód, tak wdzięcznie, jakby się kłaniała. Nieco dalej zobaczyłam drugą Tkaczkę wykonującą dokładnie ten sam ruch. Adne uniosła głowę, jej ramiona wirowały, a ciało się kołysało. Poprzez powolne echo dzwonu sączyły się inne dźwięki. Radosne i jasne nuty falowały w powietrzu jak muzyka wietrznego gongu. Wraz z lekką melodią pojawił się kolor, ożywały wzory zdobiące ściany, ich bogate odcienie lśniły, tworząc tęcze w holu i na naszych ciałach.

Adne ruszała się teraz szybciej, stawiając kroki i wirując w tańcu, który tkał przejście. Po obu jej stronach inni Tkacze powtarzali ruchy jej gibkiego ciała. Oddychała ciężko, spociła się, ale ani razu się nie zawahała i nie wypadła z rytmu. Dźwięk dzwonków narasta! i przeszywał moje wrażliwe uszy z taką siłą, że musiałam zakryć je rękami. Tęczowe wzory na ścianach i podłogach zaczęły iskrzyć i strzelać w powietrze jak fajerwerki. Jaskrawe kolory były jeszcze jaśniejsze i oślepiały

mnie. Podłoga zdawała się usuwać mi spod stóp. Uklękałam, wciąż zatykając uszy. Przeturlałam się na bok i schowałam głowę między kolanami. Poczułam, że Shay osłania mnie swoim ciałem, odcinając od kaskady ogłuszających dźwięków i eksplozji światła.

Poczułam dotyk futra. Usłyszałam kwilenie, a potem następne, gdy najpierw Bryn, a po niej Mason, teraz jako wilki, tulili się do mnie i wpychali mi pyski pod ramiona, żeby zimnymi nosami dotknąć mojej twarzy. Hałas był tak potężny, że przestawało mieć znaczenie, czy zakrywam uszy, czy nie. Bałam się, że zacznę krzyczeć.

A potem nagle zapadła cisza.

Podniosłam głowę i powoli odetchnęłam. Mocny, nieznany zapach wypełniał mi nozdrza: mieszanka soli, zielonych liści i... ryb? Wzięłam jeszcze jeden wdech; pachniało tak samo, ale nadal nie mogłam rozpoznać co to. Poczułam jeszcze jakby cytryny.

- W porządku? - Connor patrzył na nas z góry. Shay podniósł się i wyprostował.

- Chyba tak.

- Mówiłem wam. - Connor się wyszczerzył. - Mocne.

- O, tak. - Adne podeszła do nas, chwiejąc się, jakby była pijana.

Connor podtrzymał ją, gdy niezgrabnie się na niego zatoczyła.

- Dobra robota, mała. - Pocałował ją w czoło.

- Dzięki - wymamrotała - chyba będę teraz spała przez tydzień.

Mason przemienił się z powrotem w człowieka. Podeszedł do dużych okien. Do środka wpadało złotoczerwone światło. Usłyszałam jego szybki oddech.

- Czy to... morze?

Bryn i ja poszłyśmy za nim. Popatrzyłam na zachodzące słońce i nie mogłam złapać tchu. Akademia stała teraz

na szczycie podzielonego terasami wzgórza, które ciągnęło się kilometrami. Krajobraz upstrzony był starannie wypielegnowanymi rzędami karłowatych drzewek o poskręcanych gałęziach, a ciemnozielone liście przepuszczały słoneczne refleksy. Cytryny.

W pewnej odległości widziałam wioskę wyrastającą z nierównego terenu. Inne rozsypane były po nadbrzeżu, czepiające się klifów, jak gdyby wisały nad powierzchnią morza.

Morze. Fale obmywały brzeg. Zachód słońca oblewał falującą powierzchnię kolorami: głębokim fioletem z przebłyskami różu.

Patrzyłam na wodę, która sięgała horyzontu, i wiedziałam już, czemu kiedyś ludzie wierzyli, że morze prowadzi do ostatecznej krawędzi świata.

Dopóki Shay mnie nie objął, nie zdawałam sobie sprawy, że drzę.

- Widzisz je pierwszy raz, prawda? - Wyjrzał przez okno. Pokiwałam głową, wciąż w szoku po przenosinach

i wstrząśnięta wrażeniem, jakie zrobiło na mnie to miejsce, siłą, z jaką wdarło się do mojego wnętrza i tym, jak mocno ścisnęło mi serce.

- Tak, to morze - potwierdziła Adne. - No, chyba że źle wylądowaliśmy.

Morze. To ono pachniało tak nieznajomo. Nigdy przedtem nie czułam tego zapachu.

- Gdzie jesteśmy? - Bryn podeszła do okna.

- Cinque Terre - odpowiedział Connor. Zmarszczyła brwi.

- Gdzie?

- We Włoszech.

Część 3
Raj

Porzucisz wszystko, co najmilsze tobie;

I to jest właśnie ta bolesna strzała, Którą najpierwej łuk wygnania ciska. I

Dante Raj

27

Włochy?! - wykrzyknął Mason? Przyciskał dłonie do szyby. Wiedziałam, co czuje. Stojąc za tą barierą, trudno było uwierzyć, że raj znajdujący się za tymi ścianami jest rzeczywisty.

- Przykro mi. - Connor parsknął śmiechem. - Wiem, że będziecie tęsknić za polami kukurydzy.

Adne masowała zeszywniałą szyję.

- To było trudne.

- W porządku? - zapytał Connor, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Tak - odparła. - Jestem trochę zmęczona, ale w porządku. Czekają na nas w głównej sali.

- Chcę zobaczyć Ansela - oświadczyła nagle Bryn. - Możemy sprawdzić, czy nic mu nie jest?

- Na pewno nic - odpowiedział Connor. - Przenosiny udały się bez zarzutu. Jeśli my tu jesteśmy, on też. To wyprawa z gatunku wszyscy albo nikt.

- Ale...

- Posłuchaj, mała. Musimy poczekać, aż Anika się uspokoi, zanim zaczniemy prosić ją o przysługę. Braciszek Calli nieźle narozrabiał. Trochę potrwa, zanim uda się to odkręcić.

On i Adne wymienili spojrzenie, które sprawiło, że zacisnęłam zęby.

Żadne z nich nie uważało, że błąd Ansela uda się naprawić. Co się stanie z moim bratem?

Bryn skuliła ramiona. Mason złapał ją za rękę i spojrzał na mnie.

- Nic mu nie będzie.

Skinęłam głową, ale z każdą chwilą byłam tego coraz mniej pewna.

- Załatwimy wam coś do jedzenia - powiedziała Adne. -I pokoje. Na pewno chcecie się też umyć. - Wymownie popatrzyła na Bryn i Masona. Rzeczywiście, potrzebowali kąpieli. Wciąż mieli na sobie strzępy ciuchów, w które byli ubrani tej nocy, gdy ich uwięziono, a ich skórę pokrywały zaschła krew i brud. Ostry ból przeszył mój brzuch, jak gdybym dostała niespodziewany cios, bo ich wygląd znów mi przypomniał, przez co przeszli.

Nic nie mówiłam, gdy za Connorem i Adne szliśmy w dół po schodach.

Kiedy dotarliśmy na pierwsze piętro, Adne wykrzyknęła:

- Patrzcie! - Spojrzałam w kierunku, który wskazywał jej palec. Mason i Bryn także krzyknęli.

Staliśmy przed szklanymi drzwiami, które prowadziły na dziedziniec. Za niewidzialną barierą przestrzeń przeobrażała się na naszych oczach. Goła, uśpiona ziemia budziła się do życia, rodząc świeże liście i tryskając jasnymi kolorami rozwijających się kwiatów.

Fontanny przy kwiatowych rabatkach bulgotały wodą.

Connor aż gwizdnął.

- No no, Ogniwą pracują sprawnie. Pięknie.

- Zawsze działają - odparła Adne - ale i mnie zawsze to zadziwia.

- Co to są ogniwa? - spytał Mason, a jego brwi się zmarszczyły, gdy winorośl zaczęła oplatać marmurowe schody za szybą.

- To jedna ze specjalizacji w Akademii - wyjaśnił Connor. - A szczególnie Eydisu i Haldisu. Integrują budynek z miejscowym ekosystemem.

- Jak ogrodnicy? - dopytywała Bryn.

- Niektórzy pielęgnują ogrody. - Connor poklepał się po brzuchu. - A to dobra wiadomość. Śródziemnomorski klimat

zapewni nam pyszne jedzenie. W zimie było za dużo roślin korzeniowych. Co myślicie? Specjalnością tego regionu są oliwki i cytryny, prawda? Chyba czytałem o tym w ulotce. Ale mieliśmy się tu przenieść wiosną. Chociaż wygląda na to, że i teraz będzie co jeść.

- Poczekaj - przerwał Mason - jak to możliwe? Te rośliny rosną w zastraszającym tempie.

- Magia żywiołów - tłumaczyła Adne. - Eydis i Haldis, woda i ziemia. Ogniwa łączą się z ziemią, korzeniami roślin i naturalnymi źródłami wody. W ten sposób zdobywamy wodę i wytwarzamy energię geotermalną.

- Dobrze widzieć, że sprawnie działają - dodał Connor. - Wiem, że nie byli jeszcze w pełni przygotowani do przenosin.

Mason kręcił głową i zauważyłam, że ręce mu się trzęsą.

- To po prostu niemożliwe. Kto to potrafi?

- My. - Connor odwrócił się od dziedzińca. - A skoro mówimy o umiejętnościach, kto potrafi zamieniać się w wilki?

- On ma rację. - Shay uśmiechnął się do mnie. - W ten sposób w to wszystko uwierzyłem.

Mason zgodził się bez przekonania, ale wciąż mruczał coś pod nosem, gdy skierowaliśmy się ku parterowi.

- Chciałabym, żeby Monroe mógł to zobaczyć - westchnęła Adne.

Zwiesiła głowę i usłyszałam cichy szloch.

- Miejmy z głowy zgromadzenie. - Connor objął ją ramieniem. - Potem będziemy mieli dużo czasu na rozmowy o twoim tacie.

W odróżnieniu od prawie pustej jadalni, którą widziałam poprzedniego wieczoru, miejsce zgromadzenia Poszukiwaczy było wypełnione do granic możliwości. Kobiety i mężczyźni tłoczyli się wokół, stojąc jedno obok drugiego, a szum rozmów drażnił moje uszy jak cichy ryk.

- To Tess! - Connor wkroczył w tłum.

- Kim jest Tess? - Bryn nachyliła się do mnie.

- Członkiem jego drużyny. Drużyny Haldisa.

Bryn się zdziwiła:

- Drużyny Haldisa?

- Nie wiem... - Słowa utkwily mi w gardle. Haldis, Eydis. Strzępy informacji, które dotarły do mnie w czasie krótkiego pobytu u Poszukiwaczy, nie wystarczyły, żeby odpowiadać na pytania. Sama nie wiedziałam o nich jeszcze tylu rzeczy, tymczasem wpakowałam do ich świata swój klan, a w zasadzie tych, którzy zostali, i nie mogłam nawet dać im żadnej gwarancji na przyszłość. A co, jeśli podjęłam złą decyzję? Szmer głosów przybierał na sile. W głowie zaczęło mi dudnić.

Kiedy nie odpowiedziałam, Bryn wzruszyła ramionami i poszła za Masonem do stołu, przy którym siedzieli już Tess i Isaac.

- Calla? - Shay patrzył na mnie.

- Idź - powiedziałam, popychając go. - Jestem tuż za tobą. Kiedy zaczął przeciskać się między Poszukiwaczami, wycofałam się i przy schodach skręciłam.

Nie wiedziałam, dokąd biegnę, ale musiałam biec. Jeszcze tydzień temu byłam w Vail i zamierzałam złączyć swoje życie z życiem Rena, uczynić pierwszy z wielu zaplanowanych dla mnie od dawna kroków. W stronę przeznaczenia. Czy miałam jeszcze jakieś przeznaczenie? A może teraz należało do Poszukiwaczy?

Kiedy o tym pomyślałam, w moich trzewiach zabrzmiała zapowiedź warkotu. Nie będę do nikogo należeć. Bezkrytycznie służyłam Opiekunom i oto jak się to skończyło. Gdyby Poszukiwacze znaleźli sposób na walkę z moimi dawnymi mistrzami, nie zawahałabym się wtedy. Zabili moją matkę i torturowali ludzi, których kocham. Chciałam się za to odplacić. Ale musiałam walczyć na swoich warunkach. Teraz podejmowałam decyzje za cały klan. Musiałam mieć pewność, a nie byłam pewna niczego.

Wylądowałam po drugiej stronie kuli ziemskiej, a dawne życie rozpadło się na kawałki. Wydawało się, że mój klan łączy

mocne więzy, ale zostały zniszczone z powodu moich wyborów. Fey, Dax i Cosette zostali sojusznikami Opiekunów i żyli teraz z nimi mimo całego zła, jakie ci nam uczynili. Byłam pewna, że gdyby nie pojawił się Connor, nasza walka z Da-ksem skończyłaby się czyjaś śmiercią. Mój brat stał się cieniem samego siebie, do tego stopnia, że nawet on postanowił mnie zdradzić, żeby odzyskać to, co mu odebrano. Ale nie tylko życie Ansela wywrócono do góry nogami. Przyszłość Rena została mu odebrana tej nocy, gdy zrezygnowałam z naszego sojuszu. Jego klan odszedł, dziedzictwo przekazano z powrotem Emilowi, raczej potworowi niż człowiekowi, który nie był nawet ojcem Rena. Zachwiałam się pod ciężarem prawdy, która nagle na mnie spadła. Przyszłość Rena została skradziona dawno temu, kiedy Emil i Opiekunowie zabili jego matkę. Życie mojego przyszłego partnera zostało zbudowane na fundamentach z kłamstwa, kości i krwi. Zacisnęłam pięści i zakryłam dłońmi oczy. Kłamstwa, kości i krew. Czy w ogóle nasze życie składało się z czegoś więcej? Kiedy przyciskałam dłonie do twarzy, zimny metal pierścionka potarł mi skórę i się wzdrygnęłam. Pierścionek, który dał mi Ren. Obietnica chwil, które miały dopiero nadejść.

„Wiedz, że ja...”.

Co? Co Ren chciał mi powiedzieć? Co go powstrzymało? Jak wiele chciał mi wyznać?

W jednej chwili korytarz stał się zbyt ciasny, czułam, jak mnie ogranicza. Musiałam wyjść na zewnątrz. Odetchnąć świeżym powietrzem. Biegłam teraz szybciej, szukając wyjścia. Gdy dotarłam do następnych szklanych drzwi, wybiegłam na zewnątrz.

Bogactwo słonego nadmorskiego powietrza owionęło mnie w jednej chwili. Pochyliłam się, oparłam ręce na kolanach i łykałam je jak wodę. Żywe barwy zachodu słońca ustąpiły przygaszonym kolorom zmierzchu, lawendzie i szarości. Nawet w cieniu moja pleciona obrączka z białego złota lśniła,

łapiąc każdy promień światła i odbijając go do mnie. Szydercza, nienawistna.

„Przypomina mi twoje włosy”.

Pasma prawie białych włosów zwisało mi z ramienia i podskoczyło, gdy się podniosłam. Dziedziniec był olbrzymi, a to, co jeszcze wczoraj było jałowym ogrodem, teraz ożywało młodą zielenią i wypełniało powietrze ostrym, mineralnym zapachem świeżych ziół.

Pobiegłam do najbliższej szklarni i zaczęłam poszukiwania. Wszystko się nada, byle było ostre. Mój oddech stał się ciężki, urywany. Wpadłam przez otwarte drzwi i przebiegłam wzdłuż grządek i roślin w doniczkach. Zapach kompostu w wilgotnym powietrzu był słodki, ale nieco mdlący. To, czego potrzebowałam, znalazłam na samym końcu, leżało na brzegu kwietnika.

Jedną ręką chwyciłam sekator, a drugą swój ciężki warkocz, tuż nad karkiem. Nie przestałam ciąć, dopóki nie został mi w ręku, wijący się jak wąż. Oddech mi się uspokoił, a głowa była lekka, wolna. Odłożyłam sekator i wyszłam ze szklarni.

Kiedy wróciłam na dziedziniec, padał delikatny deszcz. Krople ocierały się o moją skórę jak wspomnienie samych siebie, nie miały nic wspólnego z rześistą ulewą, były lżejsze niż mgła. Ciepłe wieczorne powietrze mnie otulało. Skierowałam się ku centrum ogrodu. Ścieżka zaprowadziła mnie do ściany starannie przystrzyżonego żywopłotu, a za nim znalazłam główny plac. Po schodach zeszłam do kwiatowych rabatek, otaczających kwitnące drzewa owocowe. To miejsce było tak spokojne, jakby odizolowane od reszty świata. Na samym środku stała fontanna z czterema kamiennymi postaciami. Dziwne zbiorowisko: kobieta w rycerskiej zbroi, mężczyzna w szacie mnicha, dziecko ze zwojami papieru w rękach i druga kobieta, w prostej sukience, z gałęzią drzewa w dłoni. Woda pluskała w basenie u ich stóp, odbijały się w niej srebrzyste chmury.

Szłam wzdłuż krawędzi fontanny i przesuwałam palce po powierzchni wody. Ukryty ogród powinien dać mi ukojenie, ale nie czułam nic poza gonitwą myśli. Przeczesalam palcami włosy i zdziwiłam się, kiedy skończyły się już przy ramionach.

- Niezła kryjówka.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że Shay zmierza ku mnie. Zacisnęłam zęby. Zastygłam jak cztery posągi i patrzyłam na niego.

- Cicha, spokojna. - Rozejrzał się po rabatkach okrytych cieniem wysokich żywopłotów. - Wystarczająco ponura, żeby nikt się tu nie kręcił po nocy, ale jednocześnie nie przerażająca.

Kącik jego ust wygiął się w uśmiechu.

- Postawiłbym piątkę z minusem, ale tylko dlatego, że dzisiaj księżyc jasno świeci.

Zbliżył się jeszcze o krok.

- Wielkie dzięki - w moim głosie brzmiała groźba. - Jak mnie znalazłeś?

Przeciagnał dłonią po włosach i patrzył na mnie dziecinnym wzrokiem.

- Szedłem za twoim zapachem.

- Jasne. - Odwróciłam się i odeszłam od fontanny, dalej, w głąb ogrodu. - Idź stąd.

- Nie. - Stał naprzeciwko mnie i zablokował mi drogę.

- Shay, mówię poważnie.

- Ja też - odparł. - Nie powinnaś być teraz sama.

- To nie twoja sprawa.

Wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów, który wił się po moim policzku.

- Już nie masz warkocza? - Uśmiechnął się, kręcąc w palcach jasne pasemko. - Podoba mi się. Dobrze ci w takich włosach.

Nie odezwałam się, a jego uśmiech zniknął.

- Nie musisz przechodzić przez to sama.

- Jestem sama. - Czułam pustkę w sercu.

- Wiesz, że to nieprawda.

Wzięłam szybki oddech i zacisnęłam pięści.

- Więc powiedz mi, co jest prawdą?

- Kochałaś go. - Patrzył mi w oczy.

- Tak. - To słowo zawisło między nami, nagie i prawdziwe. Nie mogłam wziąć następnego wdechu, który uspokoiłby roztrzęsione ciało.

Zrobił jeszcze krok w moją stronę, a jego słowa zabrzmiały cicho, ale pewnie:

- Ale nie tak, jak kochasz mnie. Zachwiałam się, jakby mnie uderzył.

- Calla - wymruczał i chciał chwycić mnie za rękę. - Nie możesz się obwiniać. To co zrobiłaś, to co czujesz, żadna z tych rzeczy nie czyni cię winną wyborów Rena.

Odsunęłam się od jego wyciągniętej ręki.

- Przestań - nakazałam - nie chcę o tym mówić. Nie mogę.

- Masz rację - powiedział delikatnie. - To nie jest dobry czas na rozmowę.

Ruszył tak szybko, że przez chwilę jego ciało było rozmazaną plamą i nagle znalazłam się w jego objęciach. Chwyciłam jego ramiona i wbiłam mu paznokcie w skórę, ale nie puścił. Przycisnął mnie mocniej.

Warknęłam i wiłam się, ale Shay trzymał mnie w ciasnym uścisku.

Słyszałam równomierne bicie jego serca tuż obok swojego. Krople deszczu płynęły mi po twarzy, a jedwabista mgła w powietrzu mieszała się ze łzami.

Shay pocałował mnie delikatnie, pokonując ustami trasę wyznaczoną przez ból. Przyłgnęłam do niego. Ciche uspokajające pomruki płynęły z jego ust; cały czas mnie całował.

Gdy rozpacz ucichła, uniosłam głowę i odnalazłam jego usta. Powoli złapał zębami moją dolną wargę, a ja pocałowałam go z taką siłą, że stracił równowagę i upadł, ciągnąc mnie za sobą na ścieżkę.

Przeturlaliśmy się i znalazłam się pod nim. Prawie nie mogłam oddychać, gdy znów go całowałam,

a moje palce rozpinały guziki koszuli. Usłyszałam w jego piersi warkot i zdjął koszulę z ramion. Zanurzyłam palce w jego włosach, lekko wilgotnych od delikatnego deszczu.

Jego usta sunęły po mojej szyi. Słyszałam, że mój oddech staje się krótki i urywany. Powietrze wieczornego ogrodu, słodkie od zapachu pączków róż, ale lekko zaostrome morską solą, spływało po moich rozchylnych wargach.

Usta Shaya wędrowały po moim brzuchu i przez sekundę zastanawiałam się, gdzie się podziała moja koszulka. I skórzane spodnie.

Jego pocałunki przesunęły się dalej w dół i było mi już wszystko jedno, gdzie są moje ubrania.

Warstwy srebrnych chmur nad nami rozsunięły się pod podmuchem wiatru jak firanki, a wiotkie smugi księżycowego światła otuliły nasze ciała. Shay wsunął się na mnie, gdy nocne niebo się rozwarło i jego sylwetkę rozjaśniło blade światło, od którego lśnił ogród. Musnął wargami mój policzek, biodra dopasował do moich. Czułam każde uderzenie jego serca, gdy przyłgnęliśmy do siebie całą powierzchnią ciała. Zadrzałam, czując, że wewnątrz mnie coś się budzi, otwiera, pragnie tego, co tylko on mógł mi dać. Kiedy całował mnie znów, myślałam, że to pragnienie mnie rozerwie. Odsunął się i popatrzył na mnie w milczeniu. W jego oczach czaiło się pytanie.

- Chcę - wymruczałam.

Pocałowałam go i dalsze pytania nie były już potrzebne.

Ciach. Ciach.

Bryn zagryzała wargi, koncentrując się na swoim zadaniu.

- Naprawdę, Cal, jak chciałaś obciąć włosy, trzeba było powiedzieć.

Teraz to totalna masakra.

Obserwowałam kosmyki moich włosów spadające na podłogę. Dotarcie tu nie było łatwe. Musiałam wyplątać się z ramion Shaya, wymknąć się z jego pokoju i niezauważona dotrzeć do swojego.

Nie żałowałam, że spędziłam z nim noc, ale nie wiedziałam, co przyniesie rano, i w głowie szumiało mi od wydarzeń ostatniej doby.

Potrzebowałam czasu tylko dla siebie, zanim będę gotowa porozmawiać z Shayem o tym, co stało się zeszłej nocy w ogrodzie. I w jego pokoju.

Wspomnienia wywołały gorący dreszcz w brzuchu i aż zadygotałam.

- Callo, przysięgam, nie zrobię ci krzywdy - wycodziła Bryn przez zaciśnięte zęby. - Więc możesz, na litość boską, przestać się wiercić?

- Przepraszam.

Poczucie winy wlokło się za mną jak kula u nogi, gdy szukałam swoich towarzyszy i znajdowałam ich dokładnie tam, gdzie ich zostawiłam.

Zaburczało mi w brzuchu, owionął mnie zapach świeżo upieczonego chleba i cytrusów. Jadalnia była pełna ludzi, ale nie pękała w szwach jak poprzedniej nocy, kiedy uciekłam. Poszukiwacze wchodzili i wychodzili,

niektórzy chwyтали croissanty i wrzucali do ust winogrona, a potem szli do swoich zajęć, inni leniwie dobudzali się nad parującymi filiżankami kawy.

Nev, Bryn, Adne, Connor, Silas, Tess i Sabine, znów w pełni sił, siedzieli przy tym samym stole, przy którym Poszukiwacze dwa dni temu pili kawę. Ethana i Masona, co dziwne, nie było. Powoli podeszłam do stołu. Kogoś jeszcze brakowało.

Poczułam ciężar w piersi, gdy zdałam sobie sprawę, że wypatruję Monroe'a.

Dołączyłam do reszty, gotowa usprawiedliwić swoją nieobecność i odpowiedzieć na wszystkie pytanie dotyczące mojej decyzji o zawiązaniu sojuszu z Poszukiwaczami.

Moje nadejście zakończyło wszystkie rozmowy i zapadła niezręczna cisza. Adne zmarszczyła brwi, wzruszyła ramionami i skupiła się na swojej miseczce pełnej świeżych owoców ze śmietanką. Silas przekręcał głowę to w jedną, to w drugą stronę, usiłując dojść, co zmieniło się w moim wyglądzie. Tess była dość miła, by uśmiechnąć się na powitanie, ale nic nie powiedziała. Po ustach Neva błąkał się uśmieszek, jak gdyby chciał się roześmiać, ale się powstrzymywał.

Nie minęło pięć minut, gdy Bryn nagle wstała i skinęła głową na Sabine. Dziewczyny wyprowadziły mnie z jadalni i poszłyśmy do mojego pokoju. Bryn usiłowała naprawić to, co zrobiłam wczoraj ze swoimi włosami.

Sabine mlasnęła językiem, gdy stanęła przede mną, żeby mieć lepszą perspektywę na działania Bryn.

- Źle tniesz, będzie nierówno.

- Chcesz sama to zrobić? - zareagowała błyskawicznie Bryn.

- Daj. - Sięgnęła po nożyczki.

- Poczekaj. - Wyprostowałam się na krześle i Bryn w ostatniej chwili zabrała nożyczki, na które niemal się nadziałam. -Naprawdę, Sabine? Chcesz mnie ostrzec?

Zmarszczyłam brwi, bo nie byłam pewna, czy ufam jej na tyle, żeby uwierzyć, że ostrzyże mnie ładnie.

- Z przyjemnością, Callo. Zawsze strzygłam Cosette. -Na moment skóra wokół jej oczu napięła się, ale po chwili Sabinę uśmiechnęła się znowu.

- Och, ona miała piękne włosy - zachwyciła się Bryn. - Pozwól Sabinę dokończyć, Cal. Ja nie mam pojęcia, co właściwie robię. Potrafię ułożyć włosy, ale o stryżeniu nie mam pojęcia.

Przełknęłam nerwowo ślinę, ale kiwnęłam głową. Jeśli Sabinę ma być naszym sprzymierzeńcem, muszę zapomnieć

0 dawnych zatargach.

Bryn z westchnieniem ulgi przekazała Sabinę nożyczki. Za naszymi plecami ktoś odchrząknął. Wszystkie odwróciłyśmy się do drzwi.

- Oo... cześć - powiedział Shay i przeczesał ręką włosy. Patrzył na grupkę dziewczyn i wyglądał, jakby miał ochotę uciec.

- Cześć, Shay - odparła Bryn i nieudolnie stłumiła chichot, patrząc to na mnie, to na niego.

Sabinę skinęła głową na przywitanie, ale szybko wróciła do moich włosów.

- Co robicie? - Wykonał kilka niepewnych kroków w głąb pokoju, ale wciąż nie był przekonany, czy nic mu nie grozi.

- Próbujemy uratować fryzurę Calli. Zmasakrowała sobie włosy. - Bryn zaplotła kilka pasm między palcami. - Czego właściwie użyłaś?

- Sekatora. - Wpatrywałam się w podłogę. Nie powinnam była zostawiać Shaya bez słowa. Teraz zrobiło się niezręcznie i nie wiedziałam, jak to naprawić.

- Nic dziwnego, że wyglądają tak koszmarne - mruknęła Sabinę.

- Moim zdaniem są ładne - zaprotestował Shay, zbliżając się jeszcze kawałek.

Sabinę się roześmiała.

- Dla ciebie byłaby ładna nawet, gdyby chorowała na trąd. Obląłam się rumieńcem, a Bryn zachichotała.

Shay uśmiechnął się niepewnie i znowu odchrząknął.

- Cał, chciałbym z tobą pogadać. Zagryzałam wargi i unikałam jego spojrzenia.

- Nie ma sprawy, ale teraz jestem troszkę zajęta.

- Tak, pewnie, no jasne. Jakby co, będę u siebie.

- Dobra.

Wsadził ręce do kieszeni, ale udało mu się nie wybiec z pokoju.

Bryn zaczęła się śmiać.

- Chyba go wystraszyłyśmy.

- Nie jesteśmy łatwym zbiorowiskiem. - Sabinę nie przerwała zręcznych ruchów nożyczkami. - A on pewnie jest wstrząśnięty.

Z całych sił się powstrzymywałam, by nie zerwać się z krzesła.

- Wstrząśnięty czym?

- Byciem naszym nowym alfą. Ren odpadł, on wchodzi do gry. To duża odpowiedzialność. Jest wilkiem dopiero od paru tygodni, nie jest przyzwyczajony tak jak reszta z nas.

- Co?! - wykrzyknęłyśmy jednocześnie ja i Bryn.

- Calla, nie możesz się tak miotać, albo cię skaleczę, albo zepsuję fryzurę.

- Sabinę była niewzruszona.

Chwyciłam ją za nadgarstek, ale wciąż patrzyła ze spokojem.

- Sabinę, o czym ty mówisz? - spytałam powoli. Kąciki jej ust uniosły się, jakby tylko ona na całym świecie znała jakiś pikantny sekret.

- Nie żartuj, Callo. Naprawdę nie wiesz? Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na Bryn, której oszołomienie ustępowało miejsca zdziwieniu.

- No widzisz, Bryn wie. - Uśmiech Sabinę stawał się coraz szerszy.

Bryn pokiwała głową.

- Masz rację... oczywiście, że masz rację. Nie wierzę, że nie zorientowałam się wcześniej... - Popatrzyła na mnie i poczucie winy zaróżowiło jej policzki. - Ale zawsze myślałam, że to będzie Ren. - Ale... jak to? - niechętnie zadałam Sabine to błagalne pytanie. - To proste, serio. - Sabine strzepnęła moje bezwładne palce ze swojego nadgarstka i wróciła do strzyżenia. - Oczywiście wiadomo, że alfa nie może zostać, jak by to ująć, mianowany. Alfą trzeba się urodzić. Shay zawsze był alfą, ale nie był wilkiem. Kiedy to się zmieniło, sprawy same nabrały rozpędu.

Sabine miała rację. Alfą nie można nikogo mianować. To jeden z powodów, dla których działania Opiekunów w Vail, prowadzące do rozwiązania ich problemów ze Strażnikami, odniosły tak zły skutek. Ale wciąż nie mogłam znaleźć tu miejsca dla Shaya.

Bryn plasnęła się dłonią w czoło.

- Jestem idiotką.
- Najwyraźniej ja też - stwierdziłam. - Bo nadal nic z tego nie rozumiem.
- Nie rozumiesz, bo ty jesteś alfą, Cal. - Postąpiła mi współczujący uśmiech.
- A Shay zawsze zachowywał się jak równy tobie, prawda? Rozmawiał z tobą swobodnie, nie wycofywał się, gdy z nim dyskutowałaś.

Zagryzłam dolną wargę.

- Myślałam, że to ludzkie cechy. Że nie umie zachowywać się inaczej, bo nie jest jednym z nas.
- Nie - rzuciła Sabine. - To cechy alfy. Bryn złapała mnie za rękę.
- Ren zawsze traktował Shaya jak rywala. Nawet on musiał wiedzieć.
- I miał rację. - Sabine naciągała palcami pasma moich włosów, żeby ocenić ich długość. - Bo wybrałaś Shaya.

- Co? - Tym razem nożyczki zadrapały mnie w szyję. -Auć!
- Przestań się szamotać. - Sabine odchyliła mi głowę. -Nie ma krwi, strzygę dalej.

- Nie wybrałam Shaya - powtórzyłam, dotykając palcami bolącego miejsca. - Uratowałam mu życie.

- Nie miałam na myśli twojej ofiary - zaprotestowała Sabine - tylko poprzednią noc.

Teraz walczyłam z pragnieniem, żeby nadzieć się na nożyczki; musiałam chwycić się brzegów krzesła.

- Poprzednią noc? - mój szept był nieco chrapliwy.

- Sabine - Bryn kopnęła ją w kostkę - daj spokój.

- Przecież nikogo nie osądzam - powiedziała Sabine. - Miała do tego prawo. Shay jest alfą. To znaczy, że wchodzi w grę. Poza tym widziałam jego ramiona. Sama zgodziłabym się na przejażdżkę, gdyby tylko zaproponował.

- Sabine! - wykrzyknęła Bryn i spojrzała na mnie z przerażeniem.

Ale ja byłam zbyt wstrząśnięta, żeby się wściec.

- Skąd... - Policzki mi płonęły.

- Pachniesz nim. - Sabine się uśmiechnęła. - On ładnie pachnie, prawda?

A jak smakuje?

Bryn odwróciła się, ale wiedziałam, że chciała tylko ukryć śmiech, bo słyszałam jej stłumiony chichot.

- Przestań, Sabine. Po prostu przestań.

- Brałam prysznic! - Chciałam skulić się w pozycji płodu i umrzeć.

Sabine zachichotała.

- To nie pomoże.

Spojrzałam z ukosa na Bryn. Ze wszystkich sił próbowała zetrzeć z twarzy głupawy uśmieszek.

- Nie chodzi o to, Cal, że pachniesz brzydko - próbowała mnie pocieszyć.

- Ale Sabine ma rację. Shay ładnie pachnie. No wiesz, jak ogród.

- O mój Boże. - Schowałam twarz w dłoniach.
- Jak będziesz dalej się kręcić, nic nie zrobię z twoimi włosami - powiedziała Sabine, śmiejąc się perliście.
- W porządku. - Skrzyżowałam ramiona, wzięłam głęboki oddech i się wyprostowałam. - Dokończ z włosami. I ani słowa więcej o zeszłej nocy.
- Serio? - Musiałam się uśmiechnąć, słysząc nutkę rozczarowania w głosie Bryn.
- Staram się powiedzieć ci, Callo - Sabine układała włosy wokół mojej twarzy - że prawdopodobnie zrobiłaś dobrze. Ren popełnił błąd. Skoro pragnął cię tak bardzo, powinien przybyć tutaj. Powinien tutaj być i walczyć o ciebie.
Wpatrywałam się w swoje dłonie, zakłopotana, że szczypią mnie oczy.
- Callo. - Podniosłam głowę i w lustrze spotkałam oczy Sabine. - Nie obwiniaj się z powodu Rena. Wszyscy wiemy, że ci na nim zależało. Ale on dokonał wyboru. Wszyscy ich dokonujemy.
Popatrzyłam na nią, a później na swoje odbicie. Jasne włosy otaczały moją twarz, pocieniowane na wysokości kości policzkowych opadały do ramion. Usta mi zadrżały.
- Sprawiałaś, że wyglądam pięknie.
- Niewiele miałam do roboty. - Sabine odłożyła nożyczki i zgarnęła ucięte włosy z moich ramion. - Taka jesteś.
Otworzyłam usta, ale nie mogłam nic powiedzieć, bo się rozszlochałam.
- Jezu, Callo, przestań się mazać. Przecież jesteś alfą -parsknęła. Ale potem lekko ucisnęła moje ramię i cicho wyszła z pokoju, a Bryn otoczyła mnie ramionami.
Odeszła i przyniosła chusteczkę.
- Kiedy Sabine miała przeszczep osobowości? - spytałam. - Przysięgłabym, że była miła. No, w pewnym sensie.
- Ona jest miła. - Bryn uśmiechnęła się smutno. - Kiedy jesteś z kimś uwięziona przez kilka dni, dowiadujesz się

o nim wiele. Sabinę nie była jędzą, za jaką ją miałyśmy. Była po prostu wściekła. Naprawdę wściekła. To, co musiała robić... - Wzdrygnęła się. - Miała o co być wściekła.

Racja. Spośród wszystkich młodych Strażników, życie Sabinę było najtrudniejsze, a jednak to ja płakałam, nie ona. Wydmuchałam nos i popatrzyłam na Bryn, wciąż siakając.

- Na pewno myślisz, że jestem żalosna.

- Nie - zaprotestowała. - Wszyscy przeszliśmy ciężką próbę, ale gdybym była na twoim miejscu, zrobiłabym to samo.

- Dzięki, ale nie wiem, jak możesz tak mówić. Nie wiesz nawet, co się wydarzyło.

- Connor nas wtajemniczył. A Silas wciąż się wtrącał, próbując opowiedzieć tę historię. Dziwny jest, co?

- Tak, jest dziwny - zgodziłam się. - Co Connor wam powiedział?

- Nie mógł nam opisać, co czułaś, ale nietrudno to sobie wyobrazić.

Wyjaśnił nam, kim jest Shay i dlaczego jest tak ważny.

- Mówił wam o sojuszu? - spytałam zdenerwowana, że unia Strażników i Poszukiwaczy okaże się dla nich nie do pomyślenia.

Skinęła głową.

- Wygląda na to, że mogą nauczyć nas kilku niezwykłych rzeczy.

- Na przykład? - To była nowość. Wrzuciłam wymiętą chusteczkę do kosza na śmieci.

- Walki, magii. Naszej prawdziwej historii. - Przeszła przez pokój i pokręciła głową. - Wciąż nie mogę uwierzyć, te wszystkie kłamstwa...

- Wiem.

- Ale najbardziej chciałabym, żeby Poszukiwacze potrafili pomóc Anselowi. - Stała przy oknie i obserwowała falującą powierzchnię morza, turkusową w promieniach porannego słońca.

- Ja też.
- Traktują go dobrze. - Przesunęła palcami po tiulowej firance. - Nie jest zamknięty w celi, to po prostu mała sypialnia.
- Byłaś u niego? - Moje poczucie winy rosło. Dlaczego ja jeszcze go nie odwiedziłam?
- Mason i ja dyżurujemy przy nim na zmianę - wyjaśniła. Gdy się odwróciła, cień przebiegł przez jej twarz. - Ale nie odzywa się do mnie. Do Masona też nie.
- Nic nie mówi? Pokręciła głową.
- Może potrzebuje czasu - zasugerowałam, ale mój żołądek zacisnął się w supeł.
- Może. - Zadrżała lekko. - Ale boję się, że go stracimy, Callo.
- Przysięgam, że nie pozwolę Poszukiwaczom zrobić mu krzywdy - obiecałam, a moje słowa zakończył warkot.
- Nie. - Potarła dłonią ramię. - To nie nimi się martwię. Ból w brzuchu nie przypominał już supła. To był nóż.
- Prawie go nie poznaję - wyszeptała - zapadł się głęboko w siebie, myślę, że nie chce już żyć. Drapie się po rękach aż do krwi.
- Pomożemy mu. - Przełknęłam gulę w gardle. - Dojdzie do siebie. Pokiwała głową i otarła łzy.
- Chcesz go teraz zobaczyć? - spytała. - I tak muszę zmienić Masona. Robi się rozdrażniony, jak nie zje posiłku co dwie godziny.
- Chyba każdy nastolatek tak ma. - Uśmiechnęłam się, biorąc ją za rękę. - Chodźmy do Ansela.
- Naprawdę nie powiesz mi ani słowa o wczorajszej nocy? - Uśmieszek przemknął po jej twarzy.
- Nie - odparłam, ale też się uśmiechnęłam. Świat wymykał mi się spod kontroli. Kiedy Bryn była obok, wszystko wydawało się prostsze.

Zdażyłyśmy wyjść z pokoju, gdy zatrzymała się i odwróciła do mnie.

- Co się stało? - spytałam.

- Nic - odparła, splatając swoją drugą dłoń z moją. - Tylko to, że Sabine ma rację.

- W czym? - Staralam się rozszyfrować minę Bryn. Nie była smutna, raczej zadowolona.

- Na temat Shaya. Jest naszym nowym alfa, musi stać się częścią klanu.

- No, tak. - Niepewnie przestąpiłam z nogi na nogę. Nie miałam nic przeciwko temu, żeby Shay był moim partnerem alfa, ale wciąż nie mogłam przyzwycząić się do tej myśli.

- Pójdź po niego - poradziła. - Idźcie razem jako para alfa. Niech Ansel zobaczy, że wszystko się zmienia. Ze... mamy przed sobą przyszłość. Skinęłam głową. Czy Anselowi pomoże świadomość, że nie jesteśmy już podporządkowani temu światu, który wyrządził mu taką krzywdę? Zawsze wierzył w miłość. Może gdy zobaczy mnie i Shaya razem, z wyboru, wróci do nas.

- Dobrze - zgodziłam się i wyplątałam palce z jej dłoni. -Pójdę go poszukać.

- Świetnie! - Objęła mnie. Przywarłam do niej i wtuliłam policzek w jej sprężyste loki. Zapach Bryn odzwierciedlał jej osobowość: jednocześnie słodki i pikantny, jak toffi z cynamonem. Ten zapach sprawiał, że wszędzie czułam się jak w domu.

Poszła dalej, a ja skierowałam się do pokoju Shaya. Zapukałam do drzwi. Nie odpowiedział. Zapukałam znowu. Może zasnął.

- Nie ma go.

Odwróciłam się i zobaczyłam Adne.

- Jak to?

- Anika wezwała go na naradę z Przewodnikami z Haldi-sie. - Wskazała głowę salę spotkań. - Planują działania Tordisu.

- Dlaczego nikt mnie zawołał? - zdziwiłam się.
- Będą o tym rozmawiać - wyjaśniła. - Kontrowersyjny status twojego brata sprawił, że niektóre drużyny niepokoi udział Strażników w akcjach. Nie wiedziałam, czy mam być zszokowana, czy oburzona, a może jedno i drugie.
- Planują misję bez naszego udziału?
- Rozważają różne możliwości - oznajmiła i uśmiechnęła się szybko. - Ale to się dobrze składa.
- Dobrze dla kogo? - spytałam, zaniepokojona nagłym błyskiem w jej oczach.
- Potrzebuję twojej pomocy w innej misji - wyznała, dotykając czółenka za paskiem. - Sekretnej.
- Co to za misja? - Włoski na karku stanęły mi dęba. Usta Adne wyrażały zdecydowanie.
- Musimy sprowadzić tu mojego brata.

29

Przez chwilę miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg i upadnę.

- Calla? - Adne złapała mnie za ramiona, gdy oszołomiona się zatoczyłam. - W porządku?

Potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się uczucia wzbierającego gorąca, które topiło mi czaszkę.

- Słyszałaś, co powiedziałam? - spytała, prowadząc mnie korytarzem. Skinęłam potakująco.

- Twojego brata?

- Tak.

- Masz na myśli Rena? - z trudnością wypowiedziałam jego imię. - Chyba żartujesz! To by znaczyło, że musimy wrócić do Vail!

Położyła palec na ustach.

- Nie tutaj.

Zagryzłam policzek, żeby powstrzymać się od pytań. Minełyśmy mój pokój i kilka innych, aż w końcu otworzyła jakieś drzwi i wślizgnęłyśmy się do środka.

Rozkład tego pokoju był identyczny jak u mnie, ale poza tym nie mogłyby różnić się bardziej. Moja sypialnia, tak jak inne pokoje gościnne, miała neutralny charakter: nienachalny, ale całkowicie pozbawiony wyrazistości.

Na ścianach w pokoju Adne szalały kolory, fioletowy, czarny i purpurowy, a narzuta z gnieczonego aksamitu przelewała

się przez łóżko. Adne podeszła do odtwarzacza i nastawiła muzykę tak głośno, że jaskrawe ściany zaczęły tańczyć mi przed oczami.

- Lubisz Raveonettes? - Podkreśliła dźwięk jeszcze głośniej. Skinęłam głową, a puls dostosował się do rytmu i eterycznych głosów wokół mnie.

- Przepraszam. - Opadła na łóżko. - Ale nikt nie może nas usłyszeć. Co nie znaczy, że w innych okolicznościach nie słucham tak głośno muzyki.

- W porządku.

- Usiądź. - Klepnęła materac obok siebie.

Byłam zbyt zdenerwowana, żeby siedzieć, ale przycupnęłam na skraju łóżka i zaczęłam skubać frędzle narzuty.

- A więc Connor ci powiedział?

Pokreśliła głową i odchyliła się, sięgając pod stertę poduszek u wezłowania łóżka.

- Mój ojciec mi powiedział. - Wyciągnęła kopertę, a z niej list. - Connor był tylko posłańcem.

- Monroe napisał do ciebie list? - Patrzyłam na złożone kartki, które trzymała w dłoniach. Było ich kilka. Ile jej powiedział? Jakie sekrety przeszłości przelał na te strony?

Roześmiała się i jednocześnie otarła oczy.

- Connor mówił, że mój ojciec wiedział, że nigdy nie pozwoliłabym na łzawe i osobiste gadki. Nauczyłam się ich unikać, kiedy mama...

Jej spojrzenie powędrowało do nocnego stolika. Podążyłam za jej wzrokiem i zobaczyłam oprawione zdjęcie kobiety. Miała miedzianoblond włosy i bursztynowe jasne oczy. Otaczała ramionami wysoką jak tyczka dziewczynkę z głupiutkim uśmiechem, to była o wiele młodsza Adne.

Dotknęła opuszką palca brzegów kartek.

- To ona ich ze sobą złączyła. To znaczy mama Rena. Cor-rine. Kiedy umarła, ojciec się załamał. Przetrwał tylko dzięki mojej mamie. A potem ja się pojawiłam.

Patrzyłam na nią i nie wiedziałam, co powiedzieć. Położyła się na plecach i przycisnęła list do piersi.

- To z mojego powodu nie wrócił po Rena - powiedziała, patrząc w sufit. - Nie chciał ryzykować i zostawić mnie i mamy samych. Uważał, że skrzywdził Corrine, i nigdy się z tym nie pogodził. Tak bardzo chciał odzyskać Rena. Wszystko jest tu opisane.

Zaszeleściła kartkami.

- Na pewno - powiedziałam - ale rozumiem, że chciał cię chronić. Ren nie miał o tym pojęcia. Wciąż nie zna prawdy. Myśli, że jego ojcem jest Emil.

- Wiem. Właśnie dlatego musimy wrócić.

- Nie jestem wcale pewna, czy chciałby, żebyśmy po niego wrócili. - Przypomniałam sobie, jak cisnął mną przez pokój. -Może woli zostać. Jak reszta.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytała.

Nie odpowiedziałam, nie mogłam. Prawda była taka, że nie miałam pojęcia. Chciałam wierzyć, że można ocalić Rena, ale wiedziałam, jak Opiekunowie potrafią złamać Strażników. Mój własny brat prawie nas zabił po tym, jak zmanipulowali go dawni mistrzowie. Czy Ren potrafił uwierzyć w cokolwiek innego poza tym, co oni mu powiedzieli o jego przeszłości?

Mój żołądek wariował.

Spojrzenie Adne wwiercało się we mnie.

- Musimy spróbować. Oddech mi się urywał.

- Adne, ale jak? Przecież ledwie udało nam się uciec. Przeturlała się, usiadła i zwiesiła nogi na podłogę.

- Właśnie dlatego nam się uda. Nikt nas się tam nie spodziewa. Musimy tylko odnaleźć Rena.

- Ale jak...

- Namierzmy go. Otworzę wewnętrzne drzwi, tak jak poprzednio.

Złapiemy go, wrócimy i po wszystkim - słowa płynęły z jej ust, a oczy lśniły.

- Namierzemy go? Jak? Odchrząknęła i spuściła wzrok:
- No... Zauważyłam... Twój pierścionek.
- Mój pierścionek? - Położyłam ręce na piersi i drugą dłonią zakryłam palec z plecioną obrączką.
- Byłaś mu przeznaczona, prawda? - Nie podniosła wzroku. - Dał ci go?
- Tak, ale... - Zamierzałam wyjaśnić, że pierścionki nie były symbolem sojuszu Strażników. Że Ren dał mi go od siebie, bo... bo właściwie co? Chciał powiedzieć, że mnie kocha? Pokazać, że nasze przymierze oznacza dla niego coś więcej niż tylko wypełnienie rozkazów? Teraz to moje własne myśli rzuciły mnie na ceglana ścianę i odebrały mi oddech. Nie mogłam dokończyć zdania.
- Ale Adne nie zwróciła na mnie uwagi.
- A więc znajdziemy go dzięki temu.
- Usiłowałam zignorować swoje łomoczące serce i skupić się na jej słowach.
- Pierścionek go odnajdzie?
- Jeśli on ci go dał, pierścionek jest z nim połączony. Za jego pomocą określe miejsce pobytu Rena.
- Jak to możliwe?
- Pierścionek będzie prowadził nic. - Popatrzyła na mnie z delikatnym uśmiechem. - Pójdziemy za nim do Vail, do Rena. Wtedy otworzę drzwi.
- To naprawdę działa?
- Tak znaleźliśmy Shaya.
- Och... - Dłonie zaczęły mi wilgotnieć.
- Wiem, że to ryzykowne, Calla, ale z tego, co widziałam i, nie oszukujmy się, sądząc po tym, jaki cięty jest na niego Shay... zależy ci na Renie. Na pewno nie chcesz go tam zostawić.
- Zdobyłam się na ochrypy szept:
- Nie chcę.

Wstała i przesunęła palcami po swoich mahoniowych warkoczach.
- To mój brat, ale ja go nie znam. Nie chodzi o niego. Chodzi o mojego tatę.

Wzięła ostatnią stronę listu i podała mnie. Na kartce w kolorze kości słoniowej widniały tylko dwa słowa:

„Uratuj go”.

W oczach zbierały mi się łzy. Spojrzałam na Adne, a list drżał mi dłoniach.

- Muszę to zrobić, Calla. Pomożesz mi?

Drżącymi rękami objęłam się za ramiona, ale skinęłam głową.

Westchnęła z ulgą, a jej napięte mięśnie się rozluźniły.

- Dzięki Bogu.

- Kto jeszcze? - spytałam, podając jej kartkę. Nie mogłam patrzeć ani chwili dłużej na te dwa samotne słowa, wypalające dziurę w moim sercu.

- Nikt. - Zmarszczyła brwi. - Tylko ja i ty.

- Myślisz, że damy sobie radę? - Okoliczności nam nie sprzyjały, nawet gdybyśmy miały pomoc.

- Nikt inny nam na to nie pozwoli - wyjaśniła Adne. - Jak komukolwiek powiemy, będziemy miały ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zamyśliłam się.

- Może ktoś z mojego klanu?

- Nie, mamy mało czasu. Musimy ruszać teraz, nie zdążymy poszukać sprzymierzeńców.

- Jak to: teraz? - Włoski na karku stanęły mi dęba.

- Dzisiaj - odparła - wracamy do Vail.

- To kompletne wariactwo! - nie mogłam pohamować krzyku.

- Tam będzie zamieszanie, a Opiekunowie pewnie dalej są w Denver. - Jej śmiertelnie spokojny głos sprawił, że tylko

się na nią gapiłam. - Możemy się wymknąć i wrócić niezauważone, pewnie łatwiej niż kiedykolwiek indziej.

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam. Dobra, to miało sens.

Szaleńczy sens, ale jednak.

- Nie możemy wziąć przynajmniej Connora? - spytałam. Czułabym się pewniej przynajmniej z jednym wojownikiem przy boku, Connor wiedział o Renie, a poza tym wspierał Adne prawie we wszystkim.

Zadygotała.

- Nie ma mowy. Jest ostatnią osobą, którą poprosiłabym teraz o pomoc. Przerazenie sprawiło, że wybuchłam:

- Co jest z wami, do cholery? Odsunęła się o kilka kroków.

- Jak to?

- Przez większość czasu się kłócicie, a potem mam wrażenie, że łączy was coś więcej.

Zaczerwieniła się, potem zbladła, w końcu odwróciła się do mnie plecami.

- Nie łączy nas nic więcej. Naciskałam:

- A jednak tak to wygląda w jego wykonaniu.

Gdy odwróciła się do mnie z powrotem, jej spojrzenie było twarde.

- Trafiłaś tu w antrakcie, Callo. Musiałabyś zrozumieć i mnie, i Connora, żeby wiedzieć, o co chodzi.

- Więc może streścisz mi pierwszy akt? - poprosiłam. Zadrżała, a potem podeszła do odtwarzacza i zaczęła przeglądać płyty.

- Miałam jedenaście lat, gdy umarła moja mama.

Wyprostowałam się niepewnie, nie wiedząc, jak zareagować.

Dokuczałam jej, a potem nagle zaczęłyśmy rozmawiać o zmarłych matkach. Adne kontynuowała:

- Connor dołączył do drużyny Haldisa niedługo po jej śmierci. Stałam obok niej.
- Adne, przepraszam. Nie musisz nic wyjaśniać. Zignorowała mnie, zajęła się wieżą, przeskoczyła kilka piosenek do przodu.
- Connor miał tylko szesnaście lat. Nie był szczególnie młody jak na pierwszy angaż jako Napastnik, ale był moim jedynym prawie rówieśnikiem. Dzięki niemu przetrwałam najgorszy okres. Nigdy nie zostawił mnie samej. Ciągle mi dokuczał. Byłam w bardzo wrażliwym wieku, kiedy straciłam mamę. Składałam się z samych rąk i nóg, a nic nie działało, jak powinno. Connor dał mi w kość, ale tego potrzebowałam. Pozwalał nie myśleć o mamie. Nie miałam nawet chwili wytchnienia. - Skrzywiła się. - Ale wtedy chwila wytchnienia by mnie zabiła. Obserwowałam emocje zmieniające się na jej twarzy jak cienie. Zamknęła oczy i się uśmiechnęła.
- W nocy zakradał się do mojego pokoju i dopóki nie zasnęłam, opowiadał mi niestworzone historie o Podróżującej Akademii. Dzięki temu strachy były pod kontrolą. Nie zniosłabym samotnych nocy. Był moim najlepszym przyjacielem, aż do momentu, gdy przyjechałam trenować tutaj.
- Musiałaś wrócić do Denver?
- Nie. - Nie popatrzyła na mnie. - Ale chciałam. W Akademii nauczyłam się pracy Tkaczki. Nigdy nie chciałam żyć gdziekolwiek poza Denver. Drużyna Haldisa była dla mnie jak rodzina. Chciałam być z nimi. Pochyliła głowę, a ciemne włosy opadły jej na twarz. Po chwili się roześmiała, znów była sobą.
- Pierwsze, co mi powiedział po kilkumiesięcznym pobycie w terenie, to: „Widzę, że masz cycki, gratuluje. Mam nadzieję, że umiesz ich używać”.

- I ty chcesz mi wmówić, że to tylko przyjaźń? - spytałam. Zdziwiła się.

- Naprawdę traktujesz jego komentarze serio?

- Nie do końca - odparłam. Miała rację, w pewnym sensie, ale jednak stosunek Connora do innych dziewcząt różnił się od tego, jak traktował Adne.

- No, właśnie. On po prostu taki jest, to żarty. - Uśmiechnęła się do mnie, ale w jej głosie słyszałam nutkę niepokoju. - Tylko że Silas pogorszył sytuację.

- Jak?

- Przegrałam zakład i musiałam pocałować Connora. - Rumieniec wkraadał się na jej policzki. - Dzięki temu miał jeszcze więcej tematów do żartów. - W zamyśleniu skrzyżowała ramiona, jakby była gotowa do potyczki. Uśmiechnęłam się na widok jej butnej postawy.

- Dlaczego Silas kazał ci pocałować Connora? Uśmiech znikł jej z twarzy.

- Bo Silas jest nieprzeciętnie bystry, ale zupełnie niepo-mysłowy.

Nienawidzi Connora i nie potrafił wyobrazić sobie nic potworniejszego niż konieczność pocałowania go. Więc zafundował to mnie.

- Rozumiem. - Bacznie obserwowałam jej twarz. - I pocałowałaś go?

- Tak.

- I? - Nie widziałam jej miny, bo odwróciła się ode mnie i zajęła się szukaniem jakiejś piosenki na płycie Raveonet-tes. Milczała, gdy piosenka się zaczęła, i zakołysała się do muzyki.

- I nic... - Rozłożyła ręce. - Connor nie idzie. Dasz mi pierścionek?

Zacisnęłam zęby, ale zsunęłam pierścionek z palca i położyłam jej na rękę. Bez niego moja dłoń wydawała się niepokojąco naga. Zacisnęłam palce, żeby nie zastanawiać się nad tym bolesnym brakiem.

Adne wyjęła jedno czółenko zza paska i przytknęła ostry koniec do obrączki z białego złota. Zamknęła oczy i zaczęła brać powolne, głębokie wdechy. Stałam bez ruchu, nie śmiałam nawet odetchnąć. Powietrze wokół niej zgęstniało i załśniło, jak gdyby ktoś rozsypał złoty proszek. Bardzo powoli oderwała czółenko od pierścionka. Gdy jej ręka się poruszyła, zobaczyłam pojedynczą cienką nitkę. Złote pasemko. Otworzyła oczy i się uśmiechnęła.

- Jest.

Oddech, który powstrzymywałam, wydostał się ze mnie z głośnym sapnięciem. Spojrzała na mnie.

- Calla, w porządku. Wiem, co robię. Nitka utworzy okno, nie będziemy mogli przez nie przejść, ale zobaczymy, co jest po drugiej stronie. Znajdziemy go.

Skinęłam głową, ale nogi mi się trzęsły.

- A jeśli nie będzie sam?

- O to chodzi. - Oddała mi pierścionek. - Nitka nas do niego zaprowadzi i będziemy miały dość czasu, żeby zdecydować, czy jest w odpowiednim miejscu, żeby do niego pójść, czy powinniśmy poczekać. Dobrze?

- Dobrze. - Ulżyło mi, że nie zamierzała wysłać nas na spotkanie z całym klanem Strażników.

Adne zaczęła zataczać ręką koła. Złota nitka była coraz dłuższa i zwijała się przed nią w spiralę.

- Chcesz popatrzeć?

Przysunęłam się bliżej i zajrzałam jej przez ramię. Spirala lśniła i zwijała się w smukły stożek. Z tej odległości widziałam koniec nici, jak się porusza, błyszczący. Obserwowałam kształty przebłyskujące przez spiralę, rozmazane i nieostre. Było tak, jakbyśmy mknęły w powietrzu z ogromną prędkością, zbyt szybko, żeby zorientować się, gdzie jesteśmy. Zajrzałam do wnętrza spirali, która teraz pulsowała od wybuchów światła,

i spróbowałam wychwycić coś znajomego. Zdawało mi się, że widzę drzewo, a potem stromą skałę. Zarys budynków' W jednej chwili spirala zadrżała, złote światło rozproszyło się i ujrzałyśmy zarośnięte sosnami zbocze górskie, z polaną w dzikim lesie.

- Poznajesz coś? - spytała Adne.

Pokiwałam głową, ale moje ciało zmieniało się w kamień.

- Jest tutaj - powiedziała, zaglądając w głąb spirali - ale nie wiem, czy sam. Ponieważ w Vail jest środek nocy, każdy tam pewnie śpi.

- Jest sam - wymruczałam.

- Jesteś pewna? - Spojrzała na mnie, marszcząc brwi. -Jeśli tak, otworzę przejście.

Nie mogłam oderwać wzroku od okna, wyczarowanego przez nią Adne, która doprowadziła nas tutaj. Do Rena.

- Jestem pewna.

Adne zamknęła wejście i odwróciła się do mnie.

- Co to za miejsce?

Kiedy zabrakło światła portalu, został tylko nikły blask księżyca.

Nieukończone budynki otaczały wybrukowany zaułek z wyschniętą fontanną pośrodku. Wylane fundamenty ziały dziurami, a drewniane rusztowania różnej wysokości wznosiły się w górę. Oto dziedzictwo klanu: szkielety domów, truchła losów, które mogły się tu wypełnić. Czułam, jak gdyby moje gardło było wypchane watą. Musiałam kilka razy odchrząknąć, zanim wydobyłam z siebie głos.

- Tutaj miał mieszkać mój klan. Zamierzaliśmy się tu przenieść po zawarciu sojuszu.

- Naprawdę? - Zdziwiła się, a oczy jej się rozszerzyły. -Och.

Zagryzłam wargę i kiwnęłam głową.

- Jak myślisz, gdzie on jest? - spytała, patrząc na opustoszały plac budowy.

Wskazałam na budowlę stojącą na wzgórzu, jedyną, która była wykończona.

- Tam.

- Jesteś pewna?

- To miał być nasz dom - wyjaśniłam, niezdolna podnieść na nią wzroku.

- O rany. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Callo, nie wiedziałam...

- W porządku - pocieszyłam ją, ale wcale nie czułam się tak pewnie. -

Nikogo tu nie będzie. To miejsce zostało opuszczone. Klan, dla którego je zbudowano, przestał istnieć.

- No tak, więc jak to zrobimy? Spojrzałam na nią.

- Nie masz planu?

- Mój plan zakładał odnalezienie brata. Zrobiłam to. Koniec.

- Ale musimy jakoś przekonać go do powrotu! - Sama nie wierzyłam, że wciąż udaje mi się szeptać mimo narastającej paniki.

- Dlatego zabrałam cię ze sobą - powiedziała i rozejrzała się po opuszczonej osadzie. - Słusznie?

Obnażyłam lekko zęby, ale się nie kłóciłam. Spojrzałam w kierunku domu oddalonego od nas o jakieś pięćdziesiąt metrów

- Gdybym miała coś sugerować - powiedziała Adne powoli - ty powinnaś pójść i z nim porozmawiać. Zawyj, jeśli będziesz miała kłopoty. Albo krzyknij. Bylebym usłyszała.

- Dzięki. - Posłałam jej ponure spojrzenie.

- Chętnie poszłabym sama - oświadczyła, przykładając ręce do piersi - ale on mnie nie zna. Zależy mu na tobie. Tylko ty możesz zmienić jego przekonanie, że Opiekunowie mówią prawdę. Tylko ty, Callo.

- Wiem.

Realność tej chwili przenikała mnie do szpiku kości, aż do bólu. To jedyna szansa, żeby odpokutować za porzucenie Rena. Jeśli to w ogóle możliwe.

Lodowato zimowe powietrze okryło moje ciało jak peleryna. Chłód wdarł mi się pod skórę, niezmordowanie próbował ugasić ostatnią iskierkę nadziei, która się we mnie tliła. Przez ten krótki czas spędzony z Poszukiwaczami poznałam prawdziwą cenę Wojny Czarowników. Jej ofiary nie były obce: Lydia, Corrine, Monroe, moja matka, nawet mój brat - ich śmierć i utrata Ansela ciążyły mi jak kotwica wiodąca mnie na dno ciemnego oceanu strachu i żalu.

Było tak cicho, jakby panowała tu śmierć. Przytłoczone szczątkami mojego dawnego życia, krążyły i wiły się potworne cienie. Nie były groźne, to tylko strzępy przeszłości, bolesne wspomnienia, oblepiające mnie jak pajęczyny.

Nadzieja była prawdziwa. Lśniła jaśniejszym światłem niż gwiazdy wiszące nad moją głową tej pustej, zimowej nocy. Corrine i Monroe odeszli. Poświęcili wszystko dla swojego syna. On wciąż tu był. Dla nich już za późno, ale nadal można ocalić Rena. I tylko ja potrafię to zrobić. Tu chodzi o miłość.

Był tam. Sam. Czekał na mnie w domu, gdzie mieszkały tylko duchy naszej przeszłości.

Patrząc na strzępy życia, które mogliśmy wieść, zrozumiałam, że tu wcale nie chodzi o miłość ani Shaya czy Poszukiwaczy. Chodziło o ofiarę i odkupienie; stratę, która mogła nabrać nowego znaczenia.

Nadzieja. Druga szansa. Ren mógł nam pomóc wygrać tę wojnę. Razem potrafilibyśmy sprawić, że krew, rozpacz i ból okażą się czegoś warte. Wiedziałam, że drugi raz nie mogę go zostawić. Nie teraz i już nigdy. Nawet jeśli to oznaczało, że będę musiała poświęcić także siebie.

Podziękowania

Potrójne hip hip hura na cześć klanu Kary Nocy! Charlie Olsen, Richard Pine i Lyndsey Blessing oraz fantastyczna ekipa Ink " Weil Management byli niezastąpionymi nawigatorami, którzy nie pozwolili temu statkowi zboczyć z kursu. Bez dowcipu i mądrości Michaela Greena mój pobyt w świecie wydawców książek nie byłby tak zabawny. Intuicja i sokole oko Jill Santopolo bez trudu nadały książce piękną formę. Jill - dzięki za opowieści o przygodach z pisaniem i trapezem! Członkowie Penguin Young Readers Group stali się dla mnie jak rodzina: Don Weisberg, Jennifer Haller, Emily Romero, Erin Dempsey, Shanta Newlin, Jackie Engel, Linda McCarthy, Katrina Damkoehler, Felicia Frazier, Scottie Bowditch, Courtney Wood, Anna Jarzab, Julia Johnson i wszyscy cudowni reprezentanci handlowi. Dziękuję za waszą pracę i za podtrzymywanie mnie na duchu.

Tyle miłości umożliwiło powstanie tej książki. Ogromne podziękowania, jak zawsze, dla mojej wspaniałej recenzentki i krytyczki, Lisy Desrochers. Jednym z przywilejów pisarza jest możliwość zdobywania wyjątkowych piszących przyjaciół: Cynthio Leitich Smith, Becco Fitzpatrick i Kiersten White - jestem bardzo wdzięczna za waszą sympatię i entuzjazm. Moim rodzicom, Darrelowi i Patricii Robertsonom, dziękuję, że byli podekscytowani tą książką jeszcze bardziej niż ja, o ile to w ogóle możliwe. Mojemu bratu Garthowi, dziękuję, że nie pozwolił mi się poddać. I Willowi, bo rozpałił we mnie ogień, który nigdy nie zgaśnie.